



Barbara  
Bentley

# Kocham psychopate

 hachette  
POLSKA

*pisane przez życie*

Barbara  
Bentley

# Kochałam psychopata

*Zobaczyłam, jak do mojej twarzy zbliża się szmatka nasączona eterem. Ogarnęło mnie przerażenie. Nagle poczułam przyływ adrenaliny i włączył mi się instynkt przetrwania. Wstrzymaj oddech, bo nie wyjdiesz stąd żywa!*

Kiedy John Perry, emerytowany kontradmirał, poprosił Barbarę o rękę, nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Miał za sobą niezwykłą karierę wojskową, znał siedem języków, przyjaźnił się ze sławnymi ludźmi i pochodził ze znamienitej rodziny. Był czarujący, troskliwy, opowiadał fascynujące historie – wydawał się doskonały.

Ta książka to wstrząsający opis oszustwa i zdrady. I triumf kobiety, która się nie poddała.

ISBN 978-83-7575-765-1



9 788375 757651

 hachette  
POLSKA  
[www.hachette.com.pl](http://www.hachette.com.pl)

patron medialny:

recenzje • rozmowy • wydarzenia  
**książki**  
magazyn  
[www.rynek-ksiazki.pl](http://www.rynek-ksiazki.pl)



Barbara  
Bentley

Kochalam  
psychopate,

 hachette  
POLSKA

# Spis treści

Wstęp	9
Prolog	17

## CZEŚĆ 1 – NAMIĘTNOŚĆ

Zauroczenie	37
Zaloty	52
Wspólne mieszkanie	65
Oświadczyzny	82
Ślub	97

## CZEŚĆ 2 – WYTRWAŁOŚĆ

Rozkosz	117
Blichtr	131
Blues	144
Żona admirała	156
Rodzina	170
Odznaczenia	178
Bal inauguracyjny	189
Sztorm	199
Zwodniczy wiatr	214
Zatonięcie	228
Głębokie wody	251
Podjejrzenia	268
Mgła	288
Atak	304

## CZĘŚĆ 3 – UPÓR

Śledczy	335
Proces	356
Krucjata	373
Przebudzenie	383
Stawka	401
Sponsor	412
Lobbystka	418
Zgromadzenie	437
Senat	454
Świętowanie	469
Epilog A	475
Epilog B	481
Epilog C	483

*Dedykuję tę książkę mojemu mężowi Reksowi,  
pamięci mojej przyjaciółki Helen  
oraz detektywa Grega Smitha,  
który ocalił mi życie.*

## Wstęp

Oto moja opowieść, w której marzenia o życiu jak z bajki, zaufanie i nadzieja ścierają się ze światem psychopatów i przemocy domowej - stykając się z nim, można postradać zmysły. Nawet nie podejrzewałam, że z takim trudem przyjdzie mi powrócić do normalnego życia ani że tak ciężko będzie pozbyć się psychopaty.

Książę z bajki zawrócił mi głowie, ale euforia nie trwała długo. Gdy tylko skończył się miesiąc miodowy, prędko nauczył się, jak za pomocą umiejętnych kłamstw manipulować mną, żerując na niepewności i kompleksach. Potrafił być tak czarujący, że zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, iż wykorzystuje mnie i nasz związek dla osiągnięcia własnych celów: wysokiego standardu życia i podziwu ludzi, którego zawsze pragnął. Bywał jednak i przerażający - kiedy groził, że mnie zostawi, zamierałam ze strachu. W panice robiłam wszystko, co wydawało mi się konieczne, żeby ocalić związek. Nie mogłam bowiem dopuścić do tego, by moja obawa przed porzuceniem stała się rzeczy-

wistością. Miałam do czynienia z szaleńcem, ale nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Mój książę z bajki, emerytowany kontradmirał, był w rzeczywistości potworem - psychopatą potrafiącym wypatrzeć kobietę, która pozwoli mu się oczarować i kontrolować. Umiejętnie podsycił płomień miłości. Wiedział doskonale, co, jak i kiedy powiedzieć, aby schwytać mnie w pułapkę niczym zwierzę. Efektem tego był przynajmniej jeden zamach na moje życie. W książce *Psychopaci są wśród nas*<sup>1</sup> doktor Robert D. Hare definiuje ich jako „społecznych drapieżników, którzy mają, manipulują i przedzierają się przez życie, zostawiając za sobą złamane serca, zawiedzione nadzieje i puste portfele”. Psychopaci znani są również jako socjopaci. W książce *The Sociopath Next Door (Socjopata z sąsiedztwa)* doktor Martha Stout stwierdza, że „jeden na dwudziestu pięciu zwyczajnych obywateli amerykańskich — jest skrytym socjopatą”.

Doktor Hare formułuje również następujące twierdzenie: „Psychopaci wykazują się błyskotliwością i elokwencją. To często zabawni i dowcipni rozmówcy, którzy zawsze mają na podreździu inteligentną odpowiedź. Potrafią również opowiadać niesamowite, ale przekonujące historie, w których przedstawiają się w jak najlepszym świetle. To mistrzowie autoprezentacji, nierzadko sympatyczni i czarujący”.

Psychopatów uznaje się za specjalistów od manipulowania faktami i przeinaczania prawdy. Gdy tylko zaczynałam mieć

<sup>1</sup> Wydawnictwo Znak, Kraków 2006. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

<sup>2</sup> Wszystkie cytaty w tłumaczeniu własnym.



podejrzenia i podawałam w wątpliwość którąś z jego historii, książkę z bajki zazwyczaj bez wahania oferował mi wiarygodne wyjaśnienie, w którym nierzadko tkwiło przynajmniej żdźbło prawdy. Kiedy indziej gładko omijał pytanie. Po każdej jego odpowiedzi czułam się jak idiotka lub osoba nieznównoważona, a jednak nadal mu ufałam.

Doktor Hare pisze również: „Biorąc pod uwagę osobowość psychopaty, nie dziwi fakt, że jest to zazwyczaj utalentowany oszust, z łatwością podszywający się pod inne osoby. Bez wahania przygotowuje imponujące referencje, by móc podjąć pracę w zawodach, które dają mu prestiż i władzę. Zmienia się jak kameleon". Można spotkać go w roli prawnika, psychologa, oficera, bohatera wojennego, członka zarządów spółek, jak również - i jest to jego ulubiony zawód - agenta, najlepiej CIA bądź FBI. Ludzi tych zazwyczaj obdarza się zaufaniem, a psychopata chce, by jego ofiary ufaly mu bezgranicznie.

Psychopaci poszukują wygranej na loterii i bez skrupułów dążą do swojego celu. Nie mają żadnych zobowiązań finansowych, nie zadręczają się więc myślami o zdolności kredytowej. Powodowani chciwością, czyszczą konta swoich ofiar, pożyczają pieniądze, zabierają kosztowności, zachęcają do założenia drugiej hipoteki i podstępem doprowadzają do wykupienia dużych polis ubezpieczeniowych lub spisania testamentu, którego są beneficjentami. By zdobyć to, czego pragną, nie cofną się nawet przed morderstwem. A kiedy źródło dochodów wysycha, idą dalej bez najmniejszych wyrzutów sumienia - szukają kolejnej ofiary.

Wymiar sprawiedliwości stale ma do czynienia z psychopatami, którzy przez całe życie łamią prawo. Wielu z nich używa fałszywych dowodów tożsamości. W ich kartotekach roi się od niezwykłych pomysłów, które przerażają, gdy zdamy sobie sprawę, jak wiele krzywd mogą wyrządzić. Większość tych osób posługuje się oszustwami do ostatnich dni. Psychopaty bowiem nie da się tak naprawdę wyleczyć.

Praktykujący psychopaci niczym nie różnią się od osób stosujących przemoc domową. Doskonale znają mechanizmy wykorzystywania emocjonalnego i finansowego. Aby osiągnąć swoje cele, mogą uciec się nawet do przemocy fizycznej i molestowania. Przemoc domowa opiera się na władzy i kontroli. A psychopata, który napawa się władzą, doskonale wie, jak je zdobyć i utrzymać.

Psychopaci są ekspertami w stosowaniu cyklu przemocy. Po wydarzeniu, które można określić mianem wykorzystywania, przepraszają i okazują miłość, stosując manipulacje słowne. „Obiecuję, że to się już nigdy nie powtórzy” - przekonują. Wmawiają też ofierze, że to ona jest wszystkiemu winna. Ten etap miesiąca miodowego może być bardzo krótki. Potem napięcia zaczynają narastać i w końcu prowadzą do kolejnego aktu przemocy.

Agresja werbalna bywa jawna: w złości używa się ostrych słów, dochodzi do krzyków i obrzucania drugiej osoby wyzwiskami. U ofiary następuje wówczas gwałtowne obniżenie samooceny i paraliż emocjonalny.

Jednak przemoc werbalna może być również subtelna, ubrana w gładkie słówka. W książce *Toksyczne słowa: słowna*

*agresja w związkach* Patricia Evans stwierdza, iż „ukryta przemoc werbalna niszczy człowieka właśnie dlatego, że nie jest bezpośrednia. To zawołany atak bądź przymuszenie. Taki rodzaj przemocy bywa określany mianem »doprowadzającego do szaleństwa«. Psychopata jest mistrzem w stosowaniu takich środków. Dokładnie wie, co powiedzieć, żeby ofiara nie mogła odzyskać równowagi i nie potrafiła zrozumieć, czemu czuje się zagubiona.

Z kolei ten, kto wykorzystuje swą ofiarę finansowo, może posługiwać się przejrzystą taktyką - każe spowiadać się z każdego wydanego pensa, nie pozwala mieć własnych pieniędzy ani robić kariery zawodowej. Samoocena ofiary zostaje poważnie osłabiona, gdy stale wmawia się jej, że nie jest wystarczająco odpowiedzialna, by samodzielnie gospodarować pieniędzmi, ani dość inteligentna, by podjąć pracę.

Trudniej jest dostrzec ukryte wykorzystywanie finansowe. Powodowany chciwością psychopata to mistrz przemocy tego typu. Używa gładkich słów lub gróźb po to, by zarządzać finansami wedle własnego upodobania. Ofiara oddaje mu więc swoje karty kredytowe - pomimo stresu związanego z niemożnością ich spłacenia. Uciekając się do oszustwa, psychopata może pozyskać akt własności domu albo potajemnie założyć nań drugą hipotekę. Kiedy przechodzi do następnego oszustwa, poszkodowany pozostaje bez środków do życia, za to z ogromnym długiem.

Patrząc z perspektywy osób trzecich, przemoc domowa pozostawia najłatwiejsze do rozpoznania ślady: podbite oczy,

<sup>1</sup> Wydawnictwo Jacek Santorski & Co, Warszawa 2003.

złamania czy nawet zwłoki. Nierzadko z powodu lęku, poczucia winy, niskiej samooceny, zależności finansowej lub kierując się dobrem dzieci, ofiara godzi się na kolejne akty przemocy, nawet jeśli ostatecznie prowadzi to do jej śmierci. Wiele pokrzywdzonych kobiet nie ma gdzie pójść, nie ma kogo prosić o pomoc. Na domiar złego niedoinformowane społeczeństwo przyczynia się do pogłębiania tego problemu.

Przemoc fizyczna może również przyjmować mniej dostrzegalne formy, szczególnie gdy psychopata musi kryć się ze swoimi działaniami. Upozorowany wypadek samochodowy czy niespodziewany upadek ze schodów to również przemoc fizyczna, nawet jeśli ofiara nie zdaje sobie z tego sprawy. Psychopata bowiem zawsze zasypie ją gradem wyjaśnień, przeprosin i obietnic.

Inną formą przemocy jest gwałt w małżeństwie. Mąż, stosując przemoc wobec żony, domaga się seksu jako czegoś, co mu się należy, albo zmuszają do rzeczy, które są dla niej upokarzające. Istnieje również przeciwieństwo gwałtu - brak seksu. Taki stan rzeczy ofiara także potrafi sobie wytłumaczyć.

W mojej podróży miałam szczęście spotkać w odpowiedniej chwili ludzi, którzy przyszli mi z pomocą emocjonalną, prawną, duchową i finansową. Jestem im za to niezmiernie wdzięczna. Dziękuję tym, którzy - bezpośrednio lub w inny sposób - wspierali mnie na drodze do ozdrowienia: Carolyn Pedrotti z opieki społecznej, Melody Beattie i doktor Lucii Capacchione. Dziękuję tym, którzy pomagali mi w trakcie śledztwa po zamachu na moje życie: Lisie, Michelle, Gregowi Smithowi i Theo Stamosowi. Dziękuję Harriet i Mike'owi Salarno za to,

że pokazali mi, czym jest działalność na rzecz ofiar. Dziękuję Dickowi Raineyowi, Kim i Peterowi za pomoc prawną. Dziękuję Greggowi Jonesowi i Melwinowi Bellemu, którzy uwierzyli, że zdołam obronić się w sądzie.

Dziękuję tym, którzy podczas pisania służyli mi wsparciem i zachęcali do dalszych prac, szczególnie Gary'emu i Gail Provostom oraz Hannelore Hahn. Byli przy mnie, gdy zaczęłam pisać, i nadal mnie inspirują. Dziękuję Lois Winsen za porady i redakcję oraz Patricii Evans - za zachętę. Dziękuję mojej agentce, Rachel Vater, za entuzjazm, wsparcie i za to, że udało jej się sprzedać mój rękopis, oraz Nancy Yost za to, że śledziła moje postępy. Dziękuję moim trzem redaktorom z Berkley: Samancie Mandor - za kupienie mojego rękopisu, Katie Day - za ulepszenie go drobnymi zmianami, i Shannon Jamieson Vazquez - za nadanie przejrzystości historii pełnej faktów, jak również za życzliwość okazaną początkującej pisarce. Dziękuję też mojemu adiustatorowi, Amy Schneider, za dokładną i uważną pracę.

Rodzinie i przyjaciołom jestem wdzięczna za wsparcie. Dziękuję mojemu mężowi, Reksowi, za cierpliwość, jaką okazywał mi, gdy spełniałam swoje pisarskie marzenie. Dziękuję także moim nieżyjącym golden retrieverom, Gobi i Gaby, za mokre pocałunki w chwilach, gdy najbardziej ich potrzebowałam.

Niektóre sceny w tej książce stanowią kompilację prawdziwych sytuacji, ponieważ codzienne życie zazwyczaj dawkuje doświadczenia. Fakty przedstawione są wiernie, ale niektóre nazwy własne zostały zmienione, by chronić prywatność uczestników tych wydarzeń.

Jako osoba, która ocalała z tej historii, wiem już, że to, jaka jestem, to wypadkowa wychowania i moich wyborów życiowych, zarówno złych, jak i dobrych. W tej podróży musiałam stawić czoła wielu decyzjom, które zmieniły moje życie. Co by się stało, gdybym spotkawszy Johna, odwróciła się, zamiast rzucić się w jego objęcia? Czy byłabym teraz zdrową osobą, czy też wciąż cierpiałabym z powodu nieświadomości? Dzięki swoim doświadczeniom nauczyłam się, jak przetrwać, będąc ofiarą, i jak odnaleźć spełnienie w życiu, nie odczuwając wstydu. Dane mi było poznać i pokonać niektóre z moich najgłębszych lęków. Mam nadzieję, że dzieląc się tą historią, zdołam trafić do ludzi, którzy dostrzegą w niej podobieństwo do własnego życia i dzięki temu znajdą odwagę, siłę i nadzieję na odzyskanie wolności, zanim będzie za późno.

## *Prolog*

### *Ufać czy nie ufać*

Siedząc w pracy i przeglądając swój listopadowy kalendarz, podjęłam decyzję, zdawałoby się, zupełnie niewinną. Postanowiłam zaprosić Reksa, przyjaciela, z którym niedawno odnowiłam kontakt, na bankiet charytatywny pod hasłem „Sprawiedliwość dla ofiar morderstw”. Miał się on odbyć za niecałe dwa tygodnie. Sięgnęłam po telefon, ale z pewnym poczuciem winy przypominałam sobie, jak bardzo nie lubię, gdy ludzie w ostatniej chwili zmieniają wspólne plany. Zaproszenie Reksa oznaczałoby, że muszę zrezygnować z zabrania mojej matki, z którą od kilku lat chodziłam na tę imprezę. „Nie będzie miała mi tego za złe” - tłumaczyłam sobie. „Ucieszy się, że wreszcie znalazłam partnera do tańca”.

Gdy chwyciłam za słuchawkę, wstrząsnął mną dreszcz. Ogarnęło mnie poczucie zbliżającego się zagrożenia. Zanim przyłożyłam słuchawkę do ucha, znów ją puściłam, bo w tej chwili doznałam paraliżującego *deja vu*.

Niczym upiór z przeszłości straszycie mnie wspomnieniami, których lepiej nie ruszać. „Czy reaguję tak jak kiedyś? Czy kieruję się emocjami?” - myślałam. „Czy mogę jeszcze raz popełnić ten sam błąd?” Nauczyłam się przynajmniej jednego - nie potrafiłam zaufać sobie w kwestii zaproszenia Reksa, póki nie spytałam o zdanie kogoś bezstronnego. Złapałam za słuchawkę i wykręciłam numer Pam, mojej przyjaciółki.

- Ten plan zbyt przypomina mi początek znajomości z Johnem - zamartwiałam się.

Na to wspomnienie aż ścisnęło mnie w żołądku.

- To coś innego - przekonywała Pam. - Przecież dobrze bawiłaś się na lunchu, który zaaranżowałam parę tygodni temu, prawda?

- Tak - przyznałam. - Miło było wtedy się z nim spotkać.

- Zobaczyliście się po ośmiu latach, ale przecież poznałaś Reksa w 1969. Znasz jego przeszłość, poza tym to dobry przyjaciel. Możesz mu zaufać.

Powiedziałam jej o niepokoju, który mnie ogarnął, i w końcu musiałam przyznać jej rację - mogę zaufać Reksowi. Wiedziałam, skąd pochodzi i co przeżył. Kiedyś pracowaliśmy razem i przez te sześć lat, gdy wspólnie testowaliśmy próbki w laboratorium analiz w fabryce Excelsior Chemical w Martinez, dość dobrze się poznaliśmy. Rex był chemikiem; przeniósł się do Kalifornii ze środkowego zachodu w 1969 roku. Specjalizował się w nowatorskiej, jak na owe czasy, technologii chromatografii gazowej. Niekiedy Pam i mnie przydzielano do jego laboratorium w roli asystentek. Straciliśmy kontakt, gdy zmienił firmę.



- Masz rację - powiedziałam. - Rex to porządny człowiek i nie ma żadnych ukrytych zamiarów.

Podziękowałam Pam za przyjacielską radę - pomogła mi upewnić się co do słuszności decyzji o zaproszeniu Reksa na bankiet. Ledwo odłożyłam słuchawkę, gdy rozległ się podwójny dzwonek, oznaczający telefon spoza biura. Podskoczyłam nerwowo, ale od razu się roześmiałam. „To kolejna ujmująca cecha, którą odziedziczyłam po matce” - pomyślałam.

Prędko jednak musiałam wrócić do rzeczywistości. Dzwonił adwokat z informacją, że mój eksmąż ponownie sabotował ugodę majątkową, która miała zakończyć tę sprawę. Poczułam, jak sztywnieją mi mięśnie karku. Rzuciłam słuchawkę i poszłam na szybki spacer, żeby odzyskać równowagę.

Później, tego samego popołudnia, zadzwoniłam do Reksa. Z przyjemnością przyjął moje zaproszenie. Uzgodniliśmy, że to ja będę prowadzić. „To tylko spotkanie z przyjacielem” - pomyślałam, gdy odłożyłam słuchawkę. Potem zadzwoniłam do mamy.

Była chłodna, pogodna niedziela, kiedy Rex podał mi ramię i zaprowadził na okazałe schody w Gabbiano, ekskluzywnej restauracji mieszczącej się między Ferry Building a Bay Bridge. Mój towarzysz wyglądał elegancko - jego ciemny garnitur pasował do mojego kombinezonu z krepy i czarnego aksamitu. Wyjęłam z torebki aparat fotograficzny i poprosiłam przechodzącego obok kelnera, żeby zrobił nam zdjęcie, nim wejdziemy do sali jadalnej, z której rozciągał się widok na oświetlony Bay Bridge i migoczącą panoramę miasta. Gdy przywitaliśmy się z gośćmi - wszyscy pracowali na rzecz sprawiedliwości dla ofiar - dumnie przedstawi-

łam Rekxa jako starego przyjaciela. Później wyznał mi, że dziwnie się czuł wśród tych ludzi - w końcu życie każdego z nich zostało w jakiś sposób naznaczone przez morderstwo.

Na tarasie nieopodal mieniącej się wody, przy kolacji oświetlonej świecami, tańcząc walca na błyszczącym parkiecie i sącząc łagodne cabernet Napa Valley, na nowo odkrywaliśmy wspólne zainteresowania. Śmialiśmy się, przypominając sobie zabawne sytuacje z laboratorium, na przykład tę, gdy podczas imprezy bożonarodzeniowej Rex przechodził w ciemni z rąk jednej kobiety do rąk drugiej lub gdy przyglądał się, jak ubrana w krótką spódniczkę czyszcze wnętrze wyciągu laboratoryjnego. Kiedyś wybrał się ze mną i moimi dwiema młodszymi siostrami na narty. Z przyjemnością zawiózł nas do należącego do firmy domku zimowego, ponieważ jego żona i mój pierwszy mąż nie chcieli nawet słyszeć o szusowaniu po stokach. Świetnie się wtedy bawiliśmy. Oboje byliśmy w związkach małżeńskich i nie mieliśmy zamiaru przekraczać żadnych granic.

Ozdobny zegar na wieży Ferry Building wybił dopiero jedenastą, ale i tak nadszedł czas, by wracać do domu. Może był to przejaw egoizmu, ale nie chciałam, żeby ten wieczór się skończył. Odkryłam na nowo wspaniałego przyjaciela; kogoś, z kim mogłam swobodnie rozmawiać; kogoś, z kim łączyła mnie przeszłość - przyzwoita przeszłość bez żadnych tajemnic. Kiedy zjechaliśmy na dolny poziom Bay Bridge, przypominała mi się inna noc - tuż po ukończeniu uniwersytetu - kiedy to mgła nie dochodziła nawet do mostu Golden Gate, a ciemne niebo rozświectlały gwiazdy.

- Z Treasure Island widać piękną panoramę miasta - powiedziałam. - Noc jest taka cudowna... Może zatrzymamy się na kilka minut?

- Ale tylko na kilka - odpowiedział, śmiejąc się. - Muszę wstać o trzeciej trzydzieści, żeby przygotować się do pracy.

Zatrzymałam się na parkingu dla odwiedzających, przed bramą główną. Wysiedliśmy, wspieiliśmy się na skałę i usiedliśmy obok siebie, ciesząc się migoczącymi światłami miasta, które rozpościerały się przed nami od Bay Bridge aż do mostu Golden Gate - niczym przepyszny deser.

- To byłoby doskonałe ujęcie - powiedział Rex, przerywając milczenie. - Szkoda, że nie mamy ze sobą naszych lustrzanek.

Podobało mi się, że on - tak jak ja - na poważnie interesuje się fotografią, nie ograniczając się do aparatów kompaktowych.

- Następnym razem musimy się lepiej przygotować - zażartowałam. - I założyć coś cieplejszego.

Potarłam ramiona, by nieco się zagrzać. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jesteśmy dwójką nieporadnych nastolatków, którzy wybrali się właśnie na pierwszą randkę. Przynęliśmy się nieco bliżej siebie, a potem bardzo powoli i delikatnie Rex objął mnie ramieniem, a ja przytuliłam się do niego. Siedzieliśmy kilka chwil w zupełnej ciszy. Czułam się wspaniale, mogąc na powrót zaufać mężczyźnie.

- Mało brakowało, a w ogóle bym cię nie zaprosiła - wyszeptałam. - Cała ta sytuacja za bardzo przypominała mi początek związku z Johnem.

Rex nie odpowiedział, ale czułam jego życzliwość i współczucie, gdy przytulił mnie odrobinę mocniej. W jego ciepłych

objęciach przypomniła mi się inna chwila, inne miejsce, najniebezpieczniejszy okres w moim życiu, kiedy to źle ułożone zaufanie przerodziło się w koszmar, niemal doprowadzając do mojej śmierci. Oczywiście wtedy nawet nie przyszłoby mi to do głowy. Wówczas - dokładnie tak jak teraz - zaczęło się od niewinnej randki umówionej przez przyjaciółkę...

*Część 1*  
*Namiętność*

## *Książę z bajki*

Debbie zadzwoniła przed południem, kiedy właśnie testowałam próbki w laboratorium, i zaprosiła mnie na podwójną randkę - mieliśmy się spotkać u niej na kolacji, tego samego wieczora. Powiedziała, że nie przyjmie odmowy, więc przyszedłam.

Ścisnęła mnie lekko za ramię i powiedziała:

- Dzięki, że jesteś. Doceniam to.
- Przecież obiecałam - odparłam.

Wiedziałam, co zamierza. Pięć miesięcy wcześniej, w lutym 1981 roku, rozstałam się z mężczyzną, który był dobrym przyjacielem Debbie i jej męża Teda. Uznała, że jestem doskonałą „przyjaciółką singielką”. W jakiś sposób udało jej się wymusić na mnie obietnicę, że zadbam o to, by przy jej eleganckim stole nigdy nie zabrakło pary.

Jako wieczna optymistka nie miałam nic przeciwko poznawaniu nowych mężczyzn. Na pytanie, kto tym razem będzie moim partnerem, Debbie odpowiedziała:

- Jest starszy od ciebie, ale nie musisz traktować tego spotkania jak randki. Z pewnością uznasz, że jest interesujący. To wnuk admirała Peary ego<sup>1</sup>. Kojarzysz? Peary, biegun północny? John pracuje z Tedem w Vestico. Spodoba ci się.

Nie oczekiwałam, że okazemy się parą dobraną w korbu maku, na dodatek padałam z nóg po całym dniu pracy, ale Debbie zawsze potrafiła namówić mnie do udziału w spotkaniach towarzyskich, tak więc w końcu się zgodziłam. Poza tym nie miałam nic do stracenia - to była tylko kolacja.

Przyjaciółka zgotowała mi ciepłe powitanie i od razu poczułam, że zaczynam się odprężyć.

- Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć - oznajmiła z zadowoleniem i zaprowadziła mnie do salonu. - Mam u ciebie dług.

Spojrzała w stronę kuchni, nachyliła się i wyszeptwała:

- Nie zraż się, gdy zobaczysz Johna. Przyszedł w kołnierzu ortopedycznym. Obiecał, że wszystko nam opowie.  
- Po chwili dodała z uśmiechem: - Zapomniałam ci powiedzieć, że nosi tupecik, więc nie gap się. - I rzuciła swoim normalnym, słodkim głosem: - Zaraz wracam.

„Będzie ciekawie” - pomyślałam. „Nigdy nie spotkałam nikogo, kto nosi tupecik”.

Debbie udała się do kuchni, gdzie mężczyźni zaczęli już przyrządzać drinki. Usiadłam na kanapie i rozejrzałam się. Zawsze imponowały mi mosiężne ozdoby, ceramika, obrazy i meble, które Debbie zgromadziła podczas pobytu na Tajwanie.

<sup>1</sup> Robert Edwin Peary (1856-1920) - amerykański podróżnik, który utrzymywał, że odkrył biegun północny. Do dziś to twierdzenie podawane jest w wątpliwość.

Ponadto przypomniały mi, że sama dawno nie byłam w żadnym ciekawym miejscu. Odbyłam wiele podróży służbowych, ale nigdy nie wysłano mnie do egzotycznego kraju.

- Witaj - usłyszałam za sobą głęboki głos.

Odwróciłam się i zobaczyłam Johna Perryego, który wyszedł z kuchni, niosąc dwa drinki. Za nim szli gospodarze. Debbie puściła do mnie oko.

Mimo kołnierza na szyi wyglądał czarująco - wysoki, jasnobrązowe włosy, przystojna, czerstwa twarz i lśniące, błękitne oczy. Do tego nienaganny ubiór: tweedowa marynarka i markowy jedwabny krawat. Pewnym krokiem zmierzał w moją stronę.

- Dla damy rum z colą - powiedział, wręczając mi drinka z figlarnym uśmiechem.

„Debbie miała rację” - pomyślałam. Ten mężczyzna był interesujący, pomimo kołnierza i tupeciku.

- Dzięki - powiedziałam, biorąc szklankę.

Poczułam, jak pod jego wzrokiem oblewam się rumieńcem. Cieszyłam się, że włożyłam czerwoną sukienkę z dzianiny, bo zawsze mówiono, że w tym kolorze najbardziej mi do twarzy. Nagle wydało mi się to bardzo ważne.

Tymczasem Debbie postawiła tacę z przekąskami na szklanym stoliku. John nałożył już kilka na talerz i podał go mnie.

- Debbie - powiedział - nie mówiłaś mi, że twoja przyjaciółka jest tak atrakcyjna.

Znowu poczułam, jak płoną mi policzki. John usiadł na krzesło nieopodal, nie spuszczając mnie z oczu. Nie tego się spodziewałam. Próbując odzyskać kontrolę, wykrztusiłam:

- Może opowiesz mi coś o sobie?



I powiedział. Zaczął od przeprosin za niebieski kołnierz i wyjaśnił, że załadowany ciężkim sprzętem wózek bagażowy wjechał na niego, gdy czekał na taksówkę na lotnisku w Mexico City.

- Ale to nie powstrzyma starego wygi z marynarki - dodał i zaczął opowiadać o swojej karierze wojskowej.

Po ostatnim pobycie w Wietnamie w roku 1969 wycofano go ze służby czynnej. Nie uśmiechała mu się praca za biurkiem, więc przeszedł na emeryturę i choć był kapitanem, otrzymał awans na kontradmirała.

- Kiedy oficer przechodzi w stan spoczynku - wyjaśniał - awansuje się go o jeden stopień. Zależy to oczywiście od historii służby. No i ma się dzięki temu wyższą emeryturę. - Po ostatnich słowach uniósł kieliszek.

- Pewnie dostałeś ten awans dzięki Medalowi Honoru<sup>1</sup>, co? - drążył Ted.

- Zostałeś odznaczony Medalem Honoru? - zapytałam z niedowierzaniem.

Rozmowa zaczęła się rozkręcać. John opowiadał o tym, jak Wietnamczycy okrążyli jego jednostkę. Mieli ogromną przewagę liczebną. Poległo wtedy wielu żołnierzy. On sam niemal zginął, próbując ratować kilku swoich ludzi.

- Rozplatało mnie działko maszynowe, pięćdziesiąt milimetrów - powiedział, poklepując się po żebrach. - Naprawdę nieźle, dokładnie w tym miejscu. - Westchnął. - Straciłem płuco 1 do dziś mam bliznę.

<sup>1</sup> Medal Honoru - najwyższe amerykańskie odznaczenie wojskowe.

Na chwilę wszyscy zamilkliśmy a John pochylił się nad stołem, żeby nałożyć sobie więcej przekąsek.

- Z całym szacunkiem - usłyszałam własny głos - ale wojna zawsze jest okropna. Moim zdaniem nie mieliśmy czego szukać w Wietnamie.

John uśmiechnął się i zaczął przytaczać tradycyjne argumenty o tym, jak ważna jest walka z komunizmem, ale w końcu przyznał, że za udział w wojnie zapłacił wysoką cenę.

- Po nocach ciągle dręczę mnie koszmary o tych dzieciach, których nie zdołałem uratować - wyznał.

Opowiedział nam o tym, jak musiał zastrzelić jednego ze swoich żołnierzy, który wpadł w pułapkę - dół pełen zaostrzonych pali z bambusa. Debbie aż jęknęła, a mną wstrząsnął dreszcz.

- Błagał mnie o śmierć. W wojsku idziesz tam, gdzie wzywa służba, i robisz to, co musisz.

Odwrociłam wzrok. Nie chciałam słuchać więcej opowieści wojennych. To go jednak nie zniechęciło - sprawiał wrażenie, jakby znajdował w tym upodobanie. Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz... że większość żołnierzy nie lubi mówić o doświadczeniach wojennych. Ale nie miałam o tym pojęcia, więc mimo braku zainteresowania tematem nadal go słuchałam.

Wspomniał, że brał udział w trzech wojnach. Podał nieprawdziwą datę urodzenia, żeby zaciągnąć się podczas drugiej wojny światowej. Mając zaledwie szesnaście lat, wstąpił do jednego z pierwszych oddziałów Navy SEALs, zajmujących się walką na morzu.

- Byłem pilotem marynarki podczas wojny w Korei. Zestrzelili mnie, ale wylądowałem w wodzie. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Po dwóch zmianach w Blue Angels<sup>1</sup> wysłali mnie do Wietnamu, gdzie powierzono mi dowodzenie nad małymi i szybkimi Black Boats<sup>2</sup>. Kierowaliśmy się w górę rzeki, do Wietnamu Północnego. To była niebezpieczna misja, bardzo niebezpieczna.

Nie potrafił ukryć, że uwielbia mówić o wojsku i o swoich doświadczeniach.

- Mam to we krwi - zauważył. - Marynarka od dziesięciu pokoleń. Wiedziałeś o tym, Ted?

Zanim Ted zdążył odpowiedzieć, jego gość mówił już o filmie z lat czterdziestych, w którym grał John Wayne. Była to historia o ojcu Johna i o tym, jak założył Seabees<sup>3</sup>.

- Ponieważ tata pracował na planie jako konsultant - wyjaśniał - miałem możliwość poznać Johna Waynea. Tak naprawdę Duke i ja zaprzyjaźniliśmy się.

Następnie opowiedział kilka anegdotek o Dukeu, po czym razem z Tedem udał się do kuchni, żeby przygotować kolejne drinki. Debbie natychmiast zaczęła wypytywać, jak podoba mi się ich gość. Przyznałam, że jest interesujący.

- Ale nawet o tym nie myśl - ostrzegłam ją. - Jest prawie w wieku mojej matki.

<sup>1</sup> Blue Angels (ang.) - „błękitne anioły”; zespół akrobacyjny amerykańskiej marynarki wojennej.

<sup>2</sup> Black Boats (ang.) - „czarne łodzie”; łodzie należące do SOG, tajnej jednostki operacyjnej.

<sup>3</sup> Seabees (ang.) - „morskie pszczoły”; bataliony budowlane amerykańskiej marynarki wojennej.

- Może jest dla Ciebie za stary. - Wstała i rzuciła przez ramię: - A może nie.

- Co „nie”?

- Być może wcale nie jest.

Kiedy wszyscy znów znaleźli się w salonie, zaczęliśmy rozmawiać o rodzinie. Powiedziałam, że nie mam dzieci z pierwszego małżeństwa, ale za to mam młodsze rodzeństwo: trzy siostry i brata. Dwie wciąż mieszkały w domu, trzecia przeniosła się z mężem do Waszyngtonu, a mój brat zakończył niedawno służbę w marines. Zażartowałam, że moi rodzice mieli dwie rodziny. Ja urodziłam się pierwsza, a kiedy byłam wystarczająco dorosła, by służyć za niańkę, pojawiła się reszta. Wszyscy się roześmialiśmy.

Ted i Debbie mieli już dorosłe dzieci z pierwszych małżeństw i podzielili się najnowszymi wiadomościami z ich życia. Potem przyszła kolej na Johna. Gdy rozpoczął swą fascynującą opowieść, musiałam się pilnować, żeby nie słuchać z otwartymi ustami.

Jako młody oficer poślubił Sarę Brimstone. Stało się to wbrew woli ojca, ponieważ pochodziła z zamożnej rodziny z tradycjami, a John nie. Mieli dwoje dzieci - Sandy i Sonnyego. Gdy pewnego razu John wrócił wcześniej z długiej służby, zastał Sarę w łóżku z innym mężczyzną. Rozwiedli się. Walczyli o prawo do opieki nad dziećmi i wygrał. Gdy tylko armia wzywała go na morze bądź w przestworza, jego babcia, Dannigan, opiekowała się dziećmi w Coconut Grove na Florydzie.

Potem John poznał Cindy Shirrow, stewardesę. Wzięli ślub i urodziła im się córka, Estelle Desiree. Niecały rok

później Cindy zginęła w wypadku samochodowym. John był wtedy w Wietnamie, więc babcia wzięła pod swą opiekę kolejną pociechę.

Czwarte dziecko pojawiło się w rodzinie za sprawą Perryego seniora, który adoptował Francescę, córkę oddanego służącego. Po śmierci ojca John przejął jego obowiązki.

- Tak należało zrobić - powiedział.

Dbał o to, żeby dzieci nigdy nie pozostawały bez opieki. Gdy tylko mógł, mieszkał z nimi w swoim domu w Coconut Grove. Kiedy go nie było, dziećmi zajmowała się babcia i jej służący. John posłał dzieci do najlepszych szkół i wszystkie odniosły sukces. Sandy wyszła za mąż i uczyła się na MIT<sup>4</sup>, Desiree - w Juilliard<sup>5</sup>, a Francesca, która wciąż mieszkała z babcią - na Florida International University.

- Nie mamy zbyt dobrego kontaktu. Pewnie za często wyjeżdżałem, kiedy dorastali. Czuję się jak czarna owca.

Coś we mnie drgnęło. Chciałam podbiec do niego, objąć go i powiedzieć, że nie zrobił nic złego, że dał z siebie wszystko, ale dopiero co poznałam tego czarującego mężczyznę i zachowałabym się zbyt zuchwale. Powiedziałam więc tylko nieśmiało:

- Tak mi przykro.

Przy kolacji Debbie posadziła Johna naprzeciwko mnie. Natychmiast zdjął kołnierz, twierdząc, że ma go używać

<sup>4</sup> MIT - Massachusetts Institute of Technology - jedna z najbardziej prestiżowych uczelni technicznych na świecie.

<sup>5</sup> Juilliard School - renomowana wyższa uczelnia muzyczna i artystyczna w Nowym Jorku.

tylko wtedy, gdy ból jest nie do zniesienia. „Hm, wygląda jeszcze lepiej” - pomyślałam. Ted nalał nam wina, a John uniósł swój kieliszek.

- Wznoszę toast - powiedział - za wiatr, który sprawia z cichutką, że spódniczka krótka odsłania udka.

Na te słowa nawet ja się roześmiałam.

Spojrzałam na piękny, elegancko zastawiony stół i zdałam sobie sprawę, że udzielił mi się duch przyjęcia Debbie. Posiłek był, jak zwykle, rewelacyjny, wina nie brakowało, a John nieustannie roztaczał swój czar. Komplementował talent kulinarny gospodyni, opowiadał lekkie dowcipy i zapełniał czas fascynującymi historiami ze swojego życia. „Potrafi czarować” - pomyślałam. „Wie doskonale, co i kiedy powiedzieć”.

Tego wieczora dowiedziałam się również, że zanim rozpoczął pracę w Vestico jako konsultant, pracował dla Federal Government Contract Administration, agencji, z której usług korzystały FDA<sup>\*</sup> i CIA. Wysyłano go na misje w niebezpieczne rejony, gdzie - jak to ujął - „lepiej, żeby obecność rządu amerykańskiego pozostała tajemnicą”.

Zanim spotkanie dobiegło końca, John powiedział nam, że urodził się w Turrialba i że mówi płynnie po hiszpańsku. Nauczył się tego języka jako dziecko, mieszkając z rodziną matki na Kostaryce. Dlatego - jak wyjaśnił - większość zleceń, które otrzymywał, dotyczyła Ameryki Środkowej.

Przerwałam mu, by powiedzieć, że jestem prawdziwą kalifornijską dziewczyną i całe życie spędziłam w jednym hrabstwie

\* FDA - Food and Drug Administration - Agencja ds. Żywności i Leków.

- urodziłam się i wychowałam w Pittsburghu, z pierwszym mężem zamieszkałam w Concord, a po rozwodzie przeniosłam się do Antioch, gdzie nieruchomości były tańsze. Wszystko to miało miejsce w obrębie około trzydziestu kilometrów.

- Dla takiego podróżnika jak ty musi to załatywać straszną nudą - powiedziałam.

- Zazdroszczę ci - westchnął. - Jako dziecko często się przenosiłem, bo tata służył w marynarce, potem sam się zaciągnąłem, a później... cóż...

- Moi rodzice wciąż mieszkają w Concord - kontynuowałam, jakby miało to dodać uroku mojej opowieści. - Przenieśli się do Kalifornii w czasie drugiej wojny światowej, gdy jednostka taty znajdowała się w Camp Stoneman. Spodobala im się pogoda, więc gdy tata przeszedł w stan spoczynku, zostali.

John dodał, że właśnie dlatego zamieszkał w Bay Area, po czym przeszedł do następnej opowieści. Wydawało mi się, że ten gość Debbie to prawdziwy James Bond. Z trudem powstrzymywałam się, by nie usnąć, ale nie chciałam stracić ani słowa z historii, którą opowiadał o misji w Panama City.

On i inny agent wynajęli sąsiednie biura. Byli o krok od zdemaskowania pewnego kartelu narkotykowego z Kolumbii. Gdy pewnego dnia John siedział przy swoim biurku, otworzyły się drzwi do biura jego partnera. Sądził, że usłyszy jego kroki, ale zamiast tego dobiegł go głośny terkot karabinu maszynowego. Instynktownie rzucił się na podłogę, wpełzając pod biurko, wstrzymał oddech i czekał. Drzwi otworzyły się, a jakiś dziwny głos powiedział, że „następnym razem dopadną tego drugiego”.

Kilka minut później zorientował się, że jego partner zginął na miejscu. „Równie dobrze mogło się to przytrafić jemu” - pomyślałam. Zdałam sobie sprawę, że w prawdziwym życiu wszystkie te historie rodem z Jamesa Bonda są przerażająco brutalne. John, jakby czytając w moich myślach, spojrział mi w oczy i powiedział:

- Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że jestem za stary na tę robotę. Przyszedł czas, żeby odejść.

Westchnęłam głęboko.

- A teraz to ja muszę odejść - oznajmiłam. - Zbliża się północ.

Debbie i Ted machali mi na pożegnanie z ganku, a John odprowadził mnie do samochodu. Zdziwiło mnie to nadszkanie. Gdy usiadłam za kierownicą, poprosił, żebym poczekała, on tymczasem poszedł do swojego wozu. Wrócił z papierową torebką.

- Żałuję, że nie mam dla ciebie nic więcej - powiedział - ale tego croissanta kupiłem w pewnej nadzwyczajnej piekarni w San Francisco. Na pewno będzie ci smakował. - Uśmiechnął się. - Wyjątkowy przysmak dla wyjątkowej dziewczyny.

Był to dziwny gest, choć z pewnością uroczy. Podziękowałam mu za rogalik i odjechałam. W drodze do domu rozmyślałam o interesującym wieczorze i o elokwentnym, błyskotliwym człowieku, który mógł pochwalić się imponującymi osiągnięciami i fascynującym życiem, a co więcej, swoją uwagę poświęcał właśnie mnie. Powtarzałam sobie jednak, że dzieli nas zbyt duża różnica wieku. Gdy tylko wjechałam do garażu,



złapałam za torebkę z croissantem. „Co też jest we mnie takiego - zastanawiałam się - że ten mężczyzna uznał mnie za wyjątkową?" Ja niewątpliwie dowiedziałam się o nim całym sporo, ale co on wiedział o mnie?

## *Zauroczenie*

W następnym tygodniu wpadłam w wir codziennych spraw. W ciągu dnia analizowałam próbki, wieczorami zaś jeździłam do San Francisco na zajęcia - studiowałam, żeby zdobyć dyplom licencjata - albo też uczyłam się w domu, rozkładając książki na kuchennym stole. Mimo tego hektycznego stylu życia raz po raz wspominałam kolację u Debbie i rozmyślałam o Johnie Perrym. Często żartowaliśmy z przyjaciółmi na temat randki w ciemno ze starszym mężczyzną, który okazał się absolutnie wyjątkowym człowiekiem. Aby dodać smaczku zwykłym pogaduszkom, powtórzyłam im niektóre historie Johna - o słynnych ludziach, których znał, eskapadach, w których brał udział, i wydarzeniach historycznych, których był świadkiem. Wszystko wskazywało na to, że moi przyjaciele byli nim równie zafascynowani jak ja.

Naturalnie założyłam również, że moja rodzina będzie tak samo przejęta. Po wczesnej kolacji miałam jeszcze kilka minut

do wyjścia na *zajęcia*.. Usadawiłam się na kuchennym stolku barowym i zadzwoniłam do rodziców.

Matka nie oswoiła się *jeszcze* z faktem, że wyprowadziłam się z Concord, gdzie mieszkali moi krewni i przyjaciele. Nie pogodziła się również z rozwodem, który do tego doprowadził. Bryan, mój pierwszy mąż, zdradzał mnie przez trzynastcie lat małżeństwa, ale kiedy wreszcie zebrałam się na odwagę, żeby przemóc swoje katolickie poczucie winy, rozwiodłam się z nim. Został w naszym domu w Concord, który wystawiliśmy na sprzedaż. Przez niemal rok mieszkałam u mojej przyjaciółki Pam, aż oszczędziłam tyle, by móc sobie pozwolić na własny kąt w Antioch. Ta przeprowadzka odmieniła też moją matkę. Chyba spodziewała się, że zawsze będę przy niej, dlatego wykręcając jej numer, szykowałam się na kilka ostrych uwag, które miały wzbudzić we mnie poczucie winy, że „porzuciłam rodzinę”. Nie spodziewałam się jednak usłyszeć całej reszty.

Mama odebrała telefon, a kiedy się z nią przywitałam, powiedziała:

- Zaczekaj - i odłożyła słuchawkę na bok.

Słyszałam, jak odchodzi, a potem dobiegł mnie odgłos zamykanych drzwi. Trwało to całe wieki. Kiedy wróciła, spytałam poirytowana:

- Dlaczego zawsze to robisz?

- Co takiego?

- Każesz mi czekać, bo musisz wyłączyć telewizor, założyć szlafrok czy cokolwiek innego. Nie możesz najpierw powiedzieć chociaż „cześć”?

- Nie chcę mieć w domu much, Barbaro.

- Much?

- Byłam akurat w garażu i robiłam pranie. Musiałam zamknąć drzwi.

- To po prostu irytujące. Dobra, nieważne. Chcę ci tylko powiedzieć, że byłam ostatnio u Debbie na kolacji. Nie zgadniesz, z kim mnie umówiła. To ktoś ze znanej rodziny.

- Nie wyglupiaj się, po prostu mi powiedz. Wiesz, że nie lubię zgadywanek.

- Poznałam Johna, syna admirała Perryego! Tego, który podczas drugiej wojny światowej założył Seabees.

Odparowała na to jednym tchem:

- Wiesz, podczas drugiej wojny światowej tata był sierżantem w Korpusie Powietrznym Armii Stanów Zjednoczonych.

Przy każdej wzmiance na temat drugiej wojny mama zaczynała mówić o tacie.

- Tak, wiem. Ale ja nie mówię o tacie, tylko o kapitanie Johnie Perrym. To syn admirała Johna Richarda Perryego, a przy okazji prawnuk tego admirała Pearyego, który dotarł na biegun północny. Sam też jest admirałem. Awansowali go, gdy przechodził w stan spoczynku.

- Twój ojciec służył godnie, choć nigdy nie wysłali go za ocean - powiedziała.

Nie mam pojęcia, skąd brał się u niej ten odruch obronny czy też potrzeba współzawodnictwa.

- Tata niewątpliwie zrobił, co do niego należało - powiedziałam, chcąc ją ugłaskać. - John również. Służył wtedy w Navy SEALs.

- Podczas drugiej wojny? Co ty wygadujesz? Ile on ma lat?

Gdy jej powiedziałam, wykrzyczała z oburzeniem:

- Co też Debbie przyszło do głowy? Ten człowiek jest raptem dwa lata młodszy ode mnie!

- Debbie potrzebowała czwartej osoby na kolację. To wszystko. Nie próbowała nas swatać. Wspominam ci o tym tylko dlatego, że to naprawdę ciekawy człowiek. Jest nie tylko bezpośredni, ale również życzliwy i wspaniałomyślny. Miałam szczęście, że go poznałam, to wszystko.

- Moim zdaniem nie powinnaś się z nim więcej spotykać. Jest dla ciebie zdecydowanie za stary.

„No to się zaczyna” - pomyślałam.

- Nie musisz się martwić, mamo. Nie poprosił mnie o numer telefonu.

Wiedziałam, że nawet gdyby poprosił, a do tego był w „odpowiednim” wieku, niczego by to nie zmieniło. Rodzice i tak mieliby o nim złe zdanie. Nie przejmowali się faktem, że ich trzydziestopięcioletnia córka jest już wystarczająco dojrzała, by samodzielnie oceniać, co leży w jej interesie. Tkwili w poprzedniej epoce, wciąż martwili się, że wpadnę w złe towarzystwo. Gdyby tylko mogli, zakazaliby mi spotykać się z kimkolwiek, tak jak stało się w liceum - trwało to dwa niekończące się lata. To nie była moja wina, że zazdrosna koleżanka zadzwoniła do nich z informacją, jakobym na imprezie zaszła w ciążę. Tymczasem „dopuszczałam się” jedynie namiętnych pocałunków. Przesadna dyscyplina była jak najbardziej w ich stylu, tak więc klóćąc się z matką, nic bym nie wskórała. Niemniej jednak nie potrafiłam całkowicie się powstrzymać.

- Mamo - powiedziałam - nie uważasz, że nie powinno się osądzać ludzi, których się nie zna?

Szkoda, że nie ugryzłam się wtedy w język.

-Jeśli mówisz o tym całym Johnie Perrym - odparła chłodno - o mężczyźnie dwadzieścia lat od ciebie starszym... Cóż, nic więcej nie muszę wiedzieć.

Rozmowa szybko dobiegła końca. Gdy odłożyłam słuchawkę, zdałam sobie sprawę, że interesuję się Johnem znacznie bardziej, niż sądziłam. Wyobraziłam go sobie i znów się rozmarzyłam... Jego sposób bycia, jego słowa, to, jak na mnie patrzył... Dzięki niemu czułam się ważna - tak jakby splywała na mnie jakaś część jego chwały. Słuchając opowieści o bohaterskich wyczynach, zaczynałam lepiej rozumieć służbę wojskową, a za sprawą rozmów o imponującym życiu jego ojca i pradziadka poczułam oddech historii. Ponadto, gdy John wspomniał, że został odtrącony przez rodzinę mimo swojej bezgranicznej dobroci, obudził się we mnie instynkt opiekuńczy. Ostatnia rozmowa z matką nadwątlila nieco moje ego, toteż jeszcze bardziej doceniałam życzliwość Johna i uwagę, którą mi poświęcał. Sprawiał, że czułam się wartościowa.

Zerknęłam na kuchenny zegar i zdałam sobie sprawę, że powinnam była wyjść na zajęcia dziesięć minut temu. Nie nawidziłam się spóźnić. Zeskoczyłam ze stołka, złapałam teczkę i marynarkę, po czym pobiegłam do samochodu. Pędząc po autostradzie, nie mogłam przestać się zastanawiać, czy mimo dzielącej nas różnicy wieku admirał Perry okaże się balsamem na moją zranioną duszę.

Nazajutrz wciąż myślałam o Johnnie. W pewnej chwili przypomniałam sobie, że od dawna planowałam się wybrać na koncert Johnniego Mathisa w Concord Pavilion, a ten dzień właśnie się zbliżał. Czemu nie zaproponować dodatkowego biletu Johnnowi? Spędzilibyśmy razem miły wieczór. Nie było nic dziwnego w tym, że kobieta zaprasza mężczyznę na randkę. W dzisiejszych czasach jest to przecież ogólnie przyjęte.

Zadzwoiłam do Debbie. Dała mi numer do pracy Johna -jedyny, jaki miała.

Mój telefon sprawił mu radość. Powiedział mi, jak bardzo cieszy się, że mnie poznał. Wyznał też, iż zamierzał do mnie zadzwonić, ale nie chciał wyjść na zbyt bezpośredniego. Z ochotą przyjął moje zaproszenie i - ku mojemu zachwytowi - zaproponował, żebyśmy przed koncertem poszli na kolację. Kiedy odwiesiłam słuchawkę, byłam podekscytowana jak uczennica. Ten słynny człowiek chciał się ze mną umówić. Ze mną! Wpadłam do laboratorium i zatańczyłam wokół centralnego stanowiska, śpiewając *I Feel Pretty* - jak Maria w *West Side Story*, Na szczęście nikt nie słyszał, jak robię z siebie idiotkę.

Przez najbliższe dwa tygodnie kontaktowaliśmy się z Johnem telefonicznie. Delektowałam się każdą rozmową i z niecierpliwością czekałam na kolejną. Ku mojemu zaskoczeniu dzień przed naszym spotkaniem zadzwonił do mnie z Oakland. Tego wieczora wrócili z Tedem z podróży służbowej do Los Angeles i właśnie byli na lotnisku. Doszli do wniosku, że Debbie i ja na pewno ucieszymy się, jeśli zaproszą nas na obiad do La Cigale w Walnut Creek.

- Co o tym sądzisz? - spytał.

- Chętnie. Kiedy?

- Dzisiaj.

Zrobiło mi się ciężko na sercu. Oczywiście chciałam pójść, ale umówiłam się już z Jenną, moją lokatorką. Latem odbywała ona praktyki w Excelsior. Uwielbiałam jej towarzystwo. Nie miała się gdzie zatrzymać, a ja raptem pięć miesięcy wcześniej wprowadziłam się do nowiutkiego domu z trzema sypialniami. Nie narzekałam na brak pieniędzy, ale dodatkowy dochód z wynajmu pokoju był doskonałym lekarstwem na mój SNF (syndrom nerwowości finansowej). Poza tym zdążyłyśmy się już zaprzyjaźnić. Jednak choć doskonale czułyśmy się w swoim towarzystwie, obie byłyśmy tak zajęte, że rzadko spędzałyśmy wspólne wieczory w domu. Dziś miałyśmy właśnie taki plan. W grillu żarzył się już węgiel.

- Przykro mi - powiedziałam. - Nie mogę.

- Proszę, przyjeźdź do Teda. Pewnie dotrzemy na miejsce w tym samym czasie. Napijemy się czegoś, a potem pójdziemy razem do La Cigale. Spodoba ci się atmosfera francuskiej prowincji, a poza tym znam właścicieli. Chętnie cię poznają.

- Przepraszam, mam inne plany. Jenna i ja chcemy zrelaksować się w domu.

- Zrelaksuj się na kolacji ze mną. Grilla możesz urządzić kiedy indziej.

- Nie, umówiłam się, a nie odwołuję spotkań z przyjaciółmi.

- Poczekaj chwilę.

Słyszałam przyciszoną rozmowę, ale nie byłam w stanie wyciągnąć poszczególnych słów. Po chwili znowu usłyszałam jego głos:



- Okej, znasz Dana?

- Syna Debbie?

- Tak. Ted powiedział, że właśnie przyjechał z collegeu na weekend. Idealnie! Weź ze sobą Jennę, Dan też przyjdzie.

Rozciągając kabel telefonu, przeciśnięłam się za stołem w salonie, żeby wyjrzeć przez szklane drzwi na taras, gdzie Jenna właśnie się relaksowała. Dokładnie tego potrzebowała, podobnie jak ja. Żadnego stresu. Żadnych oczekiwań. Żadnych wymagań.

- Nie wiem - zawahałam się. - Nie chcę stawiać jej w takiej sytuacji.

- Po prostu spytaj - nalegał. - Co ci szkodzi?

Zastanowiłam się. Jeszcze przed poznaniem Johna nauczyłam się, że choć zdecydowanie wolę precyzyjne plany, to spontaniczne odejście od nich często wychodzi mi na dobre. Trzymając się tej myśli, jak również cudownego uczucia, że John tak bardzo chce się ze mną zobaczyć, wyszłam do Jenny. Oczywiście wiedziała już o nim wszystko. Teraz powiedziałam jej, że właśnie dzwoni i namawia nas na wspólną kolację.

- Masz ochotę? - spytałam. - Tylko mów szczerze.

- Hm - zamyśliła się. - A co wiesz o tym Danie?

- To cudowny facet, kończy fizykę na uniwersytecie w Berkeley. Bardzo przyjacielski i bardzo przystojny... Błękitne oczy, blond włosy, wysportowana sylwetka.

Pomyślałam z rozrzewnieniem, że mogliby stworzyć idealną parę. Jenna uśmiechnęła się figlarnie. Najwyraźniej przyszło jej do głowy to samo.

- Ale co z rozpalonym grillem i... z tym? - Wskazała na żaroodporne naczynie pełne steków w marynacie.

- Jeśli naprawdę masz ochotę na tę przygodę, zalejemy węgiel wodą, mięso włożymy do lodówki i pójdziemy. Steki usmażysz jutro. - Podchodząc do stolika z telewizorem, który stał obok grilla, rzuciłam przez ramię: - Możesz kogoś zaprosić. - Odwróciłam się i puściłam do niej oko. - Na przykład nowego znajomego.

- Podoba mi się twój tok myślenia - powiedziała. Nagle popatrzyła na mnie niemal z przerażeniem w oczach. - Czekaj! Nie mam co na siebie włożyć. Nie wzięłam nic, co nadawałoby się do takiej eleganckiej restauracji.

Pociągnęłam Jenny do kuchni, a tam wzięłam do ręki telefon.

- Wygrałeś - oznajmiłam Johnowi. - Zobaczymy się u Debbie.

Tymczasem Jenna owinęła w folię mięso, którego dziś miałyśmy już nie jeść.

- Barbaro, w co ja się ubiorę?

- Weź z mojej szafy, co tylko chcesz - zaproponowałam jej z uśmiechem. - Z wyjątkiem sukienki z czerwonego dżerseju.

Wybrała białą szyfonową sukienkę na wąskich ramiączkach i bolerko bez rękawów.

Półtorej godziny później John otwierał nam zdobione, szklane drzwi do La Cigale. Gdy weszliśmy do małego lobby, hostessa rozpoznała go i obdarzyła nas ciepłym uśmiechem.

- Witam - powiedziała z miękkim, francuskim akcentem. - Miło znów pana widzieć, kapitanie Perry.

Gdy prowadziła nas do stolika, rozejrzałam się po uroczym urządzonym wnętrzu: koronkowe firanki i obrusy, świeże kwiaty, blask świec... Każdy detal potęgował romantyczny nastrój.

Kolacja okazała się kulinarną rozkoszą. John do każdego dania uważnie wybierał inne wino. Gdy my jedliśmy on zabawiał nas kolejnymi zadziwiającymi historiami. Co lepsze, widziałam, że Dan i Jenna są sobą zafascynowani. Tak! Podjęłam słuszną decyzję.

Kiedy jedliśmy deser, John przeprosił nas na chwilę i wyszedł z sali. Niebawem wrócił w towarzystwie Marcela, właściciela i szefa kuchni. Kiedy nam go przedstawiał, ten nerwowo wycierał ręce w fartuch, przeprasząc za swój strój z czarującym akcentem. John zwrócił się do niego po francusku, on zaś odpowiedział mu w swoim ojczystym języku. Zanim się obejrzałam, zaczęli żywo rozmawiać. Dla reszty z nas było to odrobinę niezręczne, siedzieliśmy bowiem w milczeniu, unosząc brwi z zaskoczenia i zastanawiając się, o czym rozprawiali. W końcu Marcel uklonił się i wrócił do kuchni, a John zajął swoje miejsce przy stoliku.

- Nie wiedziałem, że mówisz po francusku - zagaił Ted.

- Tak naprawdę znam siedem języków. Oczywiście angielski.

- Uśmiechnął się i pociągnął łyk wina. - Poza tym hiszpański, holenderski, niemiecki, włoski. O czymś zapomniałem?

- Francuski - odpowiedziała Debbie.

- Francuski, *naturellement!* - Zachichotał, przyglądając się sześciu palcom, które prostował, wymieniając każdy język.

- Jeszcze jeden. - Spojrzał w górę. - Ach tak, suahili.

- Skąd aż tyle? - spytała z niedowierzaniem Jenna.

- Wysyłano mnie w rozmaite zakątki świata. Niektórych języków nauczyłem się w wojskowej szkole językowej w Monterey.

- Suahili! - powtórzyłam, śmiejąc się. - A ja mam kłopoty z angielskim. - Spojrzałam w jego błyszczące, niebieskie oczy.

- Powiedz zatem, o czym rozmawialiście z Marcelem?

- To nic takiego - odparł, lekko zażenowany.

- No, John - prosił Ted - powiedz nam.

Potem namawiało go po kolei każde z nas, aż w końcu uległ.

- Dobrze, powiem. - Poprawił się na krześle i spuścił oczy. Na jego twarzy wykwitł delikatny uśmiech. Potem spojrzał na mnie. - Powiedziałem mu, że mi się podobasz.

Czułam, że oblewam się pąsem.

- Marcel powiedział, że jesteś piękną kobietą, niesamowicie atrakcyjną brunetką z sarnimi oczami, o francuskim typie urody. Powiedziałem mu, że chciałbym zabiegać o twoje względy, ale wiem, że jestem za stary. Wtedy pocieszył mnie, że w sprawach sercowych wiek nie ma znaczenia.

Czy mi się wydawało, czy on rzeczywiście to powiedział? Jakkolwiek było, serce istotnie waliło mijak młot. Powiodłam spojrzeniem po znajomych - ich twarze rozjaśniał uśmiech. Wiedziałam, że powinnam coś powiedzieć, ale nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Kątem oka zerkałam na Johna - słynny admirał Perry również mi się przyglądał. I chciał się o mnie starać. To musiał być sen. W końcu wzięłam kieliszek, upiłam odrobinę wina, spojrzałam na Johna i uśmiechnęłam się.

\*\*\*

Nasza pierwsza zaplanowana randka nie rozpoczęła się najlepiej. John bardzo się spóźnił. Kiedy w końcu przyjechał, zapewne wyczuł moje zdenerwowanie, bo zaczął wylewnie mnie

przepraszać, tłumacząc, że źle ocenił odległość. Wyruszyliśmy natychmiast, więc do włoskiej restauracji niedaleko Pavilion spóźniliśmy się tylko trochę. Przy kolacji John ponownie oczarował mnie swoimi manierami, poświęcaną mi uwagą i fascynującymi opowieściami. Przedtem byłam poirytowana, ale teraz uczucie to całkowicie się ulotniło.

Kiedy dotarliśmy do Pavilion, zobaczyłam Pam i Georgea Rammellów. Pam i ja pracowałyśmy razem, była jedną z moich najlepszych koleżanek. Rozmawiali ze swoimi sąsiadami, Gretta i Barrym, którzy zaprosili nas wszystkich do siebie po koncercie. Później, gdy siedzieliśmy w salonie, gawędziliśmy o Johnnym Mathisie. Po tylu latach jego głos wciąż brzmiał niesamowicie. Barry przyniósł drinki.

- Czekam, aż ściągną Franka Sinatrę - powiedziała Gretta, a Pam czym prędzej wyjaśniła:

- Gretta wie o Sinatrze absolutnie wszystko. Jest jego oddaną fanką.

John, który siedział obok mnie na kanapie, wyciągnąwszy swoje długie nogi, rzucił od niechcienia:

- Znam Sinatrę.

- Naprawdę? - Gretta nachyliła się ku niemu. - Jak to?

- Kiedy w pięćdziesiątym drugim brał ślub z Ava Gardner, byłem jego żoną.

- To dziwne - powiedziała Gretta. - Nie pamiętam, żeby wspominali o tobie w prasie.

- Reporterów nigdy nie interesują drużbowie ani drużny sław - wyjaśnił bez cienia zakłopotania.

- Dlaczego byłeś jego żoną? - spytałam.

John aż się rozpromienił, aja jak kania dżdzu czekałam kolejnej niesamowitej historii.

- Sinatra znalazł mojego dowódcę. Ten rozkazał mi, żebym zabrał ich na Kubę wojskowym samolotem. Facet, który miał być drużbą, nie zdołał dotrzeć na czas, więc Sinatra poprosił mnie, żebym go zastąpił.

- Hm - zamyśliła się Gretta - nie pamiętam też kubańskiego wesela.

- Byłem tam - zapewnił ją John. - Może później urządzili oficjalny ślub, ale brałem udział w ich prywatnej ceremonii.

Gretta przewróciła oczyma i otworzyła usta, szykując się do sprzeczki. W końcu jednak odpuściła. Pokręciła tylko głową i powiedziała, że przyniesie nam więcej przekąsek. Doszłam do wniosku, że pewnie wie o Sinatrze mniej, niż jej się wydawało.

Tego wieczora John całkowicie zdominował rozmowę. Kiedy odmalowywał jedną ze swych wojennych przygód, odezwał się George, stwierdzając, że John myli się odnośnie do niektórych faktów. Kilkakrotnie próbował go nawet poprawić, ale admirał za każdym razem upierał się, że to, co mówi, jest zgodne z prawdą. W końcu George porzucił temat, podobnie jak wcześniej Gretta. Pomyślałam wtedy, że John jest niezwykle przekonujący.

Cieszyłam się, że imponuje moim przyjaciółom. Chciałam, by lepiej go poznali. Wszyscy byli amatorami brydża, wspominałam więc, że John jest doskonałym graczem.

- Świetnie - powiedziała Pam. - Niebawem urządzimy kolację z brydżem.

John i ja wyszliśmy pierwsi, dlatego też dopiero wiele lat później dowiedziałam się, że kiedy nas już nie było, przyjaciele roz-

mawiali o moim partnerze i zgodzili się, że żyje urojeniami. Nie potrafili zrozumieć, czemu mi się podoba, i zastanawiali się, czy ktoś z nich nie powinien o tym ze mną porozmawiać. W końcu stwierdzili, że najprawdopodobniej zlekceważę ich obawy, a być może nawet wpadnę w złość. Ponieważ cenili sobie moją przyjaźń, postanowili zaakceptować Johna razem z jego przerysowanymi opowieściami.

W tym samym czasie, gdy oni podejmowali tę decyzję, ja również się na coś decydowałam. Gdy dojechaliśmy do mnie, zaprosiłam Johna na brandy. Dom należał do mnie... Uwielbiałam jego dwa piętra, trzy sypialnie, dwie łazienki oraz podwójny garaż. To była nagroda za wiele lat ciężkiej pracy, moja duma. Wszyscy wokół widzieli, że całkowicie kontrolowałam swoje życie.

Mimo późnej godziny John bez wahania przyjął moje zaproszenie na drinka i prędko stało się jasne, że ma ochotę na więcej - tak jak i ja. Wzięłam go za rękę i zaprowadziłam na górę. Pragnęłam pokazać mu, jak bardzo mi na nim zależy. A jak lepiej można to wyrazić, niż oddając całą siebie? Poprosiłam więc, żeby został na noc.

Dziś zdaję sobie sprawę, że to zaproszenie pchnęło mnie w ramiona przebiegłego psychopaty. Jak mogło do tego dojść? Myślałam, że jestem dorosła i silna, że kontroluję własne życie, że jestem inteligentną kobietą, która wieczorami studiuje, a w ciągu dnia oddaje się satysfakcjonującej karierze zawodowej. Miałam nowiutki dom i używany, ale dobry, sportowy samochód. Nie dostrzegałam, że wszystko to składało się na niewiele znaczącą otoczkę. Pod nią zaś kryła się dojmująca pustka, która czyniła mnie bezbronną.

Teraz widzę, że moje przenosiny „na druga stronę wzgórze” pięć miesięcy wcześniej były o wiele bardziej traumatyczne, niż sądziłam. Zaczęło się już w dniu przeprowadzki, kiedy to człowiek, z którym spotykałam się od roku, wbrew obietnicom się nie pokazał. Zadzwonił z żalną wymówką, która oznaczała koniec naszego związku. Czułam się porzucona i pogrążyłam się w niemej rozpacz. Tamtego wieczora, gdy szłam na górę do łóżka, poczułam, jak ogarnia mnie fala samotności, wywołana nie tylko rozstaniem z mężczyzną, ale również tym, że cała rodzina i przyjaciele zostali „po drugiej stronie wzgórze” - dwadzieścia pięć kilometrów od Antioch. Kilka miesięcy później wiadomość o ślubie Pam wzbudziła moją zazdrość, choć cieszyłam się szczęściem przyjaciół. Znowu czułam się odtrącona, jak gdyby ich ślub oznaczał koniec naszej przyjaźni. Tak się jednak nie stało. Mój napięty grafik - łączyłam wtedy pracę na pełny etat ze studiami i urządzaniem domu - sprawił, że nie miałam czasu na randki czy poszukiwanie nowej miłości. Byłam wówczas niczym dojrzały owoc, który tylko czeka, by go zerwać.

Kiedy poznałam Johna, zmagalam się z emocjonalnym głodem. Dostrzegł to już podczas naszego pierwszego spotkania u Debbie. Niczym pantera na polowaniu rozpoznał zapach ofiary, po czym rzucił się na nią, by zabić. A ja nie potrafiłam odeprzeć ataku.



## *Zaloty*

W kolejnych dniach nie mogłam skoncentrować się na pracy. Ja, kobieta, która praktycznie stworzyła sztukę zachowywania koncentracji. Winę za to ponosił John Perry. Od momentu, kiedy zaprosiłam go do mojego serca i łóżka, byłam zupełnie wytrącona z rytmu. W tym czasie nie istniało dla mnie nic... poza Johnem.

„Obudź się” - rugałam się raz za razem. „Zajmij się tym, za co ci płacą”. Zazwyczaj mi się udawało. Jednak pracę wciąż przerywały mi wspomnienia - wizje dotyczące naszego rozkwitającego związku... Nie były może idealne, ale za to pełne nadziei. Niemal to czułam... spotkanie naszych ciał, rozczarowanie, że seks nie okazał się lepszy, troskliwość i skupienie Johna, jego nieco przekrzywiony tupecik, moje przekonanie, że wszystko będzie lepiej, gdy nabierzemy wprawy. Odczuwał przecież ból w szyi i plecach.

Następne trzy dni John spędził u mnie w domu. Byłam wtedy przekonana, że wiem już wszystko, co powinnam:

w moim łóżku spał bohater. Pierwszej nocy wodziłam palcami po jego bliźnie. Ten dowód odwagi ciągnął się od środka pleców, w stronę pasa i aż do mostka.

Gdy go dotknęłam, powiedział po prostu:

- Wietnam. Straciłem wtedy płuco.

Objęłam go i mocno przytuliłam. Postanowiłam, że w jakiś sposób wymażę jego okropne wspomnienia, ale każdej nocy, gdy krzyczał przez sen, docierało do mnie, że koszmar wojny niszczy nie tylko ciało, ale i duszę. Nawet taki bohater jak John wciąż cierpiał. Szarpał się i kopał, krzycząc:

- Zero Charlie! Zero Charlie! Samolot spada!

Kierując się instynktem opiekuńczym, a nie mając doświadczenia w obcowaniu z psychopatą, pozwoliłam mu się całkowicie omotać. Czemu miałabym go podejrzewać o kłamstwo? Przecież miał tę straszliwą bliznę. Nosił kołnierz, żeby ulżyć sobie w bólu po niedawnym spotkaniu z wózkiem bagażowym. Sama codziennie widziałam, jak połykał garść tabletek przeciwbólowych. Dopiero potem dowiedziałam się, że wzbudzanie litości to jedna z podstawowych technik, którymi posługują się osoby pozbawione sumienia. Jakże łatwo jest schwytać w pułapkę ofiarę, która kieruje się współczuciem. John prowadził ze mną grę opartą na litości; nie popełniał przy tym żadnych błędów. Jego wciągające opowieści wzbudzały we mnie przyływ empatii i miłości. Znacznie później odkryłam, że większość z tych historii była wytworem jego chorej wyobraźni, dla wiarygodności okraszonym maleńkimi cząsteczkami prawdy.

Teraz, w laboratorium, postanowiłam skupić się na pracy. Miałam miareczkować próbki, a nie rozmyślać o tym, jak ulżyć

Johnowi w bólu. Była to jednak z góry przegrana bitwa. Otarłam z oka łzę na wspomnienie dręczących go koszmarów. Każdy miał inną nazwę, każdy wiązał się z jakimś potwornym doświadczeniem wojennym.

- „Zero Charlie” miał miejsce podczas wojny w Korei - opowiadał ze łzami w oczach. - Moja eskadra została zaatakowana. Wróg miał przewagę liczebną, wycofywaliśmy się. - Głos mu się załamał. - Zobaczyłem wrogiego spitfirea nad samolotem Joego. Był moim najlepszym przyjacielem. Krzychałem: „Zero Charlie, Zero Charlie!”... Nawet po tym, jak jego maszyna wybuchła tuż przede mną. - Zaczął szeptać. - Nie mogłem go uratować. Ciągle zadaję sobie pytanie: dlaczego... dlaczego on, a nie ja? To on miał żonę i trójkę dzieci.

Z rozmyślań wytrącił mnie dźwięk telefonu, który rozległ się w laboratorium. Dzwonił John, z Mexico City. Miał właśnie przerwę w spotkaniu biznesowym. Czy mogło być lepiej?

- Nie zgadniesz, co znalazłem w teczce - powiedział.

- Co? - spytałam.

Doskonale wiedziałam, co znalazł. Zanim wyjechał na lotnisko, wsunęłam między jego dokumenty swoje zdjęcie.

- Nigdy nie wyjmę go z teczki - powiedział z zachwytem.

Istotnie, nigdy tego nie zrobił.

- To dla mnie zaszczyt, sir.

Mój męczyzna sprawiał, że czułam się wyjątkowa. Z każdym wypowiedzianym przez niego słowem promieniałam.

- Ted nie daje mi spokoju - powiedział. - Ciągle wypomina mi, jak bardzo się martwił, kiedy nie poinformowałam nikogo w pracy, że zatrzymam się u ciebie.

Uśmiechnęłam się, wspominając te trzy cudowne dni. Byliśmy doskonałą parą. Chodziliśmy na kolacje, nieco niezgrabnie uprawialiśmy miłość, obsypywaliśmy się komplementami. Czulałam się wspaniale, będąc w centrum uwagi, i to nie było kogo: interesował się mną bohater wojenny, członek znanej rodziny, sława. Chciałam czegoś więcej niż tylko tych trzech dni. Pragnęłam spędzać z nim każdą chwilę. Znałam go zaledwie od miesiąca, ale całkowicie zawładnął moim sercem i sprawił, że moje szare życie nabrało kolorów.

- Za parę tygodni będę musiał tu wrócić - powiedział.

Westchnęłam, nie potrafiąc ukryć rozczarowania.

- Ale chciałbym, żebyś przyjechała ze mną.

- Z tobą? - Uwielbiałam podróżować, zwiedzać nowe miejsca. Chciałam się zapomnieć, natychmiast powiedzieć „tak”, ale nie mogłam. - Będziemy mieli dostawę - wyjaśniłam. - Muszę zrobić analizę nowych produktów. Przykro mi, John, ale nie dam rady.

To było dla mnie typowe. Cieszyłam się opinią osoby, na której można polegać, szczególnie w pracy. Tę niezawodność zawdzięczałam rodzicom, którzy postanowili mieć „drugą rodzinę” - trzy dziewczynki i chłopca zaledwie w dziewięć lat. Mnie przypadła rola niedojrzałego trzeciego rodzica, niańki, która zawsze jest pod ręką. Z drugiej strony właśnie dzięki tej rzetelności mogłam sobie pozwolić na porządne ubrania, dobry używany samochód i ładny dom. Moja sytuacja finansowa była stabilna, ale musiałam zwracać uwagę na wydatki. Przy zachowaniu ostrożności kontrolowałam swój budżet i zależało mi, żeby tak pozostało.

- Na pewno należy ci się wolne - namawiał mnie John.
- Nikt nie jest niezastąpiony. Znajdź kogoś na swoje miejsce.
  - Nie mogę.
  - Chcę mieć cię przy sobie, Barb, proszę.
  - Nie wiem. Może i uda mi się opuścić parę dni w pracy, ale mam egzamin z materiałów niebezpiecznych.
    - Na uczelni? To nic takiego.
    - Wręcz przeciwnie, od tego zależy, czy dostanę A<sup>1</sup>.
    - Spróbuj przelożyć egzamin.
    - Mogę to zrobić?
    - Jasne, na studiach doktoranckich zawsze się udawało.
    - Robiłeś doktorat?
    - Nie mówiłem ci? Napisałem pracę z psychologii, żeby zdobyć dyplom. Muszę tylko wyrobić godziny zajęciowe.

Wyjaśnił, że w ramach badań do pracy założył szkołę dla schizofreników. Program obejmował szkolenia zawodowe, które miały pomóc chorym osiągnąć niezależność. Uczono tam, między innymi, pisanie na maszynie i opieki nad ptakami. Przedziwnym zbiegiem okoliczności u mojego brata zdiagnozowano właśnie schizofrenię, ale uznałam, że nie jest to wiadomość, którą można dzielić się przez telefon, szczególnie podczas połączenia z Meksykiem.

- Nie przestajesz mnie zaskakiwać! - Co i raz pojawiała się jakaś nowość, w jego życiu nieustannie działo się coś ekscytującego. Był prawdziwym człowiekiem renesansu.
- Nie wiem, John. Chyba nie powinnam.

<sup>1</sup> A - najwyższa nota w sześciostopniowej skali ocen, stosowanej w Stanach Zjednoczonych.

- Kochanie - kontynuował - opowiedziałem już o tobie moim partnerom biznesowym. Oznajmiłem im, że spotkałem kobietę, z którą wezmę ślub.

Nie wierzyłam własnym uszom. Czyżby właśnie wspomniał o słowie *na„ś”*? Chciałam przyjąć to wyznanie, ale moje konserwatywne wychowanie kazało mi mieć się na baczności. Niezależnie od tego, jak bardzo chciałam być z nim, „póki śmierć nas nie rozłączy”, jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment. Wydusiłam tylko:

- Zobaczymy.

Kiedy skończyliśmy rozmawiać, wysłałam Johnowi telegram: „Rozświetlasz moje życie. Dajesz mi nadzieję na przyszłość”. Może nie było to zbyt oryginalne, ale w pełni oddawało moje uczucia. Od tego czasu odliczałam dni do chwili, gdy odbiorę go na lotnisku w San Francisco, jak mnie prosił - mimo że aby to zrobić, musiałam wziąć dzień wolny.

\*\*\*

Trzy dni później bez trudu wypatrzyłam Johna w strefie odbioru bagażu. Był uosobieniem światowca - najprzystojniejszym mężczyzną w najładniejszej garniturze, z najlepszą teczka i walizką. Kiedy tylko mnie zobaczył, jego twarz rozpromienił uśmiech pełen miłości. Pękałam z dumy.

Zanim przejechaliśmy Bay Bridge, John zdążył obsypać mnie prezentami, i to niezwykle kosztownymi. Przywiózł mi przepiękną haftowaną bluzkę, złotą meksykańską monetę i miedziany talerz ręcznej roboty. Nie mogłam uwierzyć, że tak mi się poszczęściło. Rozpieszczał mnie i musiałam przyznać sama przed sobą, że bardzo mi się to podoba.

- Posłuchaj, John - powiedziałam w pewnej chwili. - Najpierw się zatrzymamy. Chcę, żebyś poznał moich rodziców.

- Co? Teraz? Dlaczego?

- Myślę, że już czas.

Był to najlepszy sposób, żeby nie powiedzieć jedyny, aby rodzice zaakceptowali moją decyzję o podróży do Mexico City z człowiekiem, którego ledwo znałam.

- Jasne - odparł. - Nie mogę się doczekać, żeby ich poznać.

-Tylko...

-Tak?

- Proszę, nie wspominaj o... - Westchnęłam. - Nie mów, proszę, nic o małżeństwie, dobrze?

Wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy.

Czterdzieści minut później zatrzymaliśmy się na podjeździe domu moich rodziców w Concord. Weszliśmy do salonu od tyłu, przez garaż.

- Barbaro! - wykrzyknęła mama z irytacją w głosie, kiedy tylko ona i tata nas zobaczyli. - Co z tobą? Wiesz, że tylne drzwi są tylko dla rodziny.

Zamiast powiedzieć, że John niebawem będzie należał do rodziny, jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, przedstawiłam go jako mojego nowego przyjaciela. Kiedy usiedliśmy przy kuchennym stole, szybko opowiedziałam im o jego niedawnej podróży do Mexico City. Pobiegłam nawet do samochodu, żeby pochwalić się prezentami, które od niego dostałam.

Owszem, byłam niespokojna, za bardzo się starałam, ale to wszystko dlatego, że miałam nadzieję, iż John dogada się

z moimi rodzicami. Wierzyłam, że wrażenie wywrze na nich nie tylko mój mężczyzna, ale i prezenty, którymi mnie obdarował. Kiedy wydawało się, że połknęli haczyk, rzuciłam niby od niechcenia:

- John zabierze mnie ze sobą w następną podróż do Mexico City, za dwa tygodnie.

Przygotowałam się na falę rodzicielskiego niezadowolenia. Kiedy przyszła, modliłam się, żebyśmy ja i John przetrwali ją i postawili na swoim.

Musieliśmy wysłuchać ostrzeżeń o złej pogodzie, zemście Montezumy i bandytach. Co z barierą językową? Skąd weźmiemy pieniądze? Wiedziałam, że troszczą się o bezpieczeństwo swojej córki, ale nie miałam też wątpliwości, że ważniejsza jest dla nich moja reputacja.

Na każde z ich ostrzeżeń John reagował ze stoickim spokojem, który miał ukoić ich nerwy. Będziemy pić tylko wodę z butelki, jeść w najlepszych restauracjach; zatrzymamy się w pięciogwiazdkowym hotelu w Zona Rosa, najelegantszej, biznesowej dzielnicy miasta. Wszystkie koszty miała pokryć jego dieta. Odwołał się nawet do religii, mówiąc, że wybierzemy się do kaplicy Matki Bożej z Guadalupe.

Tego dnia jednak nawet Bóg nic by nie wskórał.

- Rób, co chcesz, Barbaro - powiedziała mama, jasno dając do zrozumienia, że tego nie pochwalają.

Jak zwykle, gdy nie warto było się kłócić, żeby ich przekonać, zmieniłam temat. Wspomniałam o znamienitej rodzinie Johna i o jego karierze w wojsku. Popelniłam jednak ogromny błąd taktyczny. Tata pochylił się w jego stronę i rozpoczęła się inkwizycja.



- Nie był pan trochę za młody na drugą wojnę światową?  
- spytał.

- Podąłem fałszywy wiek - odparł John - i zaciągnąłem się wbrew woli ojca. Kiedy dowiedział się, co zrobiłem, próbował mnie przenieść do szkoły oficerskiej, ale było za późno. Należałem już do pierwszej jednostki walczącej pod wodą.

- Tej, która przerodziła się później w SEALs?

- Właśnie. - Wypiął pierś, a jego oczy rozbliły się. - Nawet stopień taty nie pomógł mnie stamtąd wyciągnąć.

- Stopień? Ach tak, Barbara wspominała, że pana ojciec to kontradmirał, który założył Seabees.

- Wtedy był komandorem - powiedział John. - Kontradmirałem zostałem pod koniec wojny.

Rozpaczliwie pragnęłam, żeby ci dwaj mężczyźni znaleźli wspólny temat, tak więc nadmieniałam, że ojciec uwielbia czytać i ma hopla na punkcie historii, zwłaszcza drugiej wojny. W tej chwili mama przewróciła oczyma i dodała, że stacjonował tylko w Stanach. John nie usłyszał tej uwagi lub ją zignorował.

- Cóż, proszę pana, jeśli jest pan znawcą historii - zwrócił się do taty - pewnie wie pan, że mój ojciec był obecny przy podpisaniu zawieszenia broni z Japonią na pokładzie USS Missouri.

- Doprawdy? - *Ojciec* wstał, przeszedł na drugą stronę pokoju, gdzie stały półki z książkami, i sięgnął po encyklopedię. Przerzucił kilka stron, po czym wrócił do nas. - Oto zawarcie rozejmu - powiedział, wskazując na zdjęcie. - Nie ma tu słowa o admirałach, przepraszam, komandorze Perrym.

Podał książkę Johnowi. Mama i ja zajrzałyśmy mu przez ramię.

- Tutaj! To mój ojciec - powiedział John, wskazując na jedną z rozmazanych postaci za stołem.

Wpatrywałam się w jej twarz, ale nie dało się rozpoznać rysów, a w podpisie pod zdjęciem nie uwzględniono żadnych nazwisk.

- Zdaje się, że musimy uwierzyć panu na słowo - powiedział ojciec szyderczo.

Spojrzałam na niego wilkiem, ale nie zauważył. Kiedy matka poszła do kuchni przyrządzić kawę, ojciec - nadal nie patrząc mi w oczy - kontynuował przesłuchiwanie Johna.

- Powiedz mi, czemu nie zamieszkałeś gdzieś bliżej bazy, na przykład takiej jak w Alamedzie? Tyle przecież osiągnąłeś.

- Prawda jest taka, że nigdy nie lubilem towarzyskich gierki marynarki - odparł spokojnie. - Ani wtedy, ani teraz.

„Świetnie sobie radzi” - pomyślałam. Doskonale wyczuł, jak postępować z moim ojcem. Odetchnęłam, wiedząc, że mogę zostawić ich samych, i poszłam do kuchni, by pomóc mamie. John zaś wstał, przeprosił i spytał, gdzie jest łazienka.

Odwracając się w stronę kuchni, zobaczyłam, jak ojciec odstawia encyklopedię na półkę. Potem szybko wyciągnął inną książkę. Przez chwilę przyglądałam się, jak uważnie coś studiuje. Gdy spostrzegł, że John wraca do pokoju, zamknął książkę i bez słowa odstavili ją na miejsce. Zastanawiałam się, co tak bardzo chciał sprawdzić i dlaczego nie podzielił się tym z Johnem.

Gdy podawałyśmy z mamą kawę i ciastka, próbowałam zmienić temat rozmowy, ale ojciec nadal nie dawał za wygraną. Niebawem nastąpiła kolejna fala pytań.

- Barbara mówi, że twój pradziadek to ten admirał Peary, który zasłynął wyprawą na biegun północny. Dlaczego więc piszesz swoje nazwisko Perry, a nie Peary?

John odpowiedział bez wahania:

- To pradziadek, ale ze strony matki. - Puszczając do mnie oko, dodał: - Jestem prawdziwym wojskowym urwisem.

Tata pochylił się ku niemu.

- Dobrze, więc odpowiedz mi na to pytanie. Skoro jesteś taki znany i możesz obracać się w dowolnym kręgu towarzyskim, to co widzisz w mojej córce?

Otworzyłam usta, ale nie byłam w stanie wydusić słowa. Do oczu napłynęły mi łzy, gdy próbowałam zrozumieć, co właśnie się stało. Nawet Johna zamurowało. Czy mój ojciec chciał zasugerować, że dziecko robotnika nigdy nie wyjdzie poza swoją warstwę społeczną i że ja, jego córka, nie byłam wystarczająco dobra, by związać się z tym mężczyzną... moim bohaterem, bohaterem naszego kraju? Czułam się upokorzona i zawstydzona, nie tylko w imieniu własnym czy Johna. Wstydziłam się również za ojca, który właśnie obraził swojego gościa.

Wstałam, próbując powstrzymać łzy.

- Widzi... widzi prawdziwą osobę! - wykrztusiłam.

John, ujmując moją dłoń, uśmiechnął się i powiedział:

- Barbara sprawia, że czuję się wyjątkowy. Nie jest egzaltowana, za to urzekła mnie uczciwością i ufnością. Bardzo długo szukałam kogoś takiego jak ona.

Otarłam łzy. Po chwili niezręcznej ciszy podziękowałam Johnowi i wróciłam na miejsce. Reszta wizyty przebiegła już bez

natarczywych pytań taty. Tamtego dnia nie zwróciłam nawet uwagi na to, z jaką łatwością John odpowiadał na każde z nich. Nawet się nie zająknął.

Później, w drodze do domu, przeprosiłam za brak taktu ojca. John tylko się roześmiał.

- Nie przepraszaj. To typowe. Uwierz mi, wiem, co mówię. Mimo mojego wieku wiele osób wciąż ma mi dużo do zarzucenia. W rodzinie jestem uważany za czarną owcę.

- Dlaczego, na Boga?

- Nie pochwalaję tego, co robię ze swoim życiem czy też ze swoim spadkiem.

- Cóż, John, przynajmniej wiesz, że nie chodzi mi o pieniądze. Powiedziałam ci to wtedy u Debbie i powtarzam teraz... To, czego chcę, czego potrzebuję, to zwykła uczciwość, szczególnie po moim pierwszym małżeństwie.

Byłam zaskoczona, że z taką otwartością potrafię mówić o trzynastu latach zdrad. Rana jeszcze się nie zagoiła.

- Pragnę kogoś, komu mogę zaufać - wyszeptalam.

- Zawsze będę z tobą szczery - powiedział, głaszcząc mnie po włosach. - Jesteś zbyt cenna, by cię zranić.

Jego słowa sprawiły, że serce zamarło mi ze wzruszenia. „Ten mężczyzna naprawdę mnie kocha” — pomyślałam. „Czy nie jest tak, że każdy zasługuje na szansę, by być kochanym?”

W tym samym momencie moi rodzice rozmawiali o mężczyźnie, który obiecywał, że zawsze będzie ze mną szczery. Nie obchodziło ich, czy jest sławny, czy nie. Tata miał co do Johna swoje podejrzenia, ale oboje widzieli, że jestem nim zauroczona. Postanowili zatem nie wtrącać się do mojego życia. A poza tym

rozmowa o uczuciach, moich czy ich, byłaby nie na miejscu. W naszej rodzinie stawiało się na milczenie. Nigdy więcej nie skrytykowali Johna, jego rodziny ani kariery, a mnie wydawało się, że po prostu go zaakceptowali.

Kiedy odwiedziliśmy ich tydzień później, a John zaczął zwracać się do nich „mamo” i „tato”, miałam wrażenie, że im się to podoba. Wyglądało na to, że go polubili. Nie widziałam powodu, by zastanawiać się nad tym, czemu tak łatwo wszedł do mojej rodziny, znacznie szybciej, niż miałyby to miejsce w przypadku normalnego, powoli rozwijającego się związku. Jego obecność jednak stłumiła moją samotność. Patrząc z perspektywy czasu, wiem, że powinnam była rozpoznać sygnały ostrzegawcze, ale wtedy ich nie dostrzegałam. Tak więc choć rodzice nigdy oficjalnie nie zaakceptowali pomysłu mojej podróży do Mexico City, kiedy w końcu tam pojechaliśmy, bawiłam się jak nigdy w życiu.

## *Wspólne mieszkanie*

W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że wycieczka do Mexico City będzie tak ekscytująca. Na tle przepięknych krajobrazów jedliśmy doskonale posiłki, zwiedzaliśmy miasto i robiliśmy zakupy. John chciał, nie, nalegał, żeby przez cały ten czas kupować mi drogie prezenty. Czułam się, jakbym nagle trafiła do świata baśni.

W prawdziwym życiu wszystko układało się równie fantastycznie. John spędzał coraz więcej czasu w moim domu. Kiedy zaproponował, że wprowadzi się na stałe, wydało mi się to pomysłem nie tylko dobrym, ale wręcz oczywistym. Dzięki temu bowiem moglibyśmy być ze sobą tyle, ile chcieliśmy. Dodał jeszcze:

- Ze mną twoje życie będzie tak wspaniałe, jak na to zasługujesz.

Ten pomysł wydawał mi się niezwykle kuszący, ale nie powiedziałam „tak” - coś mnie powstrzymywało.

Pewnego popołudnia, jakby chciał udowodnić, że ma rację, stanął w drzwiach, trzymając w ręku osiem tysięcy dola-

rów litografię z Collier Art Gallery w Los Angeles, o wymiarach sześćdziesiąt na siedemdziesiąt centymetrów. Powiedział mi to wszystko, gdy wieszal ją nad kominkiem.

- Nie, nie, nie! - protestowałam. - To nie może tu wisieć. Moje ubezpieczenie nie obejmuje tak drogich dzieł sztuki.

Machnął tylko ręką.

- Nic mu się nie stanie. Spójrz na tego zapatystę, na tę odważną kreskę, ten kolor... Co za pasja!

Zrobiłam, o co prosił. Stałam obok niego i musiałam przyznać, że to, na co patrzyłam, było równie zdumiewające i niezwykłe jak on sam.

- To wspaniałe dzieło sztuki - zgodziłam się. - Ale nie rozumiem, jak...

- Zastanów się. Jeśli się wprowadzę, obraz będzie bezpieczny i ty będziesz bezpieczna. Teraz, kiedy Jenna już u ciebie nie mieszka, pomogę ci z opłatami. Wiesz dobrze, że tak będzie lepiej.

Bingo! Uderzył w odpowiednią strunę. Kiedy zgodziłam się na jego plan, przygotował nam drinki i od niechcienia zauważył, że niebawem zadba również o mój barek.

- Alkohol z supermarketu to po prostu nie to - stwierdził.

Wprowadził się następnego dnia. Nie przyniósł ze sobą wiele: ubrania, trochę mebli do pokoju, który miał służyć mu za gabinet, szpitalne łóżko, na którym lekarz zalecił mu ponoć spać w związku z problemami z szyją i plecami, i najwspanialszą „rzecz” ze wszystkich, swojego golden retrievera imieniem Gobi. Kiedy wyraziłam zaskoczenie tym, jak mało ma rzeczy, powiedział, że postanowił zostawić większość w swoim

domu w Danville, gdzie miał z nich korzystać jego kuzyn, Jason Green.

- Masz takie dobre serce, John - powiedziałam.

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to nie takiego. Potem zajęliśmy się naszą nowo utworzoną rodziną, która składała się ze mnie i moich dwóch kotów oraz Johna i jego psa.

Następne sześć tygodni wypełniały wzloty i upadki, jak zapewne w przypadku każdej pary, która musi przetrwać niełatwy okres, kiedy to blask świec i gwiazdny pył ustępują miejsca mało ekscytującej codzienności. Nie było to proste. Wiedziałam, że potrzeba czasu, żebyśmy poczuli się ze sobą całkowicie swobodnie. „Tak - powtarzałam sobie - po prostu potrzebujemy czasu”. Niebawem jednak okazało się, że czas jest moim wrogiem.

Pewnego wieczora, gdy siedziałam przy dębowym biurku w moim gabinecie na górze, spojrzałam na stertę rachunków i wstrząsnął mnie dreszcz. Zanim pojawił się John, płacenie rachunków było dla mnie zajęciem nudnym i niekoniecznie nieprzyjemnym, ale podchodziłam do tego z dystansem. Przysyłano mi rachunki... a ja odsyłałam чеки na pełną kwotę albo przynajmniej na minimalną. Była to kwestia czysto praktyczna, która nie wzbudzała we mnie żadnych emocji. Teraz przechodziłam męczarnie. Decyzje o tym, komu zapłacić, a komu nie, stawały się coraz trudniejsze. Nie wystarczało pieniędzy na uregulowanie wszystkich rachunków. Ten wieczór nie był wyjątkiem.

Wzięłam do ręki rachunek za telefon. Czekałam na niego, pragnęłam go wręcz, ponieważ zawierał wykaz wszystkich połą-



czeń, które John wykonał do swojej rodziny, a które nie pojawiały się w poprzednich zestawieniach.

Myślałam o nich jako o „telefonach-duchach”, ponieważ John zawsze wykonywał je, kiedy ja byłam na zajęciach, na mszy, w pracy czy w sklepie. Bolało mnie, że woli poczekać, aż mnie nie będzie, żeby porozmawiać z rodziną. Mimo że wielokrotnie tłumaczyłam mu, jak bardzo chcę nawiązać z nimi więź, wciąż dzwonił, gdy mnie nie było. Kiedy w końcu zmusiłam go, żeby powiedział mi dlaczego, doznałam jeszcze większej przykrości. Stwierdził, że jego rodzina uważa, iż chodzi mi tylko o pieniądze. Był to oczywiście absurd. Za każdym razem, gdy mówiłam, że jest to nieprawda, że to nie fair, John zapewniał mnie, że w końcu zmienię zdanie.

Tamtego wieczora zdecydowałam wziąć sprawy w swoje ręce. Postanowiłam spisać numery telefonów z rachunku i zadzwonić do rodziny Johna. Było mi trochę wstyd, ale nie widziałam innego wyjścia. Gdybym tylko mogła poznać jego rodzinę, choćby przez telefon, na pewno bym ich do siebie przekonała. Zmieniliby zdanie, zaakceptowaliby mnie, uznając, że daję Johnowi szczęście. On zaś byłby w siódmym niebie i kochałby mnie jeszcze bardziej.

Z długopisem w dłoni zaczęłam uważnie czytać rachunek, gotowa zapisywać numery w swojej książeczce adresowej. Ale na rachunku nie widniały żadne połączenia z Coconut Grove, Bostonem, Houston czy Nowym Jorkiem... miastami, w których mieszkali ponoć krewni Johna. Ogarnęło mnie rozczarowanie i poczucie zagubienia. Wielokrotnie mówił, że dzwonił do Sonnyego czy do babci Dannigan. Potrząsnęłam głową,

żeby pozbierać myśli, po czym odłożyłam to do tej części umysłu, którą nazwałam „rzeczy do omówienia z Johnem”. Następnie wypisałam czek na pełną kwotę.

Później otworzyłam kopertę z wydrukiem z karty kredytowej. Nie wierzyłam własnym oczom. Środki na karcie były bliskie wyczerpaniu. Z niedowierzaniem zaczęłam czytać wydruk. Większość pozycji dotyczyła restauracji. Złapałam rachunek, zbiegłam na dół i stanęłam między Johnem a telewizorem.

- Hej, co jest? - zapytał z szerokim uśmiechem.

- To... to! - Mój głos aż drżał, kiedy wepchnęłam mu rachunek do ręki. - Powiedziałeś, że musisz skorzystać z mojej karty kredytowej, żeby zapłacić za lunch biznesowy. Jeden lunch. Ale... ale... - słowa wzięły mi w gardle - popatrz na te wszystkie transakcje!

- Nie ma problemu - odparł, rzucając rachunek na stół.

- Nie ma problemu?! Nie pokryłeś nawet jeszcze swojej części wydatków domowych, a do tego szastasz moimi pieniędzmi. Zawiodłeś moje zaufanie!

- Ejże, chwila, Barbaro. Bądźmy uczciwi. Nigdy nie poprosiłaś, żebym ci ją oddał, więc założyłem, że mogę jej używać.

Ciągnął dalej, wyjaśniając to, co zrobił. W jego wersji wydarzeń moje działania wydawały się nieuczciwe, a jego - bez zarzutu. Tak wprawnie posługiwał się słowami, że zaczynałam tracić orientację. Potem powiedział:

- Zachowujesz się jak pazerna osoba, za którą uważa cię moja rodzina.

Zamurowało mnie. To ostatnia rzecz, którą można mi zarzucić. Miałam wykształcenie, doskonałą pracę, spor-

towy samochód i dwie hipoteki na dom... Dawałam sobie radę. Te słowa dotknęły mnie do żywego - niemal oszalałam z wściekłości.

- Oddaj mi kartę. Natychmiast!

Popatrzył na mnie przez chwilę, po czym z grymasem na twarzy wyjął portfel, wyszarpał kartę kredytową i rzucił mi ją pod nogi.

- Kto daje i zabiera... - Wstał i rzucił mi groźne spojrzenie. - Nie zdawałem sobie z tego wcześniej sprawy, ale jesteś dokładnie taka jak twoja matka.

- Wcale nie! - wrzasnęłam ochryplym głosem.

To nie byłam ja - zawsze spokojna, racjonalna, rozsądna, odpowiedzialna. W dzieciństwie stale doświadczałam przemocy słownej i przysięgałam sobie, że nigdy nie wrzasnę w złości. Nie, będę spokojnie rozmawiać ze swoim partnerem na każdy temat. Ale teraz podnosiłam głos i nie mogłam się powstrzymać.

- Nie jestem taka jak moja matka - krzyknęłam. - Chcę tylko zapłacić te rachunki, do cholery. A ty, zamiast mi pomóc, tylko pogarszasz sprawę.

- Od początku mówiłem ci, że wypłaty za zlecenia dostają sporadycznie - warknął, idąc w stronę schodów.

- Gdzie idziesz?

- Spakować się. Dłużej tego nie wytrzymam. Czuję, że nikt mnie tu nie chce.

Oszołomienie po napadzie złości prędko obróciło się w strach, gdy patrzyłam, jak John odwraca się i odchodzi. Pogłębiały się moje skrywane lęki, które zrozumiałam dopiero znacznie później - przed samotnością, klęską finansową, kolejnym

nieudanym związkiem. Wywoływały one obawę przed wstydem - wobec znajomych i rodziców. Nie potrafiłam tego wszystkiego znieść. W tamtej chwili postanowiłam, że ustąpię i znajdę sposób, by to wszystko naprawić. Chciałam odzyskać poczucie bezpieczeństwa w objęciach Johna, niezależnie od tego, ile miałyby mnie to kosztować.

Teraz wiem, że nie tak wygląda racjonalne myślenie w normalnym związku. Jednak wtedy moja wizja miłości przeobraziła się w uzależnienie, a ja nie zauważyłam nawet sygnałów ostrzegawczych. Od tej chwili tak bardzo pochłonęły mnie potrzeby Johna i próby ich zaspokojenia, że całkowicie zapomniałam o własnych. Czułam przemożną chęć, niemal przymus, by pomagać Johnowi rozwiązywać jego problemy finansowe, służąc niechcianymi radami i sugestiami. Wiedziałam, że mogę go zmienić. Gdyby tylko zaczął kontrolować swoje wydatki, odzyskalibyśmy równowagę. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, że z każdym moim ustępstwem zdobywał nade mną coraz większą, choć skrytą kontrolę - wciąż miałam wrażenie, że to ja jestem panią sytuacji, podczas gdy w rzeczywistości było na odwrót. Manipulował mną psychopata, który wiedział, czego chce i jak osiągnąć swój cel. Wkroczyłam do świata człowieka lubującego się w stosowaniu przemocy werbalnej. Z perspektywy czasu widzę, że wzorzec naszych stosunków ustalił się właśnie tamtego wieczora. Później przez wiele lat nieświadomie odgrywałam swoją rolę w tym powtarzalnym, ponurym dramacie.

Dokładnie w tej chwili po schodach zaczęły zbiegać moje kocięta, Peaches i Patches. Gdy Peaches przecięła Johnowi drogę, potknął się.

- Cholerny kot - wysyczał, wstając.

Złapał kociaka, z wściekłością zbiegł z nim po schodach i ruszył w kierunku drzwi. Zanim do niego dobiegłam, wyrzucił go za drzwi. Kotka upadła na lebek i zaczęła wić się w konwulsjach.

- Ty skurwysynu! - wrzasnęłam, próbując go odepchnąć.

Wzięłam Peaches na ręce i przytuliłam do piersi, kołysząc się z nią w przód i w tył. Kiedy John do mnie podszedł, cofnęłam się.

- Tak mi przykro... - wyszeptał. - Ponoć koty spadają na cztery łapy.

- Najwyraźniej nie zawsze - wykrztusiłam przez łzy.

- Daj mi ją.

Wyciągnął dłonie, a ja cofnęłam się o krok. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Bałam się tego, co może za chwilę zrobić.

- Proszę - powiedział - daj mi ją. Na wojnie opiekowałem się kolegami, którzy dostali drgawek. Naprawdę. Mogę pomóc Peaches. Daj mi ją.

Przez dłuższą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, aż w końcu oddałam mu moje słodkie zwierzątko. Ręce, które przed chwilą skrzywdziły Peaches, teraz były łagodne i troskliwe. Kiedy weszliśmy do środka, John usiadł w bujanym fotelu, kładąc sobie kota na piersi.

- Proszę, Barb, przynieś mi koc - powiedział. - Bedę tu z nią siedział całą noc.

Okryłam ich oboje i zostawiłam. Kiedy poszłam na górę, John raz za razem krzyczał do mnie, że przeprasza. Mówił,

iz jego krewkość bierze się stąd, że jest w połowie Irlandczykiem, a w połowie Latynosem. Nazwał to zabójczą mieszanką.

Spojrzałam na Peaches - była spokojna. John też się uspokoił, podobnie jak ja. Na szczycie schodów odwróciłam się i powiedziałam:

- Przysięgam, jeśli jeszcze raz podniesiesz rękę na nią albo na mnie, wyniesiesz się stąd. Nie będzie drugiej szansy.

Nie odpowiedział. Poszłam do łóżka, ale byłam zbyt zdenerwowana, by tam zostać. Chciałam poznać tę agresywną stronę Johna, więc wróciłam na dół i zaczęłam go wypytywać. Z początku się opierał, ale naciskałam. W końcu przyznał, że był już kiedyś agresywny, w dzieciństwie, kiedy to przywiązał kotu petardy do ogona, a później je podpalił. Mówił, że robił to dla zabawy. Po cichu zastanawiałam się, jak można dopuścić się czegoś takiego, ale przyznałam, że był to tylko chłopięcy wybryk, żywcem wyjęty z komedii lat trzydziestych. Nawet mój ojciec wyznał mi kiedyś, że w dzieciństwie wraz z braćmi znęcali się nad swoim kotem, przepychając go przez tunele, które wykopali na podwórku. Przynajmniej go nie zabili. Kiedy powiedziałam, że mnie nie wydaje się to zabawne, John dodał szybko, że gdy został przyłapany przez ojca, miał wyrzuty sumienia.

Potem powiedział mi, że miał napady złości również jako dorosły, ale tylko dwukrotnie, w obu przypadkach ze swoją pierwszą żoną. Domagała się seksu, kiedy on był zajęty wypełnianiem zeznań podatkowych. Przyznał, że popełnił błąd, ale stracił panowanie nad sobą. Kiedy indziej obudziła go, gdy miał jeden ze swoich koszmarów.

- Czy naprawdę możesz mieć mi to za złe? — spytał.

Nie odpowiedziałam, ale potraktowałam jego słowa jak dobrą radę. Postanowiłam, że zrobię wszystko, by nie prowokować wybuchów skrywanego gniewu, który mógł skupić się na mnie. Obiecałam sobie, że nigdy nie obudzę go z koszmaru. A co do seksu - nie uprawialiśmy go od pierwszego spędzonego wspólnie miesiąca ze względu na problemy zdrowotne Johna. Jeśli nie nękał go ból głowy, to problemy z plecami, jeśli nie plecy, to szyja. Przysięgłam mu już, że to nie ma znaczenia, jeśli dwoje ludzi naprawdę się kocha. Wiedziałam, że potrzebuje mojej opieki. Na tym etapie związku poświęciłabym wszystko, zrezygnowałabym nawet z seksu, żeby zatrzymać go przy sobie.

Byłam wyczerpana. Chciałam położyć się i zapomnieć o tym, co się stało. Kiedy zamykałam drzwi wejściowe, John krzyknął:

- Mam jutro ważny lunch. Mogę skorzystać z którejś z twoich pozostałych kart kredytowych? Wiem, co myślisz, ale obiecuję, że przymuszę Vestico, by wreszcie zapłacili tyle, ile są mi dłużni.

Spojrzałam na niego - siedział w bujanym fotelu i z niebiańskim spokojem głaskał mojego kotka. Jak mogłam mu odmówić?

- Zostawię ją rano na blacie w kuchni - usłyszałam własny głos. Na schodach zatrzymałam się w pół drogi i rzuciłam w stronę Johna: - Na rachunku za telefon nie zauważyłam twoich telefonów do rodziny.

- Ach, to dlatego, że wszystkimi połączeniami zostaje obciążony numer babci Dannigan - wyjaśnił bez zastanowienia.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie sądziłem, że to ma jakieś znaczenie. Babcia nalegała.

Dzięki temu wie, że utrzymuję kontakt z rodziną, niezależnie od tego, w jakim miejscu świata akurat przebywam.

— Och - westchnęłam ze zmęczeniem w głosie. - Rozumiem.

Leżąc w łóżku, po raz kolejny zaczęłam się zastanawiać, czemu John nigdy nie kontaktuje się z rodziną, gdy jestem w domu. „Będę musiała się dowiedzieć - pomyślałam - ale innym razem”.

\* \* \*

W ciągu następnych sześciu miesięcy przeżywałam lepsze i gorsze chwile. Z jednej strony byłam szczęśliwa, że znalazłam kochającego, troskliwego mężczyznę. Z drugiej - mężczyzna ten był po prostu nieodpowiedzialny. Dawno temu straciłam spokój ducha. Mimo obietnic John nadal chętnie korzystał z moich kart kredytowych.

Ponadto wciąż uchylał się od rozmów na temat swojej rodziny. Pewnego dnia wręczył mi prezent, który - jak twierdził - przysłała mi babcia Dannigan. Okazało się, że doszedł bez kartki i bez brązowej koperty pocztowej. Kiedy otworzyłam paczkę, ujrzałam srebrny komplet złożony ze szczotki do włosów, grzebienia i lustra. John z dumą powiedział, że przedmioty te należały do jego babki. Po jego minie zorientowałam się, że powinnam czuć się zaszczycona. Aby nie ryzykować, że go obrażę, nic nie powiedziałam. Dziwiłam się tylko w duchu, że na każdym przedmiocie widniały moje inicjały. Czy miałam uwierzyć, że zapłaciła grawerowi, by specjalnie dla mnie je zmienił?

Największy problem stanowiły finanse. W chwili, gdy miałam całkowicie załamać się pod ich ciężarem, John wręczył mi



swój czek za *zlecenie*. Opiewał na okazałą sumę, więc wynagradzał jego trzymiesięczne zaległości z opłatami. Była to przemiana niespodzianka, podobnie jak to, co zrobił później - ponownie zaprosił mnie do Mexico City, tym razem na długi weekend. Wszystko wskazywało na to, że układa nam się wspaniale.

Zmartwień przysparzało mi jednak zdrowie Johna. W jednej chwili wydawało się, że wszystko jest w porządku, w następnej związał się z bólu na podłodze. Pamiętam jedno popołudnie - wchodził akurat po schodach, gdy stracił czucie w nodze i spadł. Spędziliśmy wtedy noc w szpitalu. Po tym wypadku uważnie mu się przyglądałam, żeby być przy nim, gdyby znów potrzebował mojej pomocy.

\* \* \*

Pewnego wiosennego dnia wybraliśmy się na piknik. John obiecywał mi niespodziankę. Uwielbiam niespodzianki i bardzo lubię prowadzić, tak więc byłam w doskonałym nastroju, gdy usiadłam za kierownicą ogromnego, szesnastoosobowego vana.

Samochód ten pojawił się w moim życiu niedługo po tym, jak John wprowadził się do mojego domu. Powiedział, że kupił go na użytek szkoły dla schizofreników, którą założył, aby zgromadzić materiały badawcze do swojej pracy. Prowadzenie szkoły powierzył komuś innemu, ale wciąż odbierał kursantów z domu i woził ich na zajęcia. Wiedziałam, że jest to dla niego ważne... Tak ważne, iż wbrew głosowi rozsądku zgodziłam się finansować to przedsięwzięcie. Zdawałam sobie sprawę, że borykam się już z problemami, ale John błagał mnie, mówiąc, że kończy się okres leasingu, a jego nie stać na wykup pojazdu.

Mówił, że mogę wziąć go na swoje nazwisko, a on będzie za to spłacał moją pożyczkę z kasy kredytowej.

O ile podobał mi się idealny samochód na nasze wyprawy, o tyle drażnił mnie temat finansowania tego zakupu. Z nikim tego nie omówiłam i nie chciałam teraz o tym myśleć. Z tyłu, obok koszyka zjedzeniem, siedziała Gobi. Szczeknęła, gdy John kazał mijechać na zachód, na Delta Highway.

Już w dzieciństwie wpajano mi, że nie należy dzielić się uczuciami. W rodzinie nie mówiło się o problemach osobistych. Jak mantrę powtarzaliśmy: „zachowaj to dla siebie”, tak więc i tym razem musiałam radzić sobie sama. Pamiętałam też, że okazywano mi miłość tylko wtedy, gdy byłam idealną małą dziewczynką. Teraz właśnie tak się zachowywałam. Kupiłam Johnowi wóz, taki, jaki chciał, i za to nagroził mnie miłością. Dla niej mogłam upchnąć wątpliwości dotyczące zakupów głęboko do worka z sekretami. Tak mnie wychowano. Zamierzałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by nasz związek był udany.

- Ta ciężarówka jest świetna - oznajmiłam z uśmiechem, próbując przekonać Johna i samą siebie. - Prowadzenie jej to prawdziwa przygoda, a sam wiesz, jak uwielbiam przygody, na przykład takie jak nasza ostatnia wycieczka na Karaiby.

Uśmiechnął się i pokierował mnie na północ, na drogę 1-680, przez Benicia Bridge. Dojechaliśmy na miejsce, z którego rozciągał się przepiękny widok na zatokę Suisun.

- Chcę ci pokazać coś wyjątkowego - powiedział, prowadząc mnie ścieżką do stolika piknikowego. - Spójrz... - Wska-

zał na unoszące się na wodzie cmentarzysko statków z drugiej wojny światowej, powiązanych razem i czekających, aż zostaną przerobione na złom.

- Widziałam je już nie raz, John.

- Ale nie widziałas tego dużego, z przodu. To Glomar Explorer.

- Ta wielka łódź, która stoi osobno?

- To nie łódź, tylko statek. Ile razy mam ci powtarzać, że to są statki?

Rozkładając na stole obrus w czerwoną kratę, odparłam:

- Dobrze, dobrze. Przyznaję się do błędu.

Oboje wybuchliśmy śmiechem.

Gdy rozstawiałam pierwsze danie - chłodzone chardonnay, ser Sonoma Jack i świeże truskawki - widziałam po błysku w oczach Johna, że jest w innym świecie, że na nowo przeżywa swoje przygody. Zaczął mi o nich opowiadać, otwierając wino i rozlewając je do kryształowych kieliszków. Opowiedział mi, jak w latach siedemdziesiątych CIA chciała, żeby przejął dowodzenie nad tym właśnie statkiem, ponieważ planowali wyłowić rosyjską łódź o napędzie atomowym, która zatонуła ponad tysiąc kilometrów od wybrzeży Hawajów.

- Zgodziłeś się?

Pokręcił głową.

- Odmówilem. Po tym, co wydarzyło się w Panamie, nie chciałem więcej przyjmować niebezpiecznych zleceń.

Pamiętałam krwawą historię z Panamy, którą poznałam podczas naszego pierwszego spotkania. Opowieści o jego dokonaniach zawsze wywoływały we mnie onieśmienie. Ale w zakło-

potanie wprawiał mnie również jego brak odpowiedzialności w kwestii finansów. Wiedziałam, że nie jest to właściwy moment, nie chciałam zepsuć tej wyjątkowej chwili, ale musiałam sprowadzić go na ziemię. Sama nie poradziłabym sobie z naszą sytuacją finansową. Potrzebowałam jego pomocy.

Nalał mi kolejny kieliszek wina. Pociągnęłam łyk i od niechcienia spytałam:

- Wiesz coś może o twoim ostatnim czeku za zlecenie?  
- Zrobiłam krótką przerwę, po czym ciągnęłam dalej:  
- Zbывая cię już od pięciu miesięcy, a niedługo zabraknie nam pieniędzy.

- Wiem, wiem - powiedział, spuszcżając głowę.  
- Przepraszam. To wina Vestico. Nie mogę się doprosić zapłaty. Ale zacząłem się rozglądać za innym źródłem pieniędzy, tak jak radziłaś.

Nadstawiłam uszu. Być może wreszcie udało mi się do niego przemówić i mimo wszystko niebawem spełni swoje obietnice.

- I ?

- Mój kuzyn, Jason Green, kupi dom w Danville za dwieście tysięcy dolarów.

Skoczyłam na równe nogi.

- To wspaniale! Kiedy dostaniesz pieniądze?

Nie chciałam wyjść na pazerną, ale nasze położenie zaczęło przypominać tonącego Titanica. Koniecznie chciałam uporządkować bałagan, utrzymać nas na wodzie i wrócić na kurs.

- Za siedem lat.

- Słucham?

Wstrząśnięta, osunęłam się z powrotem na ławkę. „Jak można sprzedać dom i nie zobaczyć żadnych pieniędzy przez siedem lat?” - pomyślałam.

John wyjaśnił, że kuzyna nie stać na pożyczkę i że nie może też płacić w ratach. Za siedem lat odda więc pełną kwotę. Ponadto John nie zamierzał naliczać mu procentów, tylko podatki i koszty utrzymania domu. Niewiarygodne! Poczulałam napięcie w całym ciele i zaczęło mi huczeć w głowie. Czulałam, jak wraz z zefirkiem nad zatoką ulatują moje nadzieje. Oboje zamilkliśmy.

Pierwszy odezwał się John.

- Potrafisz psuć moje niespodzianki, co?

Niespodzianki? Jest ich więcej? Wstrzymałam oddech. John szukał czegoś w swoim portfelu. W końcu wyciągnął złożony kawałek papieru i podał mi go.

- Babcia Dannigan dotrzywała obietnicy - oświadczył.  
- Spójrz. To gwarantowany przez bank czek w wysokości pięciu tysięcy dolarów. - Nie zdążyłam nawet zapytać, czemu nie przesłała czeku imiennego, bo John ciągnął dalej: - Dała po jednym każdemu z moich kuzynów. - Poczekał, aż przeczytałam czek. - Ale masz rację, potrzebujemy planu długookresowego. I ja go opracowałam.

Niemal bałam się to usłyszeć, ale spytałam półszepem:

- Co to za plan?

Powiedział, że dom w Antioch, w którym obecnie mieszkamy, możemy wynająć i przenieść się na drugą stronę wzgórza, do mojego większego domu w Concord, który znajdował się w lepszej okolicy. Wciąż splacałam swoją część hipoteki, a nie-

ruchomość nie znajdowała nabywcy. Niestety, dom nie wyglądał najlepiej, ponieważ mój były mąż, Bryan, traktował go niemal niczym squat. To odstraszało potencjalnych kupców.

- Trochę farby, lepsze meble i natychmiast się sprzeda - pocieszył mnie John. - To znacznie odciążyłoby cię finansowo.

Im dłużej mówił, tym jego plan wydawał mi się bardziej sensowny. Miałam tylko jedno „ale”.

- Dlaczego to zawsze ja muszę ratować nam skórę? - spytałam.

- Bo jesteś w tym dobra.

Mimo jego żartów poczułam, jak wraca mi nadzieja.

- Jutro zadzwonię do Bryana.

- Moja dziewczyna.

Nalał mi kolejny kieliszek wina.

Sącząc je, widziałam już oczyma wyobraźni moje biurko i opłacone rachunki.

## *Oświadczyły*

Zapłaciłam ludziom od przeprowadzki, zamknęłam podwójne drzwi i odwróciłam się w stronę dwupiętrowego foyer. Znowu byłam w Concord.

Zawołałam Johna.

- Tu! Przy barku! Już prawie ustawiłem alkohol.

„Jest taki słodki” - pomyślałam. Byłam przeszczęśliwa, ale nic nie mogło rozproszyć chmury desperacji, która zawisła nad moją głową. Miałam nadzieję, że nasz plan się powiedzie. Musiał się powieść!

- Faceci od przeprowadzki już sobie poszli - odrzyknęłam.

- Możesz wypuścić Gobi i koty ze szwalni.

Zdjęłam buty. Chłodny parkiet z ciemnej dębiny działał kojąco na moje obolałe stopy. Gdyby tylko mógł również ukoić ból mojej duszy... Usiadłam ciężko na stopniu dzielącym hol od salonu. Byłam wycieńczona, nie tyle z powodu fizycznego wysiłku związanego z pakowaniem i przeprowadzką, ile przez stres. Na powierzchnię wypłynęły emocje, przyno-

sząc ze sobą wspomnienie problemów, na które się nie pisałam. Z początku mój były mąż zaakceptował nasz plan, ale potem wszystko się posypało. Czeki za zlecenia Johna ciągle spływały z opóźnieniem, a Bryan poprosił o dwa dodatkowe miesiące. W efekcie termin naszej przeprowadzki nieustannie się przesunął, a sytuacja finansowa pogarszała się z dnia na dzień. Przemęczenie osłabiło mój organizm do tego stopnia, że podczas akcji oddawania krwi, odbywającej się co roku w mojej firmie, straciłam przytomność.

- Ma pani dodatkowe uderzenie serca - powiedział mi potem lekarz. - Czy przeżywa pani ostatnio jakieś stresy?

- Niespecjalnie - skłamałam. Jak mogłam wyjawić swoje tajemnice zupełnie obcemu człowiekowi? Jak mogłam się mu zwierzyć ze zmartwień związanych z nadszarpniętymi finansami, problemami z domem oraz rodziną Johna? Nie, nie mogłam nikomu o tym powiedzieć. Stałam się mistrzem zaprzeczania faktom. Poza tym to była prywatna sprawa i miałam pewność, że znajdę sposób, by sama sobie z tym poradzić.

Siedząc jednak w salonie, poczułam nagle falę bólu - powróciły wspomnienia z pierwszego małżeństwa. A wiązały się one właśnie z tym pokojem, z tym domem, który pomagałam budować przez siedem długich lat. Przyciągnęłam kolana do piersi i westchnęłam. W tym pokoju podjęłam jedną z najważniejszych decyzji. Nie należała do łatwych, ale ocaliła mi życie. Na samą myśl o tamtych czasach do oczu napłynęły mi łzy.

- Co się dzieje? - John wszedł do salonu i usiadł obok mnie. Łagodnie podniósł palcem mój podbródek i otarł łzy. - To nasz szczęśliwy dzień. Skąd ta smutna mina?



W tym momencie pękła tama, która dotąd powstrzymywała moje emocje. Wtuliliłam się w jego ramiona i zaczęłam szlochać. Opowiedziałam mu o tym, jak romanse Bryana niszczyły nasze małżeństwo, podczas gdy ja robiłam wszystko, żeby je uratować. Jako dobra katoliczka dotrzymywałam przysięgi. W moim przekonaniu rozwód był grzechem nie do pomyślenia. Ale mimo wszystkiego, co dla niego robiłam, nie zdołałam pokonać jego demonów. Przepaść między nami pogłębiała się, aż w końcu żadne z nas nie było w stanie jej pokonać.

Opowiedziałam Johnowi o tym, jak Bryan powoli oddalał się ode mnie, emocjonalnie i seksualnie. Staliśmy się partnerami biznesowymi; życzliwymi sobie, ale obojętnymi i zawsze zajętymi. Poświęciliśmy czas na wykańczanie domu i budowanie chatki na przedgórzu Sierry Nevady - robiliśmy wszystko, byle tylko się nie komunikować.

Usiadłam prosto, spojrzałam w błękitne oczy Johna i ciągnęłam:

- Intymna bliskość zniknęła. Po prostu jej nie było. Zaczęła mnie pożerać pustka. Pewnego dnia włożyłam do magnetofonu kasetę, maksymalnie pogłośniłam i siedziałam tu, gdzie siedzimy teraz, podczas gdy Donna Summers śpiewała *Enough is Enough*. Kiedy słuchałam tego pulsującego rytmu, nagle coś we mnie pękło. Dołączyłam, śpiewając najgłośniej, jak potrafiłam. „Już dość!” Dodało mi to odwagi. „Już dość!” Zerwałam się na równe nogi. „Już dość!” Złożę pozew o rozwód.

- O rany - powiedział John - głęboko to przeżyłaś, co?

Przytaknęłam, a on obdarzył mnie ciepłym uśmiechem.

- A co ty na to, żebyśmy spróbowali jakoś się z tym wszystkim uporać? - zapytał radośnie. - Zorganizujemy imprezę.

Uwielbiam imprezy jak każdy, ale na tę sugestię aż otworzyłam usta ze zdziwienia.

- Imprezę? Nawet się jeszcze nie urządziliśmy, a mamy mnóstwo roboty, żeby przygotować dom na sprzedaż.

- Nie mówię, że od razu - odparł. - Myślałem o barbecue w 'Święto Pracy'. To za miesiąc. Ten dom idealnie nadaje się na imprezy, jest tu mnóstwo miejsca. Szkoda by było zmarnować taką okazję.

Cieszył się jak mały chłopiec, który dostał nową zabawkę. Chciał pochwalić się swoim nowym domem i podzielić się szczęściem z naszymi przyjaciółmi. Jego entuzjazm był tak zaraźliwy, że nie potrafiłam mu się oprzeć.

- Obiecuję, że wezmę na siebie gotowanie — próbował mnie przekupić, mocno przytulając.

- Dobra, dobra, poddaję się - odparłam wesoło.  
- Nie pomieszkamy tu długo, więc w sumie możemy urządzić jedną, porządną imprezę.

Zaczęliśmy rozmawiać o tym, kogo zaprosimy i co podamy. Doskonale się bawiliśmy, przygotowując te listy. Byłam zmęczona, ale przyjemnie było planować wspólnie tak radosne wydarzenie. Nie wiedziałam, że John miał własny, długoterminowy plan, który właśnie zaczął wprowadzać w życie.

- Wiesz, to fantastyczny dom - powiedział John.

<sup>1</sup> Święto Pracy (ang. *Labour Day*) - w USA przypada ono w pierwszy poniedziałek września.

- Oczywiście. *Przecież* ja go zbudowałam - zażartowałam, wypinając z dumą pierś.

- Nie, nie, mówię serio - ciągnął. - Szkoda, że musimy go sprzedać, gdy doprowadzimy go do porządku.

Już chciałam się odezwać, ale podniósł palec i położył mi na ustach.

- Zanim skomentujesz, mam ci coś ważnego do powiedzenia. Poczekaj. Muszę najpierw przynieść coś z kuchni.

Podniósł się z wysiłkiem, chwytając za jedną z ozdobnych sztachet, które oddzielały salon od korytarza. Jego twarz wykrzywił grymas bólu.

- Cholerne plecy i szyja! - wykrzyknął, idąc do kuchni.

„Ten mój mężczyzna...” - pomyślałam. „Taki tajemniczy, kochający, pełen niespodzianek... i nieustannie cierpiący”. Poczulałam, jak rwie mi się do niego serce. Słyszałam, jak czegoś szuka, potem odgłos otwieranej lodówki, przesuwanych pudeł i w końcu wyraźne „pyk”.

- Pomóc ci?

- Nie, dzięki. Wszystko pod kontrolą.

Wrócił przez korytarz, trzymając butelkę szampana i dwa papierowe kubki. U jego boku siedł Gobi, wyciągając szyję i wężąc za jakimś kąskiem.

- No, prawie wszystko. Nie udało mi się znaleźć kieliszków, więc to będzie musiało wystarczyć.

Podał mi butelkę i kubki, po czym powoli usiadł obok mnie. Peaches i Patches wbiegły do pokoju, zwiedzając nowe miejsce.

- Daj, naleję - powiedział, biorąc ode mnie butelkę. Następnie postawił ją między nami i uniósł swój papierowy kubek.

- Zawsze powtarzam ci, że czas spędzony z tobą to najlepsze chwile w moim życiu - przekonywał - i jest to szczerą prawdą. Zdrowie kobiety, która uczyniła mnie najszczęśliwszym mężczyzną na ziemi.

Uśmiechnęłam się i dotknęłam swoim kubkiem jego. Oboje upiliśmy trochę szampana. Aby się zrewanżować, ja również wzniosłam toast.

- I zdrowie mężczyzny, który rozświetla moje życie.

Ponownie pociągnęliśmy łyk szampana, rozkoszując się popołudniowym słońcem, które wpadało przez górne okno w korytarzu. Potem John - łagodnie, choć z determinacją - ujął moją dłoń.

- Jestem w siódmym niebie — powiedział. — Tylko jedna rzecz może uszczęśliwić mnie jeszcze bardziej. Czy zostaniesz moją żoną? Chcę cię poślubić i spędzić z tobą resztę swoich dni.

Na to wyznanie moje serce czekało przez ostatnie pół roku. Chce, żebym była jego żoną. Żoną admirała!

- Nie wiem - wydusiłam ku własnemu zaskoczeniu.

Spojrzałam w dół, na swoje dłonie i stopy; kierowałam wzrok wszędzie, tylko nie w oczy Johna. Jego oświadczenia niezmiernie mnie zaskoczyły. Zamiast wszechogarniającej radości poczułam, że spadam w otchłań. Zagubiona między dobrem a złem, prowadziłam wewnętrzną walkę.

„Jaka normalna młoda kobieta na resztę życia wyrzekłaby się seksu? Czy naprawdę jestem szczęśliwa? Czy nie powtarzam własnych błędów? Ale nie - sprzeczałam się sama ze sobą - John, w przeciwieństwie do Bryana, nie ma wpływu na stan swojego zdrowia, prawda?" Postępowałam nieuczciwie, osą-

dzając go i przenosząc na nasz związek nieufność wyniesioną z pierwszego małżeństwa. Nie było przecież tak, że John nie chciał uprawiać miłości; a poza tym nie zdradzał mnie. Za to okazywał miłość poprzez urocze gesty, takie jak kupowanie prezentów, gotowanie obiadu czy masowanie stóp. Trzeba przyznać, że nie krył się z czułością.

„Moja kasa nigdy nie była w tak fatalnym stanie. Jestem ciągle zestresowana z powodu jego rozrzutności i nieodpowiedzialności”. Ale i to potrafiłam usprawiedliwić. Mieliśmy spore problemy finansowe, lecz John przynosił - choć nieregularnie - czeki opiewające na pokaźne sumy. Obiecał, że upora się z Vestico albo znajdzie inną pracę. Sprzedał już swój dom, więc mieliśmy dostać spory zastrzyk pieniędzy, choć dopiero za siedem lat. W razie wyjątkowo trudnej sytuacji mogliśmy liczyć na spadek, nad którym pieczę sprawowała jego babka - na pewno pomogłaby Johnowi. Ponadto planowaliśmy sprzedać dom w Concord i przenieść się z powrotem do Antioch. „Poradzimy sobie z finansami” - pocieszałam się w myślach.

„A co z wybuchami gniewu? Kiedy straci nad sobą panowanie i mnie uderzy? Co z jego groźbami, że odejdzie?” - pytałam samą siebie. Od dłuższego czasu nie myślałam o tych kwestiach. Od tamtej nocy z Peaches nie zrobił krzywdy naszym zwierzętom i nigdy, przenigdy nie podniósł na mnie ręki, a po ślubie nie mógłby odejść tak łatwo. W myślach energicznie machałam pędzlem, próbując zamalować plamy na jego wizerunku. Byłam zakochana.

„A co z jego aresztowaniem?” Na miesiąc przed przeprowadzką John został zatrzymany. Postawiono mu zarzut kra-

dzieży czterech maszyn do pisania. Byłam wstrząśnięta i przerażona. To musiało być nieporozumienie, w przeciwnym razie Ted nie zastawiłby swojej przyczepy kempingowej, żeby wpłacić kaucję. Wyjaśnienia Johna brzmiały rozsądnie. Kupił te maszyny do swojej szkoły dla schizofreników i czekał na państwowe stypendium, żeby za nie zapłacić. „To jedna wielka pomyłka. W końcu z pewnością dojdzie do wycofania zarzutów” - myślałam. Przestałam zadawać pytania i włożyłam ten problem do worka ze sprawami, którymi zajmę się później.

Gdy znikaly kolejne przeszkody, moje serce zalało szczęście, które ból przemieniło w radość. Nie spędzałam już samotnie sobotnich wieczorów. Podróże, jedna z moich pasji, stały się ekscytującymi przygodami. Meksyk, St. Croix... Gdzie jeszcze mogliśmy się udać? Najbardziej zaś cieszyło mnie to, że poprawiały się stosunki z moją rodziną i przyjaciółmi.

Władzę nad moimi decyzjami sprawowały teraz dwie cechy osobowości: skłonność do zaprzeczania faktom i potrzeba bliskości. „Wszystkie pary mają problemy, ale trzeba je przezwyciężyć” - mówiłam sobie. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że dzięki mnie życie Johna stało się lepsze. „Będzie jeszcze lepiej, gdy pozbędziemy się wszystkich trudności. Doprowadzę więc do tego, że na powrót nawiąże kontakt z rodziną. Będę zajmować się nim w chorobie. Moi krewni i nowi przyjaciele udzielą mu wsparcia. Sprawię, że zmieni swoje nawyki finansowe i stanie się odpowiedzialny. Jeśli komukolwiek ma się to udać, to właśnie mnie. Tak, mnie. Potrafię naprawić wszystko, muszę się tylko postarać”.

Po raz drugi w życiu podjęłam ważną decyzję, siedząc na stopniu w salonie. Za pierwszym razem czułam się osaczona, chciałam się bronić, pragnęłam czegoś więcej. Dziś wypełniała mnie pozytywna energia - podejmowałam radosną decyzję. Czułam, że kontroluję własną przyszłość. W podróży przez życie wyznaczałam właśnie nowy kurs. Byliśmy z Johnem razem od ponad roku i wiedziałam o nim wszystko, co powinienam wiedzieć.

Spojrzałam w jego błękitne oczy.

- Tak, John, wyjdę za ciebie. Nie potrafię wyobrazić sobie większego szczęścia, niż bycie żoną admirała.

\*\*\*

To był cudowny dzień, wyczerpujący, ale wspaniały. Barbecue wyszło fantastycznie. Świeciło słońce, a finansowe chmury tymczasowo się rozproszyły. Ostatni goście, między innymi Pam i George, zmierzali do drzwi.

- Dzięki za wspaniałą imprezę - powiedziała Pam, obejmując mnie. - Zadzwoń jutro, żeby omówić listę prezentów na wieczór paniński.

- Pam to świetna przyjaciółka, prawda? - zauważył John, zamykając drzwi.

- Tak, takich przyjaciół ze świecą szukać. To samo dotyczy Georgea. Cieszę się, że się odnaleźli. Tak jak my - odparłam i zabrałam się za porządki.

- Nie róbmy tego teraz - powiedział John, wchodząc do kuchni z kolejną tacą brudnych kieliszków. - Chodźmy odpocząć w jacuzzi.

- Kusząca propozycja - przyznałam. - Ostatni w wodzie kończy sprzątanie.

Oboje zanieśliśmy się od śmiechu.

- Należę szampana! - krzyknął John, ja zaś poszłam po suche ręczniki.

W cieplej, wirującej wodzie poczułam, jak rozluźniają się moje bolące mięśnie. Odchyliłam głowę i zamknęłam oczy.

- Tak wygląda doskonale życie - wymruczałam. - Nie ma jak jacuzzi z sekwoi, które pomaga człowiekowi zespolic się z naturą.

Siedzieliśmy w tej leczniczej wodzie, w ciszy sącząc szampana, każde pograżone we własnych myślach. W końcu John przerwał milczenie.

- Cieszysz się, że urządziliśmy tę imprezę?

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego.

- Tak. Ty zawsze wiesz, co należy zrobić. - Wyglądał na odprężonego i szczęśliwego. Doszłam do wniosku, że to idealny moment, by wspomnieć o czymś, co od dawna leżało mi na sercu. - John, czy powiedziałaś swojej rodzinie, że się pobieramy?

Zawahał się, jak gdyby jego odpowiedź miała sprawić, że czar pryśnie.

- Odwróć się, wymasuję ci plecy.

- Tylko żadnej dywersji, żołnierzu - ostrzegłam go, odwracając się. - Rozmawiałeś z rodziną czy nie?

Jego silne dłonie zaczęły ugniatać mój kark i ramiona.

- Tak, rozmawiałem z nimi, z każdym z osobna.

- N o i?



Powtórzył tę samą opowieść, którą słyszałam już wielokrotnie. Nie byli zadowoleni. Uważali mnie za harpię, która ma na oku ich majątek. Chodziło o miliony. Co gorsza, rzekomo wbijałam klin między nich a Johna. Kategoriecznie odmówili wzięcia udziału w naszym ślubie, jakby to mogło nas rozdzielić.

Zrozumiałam wtedy, że muszę zdwoić wysiłki, by jak najprędzej porozmawiać z tymi ludźmi. Wystarczyłoby, żeby mnie poznali, żeby zobaczyli nas razem. Wtedy zrozumieliby, jak bardzo jesteśmy razem szczęśliwi.

- Jesteś spięta - powiedział John. - Zrelaksuj się. Pomyśl o tym wspaniałym domu i o wszystkich jego zaletach.

Jego palce wędrowały w górę i w dół po moim kręgosłupie.

-Jakich zaletach?

- Jest wielki, idealny do podejmowania gości i leży w świetnej okolicy. A co najlepsze, niedaleko stąd do twojej rodziny i naszych przyjaciół. Szkoda, że szykujemy go tylko po to, żeby go sprzedać i wrócić do Antioch.

- Ale taki jest nasz plan - odparłam.

Odwróciłam się i odsunęłam, by móc położyć mu stopy na kolanach. Posłusznie złapał za jedną i zaczął masować.

- Plany można zmienić - odpowiedział. - Pomyśl tylko, jak nam tutaj dobrze.

- Ten dom jest przeklęty - wyrzuciłam z siebie. - Ożywają w nim złe wspomnienia: o ciężkiej pracy, ponurych dniach i zdradzie. Nie mogę się ich pozbyć.

- To są wspomnienia z przeszłości. Teraz jest inaczej. Jesteś ze mną. Możemy stworzyć tu naszą własną przyszłość, własne

wspomnienia, takie jak dzisiejsza wspaniała impreza z rodziną i przyjaciółmi.

- Twoich krewnych oczywiście nie bierzemy pod uwagę - warknęłam, a John aż się skrzywił.

Upuścił moją stopę, a ja natychmiast go przeprosiłam. Nie mogłam go winić za to, że jego dzieci mieszkały na drugim końcu kraju.

- Byli Sarah i George - wycedził drżącym głosem.

Przedstawił ich jako dalekich kuzynów. Greenowie byli rodzicami Jasona, uroczą starszą parą z Danville, która nigdy nie zaprzeczyła, że jest spokrewniona z Johnem. Wiele lat później zastanawiałam się dlaczego, ale wtedy musiałam skupić się na zduszeniu w zarodku kolejnej koncepcji. Zignorowałam wzmiankę o kuzynach i wróciłam do bardziej palącej kwestii, czyli pomysłu zostania w moim domu w Concord.

- Nie stać nas na to, i tyle - upierałam się. - Musimy go sprzedać, żeby wyjść na prostą, zapomniałeś? Poza tym Bryan jest współwłaścicielem.

- Długo się nad tym zastanawiałem, zrobiłem pewne obliczenia i myślę, że znalazłem sposób, byśmy mogli tu zostać. To znaczy... jeśli tego chcesz.

Powoli i dokładnie opisał mi swoją strategię. Ze szczegółami przedstawił, jak możemy dostać drugą hipotekę i spłacić Bryana. Potem, jeżeli nadal chcielibyśmy sprzedać dom, moglibyśmy poczekać, aż nastąpi ożywienie na rynku nieruchomości. Wtedy wzięlibyśmy nawet kredyt, żeby zapłacić za prace remontowe. Zarzucił przynętę, a ja dałam się na nią złapać. Brzmiało to przecież bardzo rozsądnie.

- Problem w tym, że nie sądzę, bym miała szansę na drugą hipotekę - zmartwiłam się.

I wtedy stało się. Z subtelnością doświadczonego rybaka John zaczął powoli zwijać linkę.

- Byłbym współkredytobiorcą - zaproponował. - Postaramy się jak najszybciej spłacić pożyczkę.

Wtedy nie przyszło mi to do głowy, ale w ten sposób nazwisko Johna znalazłoby się na akcie własności mojego domu. Na razie jednak dałam się ponieść chwili.

- Brzmi logicznie. Obiecaj mi, że będziemy ciężko pracować, żeby spłacić drugą hipotekę.

- Mnie to odpowiada.

Natychmiast zaczęliśmy się zastanawiać, jak mam przekonać Bryana, jaka będzie nasza oferta i ile może to potrwać.

- Hej, zaczynam zmieniać się w rodzynek - rzuciłam, patrząc na swoje pomarszczone dłonie, i wstałam. - Lepiej stąd wyjdźmy.

- Jeszcze jedna rzecz - powiedział John, kładąc mi rękę na ramieniu. - Chodzi o ten zarzut kradzieży.

Oddech zamarł mi w piersi. Staralam się zapomnieć o tym zdarzeniu. Nie myślałam o nim od ponad miesiąca. Wreszcie przyszło mi się z nim zmierzyć. Bałam się tego, co za chwilę usłyszę. Bałam się, że zniweczy to nasze nowe plany. Czy chciałam poślubić kogoś, kto mógł w każdej chwili trafić za kratki?

- Nie rób takiej zmartwionej miny - pocieszył mnie. - To dobra wiadomość. Odezwał się do mnie mój adwokat, Max Rosberg. Twierdzi, że może doprowadzić do wycofania zarzutów.

- Wycofania? W jaki sposób?

Z powrotem usiadłam. Istotnie, to były dobre wieści.

- Firma wycofa zarzuty, jeśli zapłacę za maszyny.

-Ile?

- Tylko cztery tysiące dolarów, ale...

Złapałam wolną ręką za krawędź jacuzzi, przygotowując się na to, co zaraz usłyszę.

-Ale?

- Muszę jeszcze zapłacić prawnikowi, kolejne cztery tysiące.

- Razem osiem tysięcy dolarów. - Aż się zakrztusiłam.

- Nie masz takich pieniędzy. My nie mamy takich pieniędzy. O mój Boże, co my teraz zrobimy?

Ze strachu aż zmiękły mi kolana. Osunęłam się na krawędź jacuzzi. Mój doskonały dzień powoli tonął.

- Skoro planujemy założyć drugą hipotekę, moglibyśmy dodać te osiem tysięcy do sumy, którą pobierzemy. Dom ma dużą wartość, powinno więc wystarczyć.

- Nie sądzę - warknęłam. - To twój dług. Dlaczego nie zadzwonisz do babci, skoro ma tyle pieniędzy?

- Wiesz, że w tej chwili nie mogę. Rodzina i tak się już na mnie gniewa. Potrzebuję twojej pomocy.

- Nie wydam ot tak ośmiu tysięcy dolarów, zwłaszcza że ich nie mam!

Wyrwałam ramię z jego uścisku i wyszłam z jacuzzi. Złapałam ręcznik i ruszyłam przez taras w kierunku domu. Prędko mnie dogonił i przytrzymał drzwi, zanim zdążyłam wejść.

- Ruszasz się całkiem szybko, jak na kogoś, kto cierpi na nieustający ból - powiedziałam. - Zejdź mi z drogi.

- Barbaro, proszę, wysłuchaj mnie. Nie oczekuję, że dasz mi te pieniądze. Proszę cię o pożyczkę.

- Pożyczkę?

Udało mu się zdobyć moje zainteresowanie. Był mistrzem w tej dyscyplinie.

- Tak. Oddam ci. Przysięgam. Musimy to zamknąć, by móc dalej budować nasze wspólne życie. Nie widzisz, że ta niedokończona sprawa wszystko utrudnia?

Miał rację. W jego słowach zawsze było ziarnko prawdy. Potrafił sprawić, by jego sugestie brzmiały jak genialne pomysły. Ponownie ustąpiłam. Byłam wtedy grzeczną dziewczynką, która potulnie rezygnuje ze swoich racji.

- Dobrze. Ale pamiętaj, to pożyczka, pożyczka. Oddasz mi. Delikatnie mnie przytulił.

- Oczywiście. Tak bardzo cię kocham.

Gdy weszliśmy do środka, rozluźniłam się w jego objęciach. Moje myśli krążyły teraz wokół zbliżającego się wieczoru panieńskiego i wizji naszego ślubu: ustrojona na białą kaplica, John w mundurze galowym, dźwięk trąbek, gdy uśmiechnięci wchodzimy w korytarz uniesionych szabli, gotowi, by spędzić razem resztę życia. Już niebawem miałam się przekonać, że marzenia nie zawsze się spełniają.

## *Ślub*

Miesiąc później, w słoneczne październikowe popołudnie, John i ja zameldowaliśmy się w hotelu Westgate w San Diego.

- Państwo na wakacje? - zapytał recepcjonista.

„Zdecydowanie nie” - pomyślałam. „Przybyliśmy tu z sekretną, ekscytującą misją, niczym tajni agenci... bez ślubu”. Ale nie na długo. Za kilka godzin miała się odbyć potajemna ceremonia. Gdy John poprosił o apartament dla nowożeńców, aż zachichotałam.

- Czy to miejsce nie jest tak niezwykle, jak obiecałem? - spytał, gdy minąwszy ogromne kręte schody z mosiężną poręczą, weszliśmy do windy pełnej luster.

Przytaknęłam. Trzeba przyznać, że John zawsze miał dobry gust. I kosztowny. Ten elegancki hotel bez wątpienia wyglądał dokładnie tak, jak mi go wcześniej opisał. Gdy go ujrzałam, aż zapało mi dech w piersiach. Kiedy boy otworzył drzwi do apartamentu, musiałam się uszczypnąć, aby mieć

pewność, że nie śnię. Wszędzie lśniły barokowe złocenia - na białych panelach, na francuskich meblach z minionej epoki, na oprawnym lustrze zawieszonym nad marmurowym kominem, a nawet na starodawnym telefonie.

- No i co sądzisz?

- Jest tak, jak mówiłaś, a nawet lepiej. - Podbiegłam do niego, zarzuciłam mu ręce na szyję i stanęłam na palcach, by dosięgnąć jego ust. - Dziękuję - wyszeptalam.

Szybko urządziliśmy się w naszym miłosnym gniazdku. Ja zajęłam się rozpakowywaniem tych kilku rzeczy, które wzięliśmy ze sobą, a John zadzwonił do Clayów, by powiedzieć im, że jesteśmy na miejscu.

- Będą za godzinę - powiedział, odkładając słuchawkę na widelki. - Już się rozpakowałaś?

- Nie mamy zbyt wiele. Nie zapominaj, że to przygoda na jedną noc.

- Tak bym tego nie nazwał. - Roześmiał się, po czym poszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

Po raz pierwszy tego dnia zostałam sama. Byłam rozdarta wewnątrz. Może nie postąpiłam słusznie, planując ceremonię bez rodziny i przyjaciół. Czy decyzja, by uciec i wziąć ślub istotnie była tak romantyczna, jak mi się to z początku wydawało?

Gdy John wyszedł z łazienki i rozebrał się do bielizny, moje serce na powrót załomotało z podniecenia i potrzeby, żeby podzielić się z kimś tym, co przeżywałam.

- Czy mogę teraz zadzwonić do matki? - poprosiłam, starając się, by w moim głosie nie było słyhać wątpliwości. Nie chciałam zepsuć tego wyjątkowego dnia.

- Dobrze, ale nie rozmawiaj zbyt długo - powiedział.  
- Clayowie będą tu lada chwila. - Objął mnie i zakołysał się, śpiewając: „Bo idziemy do kaplicy, gdzie weźmiemy ślu-u-ub”.

Uśmiechnęłam się i wykręciłam numer rodziców. John poszedł się ubrać.

- Mamo, zgadnij, gdzie jesteśmy! - powiedziałam podekscytowanym głosem. - W San Diego. Zaraz jedziemy do Tijuany, żeby wziąć ślub!

Martwa cisza po drugiej stronie słuchawki nie pozostawiała wątpliwości co do reakcji mojej matki.

- W zeszłym tygodniu na wieczorze panińskim powiedziałaś, że nie ustaliliście jeszcze daty - odparła surowym tonem.  
- Czemu tak nagle? Chyba nie jesteś w ciąży?

- Nie, mamo.

Wyjaśniłam, że John wrócił do domu w czwartek i przedstawił mi fantastyczną ofertę linii lotniczych: kupując dwa bilety autokarowe do celu oddalonego co najmniej o osiemset kilometrów, dostaniemy dwa bilety na Hawaje tylko po pięćdziesiąt dolarów za sztukę.

- A więc ucieknijmy i pobierzmy się - powiedział John. W jego ustach brzmiało to szalenie romantycznie, a jednocześnie praktycznie. - Wiesz, że z finansami u nas krucho.

Znowu miał rację. Naprawdę nie mogliśmy sobie pozwolić na wystawne przyjęcie. Poprzedniego dnia otrzymaliśmy wprawdzie mnóstwo pieniędzy z drugiej hipoteki, ale były

<sup>1</sup> „Bo idziemy do kaplicy, gdzie weźmiemy ślub” (ang. „Because we're going to the chapel and we're gonna get married”) - prawdopodobnie są to słowa piosenki *Chapel of Love* zespołu The Dixie Cups.



one przeznaczone dla Bryana, Maksa Rosberga i firmy od maszyn.

- Zaskoczmy wszystkich - ciągnął. - Nikomu nic nie powiemy. A do tego - tu puścił do mnie oko - wycieczka na Hawaje będzie naszym miesiącem miodowym.

Hawaje, przepiękne Hawaje... Ciepło pasatów, delikatne dźwięki ukulele, smak chłodnej piña colady... Moglibyśmy pojechać na Maui, Mołokai i Hawaii, zamieszkać w eleganckim hotelu, w apartamencie dla nowożeńców. John instynktownie wiedział, jak wykorzystać moje słabości... Egzotyczne podróże, doskonała okazja cenowa i ślub jak z bajki.

Rozmawiając z mamą, poczułam ciężar na sercu. Z początku pomysł z ucieczką nie przypadł mi do gustu; wydawało mi się to zbyt dziwaczne, jak na ludzi w naszym wieku. Ale za każdym razem, gdy dostrzegłam jakąś trudność, John znajdował rozsądny powód, dla którego powinniśmy ją przewartościować, a do tego oferował ekscytujące alternatywy. Zaczęłam naprawdę wierzyć, że to wszystko - ucieczka za granicę, by wziąć ślub, nie mówiąc nic rodzinie - ma sens. Jeśli zaś chodzi o przyjaciół, John poprosił jednego ze swoich klientów, żeby był naszym drużbą. Clayowie mieszkali w San Diego i mogli spotkać się z nami w hotelu. Teraz siedziałam właśnie w jednym z apartamentów i byłam coraz bliżej poślubienia admirała. Z całego serca pragnęłam, by moja mama również uwierzyła w tę fantazję.

- Myślałam, że ty i tata lubicie Johna.

- Owszem. To miły człowiek, ale... - zawiesiła głos. Wiedziałam, co za chwilę usłyszę... Słowa pełne rozczarowania

i dezaprobaty, mające wywołać we mnie poczucie winy, że nie bierzemy ślubu w Kościele katolickim. - Nie odrzucaj zasad, które ci wpajaliśmy - powiedziała błagalnym tonem.

- Wcale tego nie robię. Wiesz, co myślę o Kościele. Jako rozwiedziona katoliczkę traktowali mnie gorzej niż trędowatą. Trędowatym przynajmniej udzielają sakramentów. W każdym razie John powiedział, że jeśli chcę, za kilka miesięcy możemy wziąć ślub kościelny w Mexico City. Dziś to tylko pierwszy krok, ceremonia cywilna.

Ten pokaz niezależności dodał mi odwagi, a moje dotychczasowe wątpliwości zaczęły się rozwiewać. Byłam samodzielną kobietą i potrafiłam kierować własnym życiem.

- Zadzwoń do ciebie po powrocie, mamo.

Zakończyłyśmy rozmowę grzecznie, ale i szybko.

Ponownie chwyciłam za słuchawkę. Sądziłam, że przynajmniej Pam udzieli się moja radość. Dlatego zrobiło mi się przykro, gdy ona również potraktowała mnie z dystansem.

- Nasz wyjazd do Meksyku niczym nie różni się od twojego wyjazdu z Georgeem do Reno, gdzie wzięliście ślub.

- To nie to samo. My zaplanowaliśmy datę i pojechaliśmy z nami kilka innych par.

- Przyszynaję, zawsze myślałam, że mój drugi ślub będzie wystawny, z rodziną i przyjaciółmi. Ale co tam! Tak jest bardziej romantycznie.

- Skoro tak uważasz - dyplomatycznie skończyła rozmowę.

- Dlaczego są takimi nudnymi pesymistkami? - jęknęłam, odkładając słuchawkę. - Myślałam, że będą się cieszyć moim szczęściem.

- Po prostu ci zazdroszczą - powiedział John, zawiązując krawat w błękitno-złote pasy. Były to kolory akademii marynarki, jak wielokrotnie powtarzał. - Nie pozwól zepsuć sobie humoru. Gdy wrócimy, obie się do tego przekonają. Zaufaj mi. Pokażemy im, jak wygląda prawdziwe szczęście. - Zerknął na zegarek. - Lepiej się ubierz, Clayowie będą tu lada chwila.

Kiedy kilka minut później wyszłam z garderoby, John aż gwizdnął z zachwytu. Obróciłam się, czując, jak biały sztyfon wiruje mi wokół nóg. Przypomniałam sobie ten romantyczny wieczór, kiedy po raz pierwszy - po francusku - oświadczył, że mu się podobam. Jenna miała na sobie wtedy właśnie tę sukienkę. Zawsze postępowałam pragmatycznie, uznałam więc ten ciuszek za „coś starego”, ponieważ nie było mnie stać na „coś nowego”. Nawet gdybym mogła sobie pozwolić na porządną suknię ślubną, i tak nie miałam czasu na zakupy.

Usłyszałam dzwonek do drzwi. Przybyli Clayowie. John przedstawił ich jako: „J.R. i Carrie”. Wyjaśnił, że J.R. w rzeczywistości ma na imię tak jak on, ale kiedy w towarzystwie był więcej niż jeden John, używał inicjałów pierwszego i drugiego imienia.

- Może wzniesiemy toast? - zaproponował J.R., podając Johnowi schłodzoną butelkę szampana.

- A to prezent ślubny.

Carrie uśmiechnęła się, wręczając mi srebrno-białe pudełko. Usiedliśmy w salonie, a John przeszedł do kuchni.

- Spójrzcie, co znalazłem - powiedział z dumą, gdy wrócił. - Kieliszki do szampana. Naprawdę, pomyśleli tu o wszystkim.

Zaczęłam rozrywać papier prezentowy jak dziecko na Boże Narodzenie. Podniosłam kryształową misę na salatkę, oprawioną w srebro.

- Ma nawet srebrne sztucce do nakładania - mówiłam, promieniejąc z zachwytu. - Czyż nie jest piękna?

John przytaknął i otworzył szampana. Wznieśliśmy toast za piękne wesele i długie wspólne życie.

Clayowie byli niezwykle życzliwą parą; jedno pochodziło z Anglii, drugie z Malty. Spodobał mi się wybór Johna, choć zdziwiło mnie, że znów mu się udało. Ulegałam urokowi chwili - czułam, jak narasta we mnie podniecenie spowodowane wydarzeniami tego dnia. Miałam śliczną sukienkę, wspaniałych nowych przyjaciół, prezent ślubny, szampana i - co najlepsze - mojego admirała, który kochał mnie, tylko mnie! Nie chciałam myśleć o przygnębiających rozmowach z matką i z Pam. Nie zamierzałam pozwolić, żeby ich reakcje popsuyły mi humor.

- Rany, spójrzcie, która godzina - powiedział John. - Musimy już iść. Nie chcemy spóźnić się na spotkanie z komendantem policji. Mógłby zamknąć nas w kiciu.

Dwadzieścia minut później J.R. przewiózł nas przez kontrolę graniczną i znaleźliśmy się w innym świecie: w Tijuanie. Gdy przejeżdżaliśmy przez wyschnięte koryto rzeki, aż skuliłam się na widok setek chat zrobionych z blachy falistej, plastiku, kartonu i tego, co było pod ręką, a mających zapewnić ochronę przed letnim upałem i zimowym mrozem.

Staralam się nie gapić, gdy mijaliśmy przedmieścia, ale nie mogłam się powstrzymać. Mężczyźni w brudnych, podartych koszulkach przesiadywali na starych fotelach samochodowych,

pili piwo i palili papierosy. Z trzeszczących głośników wyla muzyka. Kolorowe znaki przyklejone do zakurzonych szyb lokalnych barów reklamowały Margarita Grande. Wszyscy czekali na gringos. Czy czekali na mnie? Co ja tam robiłam?

Przesunęłam się na krawędź fotela, gotowa odwołać cały plan, powiedzieć, że zrobimy to później i gdzie indziej. Przez okno zobaczyłam, że wjeżdżamy do zamożniejszej dzielnicy. Wokół widziałam luksusowe sklepy, banki, restauracje, apteki, drzewa, ławki i przechodniów z torbami pełnymi zakupów. Opadłam z powrotem na fotel.

- Gdzie jest kaplica? - spytałam, uważnie przyglądając się każdej ulicy, którą mijaliśmy.

- Nie wiem - powiedział John. - Komendant policji wszystko ustalił.

John poprosił swojego meksykańskiego przyjaciela z Los Angeles, żeby pomógł mu umówić urzędnika i sporządzić akt ślubu. Komendant był pośrednikiem.

J.R. zatrzymał się na miejscu parkingowym między dwoma wozami policyjnymi, a John wyskoczył z samochodu.

- Zostańcie tu, ja wejdę do środka - powiedział. Wszedł po schodach i gdy minął strażników uzbrojonych w karabiny maszynowe, zniknął. Po kilku minutach wrócił do samochodu. - Minęliśmy się z komendantem. Miał pilną sprawę i polecił przekazać nam swoje przeprosiny. - Pomachał zmiętoszoną kartką. - Ale wszystko umówił. Musimy pojechać tu, J.R, szybko. Zamyka za dziesięć minut. - Odwrócił się do mnie. - To nie kaplica. To biuro sędziego pokoju. - Ponownie spojrzął na kartkę. - *Señor Pepe Sánchez.*

- A co z obrączką? I kwiatami? - krzyknęłam. - Mieliliśmy zatrzymać się gdzieś po drodze, żebyje kupić.

- Nie mamy czasu. Kupimy potem.

Skrzywiłam się, ale próbowałam zwalczyć rozczarowanie. Potem, jakby tych wszystkich zmian było mało, samochód wrócił do przemysłowej części miasta, a za oknem ponownie pojawiły się nędza i ubóstwo. Dostałam zawrotów głowy i mdłości, serce waliło mi jak oszalałe, a kiedy samochód zajechał przed rozpadający się budynek, który kiedyś służył za sklep, niemal zemdlalam. John nachylił się i wyszeptał mi do ucha:

- No chodź, Barbaro. Kochamy się. Tylko to się liczy.

Przygryzłam wargę, żeby powstrzymać łzy. Na szczęście J.R. i Carrie odwrócili wzrok. „Czy istotnie tylko to się liczy?” - pomyślałam. „Czy miłość wystarczy?” Skoro mnie kochał, dlaczego w tak ważnym dniu oczekiwał, że zaakceptuję łamanie kolejnych obietnic? Z perspektywy czasu widzę, że jego argumenty były elementem stosowanej przez niego od początku przemocy słownej.

- Nie będzie obrączek, kwiatów, ładnej kaplicy, rodziny, przyjaciół, nawet komendanta? - jęknęłam.

John wziął mnie za rękę.

- Kocham cię i niebawem będziemy małżeństwem, jeśli tego chcesz.

- Oczywiście, że tego chcę. Ale tutaj? W ten sposób? To w niczym nie przypomina naszych pięknych planów.

- Możemy wszystko odwołać - przerwał mi ostro, przyjmując wyprostowaną, wojskową pozycję. - To bardzo proste. Ale zawieziemy wiele osób.

- Dobrze, dobrze - ustąpiłam, ponieważ w tej chwili obudziła się odpowiedzialna Barbara, gotowa dbać o uczucia wszystkich, tylko nie o własne. - Zróbmy to.

Gdy wysiadłam, w drzwiach sklepu pojawił się mężczyzna w średnim wieku, który poprawiał kołnierzyk swojej pstrokatej, rozpiętej u góry koszuli.

- *Señor Perry?*

- *Si.* - John przeszedł z tyłu samochodu i wyciągnął do niego dłoń. - *Señor Sánchez!*

- *Si* - odpowiedział *mężczyzna.*, energicznie potrząsając dłonią Johna i obejmując go jednym ramieniem. Zaczęli rozmawiać po hiszpańsku i weszli do sklepu. Gdy wchodziliśmy za nimi, napotkałam wzrok Carrie. Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się bez entuzjazmu. Delikatnie ścisnęła moją dłoń, jakby chcąc mi powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale kiedy rozejrzałam się po posępnym wnętrzu, ogarnęła mnie rezygnacja. Z niesmakiem przyglądałam się ciemnym panelom, zasłonom z luźnego splotu w kolorze awokado, wytartemu linoleum, szaremu metalowemu biurku i sędziemu pokojowi, który - jak się wydawało - nie mówi po angielsku.

- Musimy wypełnić te papiery - powiedział John, podchodząc do małego stolika z forniru.

Ostrożnie usiadłam na jednym z pomarańczowych plastikowych krzeseł. John podał mi dokumenty i usiadł naprzeciwko.

- Gdzie ten twój aparat? - zapytał J.R.

Szukałam go ręką w torebce, jednocześnie czytając rozłożone przede mną papiery.

- Wszystko jest po hiszpańsku! - wykrzyknęłam, podając J.R. aparat.

- Nie martw się - powiedział John. - Musisz tylko podpisać tu... tu... i tu.

Jeżeli jest coś, przy czym zachowuję szczególną ostrożność, to podpisywanie wszelkich dokumentów. Zawsze pilnuję, żeby przeczytać każde słowo. Tym razem, mając za sobą zaledwie jeden semestr nauki hiszpańskiego, wiedziałam, że to niemożliwe. Zrozumiałam tylko, że jest to akt ślubu. W tekście zauważyłam imię swoje i swojej matki. Musiałam zaufać Johnowi, że wszystko jest w porządku. Podpisałam, gdzie wskazał.

- Uśmiech - powiedział J.R., gdy ustawił nas do pierwszego zdjęcia w tej ponurej scenerii. Odpowiedziałam jednym z moich najszcześniejszych uśmiechów, zdając sobie sprawę, że mimo wszystko jest to dzień mojego ślubu.

Señor Sanchez kazał nam stanąć przed szarym biurkiem - pan młody po prawej stronie, panna młoda po lewej. „Cóż, przynajmniej coś jest zgodne z tradycją” - pomyślałam. John wyglądał jak prawdziwy żołnierz - wyprostowane plecy, wypięta pierś, uniesiona broda, na klapie marynarki skrzydła pilota. Byłam dumna, że stoję obok niego i że za chwilę zostanę jego żoną.

John i ja, bez kwiatów i obrączek, spleśliśmy palce. Señor Sanchez zaczął czytać po hiszpańsku z małej wysłużonej książeczki. W pewnej chwili przerwał i kiwnął głową w stronę Johna, który spojrzał na mnie z miłością i zdecydowanym tonem oznajmił:

- Tak.



Sędzia ciągnął przez chwilę, po czym przerwał i popatrzył na mnie. Doszłam do wniosku, że teraz moja kolej, więc spojrzalam mu w oczy, uśmiechnęłam się i powiedziałam:

- T a k .

Señor Sanchez odczytał jeszcze kilka fraz, po czym zamknął książkę, uśmiechnął się i pokazał nam, że mamy się pocałować. Nie puściliśmy swoich dłoni, pan młody nie objął panny młodej, nie było namiętnego pocałunku, tylko delikatne muśnięcie ust, gdy wspierałam się na palce, by sięgnąć jego warg, tak jakby miało to podkreślić powagę kroku, który właśnie podjęliśmy. Rozpleliśmy dłonie i odwróciliśmy się do J.R. i Carrie.

- Gratulacje, panie i pani Perry - powiedzieli chórem.

„Pani Perry” - podobało mi się to zestawienie. „Pani Perry”.

- A teraz chodźmy kupić pierścionek i kwiaty - powiedział mój mąż.

Wyszliśmy z brzydkiego biura i z powrotem usiedliśmy na tylnym siedzeniu. Wtuliałam się w objęcia Johna. „Pani Perry” - jak to pięknie brzmi. Ceremonia ślubu może nieco mnie rozczarowała, ale byłam teraz panią Perry - żoną admirała.

Dziś pytam jednak samą siebie - jakim kosztem? Co doprowadziło mnie do tego, że zaakceptowałam tak ponurą sytuację? Sądzę, że w głębi duszy czułam, iż nie zasługuję na miłość. Przystałam na to małżeństwo z desperacji i lęku przed odrzuceniem. Potrzebowałam Johna, by uratował mnie przed przeraźliwą samotnością, która doskwierała mi, zanim pojawił się w moim życiu. Byłam inteligentną kobietą, lecz rozchwianą emocjonalnie, a John doskonale wiedział, jak manipulować mną, by dostać to, czego chce. Byłam jego

kurą znoszącą złote jajka - mogłam zapewnić mu styl życia, jakiego pragnął, co stawia sobie za cel każdy psychopata. Tak więc mimo że ślub ani na jotę nie przypominał tego z moich snów, odłożyłam na bok swoje marzenia o bajce i zgodziłam się na plany Johna - a wszystko to z uśmiechem na twarzy.

\* \* \*

W małym sklepie jubilerskim w centrum miasta wybrałam drobny ciemnoniebieski szafir osadzony w skrzyconej obrączce ze złota. Był to jeden z niewielu pierścionków, których cena mieściła się w granicach naszych możliwości. John zapłacił i wsunął go do kieszeni. Usłyszałam pięć uderzeń zegara.

- Mamy rezerwację w La Escondido na 17.30 - powiedział i wyprowadził mnie przez drzwi. - Chodźmy, Kopciuszk. Kwiaty kupimy w restauracji.

Mimo wesołego przekomarzania się, byłam skołowana. Moje myśli wciąż wypełniały obrazy z dzisiejszego dnia. Próbowałam wyrzucić z głowy wspomnienie obrzydliwego budynku i małego człowieka mówiącego po hiszpańsku, ale kiedy zajechaliśmy na pusty parking, nie mogłam się powstrzymać.

- Skoro to takie popularne miejsce, gdzie są samochody?

Czekaliśmy tam, pod dużym portykiem pokrytym jaskrawoczerwonymi bugen willami, a John wszedł do środka. Kilka minut później podbiegł do wozu z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Otwierają za dziesięć minut. Jesteśmy trochę za wcześnie, ale stwierdzili, że państwo młodzi mogą wejść na drinka - dodał, puszczając do mnie oko.

Zawsze staram się skupić na najlepszych stronach każdej sytuacji. Dotychczasowe wydarzenia tego dnia stanowiły pod tym względem nie lada wyzwanie. Gwoździem programu miała być nasza weselna kolacja. Z całego serca pragnęłam, żeby wszystko się udało.

Gdy szliśmy do stolika okazało się, że moje pozytywne nastawienie się sprawdziło. Znaleźliśmy się bowiem w ekskluzywnym klubie z kabinami obitymi skórą w kolorze czerwonego wina, migoczącymi świecami, białymi obrusami i świeżymi kwiatami. Potrzebowałam tego romantycznego nastroju bardziej, niż do tej pory sądziłam.

- Poprosilem, żeby posadzili nas obok kapeli - uśmiechnął się John. - Chcemy przecież zatańczyć nasz ślubny taniec, prawda? Zamówilem też butelkę szampana.

Wieczór zapowiadał się coraz lepiej. Kiedy już usiedliśmy z szampanem, J.R. ogłosił:

- Z tego co wiem, drużba powinien wznieść pierwszy toast.

- Och, chwileczkę - powiedziała, grzebiąc w torebce. Wyjęłam aparat i położyłam na stoliku. - Musimy mieć zdjęcia.

Wszyscy zachichotaliśmy i unieśliśmy kieliszki.

- Zdrowie Barbary i Johna: w bogactwie i w ubóstwie, w zdrowiu i w chorobie, póki śmierć ich nie rozłączy.

John i ja spleśliśmy ramiona i pociągnęliśmy łyk z kieliszków. Aparat błysnął fleszem.

- Nie mówmy o śmierci. - Skrzywiłam się. - To jeszcze daleko.

John odstawił kieliszek i wsunął rękę do kieszeni płaszcza.

- Myślę, że już wystarczająco długo na to czekałaś - powiedział. - Czas na ceremonię z pierścieniem. - Wziął moją lewą

dłoń. - Trochę nie wedle ustalonej kolejności, ale co tam, lepiej późno niż wcale.

Zachichotał z własnego dowcipu. Nie wypilałam jeszcze tyle, żeby się roześmiać, ale zdobyłam się na uśmiech.

John długo mówił o swojej miłości. Skończył słowami:

- Tym pierścieniem cię zaślubiam.

Wsunął mi go na palec i ponownie rozbłysnął flesz aparatu. Poczulałam, że promienieję. Tym razem to nie była kwestia szampana. Czułam się kochana przez tego mężczyznę... mojego męża.

Restauracja prędko zapełniła się dobrze ubranymi klientami, którzy przyszli zabawić się w sobotni wieczór. Kiedy podeszła do nas dziewczynka z koszykiem kwiatów, John wybrał dwa największe bukietki z orchidei.

- Białą dla panny młodej i purpurową dla drużyny.

Kiedy już przypiął mi mój, zbliżyliśmy czoła, patrząc sobie w oczy z uśmiechem, jaki może gościć tylko na twarzach zakochanych. Błysk flesza i chwila ta została uwieczniona. J.R. doskonale spisywał się jako kronikarz tego wyjątkowego dnia. Kapela zaczęła grać marsza weselnego. Skąd wiedzieli? John posłał mi pytające spojrzenie, wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Widać wróble ćwierkały już o tym na dachu - powiedział.

Wstaliśmy za naleganiem lidera kapeli, który ogłosił, że następna piosenka będzie naszym weselnym tańcem. Gdy wirowaliśmy po parkiecie, poczułam, jak ogarnia mnie euforia. Publiczność klaskała. Uwaga wszystkich skupiała się na nas. Wcześniejsze doświadczenia tego dnia ulotniły

się. Byłam księżniczką na balu i właśnie poślubiłam swojego księcia.

W apartamencie dla nowożeńców założyłam białą koszulkę, którą Debbie dała mi na wieczorne panięskim. Przybrałam pozę, patrząc w lustro nad kominkiem, by pokazać głębokie wycięcie na plecach. Flesz błysnął po raz ostatni tamtego wieczora.

\* \* \*

Zawsze byłam uparta. Jeśli coś zaprzętało mi głowę, nie spoczęłam, póki tego nie wyjaśniłam, niezależnie od tego, ile czasu miało mi to zająć. Teraz szukałam jakiegokolwiek dowodu, który potwierdziłby opowieści Johna o sobie samym czy też o jego nieobecnej rodzinie. W drodze powrotnej na lotnisko w Los Angeles zatrzymaliśmy się przy misji w San Juan Capistran. Pojawiła się więc okazja, żeby dowiedzieć się czegoś więcej przynajmniej o jednej z historii - tej, którą w myślach nazywałam „Domem Three Arch Bay”. Zaczęłam już wtedy nazywać jego historie, ponieważ było ich wiele i opowiadał je często.

Opracowałam swój plan, kiedy wśród wiekowych kaktusów przechadzaliśmy się po wewnętrznym dziedzińcu misji, kierując się ku starej wieży dzwonnicy, by obejrzeć jaskółki.

- Czy twój dom w Three Arch Bay nie jest gdzieś w pobliżu?  
- spytałam, choć sprawdziłam już mapę na stacji benzynowej, gdy tankowaliśmy przed wyjazdem z San Diego. - Stąd do oceanu jest raptem parę kilometrów.

- Tak - potwierdził John. - Dom jest hiszpański, tak jak ta misja.

Bez żadnej zachęty z mojej strony zaczął ponownie opowiadać o tym, jak to w latach trzydziestych jego ojciec kupił ziemię za grosze i zbudował dom na cyplu, skąd rozciągał się widok na ocean. Ledwo zdążył się wprowadzić, a już Wujek Sam rzucił go w inne strony, więc wynajął dom parze aktorów z Hollywood, Ann Jeffreys i Bobowi Sterlingowi, którzy wciąż tam mieszkali.

- Bardzo chciałabym zobaczyć ten dom. Myślisz, że możemy wpaść tam, tylko na chwilę?

- To doskonały pomysł! - odparł bez wahania.

Gdyby nie był właścicielem domu, powinien się zająknąć, zacząć wycofywać i szukać jakiegoś powodu, żeby nie jechać do Three Arch Bay. Ponieważ jednak tego nie zrobił, poczułam się znacznie lepiej. „Nareszcie otrzymam jakieś namacalne dowody, że jest tym, za kogo się podaje, i posiada to, co twierdzi, że posiada”. Skręciłam tam, gdzie kazał, ale okazało się, że wjazd uniemożliwia stojąca w poprzek ulicy strzeżona brama z kutego żelaza.

- Nie wiedziałem, że to postawili - powiedział zdziwiony.  
- Czyli jednak nie zobaczymy domu.

- Dlaczego nie porozmawiasz ze strażnikiem? - spytałam.  
- Wyjaśnij mu, że jesteś właścicielem tego dużego domu na cyplu.

- Nie.

- Dlaczego nie? To twój dom.

- Nie będę przeszkadzał lokatorom - odparł chłodno.  
- Poza tym nie mam przy sobie żadnego dowodu, a bez tego strażnik nas nie wpuści.

Choć prosiłam i naciskałam, pozostał niewzruszony. Po prostu uparł się, że tego dnia tam nie wejdziemy. Zawróciłam samochód i ruszyłam w górę wybrzeża. John najwyraźniej wyczuł moje rozczarowanie.

- Zjedź na bok, o tutaj - powiedział, wskazując na piaszczysty zjazd. - Stąd widać dach domu.

Aby choć w minimalnym stopniu zaspokoić potrzebę otrzymania namacalnego dowodu, zaparkowałam samochód i wyjęłam aparat. Zrobiłam zdjęcie domu, a właściwie dachu domu, który - jak wierzyłam - należał do Johna i jego siostry Lydii. W głębi duszy pragnęłam, żeby opowieści mego męża nie były tak trudne do zweryfikowania.

Jechaliśmy dalej w górę wybrzeża, rozmawiając - jak to nowożeńcy - o przyszłości i wszystkich wspaniałych doświadczeniach, które nas czekają. Gdy siedzieliśmy już w samolocie, gotowi do startu, zażartowałam:

- Jeszcze jedno. Teraz, gdy jesteśmy po ślubie, możesz załatwić mi identyfikator. Podczas zakupów w magazynie bazy marynarki będę mogła potwierdzić, że jestem żoną admirała.

John złapał moją dłoń i ucałował ją.

- Wszystko dla mojej nowej żony - oświadczył, gdy samolot wznosił się z pasa startowego i ruszyliśmy na północ, w stronę domu i naszego nowego, wspólnego życia.

CZĘŚĆ  
 2  
 WYTRWAŁOŚĆ



## Rozkosz

Słońce schodziło coraz niżej, malując jaskrawopomarańczowe i purpurowe wstęgi na niebie nad Mexico City. Ja jednak nie potrafiłam cieszyć się pięknem tego zjawiska - nie teraz, nie na tej ulicy, w historycznej, nieco zniszczonej części miasta; nie przed zamkniętym, rozpadającym się kolonialnym kościołem, gdy John łomotał w ciężkie, okute drzwi. Nie, zdecydowanie nie teraz, gdy ulatniały się nasze plany dotyczące ślubu kościelnego, podobnie jak miało to miejsce dwa miesiące wcześniej w przypadku ceremonii cywilnej w Tijuanie.

To było prawdziwe *déjà vu*. Kłębiły mi się w głowie równie koszmarnie myśli jak wtedy. Dlaczego pozwoliłam, żeby John namówił mnie, bym dołączyła do niego pod koniec jego podróży służbowej? Powinniśmy zrobić to w Stanach. Do oczu napłynęły mi łzy, ale starałam się je powstrzymać.

Pragnęłam ceremonii religijnej, błogosławieństwa od Boga, dzięki któremu mogłabym wreszcie poczuć się prawdziwie zaślubiona. Potrzebowałam czegoś więcej niż świstka papieru

zapisanego po hiszpańsku i przysięgi złożonej w obskurnym biurze. Nie byłam już wprawdzie praktykującą katoliczką, ale obecność Boga wciąż stanowiła ważną część mojego życia. Czy to błogosławieństwo było tego warte, skoro przysparzało mi tyle bólu?

Musieliśmy wyglądać dziwnie. Ośmioro elegancko ubranych weselników, stojących na ulicy i szepczących między sobą jak spiskowcy. Adamo i Sophia, meksykańscy partnerzy biznesowi Johna, zgodzili się być naszymi świadkami. Wzięli ze sobą dwójkę swoich dzieci i dwóch współników, ponieważ ich ostatnie spotkanie tego dnia się przedłużyło.

- Nie wiem, co się stało - powiedział John. - Dzwoniłem dwa dni temu i omówiłem wszystko z księdzem.

- W kościele pali się światło - zauważył Adamo.

- Słyszę głosy - dodała Sophia. - Ktoś tam jest.

Ja nie byłam w stanie wydusić z siebie nawet słowa.

John znowu zaczął dobijać się do drzwi i krzyżeć coś po hiszpańsku. Po chwili dołączył do niego Adamo. Drzwi pozostały jednak niewzruszone, łomotali więc jeszcze mocniej. Hałas zwrócił uwagę okolicznych mieszkańców i młodego policjanta, który miał akurat obchód. Podeszedł do Johna i zażądał wyjaśnień. Skuliłam się, ponieważ policjanci zawsze mnie onieśmielali, niezależnie od narodowości.

John prędko wytłumaczył, o co chodzi. Stróż prawa spojrział na mnie i na jego ospowatej twarzy pojawił się uśmiech. Odpowiedziałam uśmiechem i nieco się rozluźniłam. Policjant zaczął uderzać w stare drzwi palką i krzyknął:

- *Policia! Abre la puerta!*

Nic się jednak nie stało. Ponownie zaczął tłuc w drzwi i jeszcze głośniej powtórzył zawołanie. W końcu stare drzwi skrzypnęły i wychynał zza nich starzec o rzadkich siwych włosach.

Policjant powiedział coś do niego, po czym drzwi otworzyły się szerzej. Weszliśmy niepewnie do środka, a funkcjonariusz poszedł w swoją stronę. John klócił się ze starcem, podczas gdy reszta z nas usiadła w ostatniej ławce w oczekiwaniu na wyrok. Kościelny pokręcił głową i wzruszył ramionami, a potem chwiejnym krokiem przeszedł po posadzce z popękanej mozaiki, wzdłuż głównej nawy do prezbiterium.

- Pójdzie po księdza - powiedział John. - Nawet się nie obejrzysz, jak wszystko wyjaśnimy i będziemy mieli nasz kościelny ślub. - Obdarzył mnie jednym ze swoich uśmiechów pod tytułem „wszystko będzie dobrze”, ale nic to nie pomogło.

Słabo oświetlony kościół cuchnął przemijającym czasem - czasem, gdy bogaci wznosili budowle, których współcześni biedacy nie mogli utrzymać. Wyblakła farba płatami odchodziła od sufitu. W powyginanych żelaznych lichtarzach migotały świece wotywny, a poszarpane czerwone zasłony przesłaniały rzeźbione wejścia do konfesjonałów. Ogarnęło mnie uczucie takiego rozczarowania, że aż zabrakło mi tchu. Musiałam natychmiast wyjść na świeże powietrze. Chciałam być sama.

Wybiegłam za drzwi i stanęłam na rogu ulicy, w rozproszonym świetle latarni, spoglądając za siebie na stary kościół. Wciąż trzymałam ślubny bukiet. Wolną dłonią otarłam łzy, które popłynęły mi po policzkach. Byłam szlochającą panną młodą, żalosaną postacią w długiej do ziemi sukni z woalem - miała za długie rękawy, była w kolorze kości słoniowej, ozdobiona

koronką w tym samym kolorze przy kołnierzu, na nadgarstkach i na skraju. Gapili się na mnie mężczyźni i kobiety, gapily się dzieci i psy, a ja wcale się tym nie przejmowałam.

Powinłam była zwrócić uwagę na sygnały ostrzegawcze, które pojawiły się tego dnia. Najpierw w hotelu wysiadł prąd. Potem nie dojechały kwiaty i musieliśmy w pośpiechu szukać kwaciarni, żeby kupić na ostatnią chwilę bukiety do butonierek.

Z kościoła wyszła Sophia, a za nią reszta naszej grupy. John podszedł i objął mnie, ale się nie uśmiechał.

- Rozmawiałem z księdzem - powiedział. - Zmienił zdanie co do udzielenia nam ślubu, więc wszystko odwołał. Twierdzi, że dziś rano zostawił nam wiadomość w hotelu.

- Ale nie otrzymaliśmy jej. Dlaczego się wycofał?

John przytulił mnie mocniej. W jego ramionach zdołałam się odrobinę odprężyć.

- Powiedział, że mimo wszystko ma problem z udzieleniem ślubu rozwódce.

- Co! - Cała zeszywniałam i cofnęłam się z objęć męża.  
- Jak mógł? Mamy przecież list od pastora z Concord.

Złapałam swoją torebkę, którą trzymała Sophia, i zaczęłam w niej grzebać, aż wyciągnęłam pomiętą kopertę. Podniosłam ją wysoko.

- A co z tym? To się nie liczy?

Zanim wyjechaliśmy w tę podróż służbową, Sophia ostrzegła nas, że możemy potrzebować listu od amerykańskiego kapłana ze zgodą na to, by rozwódka mogła wziąć ślub kościelny. Na szczęście udało nam się znaleźć pastora Kościoła prezb-

teriańskiego w Clayton. Rozumiał, czemu moje pierwsze małżeństwo się rozpadło; zdrady męża doprowadziły do przepaści między nami, której nie można było już dłużej tolerować. Tak więc napisał list.

- Powiedziałem mu o liście - ciągnął John. - Nic go to nie obchodzi. Stwierdził, że nie chce przykładać ręki do związku zawartego w grzechu.

- W grzechu? Nie jestem grzeszna. - Zamilkłam, by pojąć te słowa. - Och nie, to moja wina, że nie możemy zrobić tego w Meksyku - zaczęłam zawodzić. - Czuję się jak kobieta upadła.

Przez nauki Kościoła katolickiego, które wpajano mi za młodu, zrodziło się we mnie olbrzymie poczucie winy. Kościół odmówił mi dostępu do sakramentów w domu, więc ślub kościelny nie był tam możliwy. Teraz, w innym miejscu, ta sama historia rozgrywała się na nowo.

Byłam niepokieszona, gdy wszyscy wsiedliśmy z powrotem do taksówek, które czekały cierpliwie na finisz awantury. W hotelu Chapultepec zebraliśmy się przy barze, a mój ponury nastrój udzielił się wszystkim. Postanowiłam utopić smutki w alkoholu.

- Poproszę dwie podwójne margarity - bąknęłam.  
- Z lodem.

Kiedy podano drinki, John uniósł swój kieliszek w toaście.

- Zdrowie mojej panny młodej - powiedział z uśmiechem.

Ponownie wznosił kieliszek i wypił zdrowie Adamo i dwóch biznesmenów, którzy wciąż nam towarzyszyli. W końcu spojrzął na mnie.

- Będziemy mieli naszą kościelną ceremonię, zanim wrócimy do domu.

Nachylił się i pocałował mnie w słone, zalane łzami wargi. Jednym haustem wychyliłam pierwszego drinka.

- Chcę mieć zdjęcie tej chwili - powiedziałam. - Gdzie mój aparat?

To cała ja. Cokolwiek dzieje się w moim życiu, chcę to uwiecznić, nawet jeśli nie są to najszcześniejsze momenty.

- O mój Boże! - wykrzyknął John. - Położyłem go na ławce w kościele. W tym zamieszaniu zapomniałem go zabrać. Zaraz wracam.

Zerwał się na równe nogi i pobiegł po taksówkę. Normalnie byłabym zła, że ktoś tak lekceważąco traktuje jedną z najcenniejszych rzeczy, jakie posiadam. Teraz tylko się uśmiechnęłam, rozsiadłam się w miękkim fotelu barowym, zaczęłam saczyć drugiego drinka i popadłam w błogi stan nieświadomości, mając tylko nadzieję, że niebawem uda nam się stworzyć szczęśliwe wspomnienie ślubu kościelnego w Mexico City.

\* \* \*

Kilka dni po powrocie urządziliśmy imprezę dla rodziny i przyjaciół. Spodziewali się przyjęcia bożonarodzeniowego, gdy tymczasem było to nasze wesele. Utrzymywaliśmy to w tajemnicy, żeby nikt nie czuł się zobowiązany przynosić prezentu.

Stworzyliśmy historyjkę pod tytułem „Ślub w Mexico City” i John zabawiał gości, opowiadając o tym, jak to w końcu udało nam się znaleźć mówiącego po angielsku księdza, który udzielił nam ślubu w kościele ewangelickim. Ta ceremonia uspokoiła

mnie i usatysfakcjonowała. Kościół znajdował się w zamożniejszej części miasta i był przystrojony świeżymi bożonarodzeniowymi wieńcami z gałązek sosny, czerwonych kokard, gwiazd betlejmskich i długich białych świec.

John uniósł moją lewą dłoń, by pokazać pierścionek z zielonymi kamieniami półszlachetnymi, który wsunął mi na palec podczas ślubu kościelnego. Wydawało mi się, że wyglądał zdecydowanie zbyt męsko. Ale ponieważ wykonał go ponoć kuzyn mojego męża, zatrzymałam te myśli dla siebie.

- To małżeństwo jest skazane na przetrwanie - powiedział John z błyskiem w oku. - Braliśmy ślub już trzy razy.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Jedliśmy chińskie potrawy przywiezione z San Francisco, pokroiliśmy duży, trzypiętrowy tort weselny, a George i Ted zdmuchnęli świeczki na wspólnym torcie urodzinowym. Po wyjściu ostatnich gości złapałam za worek z pocztą, która nagromadziła się podczas naszej nieobecności. Ponieważ przygotowania do imprezy trwały do ostatniej chwili, dopiero teraz miałam okazję zerknąć na listy.

- Daj mi to - powiedział John. - Odpręż się, a ja je posortuję.

Usiadłam na ceglany palenisku, obok trzaskającego wesoło ognia, i patrzyłam, jak mój mąż szybko rozkłada stosiki na stoliku przed kanapą. Rachunki, reklamy, kartki świąteczne i... sześć zwróconych zaproszeń na wesele. Wysłaliśmy je w połowie listopada, by ogłosić nasz ślub w Tijuanie. Złapałam szybko za tę kupkę i pod pieczętką z napisem „Adresat nieznanym” przeczytałam imiona dzieci Johna, jego babci i siostry. Moją twarz wykrzywił grymas niezadowolenia.

-John, co się stało? Źle zapisałeś wszystkie adresy?

Wstał z kanapy, usiadł obok mnie i wyjął koperty z moich drżących dłoni.

- Nie, adresy są w porządku - westchnął. - Wczoraj rzuciłem okiem na pocztę. Kiedy zobaczyłem te koperty, zadzwoniłem do babci. To samo co zwykle: powiedziała, że cała rodzina jest wściekła z powodu naszego ślubu. Wiesz, cała ta gadka o tym, że jesteś pazerna i pochodzisz z nizin.

Potrząsnęłam głową.

- Żałuję, że ich tu nie ma. Mogliby obiektywnie ocenić sytuację. Dlaczego nie mogą zaakceptować mnie, tak jak moja rodzina i przyjaciele zaakceptowali ciebie?

Wzruszył ramionami. Nie mógł powiedzieć nic ponad to, co powiedział już w ciągu jednej z naszych rozmów pod tytułem „Dlaczego oni mnie nie lubią?”. Ale teraz byliśmy już po ślubie. Czemu nie mogli cieszyć się naszym szczęściem? Wiedziała, że coś mi umyka, ale nie wiedziała co. Może bałam się prawdy, bałam się tego, że zniszczy ona szczęście, które rzekomo znalazłam, albo że nieodwracalnie odmieni mój związek z Johnem. Nie mogłam ryzykować. Tak więc zostawiłam ten problem bez rozwiązania, pozwalając, by przysparzał mi kolejnych zgrzyot.

John położył mi dłonie na ramionach i spojrzał głęboko w oczy.

- Pewnego dnia zrozumieją, jaka jesteś wspaniała. Musimy być cierpliwi.

\* \* \*

Trzy tygodnie później wyjechaliliśmy na Hawaje, by cieszyć się naszym spóźnionym miesiącem miodowym. Lecieliśmy pierw-



szą klasą, a potem zameldowaliśmy się w świeżo wyremontowanym hotelu Moana, jednym z pierwszych hoteli na Waikiki Beach. Wyglądał dokładnie tak jak na czarno-białych pocztówkach w lobby. Brakowało tam klimatyzacji, ale nie stanowiło to dla nas żadnego problemu. Byliśmy zakochani, mimo naszego wieku promienieliśmy aurą nowożeńców, którym wszystko wydaje się wspaniałe. Zawieszony pod sufitem wiatrak rozwiewał tropikalne powietrze pachnące oceanem. Nastrój romantyzmu był wręcz hipnotyzujący.

W niedzielę po południu spacerowaliśmy bulwarem przy plaży, trzymając się za ręce, zaglądając do sklepów z pamiątkami i galerii sztuki. Zatrzymaliśmy się przy oknie Center Art Gallery.

- Och, spójrz na ten oryginalny obraz Reda Skeltona - powiedziałam. - Wejdzmy, uwielbiam jego klaunów.

Red Skelton był ikoną komedii dwudziestego wieku. Karierę zaczynał w wodewilu w 1928 roku, po czym przeniósł swój talent do świata kina i telewizji. Kiedy mój ojciec w końcu się poddał i w 1957 roku kupił telewizor, zbieraliśmy się wszyscy przed ekranem, na którym Red przedstawiał dobrą, odpowiednią dla całej rodziny komedię. Wyznaczył standardy w branży komediowej na kolejne dwadzieścia lat.

Ledwo weszliśmy do galerii, a już zbliżył się do nas wysoki, szczupły mężczyzna z siwymi kręconymi włosami. Spod jego rozpiętej koszuli połyskiwały złote łańcuszki. Był to Isaac Rosen, przedstawiciel do spraw klientów. Kiedy mój mąż przedstawił się jako „admiral Perry”, oczy Isaaca rozbłysły, uśmiechnął się jeszcze szerzej i energicznie potrząsnął dłonią Johna. Poczulałam się jak rybka, wokół której krąży rekin. Chciałam uciec.

- Przyglądaliśmy się olejowi Skeltona na wystawie — powiedział John.

- Doskonały wybór. To prawdziwa okazja, jedyne *sześćdziesiąt* tysięcy dolarów.

Przysunęłam się bliżej Johna i dźgnęłam go łokciem w zębra.

- Trochę to dla nas za dużo - oznajmiłam z uśmiechem.

Otworzył usta, ale ponownie uciszyłam go za pomocą łokcia.

- Pozwolą państwo, że pokażę jego pastele - ciągnął Isaac bez zająknięcia. Przeszliśmy dalej w głąb bogatej galerii, mijając jeszcze kilka oryginalnych obrazów olejnych Skeltona, aż do bocznego pomieszczenia.

- Oto rysunek, który wykonał w zeszłym roku na serwetce linii lotniczych. Klaun włóczęga. Kosztuje tylko siedem i pół tysiąca.

Przelknęłam głośno ślinę. Wstydziłam się przyznać, że nawet na to nie było nas stać. John natomiast podjął temat bez jakichkolwiek oznak zmieszania.

- Całkiem niezłe - ocenił, a gdy jeszcze raz dyskretnie go szturchnęłam, zignorował mój sygnał. - To naprawdę wyjątkowy rysunek, i do tego ta fascynująca historia z serwetką. - Objął mnie i czule przytulił. - Barbaro, w salonie wyglądałby doskonale. Pomyśl tylko, stałabyś się właścicielką oryginalnego Reda Skeltona.

Próbowałam uprzejmie odmówić, raz po raz czyniąc aluzje do faktu, że jesteśmy nowożeńcami i ledwo wiążemy koniec z końcem. Oczywiście nie mogłam wyznać Isaacowi prawdy: że zadłużenie na kartach kredytowych ponownie zbliżało się do limitu, a gotówki ledwo starczało na opłacenie podstawo-

wych rachunków. Czek za zlecenie Johna znowu się spóźniał. Wiedzieliśmy, że ledwo zapłacimy za miesiąc miodowy. Dzięki promocji, którą otrzymaliśmy, gdy zeszłej jesieni lecieliśmy do San Diego, przynajmniej bilety lotnicze kosztowały nas niewiele. Isaac nie słuchał albo mnie ignorował.

- Nie ma problemu - przekonywał. - Możecie założyć tysiąc pięćset, a resztę spłacać ratami, gdy tylko będziecie mogli. Prześlemy go wam pocztą, gdy uścicie całą należność.

- Swój człowiek - powiedział John. - Ktoś, kto myśli na bieżąco. Damy radę.

Skrzywiłam się i powoli wciągnęłam powietrze. Isaac zauważył sygnał.

- Zostawię was samych - oznajmił dyplomatycznie.  
- Będę w biurze.

Staliśmy w Center Art Gallery i szeptem dyskutowaliśmy o naszej sytuacji finansowej. Próbowałam przekonać Johna, że ugoda w sprawie kradzieży wystarczająco nadszarpnęła nasze finanse. On starał się przekonać mnie, że poradzimy sobie z opłatami za obraz. Chciałam, by zrozumiał, że to właśnie z powodu fiaska z kradzieżą Vestico spóźnia się z wypłatą, jak powtarzał mi od sześciu miesięcy. Odparł, że ma nowe stanowisko w Geminie i że teraz czekał będzie dostawał od nich.

Odwróciłam się do niego plecami. Nie mogłam wydusić słowa i bałam się, że dyskusja przybierze zły obrót: on podnieśnie głos i znów zaczniesz grozić odejściem. Gdzie podziła się ta niezależna kobieta, za którą się kiedyś uważałam? Lęk otoczył mnie niczym mgła i zaćmił mi umysł. Bardziej przerażające było to, że pokrętna argumentacja Johna brzmiała coraz logiczniej.

Ustałam. Sięgnęłam do torebki, odwróciłam się i wręczyłam mężowi swoją kartę kredytową.

- Nie będziesz tego żałować - powiedział, czule klepiąc mnie po pośladkach.

Gdy siedzieliśmy w biurze i podpisywaliśmy papiery, John podzielił się z Rosenem kilkoma opowieściami o swoich dokonaniach. Niebawem zaczął chęlnie się kolejną częścią naszego miesiąca miodowego, pobytem na Molokai.

- Pokażę Barbarze moją plażę - powiedział.

Postawiłam oczy w ślup.

-Jaką plażę?

- To taka mała niespodzianka.

- Jest pan właścicielem działki na Molokai? - ożywił się Isaac. - Z widokiem na Oahu? Wspaniale. - Nachylił się i oparł łokcie o biurko. - Proszę opowiedzieć mi coś więcej.

John odchylił się na ratanowym krześle, krzyżując wyciągnięte nogi, i z przesadną gestykulacją zaczął opowiadać historię pod tytułem „Ojciec kupuje kawałek plaży na Molokai”. Powiedział nam, że kontradmirał Perry kupił ten teren, kiedy stacjonował na Hawajach, tuż przed Pearl Harbor. W tamtym czasie ziemię mogli nabyć tylko ludzie, w których żyłach płynęła hawajska krew, a on był w jednej ósmej Hawajczykiem (nigdy nie pojęłam w jaki sposób). Po śmierci ojca odziedziczył plażę, a jego siostra inną nieruchomość.

- Po raz pierwszy słyszę tę historię - zdziwiłam się.

- Nie mogę mówić ci wszystkiego, prawda? - Uśmiechnął się szelmowsko.

- Nasza własna plaża... Możemy zbudować tam dom na emeryturę, z ogromnym gankiem. Widzisz to? - powiedziałam i rozpostarłam dłonie. - Z jednej strony ganku będziesz mógł spisywać historię swojego życia, z drugiej ja mogę zająć się malarstwem, a wszystko przy akompaniamencie fal rozbijających się o brzeg.

Na myśl o tym nie mogłam usiedzieć w miejscu. Od tego momentu kurczowo trzymałam się tego marzenia.

- Powinien pan napisać książkę, admirale - rzucił Isaac.  
- Zdaje się, że miał pan niezwykle bogate życie.

- Cóż, wiele osób mi to mówi - przyznał John, splatając ręce na brzuchu.

- Hm, chyba mógłbym dodać coś do pańskiej książki - powiedział Rosen. - Może przyjadą tu państwo na Wielkanoc, żeby poznać Reda Skeltona? Będzie tu na specjalnym pokazie w galerii.

- Poznać Reda Skeltona? - zająknęłam się. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Znany człowiek, ktoś, kogo podziwiałam. Prędko jednak wróciłam na ziemię. - Chcielibyśmy, ale...

- Będę zaszczycony, jeśli zatrzymają się państwo u mnie - powiedział Isaac. - W ten sposób uda się zaoszczędzić trochę pieniędzy, no i lepiej się poznamy. Mój dom to tylko odnowiona chatka na Kahala Avenue, zaraz za Diamondhead, ale po drugiej stronie drogi rozciąga się plaża.

Czyżby Isaac wyczuł, że miałam właśnie zgłosić kolejny sprzeciw związany z finansami? A może sądził, że mój podziw dla Reda zagłuszy wszelkie wątpliwości? W każdym razie

przedstawił korzystną ofertę i podziałało.

- Poznam Reda Skeltona - zachichotałam. - Jestem księżniczką, a to moja prawdziwa bajka.

- Chętnie przyjedziemy - powiedział John. - To będzie uroczy weekend.

Gdy wychodziliśmy z biura, włożyłam dłoń do torebki.

- Isaac, czy mógłbyś zrobić nam zdjęcie z obrazem?

## *Błóchna*

Trzy miesiące później znaleźliśmy się z powrotem w Center Art Gallery, szukając naszego pastelu na serwetce pośród wszystkich dzieł Reda rozwieszonych na ścianach na piętrze. Spotkanie z artystą miało nastąpić za parę chwil. Wszystko było przygotowane. W rogu stały dwa czerwone fotele reżyserskie. Na jednym widniał biały napis „Red Skelton”, na drugim „Pani Skelton”.

Nie mogłam się opanować.

- Myślisz, że dobrze wyglądam? - spytałam Johna po raz setny.

Przez ostatnie miesiące zamartwiałam się, co założę na dwa przyjęcia, na których mieliśmy się spotkać z Redem Skeltonem. Wpajanie oszczędności bowiem to część wychowania w rodzinach robotniczych. W końcu, odrzucając troski finansowe, poszłam do sklepu z drogimi ubraniami, w którym nigdy nie robiłam zakupów. Miałam nadzieję, że moja czarna sukienka koktajlowa i złote dodatki pasują na tę okazję.

- Jesteś tu najpiękniejszą kobietą - powiedział.

- Ty też jesteś niczego sobie - odparłam, bo nie miałam co do tego wątpliwości. Był wysoki, wyprostowany, biła od niego aura światowca. Imponował mi, ale dziś budził również moje współczucie. Ponownie musiał założyć kołnierz ortopedyczny. Wciąż cierpiał po wypadku, który miał miejsce, zanim się poznałiśmy. Lekarze nie zdołali mu pomóc. Ulgę mogły mu przynieść tylko leki przeciwbólowe i kołnierz. Widziałam jednak, że dziś ani jedno, ani drugie nie pomaga, bo gdy rozglądał się po galerii, od czasu do czasu twarz wykrzywił mu grymas bólu.

- Znalazłem. Tam, na bocznej ścianie.

Żwawo podreptaliśmy w tamtą stronę, jak dwoje dzieci, które spieszą się, żeby wejść do Disneylandu.

- O rany - powiedziałam. - Spójrz. Obok jest karteczka z napisem: „Z prywatnej kolekcji Kontradmirala Perry ego i Jego Żony”. To takie... takie...

Poczułam, jak do oczu napływają mi łzy. Jestem bardzo uczuciową osobą: płaczę na ślubach, płaczę na pogrzebach. Wzruszam się w chwilach smutku i radości, a ta chwila zdecydowanie należała do najbardziej ekscytujących w moim życiu.

- Nie wiedziałem, że zostaniemy publicznie uhonorowani - zdziwił się John, obejmując mnie ramieniem. - Powiedz, cieszysz się teraz, że założyliśmy pieniądze za ten obraz?

Przytaknęłam.

Podszedł do nas Isaac Rosen, uśmiechnięty, doskonały gospodarz. Był tak miły, że pozwolił nam u siebie zamieszkać i dokładał wszelkich starań, byśmy czuli się wyjątkowymi gośćmi.

- Mówilem, że mam dla was małą niespodziankę - powiedział. - Pomyślałem, że spodoba wam się ta tabliczka. A swoją



drogą, przed chwilą przyszli wasi znajomi. Chyba są jeszcze na dole - dodał i przeprosił nas, żeby zająć się innymi gośćmi, którzy być może chcieliby coś kupić. - Nie zapominajcie, wszystko bez tabliczki jest na sprzedaż - rzucił z uśmiechem.

Poszliśmy szukać Francine i Patricka. Zobaczyliśmy ich, gdy wysiadali z windy. Pam poznała mnie z Francine, swoją przyjaciółką z dzieciństwa, czternaście lat wcześniej. Kiedy ta wyszła za Patricka, przeprowadzili się na Oahu. Poprzedniego dnia odnaleźliśmy ich i podekscytowani opowiedzieliśmy o wystawie oraz spotkaniu z Redem. Zainteresowało ich to, więc zadzwoniłam do Isaaca, a ten z radością wpisał ich na listę gości.

- Jeszcze raz dziękujemy za zaproszenie - powiedziała Francine. - Zazwyczaj nie przyjeżdżamy na imprezy w Waikiki, są pełne turystów.

Przechadzaliśmy się po galerii, czasem razem, czasem osobno, podziwiając postaci namalowane przez Reda. Byli tam szczęśliwi klauni i smutni klauni; jedni w jaskrawych kolorach, inni w przytłumionych i na białym tle. Wyobraźnia ich twórcy głęboko mnie poruszyła. Poruszyła również Johna, który zatrzymał się przed dużym obrazem przedstawiającym dziwnego klauna, trzymającego w ramionach puszystego szarego kotka i czerwonego klauna z drewna.

- Wygląda jak Freddie - powiedziałam. - Jest cudowny.

Freddie był postacią z pantomimy Reda - uroczym, przezbawnym włóczęgą.

- Chyba masz rację - przyznał John, przysuwając się bliżej. - Na mosiężnej tabliczce jest napisane: „Freddie, kotek i Jack”. Przypomina klauna z naszego obrazu.

- Ale jest dużo droższy - zauważyłam. - Kosztuje osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Znowu zaczęliśmy przechadzać się po galerii.

- Podoba mi się ten, z Clemem Kadiddlehopperem — powiedział John, wskazując na jeden z niewielu obrazów, który nie przedstawiał klauna. Red stworzył prawdziwą skarbnicę postaci, a Ciem byłego nierozgarniętym prostaczkiem.

- Przyjrzyj się bliżej. Wygląda prawie jak autoportret Reda. I kosztuje tylko siedemdziesiąt pięć tysięcy. Rany, kupmy od razu trzy - zaśmiałam się.

Ponownie dołączyliśmy do Francine i Patricka. Zakochali się w dużym szkicu włóczęgi, wykonanym kolorowymi ołówkami, i oniemieli, gdy Isaac powiedział, że ponieważ są naszymi przyjaciółmi, mogą dostać takie same warunki jak my przy zakupie serwetki, czyli założyć wstępną sumę, a resztę spłacać w ratach.

- Widzieliśmy parę olei, które chcielibyśmy nabyć - powiedział John.

Omam się nie zakrztusiłam.

- Och, mówisz o tym Freddie'm za osiemdziesiąt pięć tysięcy i Cierne za siedemdziesiąt pięć? Jasne, John, jeszcze dziś wypiszemy czek. Mamy trochę gotówki na zbyciu.

- Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale chyba wymyśliłem, jak możemy to zrobić. Rozmawiałem już o tym z Isaakiem.

W każdym małżeństwie zdarzają się chwile, gdy jedno z małżonków chwilowo zwariuje i chce sprawić sobie coś absurdalnie ekstrawaganckiego - na przykład obraz za siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Wtedy właśnie drugie powinno być kotwicą, bastionem zdrowego rozsądku i pewnie położyć rękę

na książeczce czekowej. To zadanie należało do mnie. Jeśli jednak rozsądny małżonek choćby przez chwilę się zawaha, pojawią się kłopoty. Próbowałam być kotwicą, ale admirał wypłynął już daleko w morze, tworząc swój zawiły plan finansowy.

- Poproszę Jeremygo, dyrektora generalnego Geminy, żeby wziął od nas obrazy w leasing. Z tych pieniędzy spłacimy raty, a potem wykupimy dzieła. Mogę nawet poprosić babcię o zaliczkę na poczet mojego spadku, jeśli będzie taka potrzeba.

- Masz na myśli tę babcię, której nigdy nie poznałam?

- Nie bądź złośliwa. Porozmawiajmy z Isaakiem.

Złapał mnie za ramię i poprowadził w kierunku biura. Kiedy zniknęliśmy już z zasięgu wzroku Francine i Patricka, zaparłam się i odmówiłam zrobienia kolejnego kroku.

- Te obrazy są cudne, John, ale wciąż mamy problemy finansowe.

- Pozwól, że ja się tym zajmę. Widać, że nigdy nie kupowałaś dzieł sztuki. To solidna inwestycja. Nawet jeśli nie będzie nas stać, żeby je zatrzymać, nic na tym nie stracimy. Możemy ponownie je sprzedać i tylko na tym zyskamy.

To brzmiało sensownie, przynajmniej w pewnym stopniu. Nie należałam do zamożnych kobiet, nawykłych do wizyt w galeriach sztuki. Co ja o tym wiedziałam? To John znał się na kupnie dzieł sztuki. Być może dzierżawa dzieł sztuki nie wiązała się z żadnym ryzykiem; gdyby coś poszło nie tak, to firma Gemina poniosłaby odpowiedzialność. Kiedy znaleźliśmy Isaaca, z pewnymi oporami poszłam za dwoma mężczyznami do biura.

Wyszliśmy stamtąd jako zwycięzcy. Gemina zgodziła się na leasing. Wstępne umowy zostały podpisane. Końcowych ustaleń mieliśmy dokonać po powrocie do domu, ponieważ

firma chciała otrzymać opinię niezależnego rzeczoznawcy przed wysłaniem dzieł. Muszę przyznać, że byłam podekscytowana: w naszym domu miały zawisnąć dwa przepiękne olejne obrazy Reda Skeltona. Nie teraz, ale pewnego dnia.

Isaac zawołał dystyngowanego dżentelmena z przerzedzonymi siwymi włosami, wjasnoblękitnym blezerze, i przedstawił go jako właściciela galerii.

- Państwo kupili dwa oleje Skeltona - oznajmił z uśmiechem.

To brzmiało imponująco. Poczulałam się, jakbym nagle zaczęła się obracać w zupełnie innych kręgach, o wyższym statusie, i jakby nic mnie to nie kosztowało. To niewątpliwie był plus. Zdobycie pieniędzy na pierwszą wpłatę za rysunek na serwetce nastrożyło nam już jednak dość problemów.

Właściciel galerii entuzjastycznie uścisnął nam dłonie i powiedział, że otrzymał właśnie telefon z informacją, iż pan Skelton jest w drodze. Pospieszaliśmy, by znaleźć Francine i Patricka, po czym wszyscy stanęliśmy tak, żeby być jak najbliższej mistrza komedii.

Red wszedł w obstawie dwóch hawajskich ochroniarzy. Wyglądało to tak, jakby podtrzymywali go, prowadząc do krzesła reżyserskiego. Gdy usiadł, zaczął opowiadać dowcipy. Jego charakterystyczny głos wzbudził we mnie dreszcz emocji. Skeleton znajdował się zaledwie trzy metry ode mnie. Nigdy dotąd nie byłam tak blisko VIP-a. Z trudem powstrzymywałam lzy radości.

Właściciel galerii ogłosił:

- Jeżeli zakupili państwo obraz pana Skeltona, proszę go teraz odnaleźć, wziąć ze sobą i ustawić się w kolejce, żeby poznać artystę.

Ludzie rozpierchli się po galerii. Ja poszłam w jedną stronę, John w drugą, Francine i Patrick jeszcze w inną. Gdy znaleźliśmy już nasze zdobycze, spotkaliśmy się w kolejce.

Francine i Patrick podeszli pierwsi. Ona stanęła po lewej stronie Reda i oboje przytrzymali obraz. Zrobiłam zdjęcie swoim nowym 35-milimetrowym aparatem, który kupiłam specjalnie na tę okazję.

Po chwili właściciel galerii zawołał nas i przedstawił Johna jako admirala. Red uśmiechnął się. Stałam po jego prawej stronie, a John po lewej. Właściciel postawił „Freddiego” na sztalugach obok Johna i przytrzymał obraz z Clemem przy mnie. Gdy rozmawialiśmy z Redem, Francine zrobiła nam dwa zdjęcia, odwdzięczając się za przysługę.

Nagle Red przywołał gestem właściciela galerii i wyszeptał mu coś do ucha. Wtedy ruszyli do niego ochroniarze, pomogli artyście wstać i poprowadzili go do windy.

- Pan Skelton jest zmęczony lotem - oznajmił właściciel galerii. - Będą państwo mieli szansę zrobić więcej zdjęć i zdobyć autograf na jutrzejszym prywatnym przyjęciu dla właścicieli i kolekcjonerów obrazów Reda. Dziękuję.

Tłum zaczął się rozchodzić, ale nasza impreza jeszcze nie dobiegła końca. Umówiliśmy się na obiad z Isaakiem, jego współlokatorem i ich dziewczynami. Było nas ośmioro, jedliśmy i piliśmy cały wieczór. Kiedy przyszło do płacenia rachunku, karta kredytowa Isaaca została odrzucona, więc John wyciągnął swój portfel i wyjął naszą.

- Pozwólcie, że zapłacimy - zaproponował.

Skuliłam się na swoim wielkim drewnianym krześle.

\* \* \*

Na przyjęciu spotkaliśmy ponownie Francine i Patricka oraz ich córkę. Była Niedziela Wielkanocna, a ja czułam, jakbym należała do grona pięknych, sławnych i bogatych. Przeszliśmy się po galerii i gdy mijaliśmy długi stół zastawiony przepyszными przystawkami, zobaczyliśmy nasze obrazy, wiszące na swoich pierwotnych miejscach.

- Aż mnie brzuch boli, gdy patrzę najedzenie - powiedziałam.

Zjedliśmy właśnie brunch w tropikalnych ogrodach hotelu Kahala Hilton, niedaleko domu Isaaca, w którym się zatrzymaliśmy. Reklamowano go jako doskonale miejsce na idylliczne wakacje dla sław. Nam udało się zobaczyć Jima Naborsa i Karen Valentine.

Przechadzaliśmy się dalej po galerii. Tego dnia przyszło tam więcej osób, a do spotkania z Redem Skeltonem ustawiła się długa kolejka. Nieopodal artysty siedziała jego żona, Lothian. Miała upięte rude włosy, a jej szyję zdobiło lei<sup>1</sup> z białych orchidei, takie samo jak Reda. Od czasu do czasu podnosiła głowę znad książki, uśmiechając się na widok błazenady swojego męża i jego śmiechu z samego siebie. Wyczułam miłość z domieszką troski.

Nigdy nie bałam się zabierać głosu, ale co we mnie wstąpiło, że podeszłam do niej, by porozmawiać, nie wiem do dzisiaj. Odbyłyśmy cudowną pogawędkę. Opowiedziała mi, jak poznała Reda i, mimo że był od niej znacznie starszy,

<sup>1</sup> Lei - hawajski wieniec zakładany na szyję, zazwyczaj z kwiatów.

w 1976 roku została jego trzecią żoną. Ja opowiedziałam jej o admirałach i o tym, jak znaleźliśmy się na Hawajach. Gawędziłyśmy i śmiałyśmy się jak stare przyjaciółki.

Kiedy Francine, Patrick i ich córka znaleźli się na przodzie kolejki, przeprosiłam rozmówczynię, żeby spełnić swój obowiązek jako fotograf. Francine odwróciła swój obraz, a Red złapał garść flamastrów i kredek. Narysował małego misia i podpisał się pod nim. Odeszli uśmiechnięci.

Następny wielbiciel zamiast obrazu przyniósł egzemplarz książki *Gertrudę and Heathcliffe* z 1971 roku. Red złożył autograf na stronie tytułowej, po czym zmierzył swoje długie ryże włosy i zaczął odgrywać role Heathcliffea i Gertrudę, dwóch zezowatych, sepleniących mew, które wymieniały się dowcipami. Tłum patrzył w zachwyceniu. Im lepiej się bawiliśmy, tym bardziej Red się ożywiał. Był w swoim żywiole, podobnie jak ja. Dzięki admirałowi poznałam żywą legendę.

Red skończył improwizację i zaczął ponownie podpisywać swoje dzieła. Zdałam sobie sprawę, że John i ja nie zdobyliśmy jeszcze jego autografu. Poszłam odnaleźć męża, ale zanim zdążyliśmy zebrać nasze obrazy, Red wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć. Lothian zeskoczyła z krzesła, a ochroniarze natychmiast pomogli mu przejść do windy. Zniknęli w przeciągu minuty. Isaac dostrzegł rozczarowanie malujące się na mojej twarzy.

- Nie martw się - powiedział - zaaranżuję prywatne spotkanie jutro w hotelu Skeltonów.

- Wygląda na to, że oplaca się mieszkać u współnika galerii.

Odprowadzając nas do drzwi, Isaac pokazał nam jedno z najnowszych rzeźb Anthonyego Quinna. Zanim wyszli-

śmy, ustaliliśmy, że do leasingu dla Gemini dodamy hebanową figurkę kobiety za piętnaście tysięcy dolarów. Nawet nie mrugnęłam. Całkowicie pochłonął mnie nowy, fascynujący świat fantazji i iluzji - świat, w którym problemy z pieniędzmi nie istnieją.

\* \* \*

Następnego ranka spotkaliśmy się z Redem i Lothian na werandzie Royal Hawaiian Hotel, zupełnie jak starzy przyjaciele. Isaac przyniósł z galerii nasze dwa oleje. Najpierw załatwiliśmy podpis, a potem usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać. Red wyciągnął ze swojej torby podróżnej pudełko i pokazał nam biżuterię, którą zaprojektował.

Nagle odezwał się mój mąż:

- Wiecie, tuż przed przyjazdem tutaj wzięliśmy w leasing mercedesa 450SL Williego McCoveya.

Red i Lothian wyglądali na zdezorientowanych. Ja oniemiałam.

- Willie McCovey, ten słynny baseballista San Francisco Giants - wyjaśnił John.

- Nie znamy się na Giants - wyznała Lothian. - Jesteśmy fanami Angels.

- Och, mam coś dla was - powiedział Red.

Pogrzebał chwilę w swojej torbie podróżnej, po czym wyciągnął egzemplarz *Gertrudę and Heathcliffe*. Wpisał: „Dla Johna i Barbary. Serdeczne dzięki. Red Skelton” i wręczył mi książkę. Ze wzruszeniem przycisnęłam ją do piersi.

- To będzie mój największy skarb.

Nadal nim jest.



Przed rozstaniem wymieniliśmy się z Lothian adresami. Przez kilka kolejnych lat wysłałyśmy do siebie parę listów i kartek świątecznych. W końcu, jak wszystko, co dobre, to również się skończyło. Ale wtedy przyjaźń płonęła jasnym płomieniem, a ja byłam w siódmym niebie.

Isaac, John i ja ruszyliśmy w krótką drogę powrotną do Center Art Gallery. Nagle Rosen ponownie nas zaskoczył:

- Jesteście zaproszeni na przyjęcie z Anthonyem Quinnem - powiedział. - Odbędzie się pod koniec maja w Marina Del Rey w Kalifornii. Chcecie się z nim spotkać?

- Z Anthonyem Quinnem? Tym Anthonyem Quinnem?

Jeszcze nie ochłonęłam po cudownych wydarzeniach ostatnich dni, a Isaac zaferował właśnie kolejne wspaniałe doświadczenie, kolejny sen. Ale wcześniej John powiedział coś, co wciąż mnie niepokoiło, dlatego nie chciałam podjąć zobowiązania.

Zostawiliśmy Isaaca w galerii i wróciliśmy do hotelu. Nadeszła chwila, żeby zająć się tym, co przeszkadzało mi co najmniej od godziny.

-John, o co chodzi z tym 450SL? Mówiłam ci, kiedy przyjechałeś nim do domu, żeby mi go pokazać, że nas nie stać.

- Takiej okazji nie można przepuścić - odparł. - Poza tym w komplecie jest rejestracja MAC 44. McCovey grał z numerem czterdzieści cztery.

- Nie możemy sobie pozwolić na ten samochód. Musisz go oddać.

Walczyłam sama ze sobą. Czułam, że swoim beztroskim podejściem do finansów zapędził mnie w kozi róg.

- Widzisz, znowu to zrobiłaś - powiedział obrażonym tonem. - Zepsułaś niespodziankę. Wszystko robię źle. W żaden sposób nie mogę cię zadowolić.

Odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku. Robił duże kroki, zupełnie jakby wciąż był w marynarce. Dogoniłam go i złapałam za ramię.

- John, omówmy to. Zaplanujmy dokładnie wszystkie wydatki, zanim zupełnie stracimy kontrolę.

Spojrzał na mnie chłodnym, groźnym wzrokiem. Lśniący błękit zmienił się w zimną stal.

- A po co? Cały czas jest tak samo. Nie chcesz, żebym miał ładne rzeczy. Potrzebuję tego samochodu do pracy, żeby robić wrażenie na klientach i zachować status odpowiedni dla admirała.

Odwrócił się i zaczął odchodzić, kulejąc.

Stałam na chodniku kompletnie oszołomiona. Właśnie przeprowadziliśmy negocjacje w sprawie trzech drogich dzieł sztuki. Czy one nie były wystarczająco ładne? Dlaczego zawsze musiał poddawać mnie takim torturom?

Z powodu stresu kulał jeszcze bardziej - wyglądał żałośnie. Do oczu napłynęły mi łzy, ale powstrzymałam je. To nie był odpowiedni moment. Serce zwyciężyło nad rozsądkiem i zboleła duszą. Musiałam dogonić Johna i powiedzieć mu, że dostanie swojego mercedesa. Znajdziemy jakiś sposób, by go spłacić. Musiałam zapewnić sukces jego przedsięwzięciom biznesowym.

Chciałam też mieć pewność, że John wciąż mnie kocha. Stawką było moje poczucie własnej wartości. W pracy mi na nim nie zbywało - zdobywałam uznanie za doskonale

osiągnięcia. Ale w domu zmieniałam się w zupełnie inną osobę. Zamiast skupić się na własnym życiu, zajmowałam się pomaganiem Johnowi. Sądziłam bowiem, że gdyby nie powiodło mu się w biznesie, świadczyłoby to źle również o mnie. Na domiar złego bałam się upokorzenia spowodowanego fiaskiem. Czułam się winna za każdym razem, gdy wydawałam pieniądze na siebie, ponieważ wydatki męża nie podlegały żadnej kontroli. Kierując się swoim pokrętnym tokiem myślenia, uznałam, że będę dobrą żoną, która stworzyła udane małżeństwo, tylko jeśli zmienię Johna i sprowadzę go na ścieżkę odpowiedzialności finansowej. Któż inny kochał go na tyle, żeby to zrobić? Ale jedynym sposobem, by poprawić swoje domowe poczucie własnej wartości, było zostać z Johnem, a żeby zostać z nim, musiałam mieć pewność, iż wciąż mnie kocha. Czułam wewnętrzny przymus, by trzymać się tego związku - niezależnie od cierpienia, jakiego doznawałam.

Przyśpieszyłam kroku, żeby dogonić Johna.

## *Blues*

Pięć miesięcy później, pewnego słonecznego jesiennego popołudnia, zaparkowałam naszego ciemnoszarego mercedesa 450SL na parkingu Oakland Airport Hilton. Cieszyłam się, że John mnie nie posłuchał, nawet jeśli musieliśmy się nagłowić, by co miesiąc spłacać leasing. Samochód podobał się również Gobiemu, zwłaszcza gdy zdejmowaliśmy dach. Rozsiadał się wtedy na tylnym siedzeniu niczym król, a jego uszy powiewały na wietrze.

Dzisiaj Gobi z nami nie pojechał. To nie była wycieczka dla zabawy - nie schowaliśmy dachu. John siedział na fotelu pasażera. Na głowie miał biały kowbojski kapelusz, jego nowy znak firmowy.

- To ze względu na moje teksańskie pochodzenie - powiedział, gdy pewnego dnia wrócił z nim do domu.

Na kolanach trzymał luksusową teczkę ze skóry i brązowego tweedu. Utrzymywał, że jest mu niezbędna, by zachować wizerunek odnoszącego sukcesy biznesmena. Istotnie, jego wygląd

i piękne rzeczy, którymi się otaczał, świadczyły o wysokim statusie społecznym, czego jednak nie można było powiedzieć o jego zarobkach.

Podczas podróży panował poważny, wręcz ponury nastrój. Relacje Johna z Geminą uległy znacznemu pogorszeniu nie-  
długo po tym, jak zostały nawiązane. Czeki przychodziły z opóźnieniem albo nie przychodziły w ogóle, poza tym firma nie zwracała mu kosztów podróży służbowych. Nie rozumiałam, czemu mąż ma takie trudności z wyegzekwowaniem tego, co mu się należy. Stres związany z finansami towarzyszył mi teraz bezustannie.

Przyjechaliśmy na miejsce kwadrans za wcześniej. Wyjęłam kluczyk ze stacyjki i spojrzałam na Johna.

- Czy w Geminie zdają sobie sprawę, ile kłopotów przysporzyli nam podczas rejsu na Alaskę w zeszłym miesiącu?  
- zapytałam.

Patrzył tylko przed siebie i nie odpowiadał.

Wciąż z goryczą myślałam o tym wydarzeniu. To, że nie płacili za usługi od razu, położyło się cieniem na naszej podróży. Wszystko wskazywało jednak na to, że John nie-szczególnie się tym przejmuje. Zachowywał się, jakby miał zamiar zdobyć tytuł ulubieńca publiczności. Nasi współ-pasażerowie śmiali się i płakali, gdy opowiadał swoje historie. Byliśmy na pokładzie niezwykle popularni. Teraz żalowałam tylko, że nie cieszymy się podobną popularnością w Geminie.

- John, musimy to załatwić - błagałam.

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

- Mówiłem ci, że to nie moja wina. W firmie mają miejsce jakieś wewnętrzne przepychanki. Abigail usunięto z komitetu wykonawczego. Znalazłem się na linii ognia.

On nigdy nie był niczemu winny: ani temu, że aresztowano go za kradzież; ani temu, że Vestico rozwiązało z nim umowę.

- Chodźmy - warknął - już czwarta. Muszę załatwić sprawę z Abigail.

Abigail Caruthers była wicedyrektorem Gemina Corporation, firmy założonej w 1978 roku przez Jeremyego Stewarta, przedsiębiorcę odnoszącego olbrzymie sukcesy. John, jako emerytowany kontradmirał, został zatrudniony po to, żeby pomóc w zdobywaniu kontraktów rządowych. Przez pewien czas zasiadał nawet w zarządzie. Tak przynajmniej mi powiedział.

Kiedy Jeremy lub Abigail przyjeżdżali do Kalifornii, często zatrzymywali się u nas na noc. Taki był sposób działania Johna.

- Po prostu traktuj ich jak przyjaciół - powtarzał.

Staralam się... w związku z czym na przestrzeni lat otworzyliśmy nasze drzwi przed wieloma partnerami biznesowymi.

Wysiadłam z samochodu i zadrżałam, nie tylko z powodu chłodu. Ogarnęło mnie złe przeczucie. Weszliśmy do foyer. Abigail czekała na nas przy recepcji. Już w chwili, gdy usiedliśmy w niewielkim pokoiku konferencyjnym, poczułam, że coś się święci, bo nie zachowywała się tak przyjaźnie jak podczas naszego ostatniego spotkania.

- Przejdźmy do rzeczy - powiedziała, wyciągając z teczki kopię listu i przesuwając ją po blacie w kierunku Johna. - Stałeś się dla nas obciążeniem prawnym - oznajmiła, rzucając mu groźne spojrzenie.

Byłam wstrząśnięta. Nachyliłam się i zobaczyłam, że to list do Jeremyego od adwokata z Ridgecrest w Kalifornii. Oskarżał on Johna o zniesławienie i naruszenie dobrego imienia jego klienta. Nigdy nie słyszałam o tym człowieku, nie mogło więc chodzić o mojego męża. Przecież zawsze wszystko mi mówił, a przynajmniej tak twierdził.

- Wyjaśniłem to Jeremyemu - powiedział. - To było nieporozumienie. - Roześmiał się i oddał list Abigail. Ona przesunęła go ponownie w jego stronę i spojrzała mu prosto w oczy.

- To poważna sprawa, John.

- Poważne jest to, Abigail - przerwałam - że Gemina nie wypłaciła Johnowi ani prowizji, ani diety.

Byłam nieugięta. Taki miałam plan. Abigail miała inny.

- Nie zwracaj na nią uwagi - powiedział John lekko drwiącym głosem. - Mówiłem jej, że to ma pewnie związek z przepychankami w firmie. Pisałem też o tym do Josha.

Abigail zaczęła szukać czegoś w teczce, po czym wyciągnęła kolejną kartkę.

- Masz na myśli ten list? Z tymi wszystkimi zbędnymi słowami, które nic nie znaczą? - zapytała, wymachując nim w powietrzu, po czym przeczytała następujący fragment:

*Rekonesanse w waszym kierunku*

*I. Izolowanie umiejętności poprzez przeciężenie*

*(częsta krytyka)*

*II. Krytyka bez konstruktywnych sugestii*

*A. Wielosłowne bazowanie na zapożyczonych*

*autorytetach na piśmie*

*B. Wyniosła negacja umiejętności*

*C. Destrukcyjne naświetlanie błędów*

*Poetą nie jestem, ale: pal licho podtrutą pozerską pompatyczność, poetę, co pojemność pieniężnej przegródki za pazuchą przeanalizować postanowił, podnosząc pytanie co do porcji, jaką przeznaczyć powinien na pokerową pulę, poniewierając z podniesionym podbródkiem politykę potęgi przeciwstawioną pieniężnym problemom populacji, pal licho przelaną jego potencjalną porcję.*

Posłała Johnowi wściekle spojrzeenie.

- Co to ma znaczyć, do cholery? W ten sposób komunikujesz się z naszymi klientami?

Ani ona, ani ja nie rozpoznałyśmy wtedy, że ten pozbawiony logiki strumień słów i myśli był prawdopodobnie zapiskiem majaków psychopaty.

- Czy Josh zupełnie nie zna się na żartach? - zaśmiał się John. - Poza tym nic na to nie poradzę. Wychodzą moje studia doktoranckie, wiesz, psychologia. Nauczyli mnie tam różnych naukowych dyrdymałów.

- On nie uznał tego za dowcip. Zakończyłeś list, oskarżając go o plagiat w kilku ostatnich instrukcjach.

Dzwoniło mi w uszach, serce waliło jak oszalałe, kręciło mi się w głowie. Nie potrafiłam zrozumieć, skąd te oskarżenia. Czy to oznaczało, że Gemina wycofa się z umowy? Na pewno rozumieli przecież, że on zawsze tak pisał, niekiedy nawet tak mówił. Przecież to człowiek wykształcony.



- Nie mamy już dłużej potrzeby korzystać z twoich usług  
- powiedziała Abigail chłodno. - Zgodnie z warunkami odstąpienia od umowy rozwiązujemy kontrakt.

- A co z kwotą, którą jesteście mu winni? - wydusiłam.

Zaschło mi ustach tak, że z trudem dobyłam głos.

Rozpoczęły się negocjacje. Abigail powiedziała, że wedle stanowiska firmy John przedstawił zbyt wysokie rachunki w stosunku do swoich usług i w związku z tym nic więcej mu się nie należało. On zaś odparł, że zatrudni prawnika, ponieważ potrafi udokumentować swoje wydatki. Dodałam, że posiadamy też kopie kontraktów z klientami, jego klientami. W końcu doszliśmy do ugody. Gemina miała zwrócić nieco ponad jedenaście tysięcy dolarów, ale cena była wysoka - John musiał zrezygnować z pracy. Ten wyrok pogrzebał nadzieje, które wiązałam z przyszłością. Ogarnęła mnie czarna rozpacz.

- Podpisz to - powiedziała Abigail, podsuwając Johnowi przygotowaną wcześniej rezygnację. - A przy okazji - dodała - możecie zapomnieć o leasingu obrazów Reda Skeltona. Nie mamy ich gdzie powiesić. Cieszymy się tylko, że nie zdobyliście oświadczenia niezależnego rzeczoznawcy.

Przełknęłam głośno ślinę, poczułam ścisk w żołądku, a oddech stał się płytki. Zrobiło mi się niedobrze. Nie powiedziałam ani słowa, nie odważyłam się.

Spotkanie dobiegło końca. Gdy wsiedliśmy do samochodu, zaczęłam pociągać nosem, usiłując powstrzymać łzy rozczarowania i upokorzenia. Co miałam powiedzieć Lothian?

- John, trzeba zadzwonić do Center Art. Nie stać nas na te obrazy, a do tego musimy odzyskać pieniądze za pastel.

- Wcale nie potrzebujemy Geminy. Dlatego założyłem naszą własną firmę, Autograph Technological Systems - powiedział.  
- Wiedziałem, że nie można stawiać wszystkiego na jedną kartę. Spróbujemy opracować jakiś plan leasingu tych dzieł z naszym klientem z Santa Clara, Claymark Computers.

- Claymark Computers? Ta nowa firma, która nie może nawet sama rozwinąć skrzydeł, a co dopiero zapłacić tobie?

- Po prostu potrzebują czasu, żeby zdobyć pozycję na rynku. Dlatego zatrudnili ATS jako swój dział marketingowy. Ich ostatnie testy komputerowe z Bechtemem poszły imponująco. Komputery Claymark są szybsze niż IBM.

- Obietnicami nie zapłacimy rachunków. Znowu zalegamy z ratami za auto. Nie mamy wyboru. Musisz zadzwonić do Isaaca i zerwać umowę dzierżawy obrazów.

- Dobra, dobra - powiedział. - Poddaję się. Zadzwonię do niego rano. - Osunął się w fotelu, odchylił do tyłu głowę i zamknął oczy.

W drodze do domu, gdy przejeżdżając przez Caldecott Tunnel, mijaliśmy luksusowe rezydencje pośród zielono-brązowych wzgórz Orindy i Lafayette, włączył się mój zmysł organizacyjny. Zaczęłam się zastanawiać, jak John mógłby wykorzystać swoje talenty, żeby na nich zarobić. Za wszelką cenę musiałam rozwiązać nawarstwiający się problemy finansowe, nie dopuścić, by statek zatonął. Wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- John, czemu nie zrobisz użytku z doktoratu z psychologii i nie rozejrzysz się za pracą na uczelni? Ciągle powtarzasz, że możesz pomóc schizofrenikom.

Powoli otworzył oczy i wyprostował się w fotelu.

- Mówilem ci już - powiedział ostro - nie dadzą mi świstka, póki nie odbębnię seminariów. Bez dyplomu nie mogę dostać pracy, a żeby go dostać, musiałbym uczyć przez sto godzin za darmo.

- Ale... ale...

- Nie zrobię tego. Nie zagram wedle ich zasad. Nie będę ich niewolnikiem. Mam inny pomysł. Skontaktuję się z facetem, który dał mi w leasing mercedesa. Myślę, że pomoże mi wydzierżawić Claymark Computers agencji rządowej.

Skrzywiłam się i zacisnęłam ręce na kierownicy. „Kolejny szalony pomysł, kolejny podejrzany układ - niby nie łamie prawa, ale zawsze jest o krok”. I jakimś cudem te układy nigdy nie wychodziły - niezależnie od tego, czy chodziło o pracę w nowej firmie, czy o krewnych, z którymi nigdy nie miałam okazji nawet porozmawiać. Zawsze zaskakiwało mnie, jak bez troski - bez chwili refleksji - potrafił przeskakiwać od jednego pomysłu do drugiego. Z perspektywy czasu widzę, że było to kolejne zachowanie typowe dla psychopaty.

Na szczęście John nie zauważył, że targają mną obawy. Nie miałam siły ani ochoty na awanturę o pieniądze, zwłaszcza że wymusiliśmy na Geminie obietnicę zapłaty.

- Co zjemy na kolację? - spytałam, gdy zajechaliśmy pod dom.

\* \* \*

Gdyby całe moje życie z Johnem wyglądało tak jak finanse, z pewnością bym się z nim rozstała. Istniały jednak rzeczy, które kompensowały mi wszystkie problemy. Zawsze chętnie poma-

gał w domu. Gdy nie był w delegacji, gotował obiady i sprzątał w kuchni. Potrzebowałam tych małych przyjemności. Moje dni wypełniała praca i szkoła. On uwielbiał kupować jedzenie, ja tego nienawidziłam. Ponadto dzięki niemu mogłam pofolgować mojemu zamilowaniu do podróży i podejmowania gości. Nasze albumy ze zdjęciami były pełne uśmiechniętych twarzy - z imprez urodzinowych, wypadów na kemping czy żagle, brydżowych spotkań z rodziną i przyjaciółmi oraz koktajli z Redem Skeltonem i Anthonyem Quinnem.

Więź między nami wzmacniały problemy zdrowotne Johna, które dla nas obojga stanowiły źródło niemałego strachu. Poprzedniej jesieni karetka zabrała go do szpitala, gdy stracił przytomność na koncercie Johna Denvera. Ostatnio, gdy przebywał w szpitalu na fizjoterapii, doszło do nagłego zatrzymania krążenia i przez kilka dni musiał zostać na oddziale intensywnej terapii. Ogólnie rzecz biorąc, byłam zadowolona ze swojego życia, z wyjątkiem chwil, gdy przychodziło do płacenia rachunków.

Cztery miesiące później usiadłam z Johnem przy dębowym sekretarzyku, próbując opracować sposób na zwiększenie jego zarobków. Chwyciłam czystą kartkę i długopis.

- Zróbmy plan - powiedziałam. - Skąd spodziewasz się dostać pieniądze w najbliższej przyszłości?

Spisałam odpowiedź Johna: Gemina, Beneficial Leasing Corporation, Claymark Computers, przetarg na kontrakt ATS z dowództwem sił wsparcia oraz Fort Shaftner na Hawajach. Wiedziałam, że to nie wystarczy. Musiałam znaleźć sposób, by zdobyć fundusze na piętzące się zobowiązania finansowe.

- Nie możesz zdobyć teraz trochę gotówki, żeby opłacić bieżące rachunki? - spytałam. - Wszystkie karty sięgnęły prawie limitu i od dwóch miesięcy zalegamy z hipoteką.

Zaproponowałam, żebyśmy zwiększyli jego pożyczkę z banku w Teksasie, gdzie - jak mówił - wpływały czeki z woj-ska, albo pożyczyci pieniądze od jego przyjaciela, milionera z Florydy. Powiedziałam też, że sędzia Sullivan mógłby wycofać fundusz powierniczy na okres życia fundatora, założony na dom w Coconut Grove. John mógł też sprzedać udziały w domach w Chevy Chase i Three Arch Bay, które należały do niego i jego siostry. Zasugerowałam, żeby zadzwonił do babci Dan-nigan i wynegocjował coś ze spadku, który liczył ponoć miliony. Jednak na każdą propozycję John wynajdywał powody, dla któ-rych nie dało się jej zrealizować. Z miejsca odrzucił zwłaszcza pomysły związane z rodziną, ponieważ - jak twierdził - z uwagi na nasz ślub wciąż byli mu nieprzychylni.

Czułam, że opadam z sił - zostałam pokonana. Wiedziałam, że opór ze strony jego rodziny jest prawdziwy. Zaledwie miesiąc wcześniej po raz kolejny boleśnie odczułam ich niechęć. Zrobili-śmy sobie zdjęcia portretowe. John miał na sobie tweedową mary-narkę ze znaczkiem lotnictwa, ja - szyty na zamówienie żakiet z wielbłądziej wełny. Włożyłam kilka zdjęć do kopert i wysłałam do babci oraz czwórki dzieci Johna na znak pokoju. Wszystkie wróciły w przeciągu miesiąca ze stemplem „Adresat nieznany”.

- Hej - krzyknął John, rozpromieniając się, i chwycił mnie za rękę. - Możemy zrefinansować drugą hipotekę na ten dom. A gdy w 1989 roku Jason zwróci mi pieniądze za posiadłość w Danville, będziemy mogli spłacić całość. To raptem za pięć lat.

- No nie wiem. Jesteśmy już zadłużeni na olbrzymią sumę.

- Pamiętasz, jak prawie dwa lata temu założyliśmy drugą hipotekę, żeby spłacić Bryana? W kasie oszczędnościowej powiedziano ci wtedy, że możesz w każdej chwili zwiększyć pożyczkę. Musisz tylko rzec się połowy procentu na moją rzecz. W ten sposób możemy wykorzystać mój majątek jako zabezpieczenie. Wzięlibyśmy pożyczkę w wysokości pięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów, zapłacili wszystkie bieżące rachunki i raty, a nawet spłacili drugą hipotekę z osiemdziesiątego drugiego.

Zawahałam się. Jak jego majątek mógł stanowić zabezpieczenie, jeśli nie miał do niego dostępu? Czułam, jakby ktoś zaciśkał mi głowę w imadle, ale nie widziałam innego rozwiązania.

- Zadzwoń jutro do kasy - westchnęłam. - Ale tylko jeśli obiecasz, że spłacimy to w osiemdziesiątym dziewiątym.

Obdarzył mnie promiennym uśmiechem.

- Obiecuję.

Był teraz moim mężem. To, czy jego nazwisko znajdzie się w hipotece, nie miało najmniejszego znaczenia.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedział. - Chciałem powiedzieć ci później, przy szampanie, ale nie mogę się powstrzymać. Zakładam firmę konsultingową... naszą własną korporację. Ja będę dyrektorem, a ty skarbnikiem.

- Ot tak, korporację?

- Spotkałem kilka osób, które siedzą w branży wojskowej i bez trudu zdobędą dla nas kontrakty. Jedną z nich jest kontradmirał, dowódca na Treasure Island.

John był gotów pójść dalej - zostawić za sobą Geminę, Claymark Computers, doktorat z psychologii, własną rodzinę.

Nie miał wyrzutów sumienia. Natychmiast zaczynał patrzeć w przyszłość, planować kolejną przygodę. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się dzieje. Był typowym psychopata - pozbawionym poczucia odpowiedzialności i uzależnionym od adrenaliny. Dla mnie wszystko to stanowiło zagadkę; próbując ją rozwikłać, traciłam zmysły. Cały czas usiłowałam dopasować fragmenty łamigłówek, zmusić Johna, żeby wziął na siebie finansową odpowiedzialność. Nie wiedziałam jednak, że niektóre części układanki po prostu nie istnieją i nigdy się nie odnajdą.

- Mam nadzieję, że z tą firmą się uda - powiedziałam. - Przyda się drugi admirał na pokładzie. Nasz statek zaczyna tonąć.

John spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Uwielbiam, kiedy mówisz językiem marynarki.

## *Żona admirała*

Sześć miesięcy później John i ja czekaliśmy pod wojskową barykadą ustawioną przed wejściem na molo parku wodnego w San Francisco. Odbywały się właśnie Dni Morza. Ludzie w podnieceniu szukali najlepszych miejsc, żeby obejrzeć paradę statków i niezwykle widowisko w wykonaniu Blue Angels. Przyglądałam się temu z poczuciem wyższości. Drugi rok z rzędu otrzymaliśmy miejsca na końcu mola, przeznaczone wyłącznie dla oficerów.

Słońce ogrzewało chłodny, październikowy wiatr, który spychał mgłę pod most Golden Gate i dalej, w stronę Pacyfiku. Czułam ulgę. Impreza nie została odwołana, tak jak miało to miejsce w minionych latach.

Gdy napawałam się widokiem i piękną pogodą, myślałam o tym, jak to marynarka powoli weszła mi w krew, przynosząc podniecenie związane z udziałem w wydarzeniach, których dotąd nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić. To nie stało



się nagle, ale stopniowo, gdy John coraz bardziej przyzwyczajał się do korzystania ze statusu admirała.

Gdy go poznałam, mówił o sobie „kapitan Perry”. Ku mojemu zaskoczeniu zdawał się czuć niezręcznie, gdy tytułowano go kontradmirałem. Byłam dumna ze swojego mężczyzny i z tego, co przeszedł, służąc naszemu krajowi. Czyż nie stracił płuca? Czyż nie miał koszmarów? Czyż nie odznaczono go Purpurowym Sercem i Medalem Honoru? Tak więc zachęcałam go, żeby korzystał ze swojego stopnia. Dzięki niemu sprawiał wrażenie postaci jeszcze bardziej wybitnej.

Teraz John przedstawiał się jako „kontradmirał Perry”; rejestrując się w hotelach oraz wypełniając rachunki, podpisywał się jako „admirał Perry”; przyznawano mu wstęp do baz wojskowych jako „admirałowi Perryemu”. W naszym domu zagościła tematyka morska. Mieliśmy wycieraczkę z napisem „Witamy na pokładzie” i szeroką na dwa i pół metra niebieską flagę z mottem „Nie poddawaj statku” napisanym dużymi białymi literami.

- Zdobyła sławę dzięki mojemu krewnemu, Oliverowi Hazardowi Perryemu, który brał udział w wojnie brytyjsko-amerykańskiej z początku XIX wieku - chwalił się John, gdy pytano go o tę flagę. - Pod wieloma względami jestem do niego podobny. Musiałem pokonać w życiu wiele trudności.

Byliśmy rodziną związaną z marynarką. Pasowało mi to i cieszyłam się, że John również znajduje w tym upodobanie. Dziś marynarka ponownie zagościła w naszym życiu. Pojedynczo dołączali do nas pozostali członkowie naszej grupy: moi rodzice oraz siostra, Julie, i dziesięcioro naszych najbliższych znajomych.

- Zapowiada się fantastyczne przedstawienie - powiedział John, prowadząc nas w kierunku żandarma stojącego przy barykadzie, który zasalutował żywo, gdy mój mąż wręczył mu bilety.

- Wiecie co? - zagadnęłam z szerokim uśmiechem, gdy zaczęliśmy przepychać się przez tłum. - Na wczorajszym przyjęciu na Treasure Island spotkaliśmy członków Blue Angels.

- Naprawdę? - spytała Marie Passini, moja wieloletnia przyjaciółka.

- Było wspaniale - powiedziałam. - Mamy nawet oprawione zdjęcie lecących samolotów, zadedykowane kontradmirałowi Perryemu i podpisane przez pilotów, których dzisiaj zobaczymy.

Chępiłam się, ale w rzeczywistości nic mnie to nie obchodziło. Byłam po prostu dumna ze swojego admirała, z tego, że jestem jego żoną. Poprzedni wieczór stanowił dla mnie dowód, że John faktycznie jest tym, za kogo się podaje.

Doszliśmy na środek mola, wybraliśmy trybunę i wspięliśmy się na samą górę, by mieć jak najlepszy widok. Za trybunami rozwieszono duże kolorowe flagi sygnalizacyjne, które powiewały na wietrze. Najwyżsi stopniem oficerowie i urzędnicy państwowi chodzili wokół podium, a wszędzie rozbrzmiewała muzyka w wykonaniu niewielkiej orkiestry wojskowej. Panował świąteczny, radosny nastrój.

- Mam dla was niespodziankę. - John podniósł głos, żeby przekrzyczeć hałas. - Po występie Blue Angels przepłyniemy pod Golden Gate okrętem marynarki.

- Cały czas zastanawialiśmy się, w jaki sposób przebijesz zeszły rok - powiedział Mark, mąż Marie.

- A co się stało? - zaciekawil się mój tata.

Mark nachylił się przeze mnie, żeby mógł go usłyszeć.

- W zeszłym roku staliśmy w długiej kolejce, żeby zwiedzić O'Briena, a John podszedł do chorążego i powiedział mu, kim jesteśmy. Zanim się obejrzelśmy, przeszliśmy na czoło kolejki, a wszyscy, którzy zostawali z tyłu, gapili się na nas z zazdrością. Gdy dotarliśmy na szczyt kładki, majtek stanął na baczność i użył swojego gwizdka, by dać znać, że na pokład wchodzi oficer. Szkoda, że nie widzieliście tych salutów.

- Zobaczyliśmy kilka miejsc na statku, gdzie publiczność nie ma wstępu - dodał tata Marka. - Pobył na pokładzie przypomniał mi służbę na statku marynarki podczas drugiej wojny światowej.

- Szkoda, że mnie to ominęło - skomentował ojciec.  
- To byłoby naprawdę coś: zobaczyć, jak wprowadzają was z honorami jako admirała i jego towarzystwo.

Wiedziałam, co miał na myśli. Na szczęście wyglądało na to, że tylko ja. Niezależnie od tego, jak przekonująco John udowodniał swoje związki z wojskiem, tata zawsze miał wątpliwości co do jego kariery. Dlaczego nie mógł zachowywać się tak jak Mark, który służył w marynarce i walczył nawet w Wietnamie, ale nie zadreżczał Johna pytaniami o służbę wojskową?

Zespół zaczął grać głośniejsz, dając znać, że zaraz rozpocznie się uroczystość. Kilkoro dygnitarzy wygłosiło przemówienia. Nad naszymi głowami przeleciał samolot, z którego wyskoczyli żołnierze z kolorowymi spadochronami, obwieszczający rozpoczęcie parady statków. Majestatyczny lotniskowiec przepłynął pod mostem Golden Gate i wpłynął do zatoki San Francisco.

- Patrzcie! Prowadzi Enterprise - zakrzyknął John. - Byłem na nim szefem sztabu, dawno temu.

Pozostałe duże statki jeden za drugim ustawiły się za Enterprise, przepływając wzdłuż widowni, pod Bay Bridge, aż do bazy marynarki w Alamedzie. John opisywał ze szczegółami każdy statek. Po ostatnim nagle pojawiły się mniejsze łodzie, które podskakiwały na wzburzonej wodzie i przecinały swoje kilwatery. Wystrzeliły kilka salw, po czym zniknęły w dymie.

- Czarne łodzie, czarne łodzie! - wykrzyknął John, niemal podskakując na swoim siedzeniu. - To właśnie nimi dowodziłem w Wietnamie, gdy straciłem płuco.

Z podniecenia niemal przewrócił się do tyłu, jak mały chłopiec, który strzelił pierwszego gola albo złowił pierwszą rybę.

Blue Angels przeleciały nad rozpryskującymi wodę statkami pożarniczymi. Powietrze rozdarł głośny ryk, gdy sześć samolotów F/A-18 Hornets przeleciało i nachyliło skrzydła tuż przed naszymi trybunami. Zatkanam uszy, ale mimo to na ramionach poczułam gęsią skórkę.

W tej beczce miodu znalazła się jednak łyżka dziegciu. John i ja wiedzieliśmy, że nigdy nie urodzi nam się dziecko, z którym mógłby podzielić się swoją ekscytującą historią. Staraliśmy się o nie, ale z uwagi na pogarszający się stan zdrowia męża, nie mogliśmy uprawiać seksu. Odczuwał tak silny ból szyi i pleców, że nie był w stanie znaleźć wygodnej pozycji. Niejednokrotnie rozmawialiśmy o tym, co ten fakt oznacza dla celu, który jest ważny dla nas obojga. Nieraz John spuszczał głowę i mówił:

- Narodziny naszego dziecka byłyby najcudowniejszą chwilą w moim życiu.

Próbowaliśmy sztucznego zapłodnienia, ale plemniki Johna okazały się zbyt powolne. Lekarz powiedział, że może to mieć związek z jego wiekiem albo z przyjmowaniem różnorodnych leków. Zasugerował, żebyśmy skorzystali z anonimowego dawcy, jak najbardziej podobnego do męża. Samolubnie odmówiłam. Chciałam urodzić potomka Johna. Z pierwszego małżeństwa nie miałam dzieci i cieszyłam się, że żadni mali Bryanowie nie przypominają mi o tamtej pomyłce. Może to także świadczyło o moim egoizmie. Ponieważ nie mogliśmy mieć dzieci, staraliśmy się wypełnić pustkę planami, by Gobi splodził szczeniaczki. Zrobiliśmy pierwszy krok i przywieźliśmy do domu podskakującą kulkę futra, którą nazwaliśmy Gidget. Gobi był zachwycony.

Gdy zakończyła się prezentacja Blue Angels, widownia opustoszała znacznie szybciej, niż się zappełniła. Zebraliśmy nasze napejki, płaszcze i aparaty i zeszliśmy z trybun.

- Poczekajcie tu, a ja dowiem się, gdzie mamy pójść, żeby dostać się na statek - powiedział John.

Podszedł do oficera, który stał najbliżej podium. Zasalutowali i uścisnęli sobie dłonie. Młody oficer i jego rodzina minęli mnie, rozmawiając o tym, że w drodze do domu zajadą do magazynu marynarki.

Wrócił John.

- Zupełnie nawaliłem - wyznał - kompletnie to skopałem. Źle zrozumiałem informacje o dacie i warunkach uczestnictwa. Rejs odbędzie się jutro, a na pokładzie znajdą się tylko oficerowie i najbliżsi krewni.

Nie potrafiliśmy ukryć rozczarowania.

Na krańcu moła pożegnaliśmy się i rozstaliśmy. Gdy dotarliśmy do samochodu, położyłam mężowi rękę na ramieniu.

- A co się stało z tymi identyfikatorami wojskowymi, które miałeś dla nas zdobyć, żebyśmy mogli robić zakupy w magazynie?

- Nie było okazji.

- Minęły już dwa lata. Obiecałeś mi to w dniu ślubu.

- Próbowałem, nawet w zeszłym tygodniu, ale urzędnik w bazie w Alamedzie jest na urlopie.

- Zawsze masz jakąś wymówkę - powiedziałam z wyrzutem. W chwili, gdy usłyszałam własne słowa, zdałam sobie sprawę, że wybrałam złą chwilę, by o tym wspomnieć.

John zatrzymał się nagle, cały spięty. Odwrócił się, spojrzał na mnie ze złością i wyszczał:

- Czy ty próbujesz mnie zawstydzić? Powiedziałem, że je załatwię. Nie wierzysz mi, a to naprawdę boli. Widziałaś, z jakim szacunkiem traktuje nas marynarka, więc zejdź ze mnie.

Ponownie moje nadzieje na twarde dowód, że naprawdę jestem żoną admirała, zostały rozwiane przez jego uniki. Znów miałam poczucie winy, jak gdyby mój upór był czymś niewłaściwym. Jak mogłam nie ufać swojemu mężowi? A jednak w głębi duszy czułam niepokój. Admirał po raz kolejny nie spełnił obietnicy.

\* \* \*

24 lipca 1986 roku Gobi i Gidget sprezentowali nam miot ośmiu wiercących się szczeniactków. Pierwszy przyszedł na świat w naszym łóżku w środku nocy. Prędko przenie-

śliśmy Gidget do miejsca przeznaczonego na poród, które znajdowało się w moim gabinecie na dole. Gdy pojawiał się kolejny mokry lebek, z dumą wybieraliśmy imię na literę „G”. (Jak na ironię, musieliśmy skorzystać ze sztucznego zapłodnienia. Albo Gobi nie potrafił nawiązać więzi z Gidget, albo ona udawała trudną do zdobycia - cały czas siadała).

Rozesłaliśmy informację o narodzinach szczeniąt wraz ze zdjęciem nowej rodziny i przyjmowaliśmy gości z prezentami i życzeniami. Kiedy szczeniaki miały po dziewięć tygodni, zaczęliśmy przyjmować zgłoszenia „adopcyjne”. Psa mogła jednak otrzymać tylko rodzina, która potrafiła obdarzyć go prawdziwą miłością. Ciężko przeżywałam rozstanie z każdym szczeniakiem. Gdy patrzyłam, jak odjeżdża pierwszy samochód, zabierając Gatsbyego, wybuchłam płaczem. John przytulił mnie, ale nie płakał. Gdy kilka dni później Gigi odjeżdżała z naszymi przyjaciółmi, małżeństwem Passinich, mąż dołączył do mnie - po jego policzkach płynęły łzy. Przy kolejnych pożegnaniach płakał razem ze mną. Uznałam wtedy, iż jego łzy świadczą o tym, że bardzo kochał nasze maleństwa. Dziś nie jestem tego pewna. Dowiedziałam się bowiem, że psychopaci nie odczuwają emocji, lecz naśladują uczucia, które zaobserwują u innych. Są niczym magicy: skupiają naszą uwagę, wyciągając z cylindra rekwizyt, który akurat jest im potrzebny.

\* \* \*

Niespełna rok później, w 1986, John i ja staliśmy w garażu, pakując lososiowe bukiety, które miały ozdobić stoły na mojej imprezie z okazji zdobycia dyplomu. Po siedmiu długich latach,

kiedy to z trudem zmuszałam się, żeby jeździć do miasta, nareszcie nadszedł dzień nagrody. Gdy John spojrzał na mnie z uśmiechem, odruchowo złapałam aparat i zrobiłam zdjęcie. Miał na sobie wysłużony szlafrok z polaru, na nogach skórzane moka-syny, a na głowie czarny filcowy beret. Wyglądał, jakby czuł się zupełnie swobodnie. I był tylko mój. Przysunęłam się i objęłam go w pasie.

- Nie osiągnęłabym tego bez ciebie - powiedziałam.

- Dziękuję ci za wsparcie.

- Nie roztkliwiał się tak. Lepiej się przygotuj, bo zaraz przyjedzie limuzyna. Pamiętaj, masz ją na cały dzień.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie pierwszej przejażdżki limuzyną, rok wcześniej, z okazji moich czterdziestych urodzin. Trzykrotnie objechaliśmy Fisherman's Wharf, po czym zjedliśmy kolację w ekskluzywnej restauracji Big Four na Nob Hill. Dziś chcieliśmy odtworzyć te wyjątkowe chwile.

- Dobrze, że stać nas na limuzyny. - Roześmiałam się. John skończył pakować sztuczne kwiaty do naszego minibusa, a ja ciągnęłam: - Chciałabym tylko...

- Co takiego?

- ...żeby twoja rodzina była dzisiaj z nami.

- Wiesz, jacy są - powiedział, kręcąc głową.

- Wiem, ale przyjadą moi krewni i przyjaciele.

- Nie psuj sobie tego dnia - upomniał mnie.

- Wiem, że zaproszenia wróciły, tak jak wszystko, co kiedykolwiek im wysłaliśmy, ale miałam nadzieję, że...

- Ze stanie się cud? Spójrz na dobre strony tej sytuacji: nie potrzebujemy już pieniędzy babci.



Nasza sytuacja finansowa wreszcie się unormowała. Przez ostatnie dwa lata pensja Johna przychodziła w miarę regularnie, choć nie do końca panowaliśmy nad jego wydatkami. Pracowałem jako konsultant dla Westinghouse. Potem założyliśmy własną firmę. Two Star Incorporated. Zapewniał mnie, że wszystko się ułoży, że to nic trudnego. Obiecał nie wydawać firmowych pieniędzy na swoje zachcianki, a w razie potrzeby radą służyłby nam prawnik. Mieliśmy nawet firmową pieczętkę. Zamówiłam wizytówki, na których ponad nazwiskiem „Kontradmirał John F. Perry” widniały dwie złote gwiazdki, pasujące do jego tablicy rejestracyjnej z napisem „Two Star”.

Głównym czynnikiem, który ustabilizował nasze finanse na przestrzeni tych dwóch lat, były pieniądze z odszkodowania za obrażenia, których John doznał podczas wypadku z wózkiem bagażowym, tuż przed naszym spotkaniem. Z czasem stan jego zdrowia się pogarszał. Nieustająco cierpiał z powodu okrutnych bólów głowy i skurczów szyi. Na domiar złego tracił czucie w prawym ramieniu. Często nosił kołnierz ortopedyczny, zwłaszcza gdy podróżowaliśmy samochodem. W dodatku raz po raz powracały problemy z nogą, a paraliżujące bóle pleców wciąż uniemożliwiali nam uprawianie seksu.

Wraz z ugodą przyszedł czek, który pomógł nam załatać finansowe dziury. W pierwszej kolejności pospłacaliśmy wierzycieli. Zleciliśmy również remont domu w Concord. Zamontowaliśmy terapeutyczne jacuzzi i mniej strome schody - wszystko po to, żeby ulżyć Johnowi.

- To ostatnie kwiaty na przyjęcie - powiedział, zamykając tylne drzwi samochodu. - Gdy skończymy z dekoracjami,

klub officerski na Treasure Island będzie wyglądał lepiej niż kiedykolwiek.

Objął mnie i weszliśmy z powrotem do domu.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to załatwiłeś.

- Mój stopień gwarantuje pewne przywileje. - Roześmiał się. - Poza tym przyjaźń z kontradmirałem, który jest dowódcą bazy, też nie zaszkodziła.

W ciągu ostatnich dwóch lat poznałam zalety małżeństwa z admirałem. Byliśmy przy tym, jak USS Missouri wycofano z czynnej służby w San Francisco. Kiedy John zaprosił kilkoro naszych przyjaciół na prywatne zwiedzanie USS Enterprise, jedliśmy lunch w klubie officerskim w Alamedzie. Gdy zabrał kilku mężczyzn, z którymi się przyjaźniliśmy, na nocną wycieczkę na pokładzie statku marynarki, widzieli, jak okazywano mu szacunek. Kiedy komendant straży przybrzeżnej okręgu 12 wydał przyjęcie dla emerytowanych admirałów i ich żon, znaleźliśmy się na liście gości honorowych. W tym czasie nie miałam już żadnych wątpliwości co do statusu Johna.

Dziś miałam odebrać dyplom licencjacki z marketingu, *summa cum laude*, oraz nagrodę za wybitne osiągnięcia. Dzięki ciężkiej pracy i poświęceniom uporałam się z wyzwaniem i osiągnęłam swój cel. Wolałabym wprawdzie zdobyć wyższe wykształcenie tuż po liceum, lecz byłam najstarszym z pięciorga dzieci - pozostałe miały wtedy po kilka lat. Żyliśmy z pensji maszynisty. Rodzice chętnie wysłaliby mnie na studia, ale po prostu nie mieli pieniędzy. Zadowoliliam się więc Diablo Valley Junior College i codziennie jeździłam dwadzieścia cztery kilometry autobusem na drugą stronę wzgórza.

Cierpiałam na coś, co nazywałam SND - Syndrom Najstarszego Dziecka. Spytajcie kogoś, kto był w podobnej sytuacji. Nie jest to łatwe. Dla swojej pierwszej pociechy rodzice są wyjątkowo surowi. Niekiedy reagują histerycznie. Boją się, że zrobi sobie krzywdę albo wpadnie w kłopoty, więc wolą dmuchać na zimne. Dopiero uczą się, jak wykonywać swoje obowiązki.

Najstarsze dziecko to jazda próbna. W moim przypadku nie było inaczej. Staralam się być grzeczną dziewczynką, pomagać w domu i w opiece nad rodzeństwem, jednocześnie nie zaniedbując nauki, ale nie potrafiłam podolać wszystkim obowiązkom. Miałam wrażenie, że tkwię w klatce, i nie wiedziałam, jak się z niej wydostać.

W końcu, kiedy rodzice nie chcieli pożyczyć mi samochodu, żebym mogła jeździć na wieczorne wykłady w collegeu, poszłam do szkolnej pedagog. Ona zaproponowała mi sposób, a ja podjęłam decyzję. Przyjęłam ofertę pracy jako opiekunka do dziecka oraz pomoc domowa i zamieszkałam z pewną rodziną w eleganckiej dzielnicy Alamo. Pozwolili mi nawet korzystać z ich samochodu, dzięki czemu mogłam kontynuować naukę. Rok później musiałam podjąć kolejną życiową decyzję. Mąż i ojciec rodziny, u której pracowałam, otrzymał awans, więc przeprowadzali się do Ohio. Chcieli, żebym pojechała z nimi; zaproponowali nawet, że pošlą mnie na uniwersytet stanowy. Byłam głęboko zaskoczona ich szczodrością, ale bałam się nieznanego. Wróciłam więc do domu i zaczęłam pracę jako technik laboratoryjny w tej samej fabryce, w której pracował mój ojciec.

To wszystko należało już do przeszłości. Dzisiaj najtrudniejszą decyzją, jaką musiałam podjąć, było to, kto ma jechać ze mną limuzyną. Chciałam dzielić się swoim szczęściem z innymi. Zaszczepiono mi to już w dzieciństwie. Później, gdy wywołano mnie na podium, publiczność w Masonie Memoriał Tempie zaczęła bić brawo, a wiele osób nawet wstało z miejsc.

Po ceremonii z dumą pokazałam dyplom tacie, by mógł zobaczyć, że znajduje się na nim również moje panięńskie nazwisko.

- Hm... - zadumał się i oddał mi dyplom.

- Myślałam, że się ucieszysz, widząc na moim dyplomie swoje nazwisko - powiedziałam.

To był mój dzień. Chciałam, żeby odczuwał dumę. Czemu stało się inaczej? Bo ten dzień nie różnił się niczym od innych. Zawsze starałam się go zadowolić, mając nadzieję, że kiedyś usłyszę dwa proste słowa: „kocham cię”. Najwyraźniej oczekiwałam zbyt wiele. Nigdy nie widziałam, żeby komukolwiek wyznawał miłość, nawet matce. Za powściągliwość w okazywaniu uczuć odpowiadało zapewne jego germańskie pochodzenie.

Mój ojciec był dumnym i uczciwym człowiekiem. Zawsze mogliśmy na niego liczyć, na przykład gdy mieliśmy problemy z nauką. Pracował w fabryce chemicznej, aby zapewnić nam dach nad głową, jedzenie i ubrania, mimo że rujnowało mu to zdrowie. Zabierał nas na fantastyczne wakacje z kempingiem do parków narodowych i stanowych. Wielokrotnie powtarzałam sobie, że czyny są ważniejsze niż słowa, ale wyszeptane „kocham cię” odbiłoby się tak potężnym echem jak słowa wykrzywane ze szczytu góry.

- Nie wiem, dlaczego to zrobiłaś - odparł tata. - To nie jest już twoje nazwisko.

Nawet ta uwaga nie mogła zepsuć mi humoru, nie dzisiaj, gdy panowała piękna pogoda, dostałam upragnioną nagrodę i zbliżało się przyjęcie, na którym wszyscy nasi przyjaciele mieli się doskonale bawić.

Słońce schowało się za Golden Gate, a panoramę San Francisco rozświetliły białe migocące światełka. Goście zajadali się krabami i befsztykami. Gdy ucichł dźwięk werbla, ogłosiłam uroczystie:

- Mamy alkohol, przekąski, tort, kapelę i prezenty, ale gdzie są państwo młodzi?

Cała sala wybuchła śmiechem.

W drodze do domu na prośbę mojego chrześniaka otworzyłam szyberdach limuzyny. Pierwszy raz w życiu jechał takim luksusowym samochodem. Z szerokim uśmiechem na twarzy wstał i zaczął machać rękoma, a ja przytuliłam się do piersi swojego admirała.

## *Rodzina*

Dwa miesiące później, w sierpniu, towarzyszyłam Johnowi w podróży służbowej na wschodnie wybrzeże. Lubiliśmy łączyć obowiązki z przyjemnością - robiliśmy tak od pięciu lat, tyle bowiem trwał nasz związek. Tym razem mąż wspomniał, że będziemy mieli okazję zobaczyć coś, co było częścią historii jego rodziny. Moje serce zabiło nadzieją.

Najpierw udaliśmy się do Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, żeby odwiedzić grób teścia. Akademia odegrała ważną rolę w historii jego rodziny. Ojciec ukończył tam szkołę w roku 1923, wykładał w latach 1946 i 1947, po czym w 1955 został pochowany na pobliskim cmentarzu.

Gdy siedzieliśmy w samochodzie na parkingu dla odwiedzających, z włączonym silnikiem, John przetrząsał swoją teczkę.

- Wiem, że mam tu gdzieś przepustkę - powiedział. - Nie zostawiłbym jej w pokoju hotelowym. Jest zbyt cenna.

Ta przepustka zawsze stanowiła tajemnicę. John otwierał nią bramy baz wojskowych oraz obiektów rządowych w kraju

i za granicą, niczym magiczną różdżką. Wielokrotnie byłam świadkiem działania jej mocy. Sekret polegał na tym, że zdjęcie w czarnej skórzanej okładce nie przedstawiało Johna Francis Perryego, a poniżej widniało nazwisko „Robert Lee Stuart”. Spytałam Johna o to, gdy po raz pierwszy zauważyłam tę rozbieżność. Wygłosił wtedy tyradę na temat bezpieczeństwa państwa. Opuściłam dalsze pytania, ale wciąż mnie to frapowało.

- Aha! Tu jest. Schowała się za twoim zdjęciem.

- Tym starym, naddartym zdjęciem z wyjazdu do Meksyku?  
- Roześmiałam się. - Powinnam dać ci nowe.

- Nawet się nie waz. To mi się podoba.

Nachylił się i pocałował mnie.

Zachmurzone niebo pasowało do wizyty na cmentarzu. Gdy wycieraczki przetarły zamgloną szybę, wrzuciłam bieg w naszym wynajętym samochodzie i zajechałam pod bramę numer jeden. John pokazał swój magiczny dokument, a strażnik natychmiast zasalutował, po czym wręczył mi jednorazową przepustkę. Znaleźliśmy się na terenie akademii.

- Na następnym skrzyżowaniu skręć w lewo - poinstruował mnie John. - Na cmentarz jedzie się tam, w stronę wody.

- Oczywiście - odparłam. - Widzieliśmy go w zeszły weekend, z rzeki.

Zawsze miałam doskonale wyczucie kierunku. Cecha ta wielokrotnie mi się przydała. Dwa dni wcześniej wybraliśmy się w rejs po rzece Severn z naszymi przyjaciółmi, którzy mieli piętnastometrowy słup. Zwolniliśmy na wysokości akademii i John pokazał nam jej charakterystyczne budynki oraz cmentarz na małym półwyspie.

Kiedy minęliśmy ogrodzenie nekropolii, musieliśmy wybrać między Cushing Road po prawej i McCandless Road po lewej.

- Skręć w prawo - nakazał John, ale gdy jechaliśmy wolno naprzód, wydawał się dezorientowany. - Dawno tu nie byłem - wymamrotał skruszony. - Jest więcej zieleni, wszystko wygląda inaczej. Pamiętam, że tata leży na niewielkim pagórku, obok drzewa.

- Tu wszędzie są pagórki i drzewa - odparłam, rozglądając się wokół.

- Myślałem, że będę pamiętał.

Gdy to powiedział, zaczęła drżeć mu dolna warga.

Okrążyliśmy cmentarz, a na skrzyżowaniu Cushing z McCandless skręciliśmy w lewo, wracając do punktu wyjścia.

- Skręćmy w Sigsbee Road - zaproponował. - Widziałem ją tam, po lewej. Może sobie przypomnę.

Pozostała nam tylko ta droga. Gdy po kolejnym okrążeniu wylądowaliśmy z powrotem przy bramie, zaczęłam się zastanawiać, czy ten grób w ogóle istnieje. Ale czemu John miałby kłamać na temat miejsca ostatniego spoczynku swojego ojca? Czy miał to być kolejny rozdział w sadze nieobecnej rodziny, którą opowiadał mi od pięciu lat?

Krewni Johna wciąż byli dla mnie niczym duchy. Mało brakowało, a zepsułoby to nasz służbowo-wakacyjny wypad do Miami zeszłego lata. Uparłam się i nie zamierzałam ustąpić.

- Twoja rodzina mieszka niedaleko - powiedziałam. - Będą mieli okazję przekonać się, że nie jestem pazerna.

Po pięciu latach naszego związku wciąż chciałam im to udowodnić.



W Key West zameldowaliśmy się w zabytkowym hoteliku z białymi okiennicami i bez telefonu. Po lunchu John zadzwonił do swojej babci z przystani, żeby umówić się na spotkanie w Coconut Grove. Gdy opierał się ramieniem o budkę, w białych szortach i koszuli, ze słomkowym kapeluszem na głowie i okularami przeciwsłonecznymi na nosie, wyglądał na zrelaksowanego, wytwornego mężczyznę. Nagle ogarnęła go wściekłość - trzasnął słuchawką o aparat i odwiesił ją na haczyk.

- Nikt nie odbiera - wymamrotał. - Będę musiał spróbować jeszcze raz.

Tego samego popołudnia zszedł na dół, żeby zadzwonić, mnie zaś kazał zostać w pokoju. Z początku się zgodziłam, ale chciałam usłyszeć tę rozmowę. Tak więc niedługo po jego wyjściu po cichu zeszłam do foyer. Drzwi do budki telefonicznej były otwarte, ale nie słyszałam ani jednego słowa. John siedział w ciszy ze słuchawką przy uchu. Poczulałam, że zbiera mi się na kasznięcie. Udało mi się częściowo je stłumić, ale i tak zorientował się, że jestem niedaleko. Natychmiast zaczął mówić po hiszpańsku, coraz głośniejsze. Potem odłożył gwałtownie słuchawkę i wyszedł. Jego rumiana cera przybrała teraz głęboki, czerwony kolor, a na szyi wystąpiły mu żyły.

- Powiedziałem ci, że masz zostać w pokoju - warknął.

- Co się stało? - zapytałam, ignorując jego upomnienie.

- Służąca mówi, że rodzina zabrała babcię do Ocean Reef Club, niedaleko Key Largo. Nadal nie chcą, żeby ze mną rozmawiała.

- Będziemy tamtędy wracać. Złożmy im niezapowiedzianą wizytę.

Cały czas próbowałam wyobrazić sobie, jak mogą wyglądać jego krewni.

- Nie rozumiesz. Ocean Reef Club to ekskluzywny ośrodek. Żeby strażnik cię wpuścił, twoje nazwisko musi być na liście, a my się na niej nie znajdziemy. Jeżdżą tam prezydenci i gwiazdy filmowe.

- I nieuchwytnie babcie z furą pieniędzy.

Rozmowa dobiegła końca, aleja nie dałam za wygraną. Później, kiedy jechaliśmy na północ przez Key Largo, nalegałam, by John pokazał mi wjazd do Ocean Reef Club. Przynajmniej miejsce było prawdziwe. Ignorując jednak moje błagania i jęki, nie pozwolił mi podjechać do bramy, przy której stał strażnik. Nie rozumiałam jego oporów. Może nie chciał wprawiać babci w zakłopotanie? Za każdym razem, gdy znaleźliśmy się zbyt blisko, jego rodzina znikala niczym fatamorgana.

Dziś historia miała się powtórzyć. Okazałoby się, że grób ojca zaginął. Jakiej wymówki użyłby tym razem? Gdzie mogli zapodziać się zmarli? Gdy znów zaczynałam w niego wątpić, spełnił swoją obietnicę i uciszył nękający mnie wewnętrzny głos.

- Chyba go widzę - wyszeptał. - Zatrzymaj się tu.

Wysiadł z samochodu, gdy tylko wyłączyłam silnik. Sięgnęłam na tylne siedzenie, złapałam dwa bukiety goździków, które kupiliśmy wcześniej, i poszłam za mężem, wspinając się na niewielkie wzniesienie. Stał wyprostowany przed dużym granitowym nagrobkiem i zasalutował. Kiedy wreszcie go dogoniłam, płakał w milczeniu. Nic nie mówiąc, przeczytałam napis na nagrobku:

# JOHN RICHARD PERRY

## KONTRADMIRAŁ

CYWILNE SŁUŻBY INŻYNIERYJNE  
MARYNARKA  
STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI

**1899-1955**

A więc mówił prawdę. Jego ojciec był pochowany na cmentarzu Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Gdy podałam mu kwiaty pochylił się i położył jeden bukiet z różowych, czerwonych i białych goździków po prawej stronie nagrobka. Kiedy wstawał, skrzywił się z bólu i musiał się przytrzymać pomnika. Otarł łzy z oczu i powiedział:

- Staralem się być dobrym synem, ale niejestem takim mężczyzną, jakim chciałby mnie widzieć. Ze względu na swoje wykształcenie i karierę wojskową był bardzo surowy.

- Na pewno cię kochał.

- Może i tak. Miał problemy z okazywaniem uczuć, a ja i moi bracia bardzo tego potrzebowaliśmy. Mama zmarła, kiedy miałem siedem lat, a tata był wtedy w ośrodku szkoleniowym w Great Lakes w Illinois. Nie potrafił zająć się pięcioma synami, poza tym wylewał na nas swoje żale. To nie była nasza wina, że mama zmarła tak młodo.

- Na pewno tak nie uważał. Po prostu nie umiał poradzić sobie z żalobą.

- Pewnie tak.

Pociągnął nosem, *zmagając* się z kolejną falą łez. Po chwili przeszedł na drugą stronę nagrobka i oparł drugi bukiet o podest. Podniósł się z trudem i objął mnie ramieniem.

- Przeżyłem z tobą najpiękniejsze chwile w moim życiu - powiedział. - Nigdy nie mieszkałem tak długo w jednym miejscu. Nigdy nie byłem otoczony tak kochającą rodziną i tyloma wspaniałymi przyjaciółmi. - Staliśmy w ciszy przez kilka chwil, patrząc na grób jego taty. Pozwoliłam mu mówić. - Nie byłem na pogrzebie. Rodzina uważała mnie za czarną owcę. Nie pozwolili pożegnać się z ojcem jedynemu żyjącemu synowi.

- Na pewno coś źle zrozumiałeś.

- O nie. Macocha kazała mi przekazać, że nie chcę mnie tam widzieć. Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na takie traktowanie.

- Wygląda na to, że wcale się nie zmienili - powiedziałam, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Rodzina Johna wciąż nie chciała być częścią naszego życia. Nie mogłam tego znieść. Podobnie jak nie mogłam znieść widoku łez w oczach męża, gdy nikt nie pamiętał o jego urodzinach i nie dzwonił w Dzień Ojca. Nie mogłam znieść jego bólu, gdy w zeszłym roku zobaczył tablicę z napisem „Na sprzedaż” na swoim domu w Coconut Grove.

W poprzednie święta Bożego Narodzenia napisałam list do jego dzieci, w którym wyjaśniałam, przez co przeszedł ich ojciec w ciągu ostatnich czterech lat... pod względem emocjonalnym, fizycznym i finansowym. Tradycyjnie otrzymaliśmy zwroty ze stemplem „Adresat nieznanym”.

- No, już - powiedział John. - Nie rozklejaj się. Pokażę ci, gdzie mieszkał mój tata. Znajduje się tam grób Johna Paula Jonesa<sup>1</sup>.

Uwieczniłam tę wizytę na zdjęciach. Zrobiłam też kilka na cmentarzu, gdy John stał przy grobie swojego ojca. Nareszcie poznałam kogoś z najbliższej rodziny mojego męża.

<sup>1</sup> John Paul Jones (1747-1792) - słynny dowódca marynarki amerykańskiej  
Z czasów wojny o niepodległość.

## *Odnaczenia*

Następnego                      lata obchodziliśmy z Johnem szóstą rocznicę naszego pierwszego spotkania. Trudno nam było uwierzyć, że minęło już tyle czasu od randki u Drexelów, kiedy to zgodziłam się być „czwartą do kolacji”. Był rok 1987, a minione sześć lat upłynęło pod znakiem snów i marzeń, które się ziszcily. Kolejne fantazje stawały się rzeczywistością. Dzięki pozycji Johna jako admirała jeździliśmy na wycieczki w egzotyczne miejsca, a obiekty marynarki - takie jak chociażby klub oficerski na Treasure Island, gdzie urządziliśmy przyjęcie z okazji mojego dyplomu - stały przed nami otworem. Przyjaciele i rodzina potwierdzali znaczenie naszego związku, towarzysząc nam przy różnych okazjach. Nawet mój ojciec, który początkowo był podejrzliwy, nie wygłaszał już lekceważących uwag pod adresem Johna. Wciąż zmagaliśmy się z problemami finansowymi, ale jakie małżeństwo ich nie ma? Euforia, związana ze spełnianiem się kolejnych marzeń, przyćmiewała mój niepokój. Świat admirała całkowicie mnie wchłonął i nie wyobrażałam sobie, że może być inaczej.

Gdy zbliżały się pięćdziesiąte dziewięte urodziny Johna, postanowiliśmy udać się do hotelu Fairmont na Nob Hill. Zwykle z okazji Dnia Niepodległości urządzaliśmy imprezę dla bliskich. Pływaliśmy wtedy w basenie, jedliśmy steki z grilla, słuchaliśmy koncertów taty na kornecie i śmialiśmy się z goryla w spódniczce baletnicy, który wyśpiewywał serenady.

W tym roku jednak nie byliśmy w nastroju na imprezę. Miesiąc wcześniej nasz przyjaciel, Ted Drexel, zmarł z powodu zastoinowej niewydolności serca. Nie wyobrażaliśmy sobie dorocznego przyjęcia bez jego ochryplego głosu i zaraźliwego uśmiechu. Potrzebowaliśmy ciszy i spokoju. Chcieliśmy też okazać wsparcie jego żonie, Debbie, tak więc zaprosiliśmy ją na kolację do Tonga Room.

Zachęciłam ją, opowiadając o mojej pierwszej wizycie w tej restauracji. Obchodziłam wtedy swoje trzydzieste szóste urodziny. Siedzieliśmy przy wodospadzie, razem z Pam i Georgeem, gdy nagle John wyskoczył z krzesła i pośpiesznie wyszedł z lokalu. Zdumieliśmy się, ale doszłam do wniosku, że po prostu udał się do toalety. Minęło piętnaście minut, a on nadal nie wracał. Zaczęłam się martwić i miałam już zacząć go szukać, gdy niespodziewanie wrócił i konspiracyjnym szeptem poinformował nas, że właśnie widział zbiegłego kolumbijskiego dilerka narkotyków, więc musiał zadzwonić do CIA.

- Spójrzcie na te dwie pary - ciągnął. - To agenci. Przeszkają salę, udając, że próbują wybrać stolik, ale chyba się spóźnili.

Wiele lat później, gdy John nie był już częścią mojego życia, Pam i George wyznali, że wydało im się to bardzo dziwne.

Wówczas jednak sądziłam, że ich milczenie dowodzi, iż wszyscy bierzemy udział w czymś niesamowitym. Nie wiedziałam wtedy, że psychopaci często uciekają się do takich sztuczek - twierdzą, że są powiązani z CIA lub FBI.

- Po prostu musisz z nami pójść, Debbie. Wyjdiesz wreszcie z domu - przekonywałam.

- No dobrze, ale pod warunkiem że wcześniej pozwolisz mi przygotować koktajle i przekąski.

Zgodziłam się, siedzieliśmy więc teraz w eleganckim salonie, jedliśmy pierożki wonton i popijaliśmy rum z colą.

- Jest prawie tak jak tamtego wieczora, kiedy przyszedłam na kolację, a wy przedstawiliście mnie Johnowi. Tyle że teraz nie ma z nami Wielkiego Kahuny.

Z powodu ciemniej karnacji Teda wielokrotnie brano za Hawajczyka.

Unieśliśmy kieliszki.

- Za Wielkiego Kahunę!

Debbie zauważyła roleksa na nadgarstku Johna. Miała doskonały gust, jeśli chodzi o biżuterię, i nic nie umykało jej uwadze.

- Tak, jest wart dwa i pół tysiąca dolarów. - Przy tym temacie zawsze wpadałam w rozdrażnienie. - Ostatnio za każdym razem, gdy wracam z podróży służbowej, okazuje się, że John kupił coś drogiego.

- Barbara ciągle się zamartwia - powiedział ze śmiechem i poklepał mnie po kolanie.

Usłyszeliśmy sygnał czasomierza, więc Debbie udała się do kuchni.

- Muszę wyjąć sajgonki z piekarnika - wyjaśniła.



John wstał i przeprosił, mówiąc, że musi wziąć coś z bagażnika. Na pytające spojrzenie przyjaciółki odpowiedziałam wzruszeniem ramion.

- Człowiek-tajemnica - rzuciłam tylko. - To już wiemy.

Wzięłam pusty talerz po przekąskach i poszłam za Debbie do kuchni. Usłyszałyśmy dźwięk zamykanego bagażnika, potem szelest plastiku, gdy John wchodził po schodach z tyłu domu. Wparował do kuchni z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Chodźcie, muszę wam to pokazać. To najlepszy prezent urodzinowy, jaki kiedykolwiek dostałem.

Wróciliśmy do salonu, gdzie na stoliku postawiliśmy drinki i gorące sajgonki. John położył na kolanach tajemniczą torbę.

- Wiecie, że próbowałem namówić dzieciaki, żeby zaakceptowały Barbarę. Wreszcie się udało.

- To dobrze czy źle? - przerwałam mu. - Ich dotychczasowe zachowanie pozostawia wiele do życzenia.

- Bardzo dobrze! - Rozpromienił się i przycisnął torbę do piersi. - Sonny przesłał mi coś wyjątkowego... Moje medale z czasów służby.

Wyjaśnił, że były przechowywane w sejfie Riggs National Bank w Waszyngtonie. Czekają tam, aż zagrzeje gdzieś miejsce na dłużej. Tylko Sonny miał do nich dostęp. Wydało mi się to dziwne, ale prawdopodobne, tak jak wiele innych rzeczy, które mówił mąż. Kiedy się do mnie wprowadził, Sonny z początku nie chciał przesłać mu medali. Teraz ustąpił. Doszedł do wniosku, że skoro jesteśmy razem już sześć lat, ojciec powinien dostać medale, które otrzymał za wierną służbę podczas trzech wojen.

- Obejrzyjmy je — zaproponowała Debbie.

Gdy John odwrócił torbę do góry dnem, na kanapę wysypało się trzynaście pudełek różnej wielkości i w różnych kolorach. Otwierał je jedno po drugim.

- To jest Purpurowe Serce - wyszeptał, próbując powstrzymać łzy. - Dostałem je w Korei, kiedy zestrzelili mój samolot.

Podał mi pudełko, a ja przekazałam je przyjaciółce.

- To wtedy straciłeś przyjaciela? - zapytałam.

Byłam z siebie dumna. Powiązałam medal z dręczącym go od dawna koszmarem. Nie wiedziałam wtedy, że psychopaci potrafią wzbudzać litość, by utrzymać zaangażowanie swojej ofiary w związek.

- A oto Navy Cross.<sup>1</sup> - John wyjął medal z pudełka i przycisnął go mocno do piersi. - Z drugiej wojny światowej, za niebezpieczną misję wykonywaną z Navy SEALs. Podałem fałszywy wiek, żeby dostać się do marynarki. Chciałem, by tata był ze mnie dumny. Doszedłem do wniosku, że najlepszym sposobem jest zaciągnąć się do jednostki, która walczy pod wodą.

Mąż otwierał kolejne pudełka: Air Medal<sup>2</sup>, Distinguished Service Medal<sup>3</sup>, Legion of Merit Legionnaire<sup>4</sup>, Distinguished Flying Cross<sup>5</sup>, Silver Star<sup>6</sup>, Bronze Star<sup>7</sup>, Navy/Marine Corps

<sup>1</sup> Navy Cross - Krzyż Marynarki, odznaczenie za odwagę Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

<sup>2</sup> Air Medal - odznaczenie za wybitną służbę w trakcie starcia lotniczego.

<sup>3</sup> Distinguished Service Medal - medal za wybitne zasługi dla rządu amerykańskiego, przyznawany wysokim urzędnikom lub wysokim stopniem oficerom.

<sup>4</sup> Legion of Merit Legionnaire - odznaczenie za wybitne zasługi w czasie pokoju.

<sup>5</sup> Distinguished Flying Cross - odznaczenie za wybitną służbę w trakcie starcia lotniczego.

<sup>6</sup> Silver Star - Srebrna Gwiazda, medal za odwagę.

<sup>7</sup> Bronze Star - Brązowa Gwiazda, medal za odwagę i/lub wybitną służbę.

Medal<sup>1</sup>, Joint Service Commendation Medal<sup>2</sup>, francuski Croix de Guerre<sup>3</sup> oraz australijski Military Cross<sup>4</sup>. Kiedy doszedł do ostatniego pudełka, największego, jego dłoń zatrzymała się.

- To właśnie on. Mój najcenniejszy. Medal Honoru, za odwagę w starciu z siłami wroga.

- To z tej bitwy, w której straciłeś płuco? - wyszeptalam.

- Tak - powiedział, kładąc rękę na piersi, dokładnie tam, gdzie miał bliznę.

Wątpię, czy Debbie uchwyciła tę symbolikę. Żal ściszał mi serce.

John zostawił medal w prostokątnym pudełku i podał je mnie. Nie wychowałam się w rodzinie wojskowej, więc nie wiedziałam, jak wyglądają medale za służbę. Słyszałam o Medalu Honoru zapewne w filmach o drugiej wojnie, które oglądałam jako dziecko, a ostatnio od Johna. Teraz wreszcie trzymałam w dłoniach to odznaczenie. Rozpierała mnie duma - z powodu dokonań męża, jak również historii mojego kraju. Przesunęłam palcem po niebieskiej satynowej wstążce, po kwadratowym węźle z trzynastoma białymi gwiazdami, który znajdował się w środku, i po pięcioramiennej gwieździe, która zwisała poniżej wstążki.

- Nie sądziłam, że jest w nich tyle detali - zdumiała się Debbie. - Ted na pewno bardzo chciałby go zobaczyć.

<sup>1</sup> Navy/Marine Corps Medal - odznaczenie za heroiczne czyny (zazwyczaj z narażeniem życia) w sytuacji, która nie jest konfliktem z wrogiem.

<sup>2</sup> Joint Service Commendation Medal - medal za heroiczne czyny i/lub wybitną służbę.

<sup>3</sup> Croix de Guerre - Krzyż Wojenny, odznaczenie za odwagę.

<sup>4</sup> Military Cross - Krzyż Wojskowy, odznaczenie za waleczność przyznawane żołnierzom Brytyjskich Sił Zbrojnych, a uprzednio również oficerom innych krajów należących do Wspólnoty Narodów.

- Widzi go teraz. Czuję, że jest tu z nami duchem - pocieszyłam ja.

- Za Wielkiego Kahunc - powiedzieliśmy jednogłośnie, unosząc kieliszki.

John zebrał pudełka i włożył je z powrotem do plastikowej torby. „Co za ironia - pomyślałam - że tyle odwagi mieści się w tak niepozornej reklamówce”. Jego medale zasługiwały na coś lepszego.

- Mam pomysł - wykrzyknęłam. - Oprawmy twoje odznaczenia. Możemy ułożyć je wokół Medalu Honoru i powiesić w salonie, nad twoim fotelem, obok morskich szkiców i obrazu Stihy.

- Obrazu Stihy? - zdziwiła się Debbie.

Przypomniałam jej swoją chwilę słabości, kiedy to w kwietniu zeszłego roku w Santa Fe pozwoliłam Johnowi kupić obraz olejny Viadana Stihy. Wybraliśmy się tam z wizytą do mojej siostry, Meredith, i przy okazji zwiedziliśmy zabytkowy rynek.

Jeśli mam być szczerą, muszę przyznać, że zakochałam się w tym obrazie od pierwszego wejrzenia. Stał we frontowym oknie hotelu La Fonda. Te niezwykle kaczki wywarły wrażenie na nas obojgu. Kiedy w końcu wymyśliłam, gdzie moglibyśmy go powiesić, przydała nam się znajomość hiszpańskiego. John zdołał wytargować z artystą niższą cenę - dwanaście tysięcy dolarów. Musiałam na chwilę stracić rozum, skoro mu na to pozwoliłam, ale założyliśmy tysiąc za *Życie na usi* i zleciliśmy przewiezienie obrazu do domu.

Wróciliśmy do świata kolekcjonerów sztuki. Sądziłam, że tym razem stać nas na to. Było zupełnie inaczej niż wtedy,

gdy próbowaliśmy kupić obrazy Reda Skeltona. John miał nową umowę z Foxboro, a czeki przychodziły regularnie, tak więc nie przypuszczałam, że pojawią się problemy ze spłatą rat. Rzeczywistość wyglądała jednak inaczej.

- Założysz dziś jeden z nich? - zapytałam. Byłam bardziej podekscytowana niż on.

- Nie, raczej nie.

Nie naciskałam. Nie znałam protokołu marynarki i zasad noszenia medali, więc doszłam do wniosku, że John wie lepiej. Nie rozumiałam, że znalazł inny sposób na obnoszenie się ze swoim stopniem ani też że medali nie nosi się nonszalancko w miejscach publicznych. Prawdziwy bohater nie skupia na sobie uwagi otoczenia. Odwróciłam się do Debbie i zmieniłam temat.

- Tak się cieszę, że ty i Ted pojechaliście z nami w lutym do Meksyku.

- Kto by przypuszczał, że to będzie nasza ostatnia wspólna wycieczka... - westchnęła. - Ale była udana.

Wspominaliśmy, jak to w pewnej ciężarówce zepsuły się hamulce i nasz volkswagen został niemal zepchnięty z klifu oraz jak Debbie rozchorowała się w Mexico City do tego stopnia, że musieliśmy ją zawieźć do szpitala.

- Miałam szczęście, że zapłaciliście za mnie te tysiąc dolarów, kiedy nie chcieli przyjąć naszej karty kredytowej - dodała. - Można powiedzieć, że zawdzięczam wam życie.

Po pysznej kolacji w Tonga Room pożegnaliśmy się z przyjaciółką i wróciliśmy do Concord. Zaczęłam się właśnie rozbierać, gdy John wszedł do sypialni z bardzo zmartwioną miną.

- Twoja matka nagrała się na sekretarkę. Poinformowali ją, że babcia umiera.

Natychmiast pobiegłam do telefonu. Ustaliśmy z mamą, że obie polecimy do Arkansas. John wykorzystał swoje cudowne umiejętności organizacyjne i zarezerwował mi bilet, a także ustalił warunki wynajmu samochodu. Dotarliśmy do Hot Springs w ostatniej chwili - babcia Shirley zmarła godzinę po tym, jak dojechaliśmy do szpitala. Zdążyliśmy powiedzieć jej, jak bardzo ją kochamy. Wierzę, że czekała, by się z nami pożegnać.

\* \* \*

Niemal trzy miesiące później siedzieliśmy z Johnem w barze 25th Restaurant na dwudziestym piątym piętrze hotelu Sydney Boulevard, w którym się zatrzymaliśmy. Dzięki admirałowi otwierały się przede mną kolejne granice. Wybraliśmy się w trzytygodniową wycieczkę na Antypody, z jedenastoma walizkami i pełnym planem podróży.

Zachodzące słońce skąpało przystań w czerwonych promieniach. Stopniowo zapalały się migocące światła miasta.

- Zapiera dech w piersi - powiedziałam, pociągając łyk wina.

- Ciekawe, gdzie są Joe i Paula - zastanawiał się John, spoglądając na swojego roleksa.

Poznaliśmy ich ledwie sześć dni wcześniej na Dunk Island przy wybrzeżu Queensland. Kiedy okazało się, że wszyscy będziemy w Sydney w tym samym czasie, umówiliśmy się na kolację.

- Przyjda - uspokajałam zwyczajem wiecznej optymistki. A potem, żeby podtrzymać rozmowę, spytałam: - Kto dzwonił, kiedy brałam prysznic?

- Recepcja. Powiedzieli, że karta kredytowa, którą chciałem zapłacić, przekroczyła limit. Dałem im inną.

Znowu zbliżaliśmy się do krawędzi. Zaplanowaliśmy tę podróż, kiedy skarbiec nie świecił jeszcze pustkami, ale gdy czeki Johna z Foxboro wciąż nie przychodziły, ocaliłam nasze plany, wykorzystując dwa tysiące dolarów spadku po babci i siedemset dolarów zaliczki na poczet pensji. Matka nie wyraziła aprobaty, ale ja uważałam, że popisałam się zaradnością. Nie dostrzegalam, że ponownie wciągnął mnie blichtr planów admirała.

Zmieniłam temat.

- Z Medalem Honoru wyglądasz bardzo wytwornie.  
- Obdarzyłam go promiennym uśmiechem. - Założyłeś go po raz pierwszy, od kiedy pokazałeś go Debbie i mnie.

- Australijczycy to gorący patrioci. Zawsze mówią, że gdyby nie udział Stanów w wojnie, teraz mówiliby po japońsku.

Nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać, dlaczego na miejsce pierwszej prezentacji swojego medalu wybrał obcy kraj.

Udaliśmy się do naszego stolika. Joe i Paula dołączyli kilka minut później.

- Przepraszamy, że... - Joe zamarł, po czym stanął na baczność. - To dla mnie zaszczyt, sir.

- Dzięki. - Admirał się zarumienił. - Usiądźcie, nie róbmy przedstawienia.

- Nigdy nie znałem nikogo, kto zdobyłby ten medal  
- wyjaśnił Joe, wykonując rozkaz. - Cieszę się, że mogę siedzieć z panem przy jednym stoliku.

Gdy po chwili podszedł do nas kelner, John zamówił szampana.

- Dziś trzeba świętować — wyjaśnił.

- A z jakiej okazji? - zapytała Paula.

- Za dwa dni obchodzimy piątą rocznicę ślubu.

Kiedy jedliśmy deser, mąż opowiedział, jak to w styczniu zaproponowano mu stanowisko podsekretarza obrony.

- Odmówiłem. To zbyt upolityczniona posada - tłumaczył ze śmiechem. - Myślę, że Ted Kennedy miał coś do mnie. Chodziło o jakiś konflikt jego rodziny z moim ojcem.

Para, która właśnie wychodziła, podeszła do naszego stolika. Mężczyzna wyciągnął rękę do Johna.

- Poznaję ten medal, sir. Chciałbym uścisnąć dłoń człowieka, który musiał wykazać się nie lada odwagą, skoro odznaczono go Medalem Honoru, a do tego przeżył, by o tym opowiedzieć.

John zaczerwienił się i wyszeptał:

- Dziękuję.

Później, pod koniec naszej wycieczki, gdy wybraliśmy się do ekskluzywnej restauracji w Perth, założył australijski Military Cross. Nie rozumiałam, skąd wzięło się u niego odznaczenie z obcego kraju, więc znów pospieszył z wyjaśnieniem:

- Otrzymałem go, gdy podczas drugiej wojny światowej służyłem z australijskimi kumplami na Pacyfiku.

W restauracji medal został rozpoznany i wzbudził szacunek tych, którzy zdawali sobie sprawę z jego znaczenia. John był bohaterem. Nawet na krańcu świata.



## *Bał inauguracyjny*

Siedem lat życia z Johnem przypominało długodystansowy lot. Przez większość czasu niebo było pogodne, więc podróż przebiegała spokojnie. Od czasu do czasu natrafialiśmy tylko na finansowe turbulencje. Trzymałam się wtedy czegoś, póki nie znaleźliśmy sposobu, by odzyskać stabilność poprzez refinansowanie albo nowe kontrakty męża. Teraz moje marzenie, by pozbyć się wszystkich długów, miało się ziścić. Do otrzymania pieniędzy od Jasona pozostały zaledwie trzy miesiące. Żadnych długów? Czy to się kiedykolwiek stanie? Pragnęłam tego z całego serca. Za każdym razem, gdy zaczynaliśmy od nowa finansową grę, myśl o tej kwocie była jedyną rzeczą, która dawała mi siłę - marchewką, którą John nieustannie podtykał mi pod nos. To oraz jego spadek.

John nareszcie zdobył pracę - w Cremcon, firmie z Doliny Krzemowej, która należała do Bruce'a Wendena - pioniera w zakresie technologii kolorowych kserokopiarek i faksów. Mąż zasiadał w zarządzie. Przy podpisywaniu umowy otrzy-

mał premie w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy udziałów i został członkiem zespołu marketingowego. Przyglądaliśmy się nawet domom w eleganckiej dzielnicy Saratogi, na wypadek gdybyśmy musieli się przenieść. Dzięki Cremconowi zaspokajałam również swój apetyt na podróże. Gdy Johnowi powierzono zadanie obejrzenia obiektów w miejscach, gdzie firma mogłaby ruszyć z produkcją, wybraliśmy się do Francji i Hiszpanii.

Pewnego popołudnia siedzieliśmy w salonie i rozmawialiśmy o Cremcon oraz o tym, że oni również zwlekali z zapłatą. John doskonale wiedział, jak mną manipulować, jak rozpraszać moją uwagę i sprytnie zmieniać temat.

- W tej chwili Cremcon to mała, nieistotna firma na rynku elektronicznym - tłumaczył - ale kiedy wejdzie na giełdę, zbijemy majątek.

- Napiłabym się kolejnego drinka - odparłam wymijająco.

- Będziesz go potrzebowała.

„Co teraz?” - pomyślałam.

Wyciągnął spod baru dużą białą kopertę i podał mi ją z wyczekującym uśmiechem. Była zaadresowana do admirała Perryego i pani Perry. W lewym górnym rogu widniała pieczęć prezydencka.

- Zostaliśmy zaproszeni na zaprzysiężenie i bal inauguracyjny Georgea Herberta Walkera Busha!

- To ja poproszę o drinka - wykrztusiłam.

\* \* \*

Miesiąc później wysiedliśmy z metra na stacji Capitol South i ruszyliśmy na poszukiwanie najważniejszego budynku w kraju.

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że będę uczestniczyć w uroczystości zaprzysiężenia czterdziestego pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale z każdym krokiem coraz bardziej to do mnie docierało. W mieście panowało niezwykle podniecenie. Na chodnikach i ulicach kłębił się tłum ludzi. Ruch kołowy blokowały barykady. Policjanci wskazywali drogę zagubionym pieszym. Nad Waszyngtonem wisiało ciemnoszare niebo, powietrze orzeźwiał chłodny wiatr, ale nie padał deszcz ani śnieg. Na szczęście ubraliśmy się ciepło.

Spojrzałam na nasz pomarańczowy bilet.

- Według planu powinniśmy wejść bramą od Independence Avenue.

- To tędy, w lewo - powiedział Alec Baxter.

Alec był współnikiem Johna w interesach. Z czasem został także jego przyjacielem. Kiedy zauważyłam, że nie stać nas na udział w inauguracji, John załatwił nocleg u Baxterów w pobliskim McLean. W dzień uroczystości postanowiliśmy skorzystać z metra. Z trudem wcisnęliśmy się do zatłoczonego wagonu.

Gdy dotarliśmy do Kapitolu, podeszliśmy do ochroniarzy i pokazaliśmy im bilety do sektora pomarańczowego.

- John, jak udało ci się załatwić takie świetne miejsca?

- zapytała Noreen, żona Aleca.

- Zadzwoiłem do kilku demokratycznych kongresmenów. Dostają bilety, ale ponieważ prezydentem będzie republikanin, doszedłem do wniosku, że na pewno któryś z nich się nie wybiera.

- Przynajmniej możemy usiąść - zauważyłam. - Wiele osób stoi.

Stojący w rzędzie przed nami mężczyzna zwrócił się do Johna:

- Jeśli można, chciałbym uścisnąć pańską dłoń. To zaszczyt spotkać kogoś, kto otrzymał Medal Honoru.

John dotknął medalu, który miał na szyi, podziękował i odwzajemnił uścisk.

- Widzisz Calvina? - spytałam męża.

- W tym tłumie? Chyba żartujesz.

Poznaliśmy Calvina Coolidgea - naprawdę się tak nazywał - podczas nocnego lotu z San Francisco, na który dostałyśmy bilety za częste podróże. Calvin powiedział, że otrzymał imię na cześć swojego dalekiego krewnego, trzydziestego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wybierał się właśnie na uroczysty lunch wydawany przez Fundację imienia Calvina Coolidgea na Uniwersytecie Georgea Washingtona. Zapytał, czy mielibyśmy ochotę udać się tam jako jego goście. Oczywiście natychmiast się zgodziliśmy. Dzięki małżeństwu z Johnem przeżyłam wiele ekscytujących przygód, również związanych z historią.

Na początek grała Orkiestra Reprezentacyjna Piechoty Morskiej. Gdy prezydent składał przysięgę, z trudem powstrzymywałam łzy. Dostałam gęsiej skórki, gdy powiedział:

- Wieje nowy wiatr, a naród, pełen świeżej wolności, jest gotów, by iść naprzód. Musimy dokonać kolejnych przełomów i podjąć nowe działania.

- Co teraz? - rzuciłam głośno, próbując przekrzyczeć orkiestrę, gdy nowy prezydent zszedł z podium.

- Musimy dostać się na trybuny dla odznaczonych Medalem Honoru, żeby obejrzeć paradę inauguracyjną - odparł John.

- To nie będzie łatwe - zmartwił się Alec. - Spójrz na te tłumy.

- Chcesz powiedzieć, że musimy przejść piętnaście przecznic?!

Nie mogłam w to uwierzyć. Na ulicach tłoczyło się około trzystu tysięcy ludzi, a wszyscy centymetr po centymetrze zmierzali w stronę Pennsylvania Avenue. Nigdy czegoś takiego nie widziałam, miałam nadzieję, że więcej nie zobaczę i obiecałam sobie, że nie wezmę udziału w żadnym wydarzeniu, w którym będą uczestniczyć takie chmary ludzi. Ściśnięci i stale popychani z trudem szliśmy dalej. To był koszmar.

Zza chmur wychyliło się słońce, ale wciąż panował chłód. Spojrzałam na zegarek. Musiałby się zdarzyć cud, żebyśmy zdążyli na trybuny przed rozpoczęciem parady. Po dotarciu do Freedom Plaza John zgłosił się do ochrony.

Kiedy wspinaliśmy się na najwyższy rząd, by mieć jak najlepszy widok, wiele osób salutowało mojemu admirałowi. Byłam dumna z niego i z Medalu Honoru, który zdobył jego pierś. Nie zwróciłam uwagi, czy ktokolwiek inny miał takie odznaczenie. Wszyscy zauważyliśmy natomiast, że parada rozpoczęła się z godzinnym opóźnieniem.

- Mamy szczęście, że znamy odpowiednią osobę - zażartował Alec. - To doskonale miejsca. Będziemy widzieli, jak parada rusza z Kapitolu, a potem skręci tuż przed nami.

- To nie wszystko - powiedział John. - Wszyscy zatrzymają się przed tymi trybunami, żeby oddać nam honory wojskowe.

- Prezydent też? - zapytałam zdumiona.

- Owszem - odparł z uśmiechem.

Istotnie, wszystko odbyło się tak, jak obiecał. Czulałam, jak splywa na mnie częścjeggo chwały.

\* \* \*

Bal inauguracyjny wyobrażałam sobie jako ekskluzywne przyjęcie. O dwudziestej byliśmy prawie na miejscu. Alec przejechał most Theodorea Roosevelta i podążył za limuzynami w kierunku Centrum Kennedyego.

- Wróć o północy - powiedział.

- Spróbuję nie zgubić szklanego pantofelka - zażartowałam.

- Nie chcielibyśmy, żebyś zmienił się w mysz i powoził dynią!

Młody żołnierz piechoty morskiej otworzył drzwi i wyciągnął rękę w białej rękawiczce. Gdy podałam mu moją, przyobleczoną czarną rękawiczką, pomógł mi wysiąść z samochodu. Czulałam się jak Kopciuszek. Mój książę wysiadł z drugiej strony i przeszedł naokoło.

- Masz przepiękną suknię... i ten twój diamentowy naszyjnik... - wyszeptał mi do ucha.

- Czuję się jak księżniczka, piękna, ale splukana.

John nalegał, żebym założyła na bal diamenty. Nigdy przedtem nie nosiłam niczego poza sztuczną biżuterią. Jego sugestia wydała mi się dziwaczna, więc odmówiłam. Koniec końców dopiął swego, zresztą jak zwykle.

- Wyglądasz olśniewająco - powiedział. - Jesteś tu najpiękniejszą kobietą.

Istotnie, czulałam się wyjątkowo.

Weszliśmy do Hall of States, gdzie zameldowaliśmy się i dostaliśmy ozdobny talerz inauguracyjny.

- To moje najdroższe naczynie - powiedziałam, wyjmując go z pudełka. - Jest wart niemal pięć tysięcy dolarów.

-Jak to obliczyłaś?

- Bilety na bal: trzysta pięćdziesiąt dolarów. Dolicz stroje i dodatki. Co otrzymasz?

- Talerz za pięć tysięcy! - wykrzyknął i roześmiał się.

Przeszliśmy zatłoczonym korytarzem aż do foyer, gdzie czekało mnie bolesne zderzenie z rzeczywistością. Marzenia o wykwintnym przyjęciu natychmiast się rozwiały. Foyer było równie zatłoczone jak wagon metra, którym jechaliśmy rano. Ludzie w wieczorowych strojach stali ściśnięci jak sardynki, trzymając plastikowe kubki z napojami za dwa i pół dolara. Tandetna. Rozejrzałam się wokół i zobaczyłam, że w niektórych miejscach, odgrodzonych wstęgami, ustawione są składane krzesła. Stały przy nich kartonowe pojemniki na lód.

- Chodźmy tam - powiedziałam. - Przez te pantofle zaraz odpadną mi stopy.

Gdy z wielkim trudem udało nam się dotrzeć w pobliże krzeseł, natychmiast pojawił się żołnierz piechoty, który poprosił nas o okazanie zaproszenia. Niczego takiego nie mieliśmy. Wyjaśnił, że za przywilej siedzenia na gołych składanych krzesłach ludzie płacili po kilka tysięcy dolarów.

Zdałam sobie sprawę, że okrągłe stoły z białymi obrusami i świecami istniały tylko w mojej wyobraźni, podobnie jak uroczysty walc z księciem. Nie było na to szans. Za parkiet służył wydzielony skrawek podłogi na końcu foyer, który niebawem zniknął, ponieważ ludzi wciąż przybywało. Grała wprawdzie wojskowa kapela taneczna, ale muzyka ginęła w gwarze rozmów.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że w tym samym czasie w Waszyngtonie odbywało się siedem balów. Prezydent miał się pojawić na chwilę na południowym krańcu foyer, a my znajdowaliśmy się na północnym. Moje stopy groziły strajkiem.

- Jak się tam dostaniemy, John? Tu jest chyba z tysiąc osób i nikt się nie rusza.

- Złap mnie za rękę i nie puszczaj.

Zaczął przeciskać się przez tłum, uśmiechając się i przepraszając. Bardzo pomógł nam jego wysoki wzrost i... Medal Honoru. Niczym laska Mojżesza, przed którym rozstąpiło się morze, odznaczenie utorowało nam wąziutką ścieżkę w tłumie. Dotarliśmy na południowy kraniec foyer, gdzie znaleźliśmy dogodne miejsce przy oknach wychodzących na Potomac. Nie było idealne, ale musiało wystarczyć. Przynajmniej słyszeliśmy muzykę zespołu przydzielonego do tej części pomieszczenia.

W pewnej chwili do Johna podszedł starszy mężczyzna z piersią obwieszoną medalami, wyciągnął ku niemu rękę i przedstawił się. Admirał skwapliwie uściśnął jego dłoń.

- Sir, moi koledzy i ja służyliśmy podczas drugiej wojny światowej w oddziale prezydenta Busha - powiedział. - Stoimy w sektorze tuż obok podestu dla prasy. Zauważyliśmy, że nosi pan Medal Honoru. Bylibyśmy zaszczytzeni, gdyby pan do nas dołączył.

Spojrzałam w tamtą stronę. Ich sektor przypominał oazę - było tam zdecydowanie więcej miejsca. Poza tym znajdował się naprzeciwko balkonu wychodzącego na salę koncertową, na którym miał się pojawić prezydent. Bez wahania przyjęliśmy propozycję.



Gdy znaleźliśmy się w tym sektorze, przeszliśmy aż na kraniec platformy dla prasy, ale okazało się, że widok jest niewiele lepszy. Jak miałam zrobić dobre zdjęcia, stojąc za ludźmi dużo ode mnie wyższymi? Przyjrzałam się podestowi. Było na nim trochę miejsca, tuż obok mężczyzny w prążkowanym garniturze, który bacznie obserwował tłum. Doszłam do wniosku, że jest to agent służb specjalnych. Ponieważ nigdy nie brakowało mi pewności siebie, trąciłam Johna łokciem i powiedziałam, że wejdę na podest.

- Zwariowałaś? Nie pozwolą ci.

- Co mi zrobią? Najwyżej każą mi zejść.

Zakasałam suknię, mąż mnie podsadził, a mężczyzna w garniturze schylił się i podał mi dłoń. Gdy wspięłam się na scenę, uśmiechnął się do mnie, ja odwzajemniłam uśmiech. Po chwili John podał mi aparat. Nikt nie kazał mi zejść.

Nagle rozbrzmiały trąbki orkiestry. Tłum zamilkł. Na balkon wyszedł Charlton Heston i zapowiedział nowego prezydenta oraz jego żonę. Orkiestra zaczęła grać *Hail to the Chief*, a na balkonie pojawili się George i Barbara Bushowie. Po krótkiej przemowie przywódcy dołączyli do nich Bob i Dolores Hopeowie oraz Neil Bush z żoną.

Oniemiałam z wrażenia. Wszystko działo się tak szybko, że nie nadążałam z robieniem zdjęć. Przyjmowałam też aparaty innych ludzi z parkietu, którym nie poszczęściło się tak jak mnie.

<sup>1</sup> *Hail to the Chief* - marsz wojskowy towarzyszący pojawieniu się prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Grupa prezydencka zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Musieli udać się na inne bale, wygłosić kolejne mowy. Neil i jego żona zaś zostali z nami jako oficjalni gospodarze balu w Centrum Kennedyego. Potrzebowałam czasu, żeby ochłonąć po tym, co właśnie się wydarzyło.

Kilka chwil później stało się coś, co wzmogło euforię. Neil wszedł na podest dla prasy, żeby udzielić wywiadu jednemu z dziennikarzy.

-John, wyciągnij nasz program. Szybko! Weź autograf.

Kiedy dziennikarz skończył, Neil zeskoczył z powrotem na parkiet. Wtedy John podszedł do niego z kawałkiem papieru, a młody Bush złożył na nim swój podpis. Wydawało się, że warto to zrobić, choć przecież nie był dygnitarzem.

W drodze powrotnej, gdy Alec wiózł nas wzdłuż George Washington Parkway, spojrzałam na przeciwległy brzeg Potomacu: na wodzie tańczyły światła Centrum Kennedyego; przez okna widziałam migoczące żyrandole. Cieszyłam się, że miałam okazję uczestniczyć w tym historycznym wydarzeniu.

- Było ciekawie - powiedziałam Noreen, gdy znaleźliśmy się w domu - choć nie tak, jak sobie wyobrażałam. Z pewnością nie chciałabym ponownie brać w tym udziału. Za dużo w tym wszystkim polityki. To nie moja bajka. Niech prawodawcy sami bawią się w te swoje gierki.

## *Sztorm*

Pięć miesięcy po balu inauguracyjnym siedziałam przy wyjściu dla pasażerów na lotnisku międzynarodowym w San Francisco i czekałam na Johna, który wracał z dwutygodniowej podróży służbowej po Europie. Wciąż byłam zakochaną romantyczką. Powodowana kaprysem kupiłam bukiet białych mieczyków i balon z napisem „Jesteś najlepszy”. Cieszyłam się, że mój mężczyzna wraca do domu, więc koniecznie chciałam go odebrać z lotniska.

Interesy męża szły fantastycznie. Podpisał umowy ze znanymi firmami, jak również z kilkoma mniejszymi przedsiębiorstwami. Nareszcie zarabiał wystarczająco dużo, by móc płacić za swoje zakupy, lecz powodów do niepokoju jak zwykle nie brakowało. Kwota dwustu tysięcy dolarów od Jasona, na którą czekaliśmy od ponad siedmiu lat, nie pojawiła się ani w lutym, ani też w marcu, kwietniu czy maju. Byłam cała w nerwach. Błagałam i nalegałam, ale John za nic nie chciał upomnieć się o pieniądze. W czerwcu wymogłam na nim przyrzeczenie, że przed

wyjazdem w delegacji spotka się z kuzynem. Ustąpił, ale nie dotrzymał obietnicy.

- Nie mogę go złapać - tłumaczył. - Zrobię to, jak tylko wrócę z Hiszpanii.

Zanotowałam jego słowa w pamięci, żeby upewnić się, że to zrobi.

- Hej, moja piękna, a to co? - zapytał zdziwiony, gdy wyszedł przez bramkę. Wręczyłam mu kwiaty oraz balon i wzięłam jego teczkę. Uśmiechnął się do mnie zalotnie.

- Tęskniłam za tobą - powiedziałam.

Nie kłamałam. Bez niego, mojej drugiej połówki, mojego przyjaciela, partnera i towarzysza podróży, nasz dom był pusty. Mieliśmy wiele cudownych wspomnień. Oczywiście żadne nie wiązało się z kwestią płacenia rachunków.

Wspięłam się na palce i pocałowałam go namiętnie.

Po powrocie do domu mąż przyrządził nasze ulubione drinki, po czym usiedliśmy na tarasie wychodzącym na basen. Zamierzałam właśnie poruszyć temat spotkania z kuzynem, ale odwrócił moją uwagę cudowną nowiną.

- Co sądzisz o tym, żebyśmy uczcili twoje urodziny w Lyonie z Bruceem i Laurą Wendenami? - zapytał. - I nawet nie wspominaj o pieniądzach. Bruce za wszystko płaci. Po części będzie to podróż służbowa.

Jak mogłam odmówić? Byłam zapaloną podróżniczką, a dzięki Johnowi moje marzenia w tej dziedzinie stawały się rzeczywistością. W zeszłym roku spędziliśmy w Paryżu trzy dni z przyjaciółmi z Londynu, po czym pojechaliśmy najeden dzień do stolicy Burgundii, Dijon, a później zwiedzaliśmy inne uro-

cze miasteczka i winiarnie tego regionu. Następnie poleciliśmy do Malagi, a potem przez Grenadę, Kordobę i Toledo dotarliśmy do Madrytu. Tam John, w swoim białym mundurze galowym, z Medalem Honoru na piersi, udał się do ambasady amerykańskiej, mnie zaś wysłał do Muzeum Prado, gdzie mogłam nacieszyć oczy dziełami El Greca, Goi, Rubensa, Tycjana, Rembrandta i innych. Wystarczy wypowiedzieć przy mnie słowo „podróż”, a już jestem gotowa się pakować.

- Wypijmy za kolejną wizytę we Francji i Hiszpanii - powiedziałam, unosząc kieliszek, po czym spojrzałam na zegarek. - Za dwadzieścia minut mamy być na kolacji u Rammellów. Nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć im o naszej następnej wycieczce.

Postanowiłam, że o zaległych sprawach z kuzynem porozmawiamy kiedy indziej.

\* \* \*

Zawsze uważałam się za inteligentną kobietę. Zdobyłam przecież dyplom i od wielu lat pracowałam w swoim zawodzie. Ale w pewnym momencie osaczyło mnie uczucie emocjonalnego głodu. W sprawach związanych z Johnem opracowałam cały system błędnego myślenia. Przez naiwność, łatwowierność i ogromną potrzebę bliskości raz po raz szłam na kompromis, dochodziłam do mylnych wniosków, zagлуszałam wewnętrzny głos - byle tylko uszczęśliwić admirała, byle pozostał w moim życiu. Przekonałam samą siebie, że może zmienić swój rozrzutny styl życia. Gdy żadne zmiany nie następowały, powiedziałam sobie, że sytuacja poprawi się,

jak tylko spłacimy hipoteki dzięki sprzedaży domu Johna lub *zaliczce* na poczet jego spadku. Na tym się skupiałam. John zawsze potrafił mnie przekonać; każde jego słowo brałam za dobrą monetę. Był to stan, który Francuzi nazywają *folie à deux...* obłąd, który dotyka dwóch osób: jedna wymyśla fałszywą rzeczywistość, a druga w pewnym momencie wpada w paranoję, akceptując wersję zdarzeń chorego. Od ośmiu lat tańczyłam z diabłem.

Powinłam była odejść, ale paraliżowały mnie miłość i strach. Lubiałam swoją pracę, lecz wracając do domu, z każdym kilometrem coraz bardziej pogrążałam się w depresji. Gdy parkowałam na podjeździe, zupełnie wycieńczona, zastanawiałam się, co tego wieczora przyniesie mi los.

Na domiar złego we wrześniu nasza ukochana Gidget zdechła na złośliwy nowotwór mózgu. Z kolei między sierpniem a październikiem gwałtownie pogorszyło się zdrowie mojego ojca. Przeszedł dwie operacje założenia sztucznej przetoki i doznał udaru. Został inwalidą, całkowicie zależnym od żony i córki, które musiały podnosić go z łóżka, by myć go i karmić. Widziałam w jego oczach strach i wstyd, gdy nie mógł już sam poradzić sobie z załatwianiem potrzeb. Swoją frustrację okazywał przez zaciskanie zębów na ramionach opiekunów. Zamienił się w cień człowieka.

Jedynym promykiem słońca w tamtym okresie była mała suczka rasy golden retriever. Pogrążeni w smutku po stracie Gidget nie planowaliśmy sprowadzać do domu nowych szczeniaków, tym bardziej że Gobi miał już dziewięć lat. Weterynarz jednak przekonał nas, iż obecność szczeniaka pozwoli starsz-

kowi zachować aktywność, a nawet przedłuży mu życie, tak więc kilka tygodni później wybraliśmy podrygującą kulkę jasnego futra, którą nazwaliśmy Gaby. Natychmiast nawiązaliśmy z nią więź. W drodze do domu zatrzymaliśmy się na parkingu szpitala, w którym leżał ojciec. Wysypałam wszystko z torebki i włożyłam do niej puszystego szczeniaczka. Przemknęliśmy przez lobby i wjechaliśmy windą na górę do pokoju taty. Gdy znaleźliśmy się na miejscu, zaciągnęłam zasłonę i położyłam Gaby obok chorego. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

Pewnego grudniowego popołudnia, wjeżdżając do garażu, zauważyłam, że nie ma samochodu Johna. W domu znalazłam przyczepioną do lodówki kartkę: „Muszę pojechać do San Jose. Wrócę wieczorem”.

Gdy wstawiałam wodę na herbatę, zadzwonił dzwonek. Założywszy łańcuch i uchyliwszy lekko drzwi, ujrzałam dwie poważne twarze.

- W czym mogę pomóc?

- FBI, proszę pani - odparł wyższy mężczyzna, pokazując mi odznakę i wręczając dwie wizytówki.

Wyciągnęłam po nie trzęsąc się dłoń. Wyglądały wprawdzie na autentyczne, ale i tak nie otworzyłam drzwi.

- Szukamy pana Perrygo. Czy jest w domu?

- Nie.

Niższy agent sięgnął do marynarki i wyciągnął białą kopertę, po czym wsunął ją przez szparę w drzwiach.

- Mamy coś dla niego. Przyjmie to pani?

Zawsze czułam respekt przed policją. Teraz do moich drzwi pukało FBI. Byłam zdenerwowana i skonfundowana,

ale nie chciałam dać po sobie poznać, że serce podchodzi mi do gardła.

- Nie. Muszą panowie przyjść kiedy indziej.

Zatrzasnęłam drzwi. Zbyttno przypominało mi to sytuację sprzed kilku miesięcy, kiedy to przyjął adresowaną do Johna kopertę - wezwanie od komornika. Mąż wściekł się na mnie i powiedział, żeby nigdy więcej nie przyjmowała żadnych papierów od ludzi, których nie znam.

Miałam ochotę na drinka. Podeszłam do barku, naszykowałam sobie rum z colą i usiadłam na jednym ze stołków. Obróciłam się, żeby spojrzeć na pokój, na wszystkie pamiątki Johna związane z marynarką: siedem historycznych szkiców morskich, flaga z napisem „Nie poddawaj statku”, lustro w kształcie bulaja, medale... Medale? Nie mogłam uwierzyć własnym oczom: gablotka z wojskowymi odznaczeniami admirała zniknęła.

Przeszło mi przez myśl, że może zestawił ją na podłogę, dlatego zsunęłam się ze stołka i zajrzałam za jego fotel. Tam ich nie było. Sprawdziłam obok szafy grającej i barku. Tam też nie znalazłam. Podałam się, wzięłam drinka i usiadłam na kanapie, żeby obejrzeć wieczorne wiadomości. Po chwili Gobi i Gaby położyły mi łby na kolanach. Jakies pół godziny później usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi na tyłach domu.

- Wróciłem! - zawołał John.

Psy, szczekając, pobiegły do holu.

- Jak się ma moja dziewczyna? - zapytał przeciągle, podchodząc i całując mnie w czoło.

- Nie najlepiej - bąknęłam. Złapałam pilota i wyłączyłam telewizor. - Spójrz na wizytówki, które leżą na barze.



Przejrzawszy je, odezwał się nonszalanckim tonem:

- Nie martw się, to może mieć coś wspólnego z Bruceem Wendenem. FBI prześwietla go w sprawie handlu papierami wartościowymi. Mówiłem mu, że szukając kapitału na inwestycję, musi uważać.

- To u niego byłeś?

- Tak, kiedy do mnie zadzwonił, wydawał się bardzo zdeenerwowany, więc pojechałem z nim porozmawiać.

- Dlaczego nie dałeś mi znać?

- To wszystko stało się tak szybko. Musiałem tam pojechać. Przepraszam, po prostu nie miałem czasu zadzwonić, ale zostawiłem ci kartkę.

To wytłumaczenie zdawało się rozsądne, poza tym wrócił do domu cały i zdrowy. Nagle przypomniałam sobie, co jeszcze mnie trapiło.

- Gdzie są twoje oprawione medale?

- Nie ma ich? - Podszedł do pustego miejsca na ścianie. - To pewnie sprawka jednego z przyjaciół twojego chrześniaka. Na tej imprezie z okazji szesnastych urodzin, którą urządziliśmy w zeszłym tygodniu, mówił, że chce pożyczyć je do jakiegoś projektu szkolnego.

John usiadł na swoim rozkładanym fotelu, podniósł nogi i włączył telewizor. Zadziwiające, wyglądało na to, że zaginione medale znacznie bardziej niepokoją mnie niż jego. Czemu miałby je komuś pożyczyć, nie mi o tym nie mówiąc? Poszłam do kuchni i zadzwoniłam do chrześniaka.

- Mówi, że nikt nie pożyczył twoich medali - powiedziałam, wróciwszy do salonu. - Zastanawiam się, co się z nimi stało.

- Och, właśnie sobie przypomniałem. Mam mętlik w głowie po tej długiej podróży. Zaniósłem do oprawienia, ramka rozeszła się w jednym rogu.

- Ale dlaczego zostawiłeś w środku?

- Nie przejmuj się tak, nic im nie będzie. Chodź, zróbmy kolację. Masz ochotę na stek z grilla?

Poszliśmy do kuchni i zaczęliśmy wspólnie przyrządzać kolację. Świat wirował wokół mnie, wymykając się spod kontroli, i nic nie mogłam na to poradzić. Jason spóźnił się z zapłatą już dziewięć miesięcy. Nadal nie znałam rodziny własnego męża. John wciąż szastał pieniędzmi. Odwołał swoje wystąpienie na balu marynarki podczas Dni Morza. Zniknęły medale, za to pojawiło się FBI. John zawsze znajdował wiarygodne wytłumaczenie. Niemniej jednak wciąż targał mną niepokój. Nie mogłam określić dokładnie jego źródła i natury, ale wiedziałam, że istnieje, bo od czasu do czasu słyszałam w głowie cichutki głos, który już drugi raz w tym miesiącu przebił się przez moją świadomość. Słowa ponownie same wypłynęły mi na usta:

-John, kim ty jesteś?

- Co?!

Zatrzasnął drzwi lodówki i spojrzał na mnie.

- Kim jesteś? - powtórzyłam.

- Pytałaś mnie już o to w październiku - powiedział - kiedy byłam w Madrycie w interesach i zadzwoniłaś powiedzieć mi, że nic ci się nie stało w trzęsieniu ziemi w Loma Prieta.

Podszedł do zlewu i rzucił owinięte w folię steki na blat z niebieskich kafelków. Chciałam położyć mu dłoń na ramie-

niu, ale cofnął się przed moim dotykiem. Próbowałam spojrzeć mu w oczy, ale unikał mego wzroku. Nie zamierzałam się jednak poddać.

- Powiedziałeś, że odpowiesz na to pytanie, kiedy wrócisz do domu, ale dotąd tego nie zrobiłeś. Niekiedy mam wrażenie, że w ogóle cię nie znam - powiedziałam. - Wykończy mnie to nerwowo. To i choroba ojca.

- Wiesz, kim jestem - roześmiał się. - Nie dramatyzuj.

Zaczęłam rwać sałatę na małe kawałeczki i wrzucać je do plastikowej miski, coraz gwałtowniej i coraz szybciej, potem zamarłam i spojrzałam na Johna.

- Nie, wydaje mi się, że nie wiem. Nigdy nie rozmawiałam z twoją rodziną. Jason nie zapłacił ci dwustu tysięcy dolarów. Po ośmiu latach małżeństwa wciąż nie mam wojskowego identyfikatora. I jakby tego było mało, w naszych drzwiach staje FBI.

- Wiesz, że to wszystko da się wytłumaczyć, prawda? - warknął. - Niezłe z ciebie ziółko, moja pani.

- Ale obiecałeś i...

- Nie jestem już głodny. - Odwrócił się gwałtownie i ruszył w stronę holu, ale przy drzwiach krzyknął z bólu i upadł na kolana. - Cholerna noga!

Podbiegłam, żeby pomóc mu wstać.

- Nie podchodź do mnie - syknął, pełznąc w stronę ceglanej donicy. - Przecież nic cię nie obchodzi.

Stanął na nogi i, kulejąc, ruszył na górę. Stan jego zdrowia wciąż się pogarszał. Czyżby nie wiedział, jak bardzo mi na nim zależy? To przecież ja nalegałam, żebyśmy zainstalowali nowe jacuzzi, by ulżyć jego plecom i nogom. Musiałam tylko uważać,

żeby nie przekroczyć pewnej granicy. Schowałam miskę z sałatą do lodówki, przyrządziłam dwa drinki i poszłam na górę, żeby załagodzić sytuację. Na tym znalazłam się najlepiej.

Wizyta FBI zapoczątkowała okres, który dziś nazywam Szalonym Rokiem. W tym czasie nietypowe wydarzenia ciężko nadwerżwały moje zdrowe zmysły. Straciłam pewność siebie i ogarnęło mnie poczucie zagubienia, a jedyne, czego pragnęłam, to pełne miłości i stabilne finansowo małżeństwo. Nic nie wskazywało na to, że agentom chodziło o Johna, a nie o Brucea. A brakujące medale? Na jakiej podstawie mogłam przypuszczać, że mają jakiś związek z oficjalnym śledztwem? Nie wiem, jakich odpowiedzi oczekiwałam od Johna, ale nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że jest kłamcą, przebiegłym psychopatą z zupełnie innym planem na nasze małżeństwo. Dlatego zlekceważyłam wewnętrzny głos. Tamtego wieczora, gdy po raz kolejny łągodziłam sytuację, zanotowałam sobie, że muszę się bardziej starać, by zmienić nonszalanckie podejście Johna do finansów. Sądziłam, że jeśli mi się uda, wszystko będzie dobrze. Zignorowałam sygnały ostrzegawcze, a zbliżający się sztorm przybierał na sile.

Z perspektywy czasu widzę, że jeśli chodzi o moje zachowanie wobec męża rok po roku coraz bardziej traciłam kontakt z rzeczywistością, ponieważ zostałam złapana w sieć wybitnego psychopaty. Nie wiedziałam, kim jestem. W głębi duszy zdawałam sobie sprawę, że wokół szaleje sztorm, a ja tonę, ale nie miałam pojęcia, kto mógłby mi pomóc. Robiłam więc to, co potrafiłam. Próbowałam zmienić Johna, opierając się na moich umiejętnościach organizacyjnych. Teraz wiem, że plan

nie mógł się powieść, ponieważ nikt nie jest w stanie zmienić drugiej osoby, zwłaszcza psychopaty pozbawionego sumienia.

Moje dotychczasowe życie z Johnem obfitowało w rozmaite stresy, lecz wszystkie problemy bladły w porównaniu z tym, co miało nastąpić w ciągu kolejnego roku.

\* \* \*

Niemal miesiąc później, tuż przed północą w sylwestra, zanurzyliśmy się w parującym jacuzzi na tyłach domu. John nalał szampana do kieliszków, a ja spoglądałam na przejrzyste zimowe niebo, odprężając się w ciepłej wodzie.

- Już prawie Nowy Rok. Proszę - powiedział John, podając mi kieliszek.

W powietrzu rozbrzmiały fajerwerki odpalone przez sąsiadów.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedzieliśmy jednocześnie i stuknęliśmy się kieliszkami. Mąż nachylił się i obdarzył mnie długim, namiętym pocałunkiem.

Aż zadrżały mi wargi, gdy przypomniałam sobie ubiegły miesiąc. Poddaliśmy się świątecznemu nastrojowi i skupiliśmy się na naszych własnych tradycjach. Ubraliśmy bogato dwie sztuczne choinki i rozstawiliśmy świąteczne miasteczko. Kupiliśmy i zapakowaliśmy prezenty dla siebie oraz dla rodziny i przyjaciół. Byliśmy cały czas zajęci. Miałam nadzieję, że ten natłok zadań choć trochę zagłuszy stale towarzyszący mi niepokój. Próbowałam wytłumaczyć go sobie przedświątecznym stresem, ale bez powodzenia.

W głębi duszy wiedziałam, co jest źródłem mojej depresji. John wciąż robił uniki. Nie odpowiedział na moje pytanie,

ale pojawił się promyk nadziei. Tego wieczora, kiedy wróciliśmy z urodzin ojca, byłam przygnębiona jego stanem. Mąż wyczuł mój ból. Obiecał, że w sylwestra zdobędzie się na szczerość. Uznał bowiem, że jest to idealny dzień, by zacząć wszystko od nowa.

Teraz, gdy oderwaliśmy od siebie usta, czekałam, aż zaczniesz. Zapadło ciężkie milczenie. „Cierpliwości, Barbaro, cierpliwości” - upominałam sama siebie. Wiedziałam, że muszę być ostrożna, więc postanowiłam zacząć rozmowę od czegoś, co wprawdzie trwało już od kilku miesięcy, ale co odkryłam dopiero w ostatnich tygodniach.

- John, niejeździsz już do Krzemowej Doliny ani nie rozmawiasz ze Wschodnim Wybrzeżem. Czy to cię przerasta? Chcesz przejść na emeryturę?

Spuścił głowę.

- Nie wiem - westchnął. - Po prostu nie mam już siły na polityczne gierki z tymi wszystkimi klientami.

- Możemy uwzględnić to w naszych planach, jeśli chcesz przestać pracować. Sprzedamy ten dom i wrócimy do Antioch. Musielibyśmy tylko ograniczyć wydatki.

- Nie chcę mówić o przeprowadzce.

- Więc o co chodzi?

Powiedział, że klienci naszej firmy Two Star Incorporated nie potrzebowali już jego usług. Ta wiadomość mnie zszokowała.

- To dlatego zacząłeś grać na loterii?

- Tak, myślałem, że będę miał szczęście i w ten sposób zdobędę jakieś pieniądze.

- To hazard! W ten sposób nigdy do niczego nie dojdiesz. Poza tym nie mamy pieniędzy, żeby kupować dziesięć magazy-

nów, ani czasu, żeby je wszystkie czytać, a ty musisz przestać kupować te rzeczy z katalogów wysyłkowych.

- Ale żeby wziąć udział w loterii, trzeba coś kupić.

- To szajs, którego w dodatku w ogóle nie potrzebujemy. Potrzebujemy natomiast sensownego planu. Nie możemy wciąż liczyć na łut szczęścia.

- Dajże spokój. Dostaniemy trochę pieniędzy. Pewnie się ucieszysz, że mam dostać czek prowizyjny za sprzedaż nadwyżki wyposażenia dla Foxboro.

Zamilkłam i dokończyłam szampana. John prędko ponownie napelnił mój kieliszek.

- Będzie dobrze - pocieszał mnie. - Sama się przekonasz.

- Tak jak dzisiaj, kiedy miałaś powiedzieć, kim jesteś?

- Masz rację, obiecałem. Dobrze, teraz nie przerywaj - powiedział, kładąc mi palec na ustach.

Gdy zaczął mówić, nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Najpierw zrobiło mi się niedobrze, potem ogarnęła mnie złość. Opowiadał starą historię o tym, jak to urodził się na Kostaryce w rodzinnej posiadłości, i o tym, że jest czarną owcą. Potem mówił o swoich małżeństwach i dzieciach oraz, a jakże, o karierze wojskowej. Znów próbował rzucić na mnie swój urok, ale tym razem się nie dałam. Zachwyt nowym początkiem prędko się rozpląnął. Pozostał tylko niesmak.

- Wciąż te same brednie - bąknęłam, kiedy wreszcie skończył. - Wychodzę.

Złapał mnie za ramię i przytrzymał. Nie ruszyłam się.

- Przykro mi, ale od początku mówiłem prawdę. Nie wiem, dlaczego mi nie wierzysz.

- Pewnie dlatego, że nigdy nie widziałam żadnych dowodów. Nie ma żadnej rodziny, z którą mogłabym porozmawiać. Nie ma wojskowego identyfikatora. Nie ma pieniędzy od Jasona. Nie spełniłeś ani jednej obietnicy.

- Proszę, Barbaro, bądź cierpliwa. Bardzo cię kocham. Jesteś moim szczęściem. Wszystko się ułoży. Wymyślę coś.

- Skoro jesteś taki bogaty, już dawno powinieneś być w stanie coś zrobić - zdenerwowałam się. - A skoro mowa o majątku, nie mamy nawet pełnego spisu. Co by się stało, gdybyś zginął?

- Jeśli sporządzę taką listę, będziesz zadowolona?

- Zadowolona może nie, ale zawsze to jakiś postęp.

- Za parę tygodni do San Francisco przyjeżdża mój adwokat z Long Beach. Umówię się z nim i wszystko spiszę. Obiecuję.

Objął mnie, lekko przytulił i pocałował w głowę. Chciałam, żeby nam się udało. Byłam zdesperowana, czułam, że wariuję, dlatego przygotowałam plan.

- Dobrze, pójdę z tobą na to spotkanie.

Musiałam sama zadbać o to, żeby wreszcie dotrzymał słowa, chociaż wszelkie próby zmuszenia go, by się do czegoś zobowiązał, przypominały łapanie wiatru. W głębi mojej duszy odezwał się cichy głos, ale nie posłuchałam go. W tej chwili czułam, że odzyskałam kontrolę. A może był to tylko wpływ szampana? Tak czy inaczej, postanowiłam zignorować czarne chmury, które zbierały się nad naszym małżeństwem.

Dziś wiem, że powinnam była uciec z jacuzzi i nie oglądać się za siebie. Dałam Johnowi wiele szans, żeby się zmienił, żeby potwierdził swoje niesamowite opowieści, żeby zdobył pieni-



dze, które miały uwolnić nas od długów. Czemu zostałam? Dlaczego tkwiłam w związku, przez który traciłam zmysły? Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, że jestem ofiarą przemocy domowej, nie wiedziałam też, po czym poznaje się psychopatę. Teraz wierzę, że moje postępowanie wynikało z lęku i wstydu ofiary oraz uzależnienia od psychopaty, którego okrutnym zarządzeniem losu spotkałam na swej drodze. Podświadomie bałam się tego, co nieznanne - tego, co by się ze mną stało, gdyby go zabrakło, gdyby nie pomógł mi wyjść z finansowego bagna. Ponadto obawiałam się, że w razie kolejnego rozwodu rodzina i przyjaciele uznają mnie za kalekę życiową. Wciąż wierzyłam w szczęście „póki śmierć nas nie rozłączy”, i sama musiałam o nie zadbać. Ten ciężar bierze na barki wiele współzależnionych osób.

Tak więc tamtej nocy byłam skupiona na ratowaniu swojego małżeństwa, dlatego nie zdołałam powiązać braku pracy Johna z wizytą FBI. Wewnętrzny niepokój uciszyłam obietnicą, że dostanę listę nieuchwytnego majątku mojego męża. Nadchodzący sztorm przybierał na sile, aleja tego nie zauważyłam.

## *Zwodniczy wiatr*

Cztery miesiące później, w niedzielę wielkanocną, byliśmy w Hot Springs w Arkansas, w domu mojego dziadka. Zanim skończyliśmy obiad, zachodzące słońce przesłoniły ciemne, złowieszcze chmury, a świerszcze rozpoczęły swą nocną serenadę.

- Chyba zanosi się na deszcz - oznajmił John, zmywając ostatnią patelnię.

- O tak, czuję to w kościach - dodał dziadek Jonas - i w powietrzu.

- Nie może padać aż do jutrzejszego popołudnia - zaproponowałam, jakbym mogła kontrolować pogodę. - Wszyscy mamy rano loty.

Wycierałam naczynia, a moja siostra, Meredith, sprzątała ze stołu. Byłam smutna, podobnie jak ona i dziadek. Siedział przygarbiony za stołem, nad kubkiem dawno wystygłej kawy. Ostatni, czwarty dzień naszej wizyty powoli dobiegał końca.

- Znowu zostanę sam - powiedział dziadek ze smutkiem.

Od śmierci babci minęły trzy lata.

- Niedługo przyjedziemy znowu. Obiecuję - pocieszał go John, wycierając dłonie. Wszyscy przysiedliśmy się do dziadka, a Meredith chwyciła delikatnie jego pomarszczoną dłoń.

- Szkoda, że nie pojechałeś z nami do kąpieliska.

- Mieszkam tu całe życie i nigdy nie czułem takiej potrzeby - odparł przeciągle.

Wiele razy odwiedzałam rodzinę matki, ale nigdy nie byłam w Bathhouse Row<sup>1</sup>. Tym razem potrzebowałam relaksu, jaki może dać tylko kąpiel w gorącej wodzie i masaż. Moja dusza cierpiała bardziej niż ciało, ale miałam nadzieję, że będę mogła choć na chwilę zapomnieć o problemach.

Nowy rok rozpoczęłam w stanie kompletnego umysłowego wycieńczenia. John wciąż stanowił dla mnie zagadkę - tajemniczy, posępny mężczyzna bez pracy, bezustannie grający na loteriach, wydający moje pieniądze... i uparcie odmawiający upomnienia się o te, które mu się należą.

- Zrobię to po swoim - powtarzał za każdym razem, gdy domagałam się wyjaśnień.

Postradałabym zmysły, gdybym nie trzymała się kurczowo swojej pracy. Tylko jedna osoba dbała o mój sukces i satysfakcję zawodową: ja. „Chcesz wspiąć się na kolejny szczebel drabiny, Barbaro? Zdobądź dyplom”. Zaplanowałam wszystko i ciężko pracowałam: robiłam karierę, a wieczorami chodzi-

<sup>1</sup> Bathhouse Row - słynny kompleks kąpielisk termalnych położony na terenie Parku Narodowego Hot Springs.

łam do szkoły. Osiągnęłam cel dzięki umiejętnościom i determinacji, a w nagrodę zyskałam szacunek i nowe obowiązki. Cztery lata po zdobyciu dyplomu awansowałam z technika laboratoryjnego, któremu płacono za godziny, na koordynatora kontroli jakości.

Praca pobudzała moją wyobraźnię i zaspokajała potrzeby duchowe, a na dodatek umożliwiała mi podróże. Łączyłam wycieczki weekendowe z podróżami służbowymi i w ten sposób radykalnie obniżałam koszty przelotu. To był idealny układ i wszyscy na nim korzystali. Ja mogłam poznawać ciekawe miejsca i odwiedzać rodzinę, a firma oszczędzała na wydatkach. Kiedy w planach pojawiła się podróż w połowie kwietnia, zadzwoniłam do mojej siostry w Santa Fe. Była szesnaście lat młodsza i odnosiła sukcesy jako informatyk. Postanowiłyśmy spędzić Wielkanoc u dziadka Jonasa.

Trzy dni przed wylotem John podzielił się ze mną wspaniałymi wieściami: dwa dni po Wielkanocy miał rozmowę w sprawie pracy w Nowym Jorku. Stwierdził więc, że najsensowniej będzie, jeśli uda się ze mną do Hot Springs.

Nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy martwić. Mąż na gwałt potrzebował pracy, ale nauczyłam się nie przywiązywać dużej wagi do jego słów. Zbyt często obietnice rozplywały się niczym fatamorgana na pustyni, a moja dusza była jeszcze bardziej spragniona niż przedtem. Potrzebowałam przestrzeni, dlatego wołałam pojechać sama, ale John jak zwykle dopiął swego. Ponure przeczucia co do jego towarzystwa okazały się jednak mylne. Humor mu dopisywał, więc spędziliśmy z dziadkiem cztery dni pełne przygód. Świetny dowcip i cięty język

Meredith łagodziły wszelkie napięcia. Dzięki niej cały czas się śmialiśmy.

Ostatniego wieczora siedzieliśmy przy stole kuchennym, żalując, że następnego dnia musimy wyjechać. Spojrzałam na stary czerwony zegar nad piecykiem.

- Lepiej szykujmy się do spania, inaczej nie zdołamy wstać o czwartej rano.

- Czemu tak wcześnie? - zapytała Meredith, ziewając.

- To przeze mnie - powiedział John. - Wylatuję o szóstej trzydzięci. Autobus do Little Rock przyjeżdża o piątej.

Poszłam do łazienki, a reszta rodziny usiadła w salonie. Dziadek Jonas dorzucił drewna do pieca.

- Noc będzie zimna - ostrzegł, zasuwając sięgającą podłogi zasłonę, która oddzielała salon od sypialni.

Wyszłam z łazienki i przygotowałam ubranie na następny dzień: czarną wełnianą spódnicę, białą bluzkę z dzianiny i czarne buty na wysokim obcasie. Na spotkaniu biznesowym w Midland w stanie Michigan chciałam wyglądać profesjonalnie.

- Jak się czujesz? - zawołał John.

- Jestem trochę zmęczona. Boję się jutra. Czeka mnie cały dzień w podróży.

- Mam na to sposób - odparł.

Wstał i skrzywił się, bo kolano znów odmówiło mu posłuszeństwa. Wszedł do sypialni, zaczął grzebać w walizce i wyciągnął jeden ze swoich leków.

- Masz, weź to - powiedział, podając mi dwie tabletki.

- Pomogą ci zasnąć.

- Nie lubię tabletek i nie biorę cudzych leków na receptę.

- Wiem, co jest najlepsze dla mojej dziewczyny - przekonywał, obejmując mnie wolnym ramieniem. — Słuchaj pana doktora.

Opierałam się, ale nalegał, tak przekręcając znaczenie słów, żeby nadać sens czemuś, co absolutnie go nie miało. Gdy w końcu otworzyłam dłoń, przesypał na nią różowe tabletki, aja poszłam do kuchni po szklankę wody. Ruszył za mną i stał obok, póki nie połknęłam lekarstwa.

- Dobra dziewczynka - pochwalił mnie, odstawiając pustą szklankę na blat. - Dopóki się nie rozluźnisz, posiedzimy jeszcze chwilę z twoim dziadkiem.

Pół godziny później poszedł do sypialni sprawdzić, czy ma nasze bilety. Złapał teczkę, rzucił ją na łóżko i otworzył. Wtem usłyszeliśmy jego wściekle krzyki.

- Do ciężkiej cholery!

- Co się stało? - spytałam.

- Niech to szlag! Ależ ze mnie dureń. Popatrz, co znalazłem.

- Wyjął z teczki kopertę i pomachał nią. - To nasze zeznanie podatkowe i opłaty.

Ogarnął mnie strach i gniew. Urzędu podatkowego boję się jeszcze bardziej niż policji. Nie miałam nic do ukrycia, ale historie o niezapowiedzianych kontrolach, o rozpaczliwym poszukiwaniu rachunków i ogromnych grzywnach brzmiały przerażająco.

- Co to znaczy? - wrzasnęłam, podbiegając do niego i wyrwijając mu kopertę. - Mówiłeś, że nadałeś je kilka tygodni temu.

- Najwyraźniej zapomniałem - powiedział łagodnie, spuszczaając głowę.

- Zapomniałeś? A potem skłamałeś? To bez sensu. Zawsze wysyłamy zeznanie przed ostatecznym terminem.

Ściskając w dłoniach kopertę, usiadłam ciężko na łóżku, obok otwartej teczki męża, i zaczęłam przeglądać jej zawartość. Czego jeszcze zapomniał zrobić? Po chwili się dowiedziałam. Nie nadał pięciu listów, które ja zaadresowałam i na które nakleiłam znaczki. Złapałam je i ze złością podeknęłam mu pod nos.

- A to? To też miałeś nadać.

W styczniu spotkaliśmy się z naszym przyjacielem, adwokatem z Long Beach. Zgodził się sporządzić testament męża, ale musieliśmy dostarczyć szczegółowe dane kont i akty własności. John ciągle to przekładał. W końcu postanowiłam przejąć inicjatywę. Poszliśmy do biblioteki i wszystkie potrzebne adresy znaleźliśmy w książkach telefonicznych. Ja napisałam listy, on je podpisał i zakleił koperty. Teraz, dwa miesiące później, znalazłam je w jego teczce. Pomaganie admirałowi w dotrzymywaniu obietnic stanowiło nie lada wyzwanie - zawsze wszystko utrudniał.

- Ale bagno - jęknęłam. - Najpierw podatki, teraz listy, które miały pomóc doprowadzić do końca sprawę twojego testamentu.

- Coś sobie przypomniałem - wtrącił. - Dzisiaj jest piętnasty kwietnia.

- N o i?

- Możemy zostawić kopertę na poczcie głównej. Liczy się data nadania.

- To prawda - dodała Meredith. - W wiadomościach mówili, że ponieważ piętnasty wypada w niedzielę, może być też stempel z szesnastego.

- Chodźmy - warknęłam, wkładając buty na obcasach, bo trampki już spakowałam. - Im szybciej to załatwimy, tym szybciej mi ulży i będziemy mogli pójść spać.

- Nie możesz prowadzić - powiedział John.

- A to czemu? Przecież zawsze prowadzę.

Złapałam płaszcz i narzuciłam go na koszulę nocną. Czas nas gonił.

- Wzięłaś środek zwiotczający mięśnie - zauważyła siostra.

- Czuję się zupełnie dobrze.

- Daj mi kluczyki - rozkazał mąż. - Jesteś w podróży służbowej, chyba nie chcesz mieć wypadku w czasie pracy.

- Czas pracy zaczyna się dla mnie dopiero jutro, kiedy będę w drodze na spotkanie.

- Daj kluczyki. Ale już! Jedziesz ze mną. Pokażesz mi drogę.

Złapałam torebkę, wyjęłam kluczyki i rzuciłam w jego stronę. Nie miałam ochoty na wieczorną awanturę. Doszłam do wniosku, że jadąc z nim, przynajmniej upewnię się, że dokumenty faktycznie zostaną nadane.

- Skręć w lewo, przejedź przez tory, potem jeszcze raz w lewo - poinstruowałam go, gdy wsiedliśmy do samochodu - i na koniec w prawo, w Ridgecrest.

W centrum miasta, niedaleko poczty, panował duży ruch. John załapał się na miejsce parkingowe, bo akurat ktoś wyjeżdżał. Otworzyłam drzwi, żeby wysiąść.

- Daj mi te cholerne koperty - powiedział. - Jesteś w koszuli nocnej. Nie róbmy przedstawienia dla innych spóźnialskich.

Podalam mu koperty, opadłam na siedzenie i patrzyłam, jak wchodzi do budynku.



- Misja wykonana - oznajmił po powrocie do wozu i potarł ręce na rozgrzewkę. - Na dworze robi się zimno i mokro.

Istotnie, zaczął siąpić lekki deszcz. John wrzucił bieg, włączył wycieraczki i ruszył w drogę powrotną. Ja gapiałam się przez okno na rozpadające się budynki z cegły. Ciszę zakłócał tylko warkot silnika. Skręciliśmy w lewo, w Ridgecrest Drive, i szybko minęliśmy starą robotniczą dzielnicę. Gdy tylko droga zrobiła się gładsza, mąż przyspieszył. Spanikowałam. Zaparłam się prawą stopą o podłogę, jedną ręką złapałam za krawędź fotela, a drugą za uchwyt na drzwiach.

- Zwolnij - powiedziałam. - Nie znasz tej drogi.

- To przecież wieś. Będziemy jechać prosto przez co najmniej półtora kilometra.

- Ale asfalt jest mokry. Zwolnij!

Ustąpił, lecz gdy zbliżaliśmy się do mostu nad potokiem, znowu wcisnęła pedał gazu.

- Zwolnij! - krzyknęłam, gdy przelecieliśmy przez most. - Za chwilę powinniśmy skręcić w lewo, nie dasz rady z taką prędkością.

Prawa strona wozu zjechała z asfaltu na żwirowane pobocze.

- John, ZWOLNIJ! Co ty robisz?

- Coś jest nie tak z samochodem. Nie panuję nad nim.

- Uważaj! Z mojej strony jest słup telefoniczny!

Szarpnęła kierownicą w prawo, w stronę słupa.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnęłam.

- Nie panuję nad wozem!

Samochód minął słup, zjechał z drogi i wjechał prosto w pole. Zaczęliśmy mknąć przez mokre zarośla. Krzewy łamały

się pod ciężarem wozu. Obijaliśmy się o drzewa, gałęzie waliły w przednią szybę. Posypało się szkło. Zasłoniłam twarz i nagle przed moimi oczyma...

- O Boże, potok! - wrzasnęłam spanikowana. - Jedziemy w stronę wezbranego potoku! Utopimy się!

- Nie panuję nad nim! - jęknął John.

- Hamuj! Wyłącz silnik! Zrób coś!

Wszystko skończyło się równie szybko i niespodziewanie, jak się zaczęło. Samochód gwałtownie stanął w zaroślach, snopy światła z reflektorów tańczyły na połamanych gałęziach. Mżawka zamieniła się w deszcz. Z początku w absolutnej ciszy próbowałam pozbierać myśli. Potem usłyszałam syk.

- John, musimy się stąd wydostać... Benzyna... Może wybuchnąć...

- Nic nie czuję, a ty?

Pociągnęłam nosem. Miał rację, nie wyczułam zapachu benzyny, a syczący odgłos wydawała para unosząca się z rozgrzanego silnika, który leżał na mokrej trawie. Panika ustąpiła miejsca złości.

- Rany boskie, mówiłam ci, żebyś zwolnił. Utknęliśmy na środku jakiegoś pola, a wokół ani żywej duszy.

- Nie mogę się ruszyć - jęknął załóżnie. - Sprowadź pomoc.

Złapałam za klamkę i pchnęłam drzwi, ale napotkałam opór. Potem poczułam uderzenie adrenaliny. Myślałam, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Nie mogłam wydostać się przez okno: wszędzie było pełno szkła. Musiałam otworzyć drzwi. Zaparłam się o ramę, zamknęłam oczy i pchnęłam. Drzwi uchyliły się na pięć centymetrów.

Do oczu napłynęły mi łzy. „Nie teraz” - pomyślałam. Przesunęłam się w tył i zaparłam stopami w pantoflach o drzwi. „Na trzy, Barbaro” - powiedziałam do siebie w myślach. Pchnęłam z całej siły. Drzwi uchyliły się nieco szerzej. Wróciłam na miejsce i przyłożyłam ramię do framugi. Pchnęłam ponownie i wreszcie mogłam się wydostać.

- Nie próbuj się ruszać, John - powiedziałam. - Wróćę naj-  
szybciej, jak się da.

Przecisnęłam się przez wąską szparę, zatrzasnęłam za sobą drzwi i zaczęłam przedzierać się przez gęste zarośla. Obcasy to ślizgały się na mokrej trawie, to zapadały się w błoto. Chwasty drapały mnie po gołych nogach. „Niech to szlag, powinien być pozwolić mi prowadzić. Nigdy już nie dam mu usiąść za kierownicą. Ależ jestem głupia!”

Kiedy dotarłam do Ridgecrest, machnęłam na pierwszy samochód, który się pojawił, bo nie sądziłam, że zdołam dojść do domu dziadka, choć znajdował się raptem cztery przecznice dalej.

- Barbaro, wyglądasz koszmarnie! - krzyknęła Meredith, gdy stanęłam w drzwiach.

- Zadzwonź po policję i karetkę. John utknął na polu niedaleko mostu. Mieliśmy wypadek.

Mój głos był absolutnie spokojny.

\* \* \*

Zanim jeden z moich kuzynów przywiózł nas ze szpitala, minęła północ. Mieliśmy zadrapania, skaleczenia i siniaki, ale żadnych poważniejszych obrażeń. Zgodnie z zaleceniem leka-

rza wzięłam prysznic, żeby wypłukać z włosów odłamki szkła. Potem zgłosiłam wypadek w wypożyczalni samochodów, zmieniłam rezerwację lotu i załatwiłam bilety na wcześniejszy autobus dla mnie i Meredith na ten sam dzień. John podniósł się ciężko z fotela i chwiejnym krokiem przeszedł do łazienki. Odkładałam właśnie słuchawkę, gdy wyszedł, wciąż ledwo trzymając się na nogach. Chwycił się komody, a jego twarz wykrzywił grymas bólu. Łapał powietrze dużymi haustami.

- To pewnie przez ten zastrzyk, który zrobili mi w szpitalu - powiedział ochryplym głosem. - Pomóż mi usiąść w fotelu.

Gdy mnie objął, niemal upadłam pod jego ciężarem. Na szczęście fotel stał tylko kilka kroków od nas. Moja złość się ulotniła. Problemy zdrowotne Johna ponownie obudziły mój instynkt opiekuńczy, postanowiłam więc ignorować jego zachowanie.

- Zadzwoni i przełoż swój wyjazd - powiedziałam. - Ja nie mogę tego zrobić.

- Nic z tego. Wszystko mnie boli. Muszę to odwołać.

- A co z rozmową w sprawie pracy?

- Zrozumię ją. Przełożę ją. Jeśli Jonas nie ma nic przeciwko, posiedzę tu kilka dni.

- Możesz zostać, jak długo chcesz - wtrącił dziadek.

- Dzięki - uśmiechnął się John i dodał: - Dobrze, że Barbarajest w podróży służbowej. Wszystkie koszty pokryje firma.

- Nie, John - odparłam chłodno. - Mówiłam ci: podróż służbowa liczy się dopiero od jutra.

- Myślałem, że jeśli coś ci się stanie, wypłacają premię w wysokości podwójnej pensji.

- Tylko jeśli zginę podczas podróży służbowej.

- Na szczęście nie zginęłaś - powiedziała Meredith.

Wstałam i podeszłam do zielonej zasłony oddzielającej pomieszczenia.

- Spróbujmy się trochę przespać - rzuciłam. - Rano zadzwonię do wujka Staną. Musimy załatwić kilka spraw. Poproszę, żeby zawiózł nas w parę miejsc.

\* \* \*

Żadne z nas nie mogło zasnąć, a niebawem trzeba było wstać. Ledwo świtało, gdy bus zabrał Meredith na lotnisko w Little Rock. O ósmej zadzwoniłam do wujka Staną. Przyjechał natychmiast.

Zgodnie z moim planem najpierw udaliśmy się do biura ubezpieczyciela, gdzie złożyliśmy wniosek o odszkodowanie; potem do szpitala, gdzie musieliśmy odebrać kopie aktu przyjęcia na ostry dyżur, żeby móc bez dodatkowych opłat wymienić bilety lotnicze; następnie na złomowisko. Musieliśmy odzyskać papiery wynajmu, a ja na wszelki wypadek chciałam zrobić zdjęcia auta. Ulżyło mi, gdy deszcz przestał padać i mogłam załatwiać wszystko w świetle słonecznym.

Kiedy na tyłach złomowiska podchodziliśmy do samochodu, poczułam napięcie w całym ciele. Nie sądziłam, że doszło do takich uszkodzeń. Wzięłam głęboki oddech i zrobiłam pierwsze zdjęcie. Drzwi od strony kierowcy były wgniecione i wyrwane z zawiasów. Wujek Stan i John oglądali uszkodzenia. Przy przednich kołach zobaczyłam duże wgniecenia. W przed-

nich drzwiach brakowało szyb. Wycieraczki utkwily w pozycji na sztorc. Cały samochód pokrywały liście i błoto. Na przednim siedzeniu leżały odłamki szkła i gałęzie. Wujek Stan gwizdnął przeciągle.

- Mój Boże, to cud, że żyjecie.

Spojrzałam na zegarek.

- Musimy pojechać wjeszcze jedno miejsce - powiedziałam.  
- Chodźmy. Mój bus przyjedzie o dwunastej.

Wujek zaparkował tuż za mostem, przed słupem telefonicznym. Z aparatem w dłoni podeszliśmy na miejsce wypadku. Tu są ślady, gdzie samochód zjechał z drogi. Obok połamane drzewa. Widać ślady kół na mokrej trawie. Tutaj samochód się zatrzymał. Woda w pobliskim potoku opływała skały i rozbijała się o brzeg. Wstrząsnął mną dreszcz. Potem podniosłam kawałek zderzaka, który wciąż leżał w trawie.

Wróciliśmy na miejsce, w którym samochód zjechał z drogi. Ponownie przyjrzałam się śladom opon, tym razem z bliska.

- O mój Boże - westchnęłam. - Gdyby zjechałjeszcze parę centymetrów w prawo, roztrzaskałabym się o ten słup.

Gdy później, tego samego dnia, podeszłam do stanowiska wynajmu samochodów na lotnisku w Little Rock, oznajmiłam, że chcę oddać auto.

- Gdzie pani zaparkowała? - spytała dziewczyna w okienku.

- O, tutaj - odparłam i położyłam na kontuarze kawałek zderzaka.

Dziewczyna oniemiała i zrobiła wielkie oczy.

Taka już jestem. Nawet w tragicznym wydarzeniu potrafiłam dostrzec element komiczny. Nie zauważyłam natomiast

wskazówek, które rozwiał zwodniczy wiatr: John namówił mnie na leki, nalegał, żeby prowadzić, obliczał, ile dostanie, jeśli zginę w podróży służbowej. Gdy samochód przedzierał się przez zarośla, nie przyszło mi nawet do głowy, że może to być coś innego niż wypadek. Prawda wysła najaw dopiero dziesięć miesięcy później.

## *Zatonięcie*

Dwa miesiące później, pewnego czerwcowego popołudnia w Coral Gables na Florydzie, przeszliśmy przez lobby hotelu Biltmore - olbrzymiego budynku, który elegancją i klasą znacznie przewyższał poziom rodziny Perry. Gdy jechaliśmy windą do naszego pokoju, wspomniałam o kosztach. John tylko się roześmiał.

- Musimy się tu zatrzymać, jeśli chcemy wyciągnąć od babci pieniądze.

Po raz kolejny wplątał mnie w swój plan. Wybrał doskonale moment, by mnie o nim poinformować - byłam wtedy bardzo uległa. Chciałam odwdziaczyć mu się za troskę, jaką okazywał mojemu ojcu, przykutemu do wózka inwalidzkiego. Zaprosiliśmy moich rodziców, siostrę i siostrzeńca na weekendowy wypad, by zobaczyć oceanarium w Monterey. Mąż zaferował, że będzie pchał wózek. Bez słowa narzekania jeździł z moim tatą wzdłuż wijącego się lasu wodorostów i do skalistej zatoczki. Kiedy wróciliśmy do domu, obiecał, że w rozmowie z rodziną na temat



spadku postawi sprawę na ostrzu noża. Lał mi miód do duszy. *Znów* potrzebowaliśmy pieniędzy - tonęliśmy w długach z kart kredytowych. Firma z Nowego Jorku, która rzekomo chciała zatrudnić Johna, nigdy się nie odezwała. Nie pracował więc, a jednocześnie wciąż odmawiał, gdy prosiłam, by wywarł nacisk na swojego kuzyna w sprawie pieniędzy. Świat, w którym żyłam, doprowadzał mnie do szaleństwa - wszystko wirowało wokół jak podczas sztormu. Doskonale wiedziałam, czym jest stres.

Pewnego dnia mąż oznajmił, że jego babcia zgodziła się na spotkanie. Nalegał, bym kupiła trzy komplety ubrań szytych na zamówienie, aby zaprezentować się z jak najlepszej strony. Taki był plan, musiałam więc przeboleć rachunek opiewający na tysiąc dolarów.

Teraz, w Coral Gables, wyglądałam przez okno na siódmym piętrze. Na zewnątrz mienił się błękitem basen olimpijski. Wybór tak ekskluzywnego miejsca pasował do Johna. Mimo wątpliwości opanowało mnie podniecenie i jak zwykle starałam się dostrzec plusy.

Horyzont powoli zasnuwały stalowe chmury, a na tle ciemnego nieba trzaskały błyskawice. Ten urzekający widok sprawił, że wprost nie mogłam oderwać się od okna. Sztorm minął równie szybko, jak się pojawił. Pozostała po nim tylko tęcza.

- Spójrz, John - powiedziałam. - Koniec tęczy sięga ziemi tuż przy hotelu. Może to znak.

Położył mi dłonie na ramionach i zaczął delikatnie masować, zapewniając mi chwilę relaksu.

- Być może to znak, że twoja rodzina w końcu spełni obietnice.

- Nie wiem. Na razie całkowicie nas ignorują.

Miał rację. Spotkanie z nimi miało się odbyć w wakacje w Key West. Zarezerwowaliśmy trzy dwuosobowe pokoje w Eaton Lodge, w rezydencji z 1886 roku, otoczonej tropikalnymi ogrodami, pełnej białych wiklinowych mebli i przesiąkniętej duchem Południa. Przyjechaliśmy tam w niedzielę, ale krewni się nie pojawili. Byłam wściekła, gdy okazało się, że musimy zapłacić za pierwszą noc w niewykorzystanych pokojach jedyną kartą kredytową, z której jeszcze mogliśmy korzystać. Uparłam się, by odwołać rezerwację na kolejne dni.

John doszedł do wniosku, że skoro krewni nie przyjechali do nas, my pojedziemy do nich. Zadzwoił do Biltmore i poleciliśmy z powrotem do Coral Gables. Niedaleko mieszkała jego babcia.

- Spróbuj jeszcze raz do niej zadzwonić- zaproponowałam.

Puścił mnie i usiadł na kwiecistej kanapie, tuż obok telefonu. Gdy zaczął wybierać numer, poszłam do łazienki, żeby się odświeżyć. Przez otwarte drzwi słyszałam, jak prosi do telefonu babcie, najpierw po angielsku, potem po hiszpańsku.

- Cholera! - krzyknął, rzucając słuchawką. Zajrzałam do pokoju. - Nie ma jej, przynajmniej tak twierdzi służąca. Myślę, że chce się wycofać z obietnicy.

Zjeżyłam się, podeszłam do niego i splotłam ręce na piersi.

- Przecież to bez sensu. Dzwoniłeś do recepcji i odebrałeś wiadomości od kuzynów, więc czemu teraz nie możesz się z nikim skontaktować?

- Nie wiem. Nie zawsze postępują logicznie, szczególnie gdy chodzi o nas.

- Jesteśmy tu już drugi dzień. Czas spotkać się z prawnikiem. Po tym, czego dowiedzieliśmy się wczoraj, sędzę, że im prędzej, tym lepiej.

Poprzedni dzień obfitował w zadziwiające wieści. Za moją namową po śniadaniu udaliśmy się do archiwów hrabstwa Dale, żeby odnaleźć akt własności domu Johna przy Ingraham Highway. Opierał się, aleja nie zamierzałam ustąpić. Kiedy w końcu się zgodził, pojechalśmy do urzędu. Doznaliśmy szoku, ponieważ okazało się, że w dokumentach nie jest wymieniony jako prawowity właściciel. Co gorsza, nawet nie znał nazwiska, które widniało na mikrofiszach.

Poczerwieniał, a po chwili wybuchł:

- Nie wierzę! W końcu znaleźli sposób, by odebrać mi moją własność.

- Sprawdźmy testament dziadka Dannigana - powiedziałam. - Zobaczymy, z czym przyjdzie nam się zmierzyć.

Poszliśmy do archiwów i złożyliśmy zamówienie, ale powiedziano nam, że testament dostaniemy dopiero za cztery tygodnie. Potrzebowaliśmy obrotowego prawnika.

- Masz rację - przyznał. - Dzieje się tu coś podejrzanego, ale dawno mnie tu nie było, nie znam tu żadnego prawnika.

Złapał za książkę telefoniczną, schowaną w szufladzie stołu, i znalazł wykaz usług.

- Zadzwoń do Randolfa Harringtona, wiceprezesa banku Coconut Grove, i poproszę go, żeby nam kogoś polecił. On i jego ojciec od lat zajmują się finansami naszej rodziny. To oni wykonali wolę dziadka, dbając, by wszystko trafiło pod zarząd powierniczy. Na pewno mi pomoże.

Nie udało nam się porozmawiać z Harringtonem, ale jego asystentka poleciła prawnika z Miami, znanego z wysokiej skuteczności. Nazywał się Gene Janofsky. John wykonał kolejny telefon.

- Umówiłem nas na jutro, na dziewiątą - powiedział, odkładając słuchawkę.

- Dobrze. Mogę założyć jeden ze swoich nowych kompletów, skoro twoja babcia i tak ich nie zobaczy.

- Nie bądź zjadliwa.

- Czemu nie? Przecież nie zwróci nam kosztów tej wyprawy, jak obiecałeś.

Natychmiast zmienił temat. Wtedy nie wiedziałam, że tę taktykę stosował w walce o kontrolę nad moim umysłem.

- Chodźmy się zabawić - zaproponował. - Możemy pojechać tramwajem turystycznym i obejrzeć ciekawe miejsca w Miami.

- Nie powinniśmy. Wykosztowaliśmy się już wczoraj na hotelowe spa.

Sięgnął po plik broszur, które leżały na stoliku, i podał mijedną z nich.

- Zobacz sama... Nie jest to wielki wydatek. Zatrzymuje się nawet przy Vizcai, tej eleganckiej włoskiej willi.

Przejrzałam broszurę. Dzięki rozrywce może zdołałabym oderwać się na chwilę od problemów. Zaintrygowały mnie ogrody Vizcai i elegancja tego wyjątkowego domu. Niemniej jednak wciąż się wahałam, dlatego też admirał wytoczył ze swego arsenału ciężkie działo - kolejną kuszącą propozycję. Doskonale wiedział, że ciekawi mnie wszystko,

co ma związek z jego krewnymi, nawet nieżyjącymi, dodał więc kasek rodzinny.

- Po wyprawie możemy udać się do Miami Beach. Pokażę ci szpital, który dziadek kupił ciotce Dorothy, kiedy została matką przełożoną swojego klasztoru.

Natychmiast połknęłam haczyk. Podczas tej wyprawy mogłam zrobić kolejne zdjęcia, które dodałabym do pękających w szwach albumów. Tym sposobem odzyskałabym spokój aż do następnego ranka i spotkania z Janofskim. W końcu mieliśmy dostać to, co prawnie należało się Johnowi.

\* \* \*

Następny miesiąc minął bez żadnych postępów: ani w sprawie sytuacji rodzinnej, ani w kwestii kryzysu finansowego. Powróciliśmy więc do rutyny dnia powszedniego. Rano wychodziłam do pracy, a John... Cóż, nie wiem, co robił, gdy mnie nie było w domu. Niekiedy po prostu znikał. Nie pracował już jako konsultant, nie miał żadnych planów, a to negatywnie wpływało na nasze relacje.

Miałam wrażenie, że utknęłam na trzęsawisku. Nieważne, jak uporczywie namawiałam, wyjaśniałam, organizowałam czy planowałam budżet, John nie chciał ograniczyć wydatków ani znaleźć pracy. Czułam się, jakby ktoś założył mi kaftan bezpieczeństwa - im bardziej się szamotałam, tym węzły mocniej się zaciskały. Wraz z mężem, który odmawiał współpracy, tonęłam w finansowym bagnie i nie byłam w stanie znaleźć rozwiązania. Wyobrażałam sobie, że moja sytuacja niewiele się różni od życia z alkoholikiem czy hazardzistą. Nie mogłam

odejść z ogromnym długiem, który wciąż wisiał mi nad głową. Gdzie bym poszła? Jak bym przetrwała? Jak mogłam spłacić ten dług bez Johna i pieniędzy, które rzekomo obiecała jego rodzina? Uczepiłam się tej niezbyt logicznej myśli, by ocalić życie. Nie widziałam wtedy, że moje błędne rozumowanie jest owocem emocjonalnej i finansowej przemocy, którą od wielu lat stosował wobec mnie psychopata. Prawdopodobnie załamałabym się psychicznie, gdyby nie praca oraz rodzina i przyjaciele, dzięki którym na pewien czas odzyskiwałam równowagę.

Kiedy pewnego upalnego popołudnia wróciłam z pracy, w domu nikogo nie zastałam. Nie przejęłam się tym zbyt, ponieważ mąż czasami zabierał psy na przejażdżkę albo na spacer do parku. Położyłam torebkę na blacie kuchennym i wyjęłam z lodówki dietetyczną colę. Dla ochłody przyłożyłam sobie puszkę do rozgrzanego karku.

Podczas powrotu do domu tradycyjnie już ogarnął mnie nieokreślony lęk. Otworzyłam napój i pociągnęłam duży łyk. Żałowałam, że nie mam odwagi po prostu pozbyć się problemów, zamiast nieustannie próbować sobie z nimi radzić.

Spojrzałam na kuchenkę mikrofalową, na której zazwyczaj leżała poczta. Nie było żadnych kopert. Najwyraźniej listonosz nikogo nie zastał, więc poszłam sprawdzić skrzynkę. Potem usiadłam na kanapie w salonie i zaczęłam przeglądać koperty: reklama... rachunek... reklama... Mniej więcej w połowie przetrwałam. W rękę trzymałam list od prawnika z Miami.

Spotkanie z Janofskim nie poszło tak dobrze, jak bym chciała. Zaczęło się doskonale. Na początku panowie rozma-

wiali o wspólnych znajomych, po czym przeszli do interesów. John spisał listę swojego mienia, po czym narysował drzewo genealogiczne, wyjaśniając jego znaczenie. Prawnik uważnie go wysłuchał, a następnie stwierdził, że chyba będzie w stanie nam pomóc. Miałam ochotę skakać i klaskać z radości. Dobrze, że tego nie zrobiłam.

- Zabiorę się za to od razu - powiedział. - Potrzebuję tylko zaliczki w wysokości siedmiu i pół tysiąca dolarów.

Momentalnie uszło ze mnie powietrze. Równie dobrze mógł zażądać miliona - nie mieliśmy takich pieniędzy. Starłam się, jak mogłam, ale przez miesiąc nie zdołałam wymyślić sposobu, jak je zdobyć. Gdy trzymałam w ręku kopertę od Janofskiego, zrodziła się we mnie nadzieja, że oto chce nas poinformować o rezygnacji z zaliczki. Wszystko wskazywało na to, iż jest do głębi wstrząśnięty rodzinną sytuacją Johna i świetnie się z nim dogaduje.

Kiedy otworzyłam kopertę, ogarnęła mnie rozpacz. Znajdował się w niej rachunek, który po znajomości zmniejszono nam z pięciuset pięćdziesięciu dolarów na czterysta pięćdziesiąt. Najwyraźniej, wbrew obietnicom Johna, musieliśmy zapłacić za pierwsze spotkanie. Dostałam zawrót głowy, gdy zobaczyłam wytłuszczony czerwony napis: „Termin minął - ponowny rachunek”. Czemu John ani się o tym nie zająknął? Opowiadał za to, że wciąż pracuje nad tym, by obyło się bez zaliczki.

Zacisnęłam zęby, gwałtownym krokiem ruszyłam do gabinetu męża. Odsunęłam na bok stertę papierów, żeby zrobić sobie miejsce i napisać list do prawnika. Wtedy rzucił

mi się w oczy wyciąg z mojej służbowej karty. „A to kiedy przyszło?” - zdziwiłam się w duchu. W kwestii rachunków byłam doskonale zorganizowana. Znałam datę nadejścia każdego z nich oraz termin zapłaty dlatego gdy wyciąg ze służbowej karty kredytowej się nie pojawił, uruchomił się mój wewnętrzny alarm. Powiedziałam też o tym Johnowi. Pewnie niechcący zaniósł go do gabinetu. Złapałam kopertę i otworzyłam ją.

Rzuciłam okiem na wyciąg i niemal zabrakło mi tchu. Zaskoczenie przeszło w niedowierzanie, a potem we wściekłość. Na wyciągu znajdowała się pozycja z kwotą 1162,54 dolarów za pobyt w hotelu Biltmore - a więc mąż zapłacił moją kartą.

Nie, to niemożliwe. Celowo zostawiłam ją w domu. Poza tym na Florydę wybraliśmy się przecież prywatnie. Szumiało mi w głowie. Nagle usłyszałam odgłos zamykanych drzwi od garażu, pobrzękiwanie breloczków u obroży naszych psów, a następnie dreptanie psich łap po parkiecie w korytarzu.

- Wróciłem! - zawołał John.

Złapałam oba listy i zbiegłam na dół. Zobaczyłam, jak wchodzi do kuchni i odstawia dwa worki z zakupami.

- Co to ma, do cholery, być? - krzyknęłam, pokazując mu listy.

- Ejże, chwila. Daj mi moment.

Kulejąc, poszedł do aneksu kuchennego, usiadł na jednym z ratanowych foteli, spojrzął na wyciąg z karty i uśmiechnął się triumfalnie.

- Jak ty to zrobiłeś? To moja karta służbowa... na moje nazwisko!

Złapałam ciepłą puszkę coli i usiadłam naprzeciwko niego, za szklanym stołem.



- Dostałaś nową, a starą wyrzuciłaś do śmieci, ale nie straciła jeszcze ważności, więc na wszelki wypadek schowałem ją do portfela. I dobrze zrobiłem, inaczej nie byłibyśmy w stanie zapłacić za Biltmore. To nic takiego.

- Wręcz przeciwnie - wycodziłam z wściekłością. - Mogę stracić przez to pracę. Nie wolno mi używać prywatnie służbowej karty.

John wstał, przeszedł z powrotem do kuchni i zaczął rozpakowywać zakupy, ewidentnie nie przejmując się moją irytacją.

- Coś wymyślisz - powiedział w końcu. - Jesteś w tym dobra.

Gdy raz po raz próbowałam znaleźć rozwiązanie kolejnego problemu, mój umysł zaczynał pracować na wysokich obrotach. Obmyślanie sposobów na wydostanie się z finansowego labiryntu stało się moją specjalnością. Po pierwsze, minimalizacja strat. Jeszcze raz przejrzałam wyciąg.

- Skontaktuję się z bankiem i spróbuję wyjaśnić, że użyliśmy tej karty przez pomyłkę i że spłacę tę kwotę w trzech miesięcznych ratach.

- Dobrze. Zrób, co trzeba.

Potem sięgnęłam po list od prawnika.

- A co z tym rachunkiem od Janofskiego?

- Co z nim?

- Mówiłeś, że pierwsze spotkanie jest za darmo.

- Tak mi powiedział. Sekretarka pewnie się pomyliła. Zadzwoń do niego rano i wyjaśnij to.

John jak zwykle spokojnie zaprzeczał obciążającym go faktom, nie przejawiając żadnych wyrzutów sumienia z powodu swoich

klamstw. Przyłapany na gorącym uczynku, nigdy się nie denerwował ani nie brał na siebie odpowiedzialności. Przechodził nad tym do porządku dziennego. Doprowadzał mnie tym do szału. Dopiero wiele lat później odkryłam, że to zachowanie typowe dla psychopaty i że reagowałam dokładnie tak, jak zakładał.

Nalał sobie szklankę soku pomarańczowego i ponownie usiadł.

- Mam dobre wieści, może zechcesz ich wysłuchać  
- oznajmił.

Mogłam tylko się na niego gapić. Nie chciałam ryzykować, otwierając usta; nie byłam bowiem pewna, co za chwilę powiem.

Okazało się, że rozmawiał z Randolfem Harringtonem i bank zgodził się wypłacić mu drugą hipotekę w wysokości piętnastu tysięcy dolarów. Czek miał przyjść w ciągu tygodnia lub dwóch.

Ta wiadomość powinna mnie ucieszyć. Dokładnie takiej kwoty potrzebowaliśmy, żeby spłacić minimalną ratę hipoteki, długi z kart kredytowych i uregulować rachunki. Nie dałam się jednak ponieść emocjom. Ile to już razy czek, który miał nadejść lada dzień, nigdy się nie pojawił? „Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę” - pomyślałam. Nie pytałam nawet, w jaki sposób Harrington mógł wypłacić pożyczkę, skoro nazwisko „Perry” nie figurowało w akcie własności domu. Desperacja potrafi zakłócić racjonalne myślenie.

- Rozpocznie też proces refinansowania mojego domu  
- ciągnął - tak jak sugerowałaś. Usunie go z funduszu powierniczego. Chce, żebyśmy spotkali się w przyszłym miesiącu, by podpisać umowę i odebrać czek.

- Nie stać nas na bilety lotnicze, hotel ani samochód.

John nawet się nie zawahał. W głowie świtał mu już nowy plan.

- Nie ma problemu. Skorzystamy z rabatu, a ja mogę załatwić korzystną stawkę weekendową w hotelu w Fort Lauderdale. To jakieś pół godziny drogi od banku. Zresztą co znaczy „nie stać nas”? Jedziemy po czek na sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

Czyżby faktycznie zbliżał się koniec finansowej gehenny, po dziewięciu latach ciulania, drugich hipotek, spóźnionych czeków, niedotrzymanych obietnic i niespełnionych marzeń? John, który przez te wszystkie lata trzymał w ręku klucz, teraz pomachał mi nim przed nosem, mówiąc, że wykorzysta swój majątek, by wydostać nas z finansowych okowów. Tak długo wyglądałam już ulgi. Rozpaczliwie pragnęłam, żeby to wszystko okazało się prawdą, więc aby nie psuć nastroju, tym razem to ja zmieniłam temat.

- Gdzie dzisiaj byłeś? Nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

- Pojechałem odwiedzić twojego tatę, a potem kupiłem trochę jedzenia.

Sięgnęłam przez stół, żeby pogłaskać jego dłoń.

- Jesteś bardzo dobry dla mojego ojca. Dziękuję.

Mimo stresu, którego nieustannie mi przysparzał, wciąż go kochałam, szczególnie za to, jak traktował moją rodzinę. Kiedy ojciec trafił do szpitala, mąż odwołał wyjazd służbowy i wrócił z lotniska, żeby czuwać z nami podczas pięciogodzinnej operacji. Potem za każdym razem, gdy podróżowaliśmy z moimi rodzicami, zawsze pchał wózek taty - w Disneylandzie, w Huntington Gardens czy na piknikach.

Odnosił się również życzliwie do mojego brata, który cierpiał na schizofrenię. Twierdził bowiem, że badania związane z pracą doktorską nauczyły go z szacunkiem podchodzić do chorych umysłowo. Był jeszcze mój mały siostrzeniec, synek Julie. Towarzyszyliśmy rodzicom przy jego narodzinach i John szybko zaczął traktować go jak wnuka, którego nigdy nie miał. Rozpieszczał go, kupując mu książki, zabawki czy ubranka, a podczas wizyt nie omieszkiał przeczytać mu chociaż kilku stron.

- Kocham twoją rodzinę - odrzekł. - Ja nigdy takiej nie miałem. Moi traktowali mnie jak czarną owcę, więc zawsze czułem się samotny.

Wstał z grymasem bólu na twarzy i pokuśtykał do blatu kuchennego, przy którym zaczął przeszukiwać siatki z zakupami.

- Mam coś dla ciebie - powiedział i wręczył mi kopertę.

Była zaadresowana do „Maluszka”. Wyjęłam z niej kartkę: z przodu widniały cztery misie w pastelowych kolorach, które bawiły się na huśtawce. Zielonym drukiem napisano: „Jesteś wyjątkowa. Dziękuję, że zawsze pomagasz mi się podnieść, gdy upadam”, a niżej zobaczyłam staranne pismo Johna: „W moim wieku powinienem wiedzieć, co dla mnie najlepsze. Kocham cię, ja”.

Serce zabiło mi mocniej w piersi. Jak mogłam złościć się na mężczyznę, który ciągle kupował mi kartki miłosne, kwiaty czy perfumy? Wiedział, jak mnie poruszyć. W pewnej chwili zauważyłam jej drugie znaczenie. Ja również znajdowałam się na huśtawce: raz na dole, raz w górze, to radosna, to smutna. Dziś John ponownie mnie uszczęśliwił.

W tym czasie siły dodawał mi instynkt przetrwania. Musiałam sprawić, by moje drugie małżeństwo się udało.

Nie mogłam przecież wyjść na ofiarę losu. Wiedziałam, że jeśli odzyskamy stabilizację finansową, ocalę nas przed bankrutem i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Moje życie stało się szaleńczą układanką - wszystkie fragmenty leżały przed moimi oczami, ale nie miałam obrazka, na którym mogłabym się wzorować. Poszczególne fakty w żaden sposób się ze sobą nie wiązały. Nie mogłam nawet znaleźć rogów ani krawędzi, by ułożyć ramkę.

\* \* \*

Mój Szalony Rok wciąż trwał. Pewnego poniedziałkowego ranka, w środku sierpnia 1990 roku, jechaliśmy wynajętym samochodem na południe, drogą numer 95, pełną ludzi dojeżdżających do pracy w Miami.

Wracaliśmy właśnie ze wspaniałego weekendu w Fort Lauderdale, gdzie odwiedziliśmy przyjaciół i relaksowaliśmy się, spacerując po plaży i patrząc, jak bogacze bawią się na swoich luksusowych jachtach i motorówkach. Jednak tej podróży towarzyszył nastrój powagi. Wybieraliśmy się na bardzo ważne spotkanie do Coconut Grove, na które nie wypadało się spóźnić.

- Te korki mnie wykończą - wymruczałam. - Mam nadzieję, że zdążymy,

- Spokojnie, świetnie ci idzie - uspokajał mnie mąż.

- Nie możemy się spóźnić, skoro Harrington w końcu spełnił obietnicę i wysłał nam czek na piętnaście tysięcy.

Powiedziałam „w końcu”, ponieważ John codziennie powtarzał mi, że lada chwila pojawi się czek na piętnaście tysięcy dolarów. To czekanie przyprawiało mnie o ból głowy i bezsen-

ność. Teraz wszystko wiązało się ze stresem. Nagle, kiedy akurat wybierałam się w podróż służbową, powiedział, że otrzymał wiadomość od Harringtona: kasa na pewno dotrze w czasie mojej nieobecności. Bogu dzięki! Wypisałam czeki z późniejszą datą, żeby John wysłał je, gdy tylko przyjdą pieniądze, i wyjechałam z poczuciem ulgi.

Kiedy wróciłam do domu, mąż chodził jak struty. W wyniku jakiegoś błędu nasze pieniądze utknęły w banku w San Francisco. Postąpił głupio i wysłał już opłaty, ale uprosił pracownika banku, by wstrzymał czeki i przepuścił je, gdy tylko pojawią się środki. O tym, że coś poszło nie tak, dowiedziałam się w najgorszy możliwy sposób. Kiedy byłam w pracy, zaczął dzwonić mój telefon - wierzyciele dopominali się opłat. Ponownie nadszedł czas na minimalizację strat.

- Pewnie zaginęły na poczcie - pocieszałam się.  
- To się zdarza. Albo okradziono naszą skrzynkę.

Później, w ciągu tygodnia, na naszym wspólnym koncie pojawiło się 15400 dolarów. Nigdy nie zobaczyłam czeku. Natychmiast uregulowałam zaległe rachunki i wpłaciłam minimalne kwoty za karty kredytowe, ale uczucie z trudem wywalczonej ulgi nie trwało długo. Wiedziałam, że olbrzymie zadłużenie będzie nieustannie mącić mój spokój.

Na szczęście bank zatwierdził hipotekę w wysokości sześćdziesięciu tysięcy dolarów na dom Johna na Florydzie i właśnie jechaliśmy po pieniądze. Minęliśmy zjazd na Palmetto Expressway i jechaliśmy dalej na południe.

- Moja żona, Cindy, zginęła niedaleko stąd - wyparował nagle John. - Walczyłem wtedy w Wietnamie.

Po raz kolejny opowiedział mi tragiczną historię jej wypadku. Robił to za każdym razem, gdy znajdowaliśmy się w pobliżu tej autostrady. Widziałam, jak cierpi.

- Jesteśmy już blisko - powiedziałam, starając się odwrócić jego uwagę od przykrych wspomnień. - O, to znak zjazdu na MacArthur Causeway.

- Ja... nie czuję się za dobrze - wymamrotał nagle.

- Wystarczy, że pomyślisz o czymś miłym.

- Nie, serio. Nie spałem ubiegłej nocy, miałem koszmary i strasznie bolała mnie noga. Wziąłem nawet dodatkowe leki, ale nic nie pomogło - stęknął, po czym zsunął się, kładąc głowę na oparciu fotela. Spojrzałam na jego targane bólem ciało i żałowałam, że nie mogę mu pomóc. Zamknął oczy.

- Może to przez stres związany z twoją sytuacją rodzinną - powiedziałam. - Dzięki czekowi, który dzisiaj dostaniesz, będziemy mogli zatrudnić Janofskiego i podjąć jakieś działania. To krok w kierunku odzyskania płynności finansowej.

Tymczasem autostrada międzystanowa zmieniła się w drogę krajową numer 1 i znaleźliśmy się na czteropasmowej South Dixie Highway. Okolice wyglądała znajomo. Jechałam tędy kilka miesięcy wcześniej, gdy zatrzymaliśmy się w Biltmore. W tej chwili umiejętność zapamiętywania trasy okazała się przydatna.

- Zawsze wiesz, jak poprawić mi nastrój - powiedział John. - Właśnie dlatego... Och! Och! - Złapał się za pierś. - Boli. Moje... moje... serce. Szpi... tal... Miło... sierzdia...

Opadł na siedzenie.

- John, John! - krzyczałam przerażona.

Potrząsnęłam nim, ale nie reagował.

Dziś aż trudno mi uwierzyć, że nie podejrzewałam nawet, iż jest to kolejny *zabieg*, by odciągnąć moją uwagę od prawdy. Wydawało mi się, że chory mąż doznał właśnie na moich oczach ataku serca. Czemu miałabym zareagować inaczej? Natychmiast włączył mi się tryb przetrwania, by jak najszybciej zapewnić pomoc mężczyźnie, którego kochałam.

„Zwracaj uwagę na ruch” - powiedziałam sobie. „Zachowaj spokój. Gdzie jesteś? Pomyśl! Przed tobą światła. Dobrze, zmieniają się na zielone. Duże skrzyżowanie. Musisz jechać na wschód, w kierunku zatoki Biscayne. Zjedź na pas do skrętu w lewo”.

Znalazłam się na SW 17th Avenue. Na skrzyżowaniu z South Miami Avenue stał niebieski znak kierujący do szpitala. Skręciłam w lewo i natychmiast utknęłam za wolno jadącą ciężarówką. Jedna przecznica. Dwie przecznice.

- Trzymaj się, John, jesteśmy prawie na miejscu.

W końcu zobaczyłam szpital stojący w pewnej odległości od drogi. Skręciłam na podjazd i przestrzegając ograniczenia prędkości, jechałam tak, jak wskazywały znaki kierujące na ostry dyżur. John zaczął pojękiwać. Przynajmniej jeszcze żył! Zahamowałam ostro i wbiegłam do środka, krzycząc do pielęgniarki za kontuarem:

- Pomocy! Mój mąż miał atak serca!

Obsługa ostrego dyżuru zareagowała natychmiast i w ciągu kilku minut John znalazł się na łóżku, po czym prędko go zabrano. Ja zostałam na korytarzu, jakbym zamieniła się w słup soli.

- Boże, błagam, niech nic mu nie będzie.



Po chwili podszedł do mnie ochroniarz i poinformował, że muszę zabrać samochód z podjazdu. Zrobiłam, co mi kazal, a kiedy wracałam na ostry dyżur, zdałam sobie sprawę, że prze-  
padło nam spotkanie z Harringtonem. Musiałam zadzwonić. Szybko wróciłam do samochodu i spojrzałam na tylne siedze-  
nie, szukając teczki Johna, ale tam jej nie było. Rzuciłam okiem  
na podłogę, potem do bagażnika. „Dziwne, przecież John miał  
w niej dokumenty dla Randolfa”. Pojawił się więc kolejny element  
układanki, od której traciłam zmysły, ale wtedy go nie dostrzegłam.

W recepcji dowiedziałam się od pielęgniarki, że wciąż ratują  
mojego męża. Wycieńczona, poszłam do poczekalni, gdzie usia-  
dłam obok telefonu i w wysłużonej książce telefonicznej odna-  
lazłam numer banku.

- Poproszę z panem Harringtonem.

Musiałam słuchać trzeszczącej muzyczki przez niemal  
dwie minuty, które wydawały mi się wiecznością. W końcu  
ktoś odebrał.

- Sekretariat pana Harringtona, w czym mogę pomóc?

Przeprosiłam, że nie stawiliśmy się na umówione spotkanie,  
i wyjaśniłam, że John trafił do szpitala. Sekretarka nie potrafiła  
ukryć zdziwienia.

- Nie widzę żadnych informacji na temat spotkania z admi-  
ralem Perrym, ani rano, ani po południu - odparła. - Ani  
w ogóle w tym tygodniu.

- Musiała nastąpić jakaś pomyłka - wydusiłam. - Przyje-  
chaliśmy na Florydę, żeby sfinalizować pewien interes.

- Proszę więc porozmawiać z panem Harringtonem.  
Połączę panią.

Kiedy pojawił się na linii, wyjaśniłam całą sytuację. Wydawał się kompletnie zaskoczony. Zaprzeczał, jakoby znał Johna Perrygo. Zapytałam go więc o kolonie, na których ponoć byli razem jako dzieci. Nazwisko Johna wciąż nic mu nie mówiło. Opisałam mu problemy z rodziną, funduszem powierniczym i hipoteką. Nie miał bladego pojęcia, o co chodzi, ale starał się pomóc.

- Może zajmuje się tym szefowa działu pożyczek hipotecznych.

Kiedy jednak połączono mnie z jej sekretarką, ona również stwierdziła, że w kalendarzu nie ma żadnego spotkania. W końcu, zdumiona i bezradna, rozłączyłam się. Element układanki pozbawiony kontekstu mógł doprowadzić jedynie do frustracji. Wiedziałam, że muszę zająć się tym później.

- Pani Perry! - zawołał lekarz z korytarza. - Może pani wejść.

Wyrecytował całą litanię badań, które przeprowadzili. Brzmiało to dla mnie jak język obcy.

- Podejrzewamy atak serca - powiedział. - Ma niebezpiecznie wysokie ciśnienie. Przez kilka dni zostanie na oddziale intensywnej terapii.

Zaprowadził mnie na ostry dyżur. Na łóżku za białą zasłoną leżał John, otępiały, ale przytomny, podłączony do mnóstwa pikających maszyn. Podeszłam, nachyliłam się i pocałowałam go w policzek, a on lekko się uśmiechnął. Gdy ścisnęłam jego dłoń, do oczu napłynęły mi łzy, bo ponownie ogarnął mnie lęk przed utratą, która tym razem oznaczałaby śmierć. Nie chciałam, by ktoś zauważył żal rozdierający moją duszę.

- Będzie dobrze, John.

\* \* \*

W Holiday Inn, w Fort Lauderdale, recepcjonista pomógł mi zarezerwować pokój w hotelu znajdującym się bliżej szpitala. Pobiegłam na górę, żeby się spakować. Lekarz powiedział, że przyjęcie Johna potrwa kilka godzin, a ja chciałam jak najszybciej do niego wrócić. Kiedy otworzyłam drzwi do pokoju, na łóżku męża zobaczyłam jego teczkę. Założyłam, że po prostu jej zapomniał, ponieważ często mu się to zdarzało.

Zabrałam kosmetyki z łazienki, łącznie z ośmioma opakowaniami leków na receptę, i rzuciłam je na jedno z łóżek, obok torby. Wyjęłam ubrania z szafy i szuflad, po czym rzuciłam je obok walizki. Kiedy skończyłam, obie torby postawiłam przy drzwiach.

Następnie musiałam zająć się biletami lotniczymi, które powinny być w teczce Johna. Złapałam ją, otworzyłam zatrzaski i postawiłam oczy w ślup: znajdowało się tam kolejne siedem opakowań leków i dwa przedmioty owinięte w folię aluminiową. Zignorowałam je, skupiając się na szukaniu biletów. Gdy je znalazłam, zadzwoniłam do American Airlines i odwołałam naszą rezerwację, nie ustalając nowego terminu powrotu.

Kiedy zaczęłam wkładać tabletki z powrotem do teczki, zauważyłam, że są to leki, których nigdy nie widziałam. Nie myśląc długo, spisałam ich nazwy, sama nie wiem czemu. Następnie chwyciłam większy z dwóch przedmiotów o dziwnym kształcie i rozwinęłam folię. Momentalnie upuściłam go na łóżko i cofnęłam się „Pistolet! Nienawidzę broni!” Zanim

rozpakowałam drugie zawiniątko, zawahałam się. To była amunicja. Nigdy wcześniej jej nie widziałam.

Siedziałam na łóżku i nie mogłam się ruszyć. Nagle przyszło mi do głowy, że przecież John przynosił tę teczkę przez kontrolę na lotnisku, przez maszyny do prześwietlania. „Co za idiota!” Z drugiej strony wcale bym się nie zdziwiła, gdybyśmy przez niego zostali zatrzymani i aresztowani w drodze na tak ważne spotkanie. Czułam, że mnie mdli. Połknęłam aspirynę, by powstrzymać łomotanie w głowie, i pojechałam do szpitala.

\* \* \*

Weszłam do pokoju Johna, trzęsąc się z wściekłości, ale poczekałam, aż pielęgniarka wyjdzie.

- Ty głupi skurwysynie, dlaczego miałeś w teczce pistolet?
- Hej, nie strzelaj do pacjenta - zachichotał niewinnie.

Korytarzem przeszła pielęgniarka, więc ściszyłam głos, ale nie potrafiłam powstrzymać gestykulacji. Cała w nerwach krążyłam wokół łóżka męża.

- Coś ty sobie myślał, na Boga? Mogli nas aresztować.
- Nie dramatyzuj.
- A jak mam reagować na tak głupie zachowanie?
- Uspokój się. Miałem atak serca, pamiętasz?
- Gdyby nas aresztowali, mielibyśmy przechlapane. Nie stać nas na prawników, a co dopiero na kaucję. Po co ci ten pistolet?
- Dla ochrony, maleńka. Miami to paskudne miejsce, a zapowiadało się, że dostaniemy sześćdziesiąt tysięcy.
- Nie w gotówce, tylko w czeku.

Mimo wszystko przyjęłam jego wytłumaczenie. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że wziął ten pistolet, by mnie zabić.

Skrzywił się i złapał jedną ręką za pierś, a drugą za nogę.

- Zawołaj pielęgniarkę, szybko! - krzyknął. - Och, boli...

Sięgnęłam po interkom stojący przy jego łóżku i wezwałam pielęgniarkę. Przybiegła natychmiast i wstrzyknęła coś do kroplówki. Czułam się podle. Oto mój mąż, który miał właśnie atak serca, leży w łóżku, a ja wpadam jak bomba. Podeszłam do okna i poczekałam, aż jego ból ustąpi.

- Rozmawiałam dziś z Randolfem Harringtonem - wymamrotałam przez lzy, spoglądając na spokojne wody zatoki. - Mówi, że cię nie zna.

Odwróciłam się i spojrzałam na Johna. Zrobiło mi się ciężko na sercu, gdy patrzyłam na te wszystkie kroplówki i monitory.

- Pewnie nie dosłyszał nazwiska - wyszeptał. - Może myślał, że powiedziałaś „Terry”. Jesteś bardzo zdenerwowana.

Przytaknęłam. Miał rację. Doskonale mnie rozumiał i wiedział, co w danej chwili chciałam od niego usłyszeć.

- Zadzwoń do Randolfa jutro i wszystko wyjaśnię - powiedział. - Nie zwracaj sobie tym swojej ślicznej główki.

Powoli zamknął oczy i pogrążył się w głębokim śnie. Czułam się samotna i zagubiona. Nie znałam nikogo w Miami. Nigdy nie spotkałam rodziny Johna, nie miałam ich numerów telefonów, nie mogłam powiadomić ich, co się stało. Wróciłam do pomieszczenia dla gości, ale brzęczący telewizor tylko mnie drażnił. Dręczył mnie niepokój, chciałam z kimś porozmawiać. Postanowiłam zadzwonić do Genea Janofskiego, żeby się przywitać.

Był bardzo uprzejmy, ale jego ostatnie stwierdzenie brzmiało tajemniczo.

- Jeśli można, radzę odejść od męża, zanim panią skrzywdzi.

Nie rozumiałam, czemu udzielił mi tak złowrogiej przestrogi. Nie wiedziałam, co miałby oznaczać kolejny element układanki, dlatego postanowiłam go zignorować. Musiałam. Czyż nie przysporzyłam właśnie Johnowi cierpienia? Najważniejsze było jego zdrowie. Zamierzałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby bezpiecznie wrócił do domu. Postanowiłam więc nie wspominać o tym ani jemu, ani nikomu innemu.

## *Głębokie wody*

W drugą sobotę września John siedział w swoim gabinecie na piętrze i przeglądał ostatni numer „Janes Fighting Ships”<sup>1</sup>. Upominałam, żeby nie przemęczał się po tygodniowym pobycie w szpitalu, gdzie krążył między oddziałem intensywnej terapii a swoim pokojem. Wykonano mnóstwo rozmaitych badań, ale nie przyniosły jednoznacznej diagnozy. Strach o jego życie zepchnął na bok wszystkie zmartwienia dotyczące nadwątłego budżetu. Dbałam tylko o to, żeby wrócił do zdrowia.

Gdy przycinałam jałowce przed domem, podjechał listonosz i wręczył mi pocztę. Usiadłam z nią na ceglany ganku. Zaintrygował mnie pierwszy list, nadany przez State Farm. W środku znajdowała się kopia zaświadczenia o ubezpieczeniu nieruchomości, adresowanego do firmy z Walnut Creek zajmującej się pożyczkami. Pierwszego sierpnia zatwierdzono drugą

<sup>1</sup> „Janes Fighting Ships” - ukazujący się raz do roku leksykon okrętów marynarek wojennych z całego świata.

hipotekę w wysokości 13400 dolarów. Pożyczki udzielono pod zastaw mojego domu w Antioch. „Nie! To niemożliwe!” Przeczytałam dokument powtórnie. Wydawał się autentyczny. Prawda docierała do mnie stopniowo: pieniądze, które otrzymaliśmy tuż przed wyjazdem do Miami, nie pochodziły z pożyczki pod zastaw posiadłości Johna... lecz mojej! Wreszcie trzymałam w rękach róg układanki, od której przez lata stopniowo traciłam zmysły, ale wtedy tego nie wiedziałam. Poczulałam, że robi mi się niedobrze. Trzęsąc się z wściekłości, wbiegłam na piętro. Niezależnie od stanu zdrowia John musiał wziąć za to odpowiedzialność.

- Ty skurwysynie! - wrzasnęłam. - Jak to zrobileś?

Spojrzał znad książki i zdjął okulary do czytania.

- Co ty tam skrzeczysz?

Zamachałam mu oświadczeniem przed nosem.

- Jak śmiesz!

- O czym ty mówisz?

- O pożyczce... pod zastaw mojego domu. I to nawet nie na pełną kwotę, która pojawiła się na koncie.

- Och, to - rzucił niedbale. - Musieliśmy przecież zdobyć jakieś pieniądze. Wziąłem więc pożyczkę, a do tego dwa tysiące dolarów od twojej mamy.

Jego bezczelność przekraczała wszelkie granice.

- Poszedłeś do moich rodziców? Zastawiłeś moją własność? Jak? Przecież nic nie podpisałam.

John walnął pięścią w biurko, a ja odskoczyłam przestraszona.

- Jak śmiesz podawać w wątpliwość moje decyzje? Moja pożyczka została tymczasowo wstrzymana, a potrzebowaliśmy



pieniędzy, więc wziąłem sprawę w swoje ręce. Czy ty nigdy nie docenisz tego, co dla ciebie robię?

Otworzyłam usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale błysk wściekłości w oku męża sygnalizował, że stąпам po cienkim lodzie, więc porzuciłam temat.

- Mój ojciec umiera - zaszlochalam. - Nie mam siły dłużej o tym rozmawiać.

Wyszłam z pokoju, zalewając się łzami. „Kiedyś to wszystko sprawdzę - postanowiłam w duchu - ale nie teraz”. Myśli zaprzętały mi inne problemy, bardziej aktualne. „Jak zminimalizuję tę stratę?” - zastanawiałam się. W połowie drogi na dół podjęłam decyzję. Odwróciłam się na pięcie i wróciłam do gabinetu.

- Dodam jeszcze piętnaście tysięcy do pożyczki z HFC. Nie chcę mieć drugiej hipoteki na domu w Antioch ani obciążać rodziców.

Ponadto trwał proces zatwierdzania drugiej hipoteki - w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów - na dom w Concord. Nie mieliśmy innych środków, a John nalegał, dlatego w końcu złożyłam broń - nie zdołałam obronić swojej pozycji. Zresztą jakiej pozycji? Tkwiłiśmy po uszy w długach. Nie mieliśmy żadnej alternatywy. Zostałam zapędzona w kozi róg, a nienawidziłam takich sytuacji.

Uzyskane w ten sposób środki miały pójść na spłacenie drugiej hipoteki, kart obciążeniowych i pożyczek na samochody oraz na uregulowanie bieżących opłat za pierwszą hipotekę, drugą na dom w Antioch i zwrot pieniędzy moim rodzicom.

John zapewniał mnie, że dostanie spadek i pieniądze od Jasona. Uwierzyłam mu z desperacji, bo *przecież* w coś musiałam wierzyć. Zastanawiałam się tylko, czy zdołamy spłacać wysokie miesięczne raty.

- Pamiętaj, ostatni raz używamy mojego majątku, żeby wybrnąć z kłopotów. Ostatni raz, słyszysz? Nie stać nas na więcej, póki nie zdobędziesz jakichś pieniędzy.

Już miałam wyjść, gdy usłyszałam za sobą głos Johna:

- To nie moja wina, że rodzina znalazła sposób, by powstrzymać mnie przed podpisaniem umowy z Harringtonem.

Uciekłam do ogródka na tyłach domu i usiadłam, spuszczać nogi do basenu. Ponieważ moje psy uwielbiały pływać, a ja lubiłam na nie patrzeć, rzuciłam im do wody gumową zabawkę. Tego dnia jednak obserwowanie ich radosnych figlów nie pomagało. Byłam w pułapce i nie miałam dokąd uciec. Lęk i uczucie rozczarowania zupełnie mnie rozbijały i nikt nie potrafił mi pomóc.

Gdybym podzieliła się z kimś swoimi zmartwieniami, przyznałabym tym samym, że nie jestem doskonała. Nie, musiałam zachować milczenie i sama rozwiązać ten problem. Dla rodziny, przyjaciół i całego świata wciąż będę się uśmiechać. Jeśli bowiem dowiedzą się, że jestem w fatalnej sytuacji finansowej i nie sprawdzam się nawet jako żona, z pewnością stracę ich szacunek. Wciąż zadreżczałam się, co pomyślą o mnie inni, tymczasem o sobie nie myślałam nawet na tyle, by prosić o pomoc.

Minęło dziesięć miesięcy, od kiedy rozpoczął się ów Szalony Rok - gdy w moich drzwiach stanęło FBI - ale wtedy nie widziałam związku między ich wizytą a chaosem, który

wypełniał moje życie. Wiedziałam tylko, że czuję się, jakbym tonęła, tak jak wtedy, gdy miałam siedem lat i powoli opadałam na dno basenu publicznego w Bishop, patrzyłam na poruszające się nade mną ręce i nogi. Wokół panowała absolutna cisza. To była moja wina. Nie umiałam pływać, ale kusiłam los zdradliwą dziecięcą odwagą. Nie wiedziałam, jak się ratować: ani wtedy, ani teraz, gdy kręciło mi się w głowie od komplikacji finansowych i zagadek związanych z moim mężem. Niezależnie od tego, jak bardzo starałam się go zmienić, jak bardzo miotalam się, żeby zdobyć kontrolę nad wydatkami, tonęłam i nie miałam ani narzędzi, ani wiedzy, które dałyby mi szansę na ocalenie. Mój wewnętrzny głos odzywał się jednak coraz głośniejsze, coraz bardziej stanowczo. Rozpoczęła się głęboka metamorfoza, z której wtedy nie zdawałam sobie jeszcze sprawy.

Jakieś dziesięć minut później John wyszedł z domu, niosąc dwa drinki. Postawił je na stoliku.

- Masz - powiedział. - Chyba tego potrzebujesz.  
- Nie ruszyłam się, więc usiadł. - Przykro mi, że ostatnio coś się psuje, ale poszedłem za twoją radą. - Odwróciłam się i spojrzałam na niego ze złością. - Rozmawiałem z moim profesorem z Berkeley - ciągnął - i ustaliliśmy, że będę uczył na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis. Zapłacą mi nawet i zaliczą okres pracy do stażu doktoranckiego.

Ożywiłam się. Jego słowa mogły rozproszyć moją rozpacz.

- Znowu będziesz pracował?

- Trzy dni w tygodniu w Davis, dwa w Berkeley. Temat mojej pracy jest teraz bardzo popularny. Poprowadzę kurs o schizofrenii i wpływie impulsów elektrycznych na mózg.

Wstałam, przeszłam wzdłuż podestu zanurzonego w basenie i usiadłam przy stoliku.

- Nie podpisałem jeszcze umowy - dodał, podając mi drinka.

- Chciałem najpierw omówić to z tobą.

- Zrób to - powiedziałam. - Najwyższy czas.

- Tak, wiem. Nie byłem najlepszym żywicielem rodziny.

Kocham cię za to, że jesteś taka wyrozumiała w kwestii mojej choroby, nieobecnej rodziny i w ogóle.

- Chwila, czy aby semestr się już nie zaczął?

John powiedział, że owszem, ale to miał być kurs uzupełniający, a takie startują miesiąc później. Obiecał, że czeki będą automatycznie wpływały na nasze konto, żeby łatwiej mi było opłacać rachunki.

Podniósł się z wysiłkiem, podszedł i ucałował moją dłoń. Tym razem na emocjonalnej huśtawce znajdowałam się na górze. Następnie wrzucił gumową kaczuszkę do basenu. Odprężyłam się nieco, obserwując igraszki naszych ukochanych psów. Wyglądaliśmy jak typowa rodzina z przedmieścia, która w niedzielne popołudnie odpoczywa przy basenie. Nic bardziej mylnego.

\* \* \*

Ponieważ pracowałam pięć dni w tygodniu, a John jeszcze nie zaczął uczyć, to on miał nadzorować sprawy dotyczące drugiej hipoteki z Household Finance Corporation. Komplet dokumentów czekał na podpisanie. Na początku października udaliśmy się z Johnem do biura HFC w centrum handlowym niedaleko naszego domu. Dwudziestoparoletnia blondynka,

która akurat rozmawiała przez telefon, uśmiechnęła się do nas i gestem zaprosiła, żebyśmy usiedli przy jej biurku i zaczekali, aż skończy. Podsunęła w moją stronę grubą teczkę. Otworzyłam ją i zaczęłam przeglądać formularze.

- Dziękuję, że państwo zaczekali - powiedziała Kirsten, gdy odłożyła słuchawkę. - Może napiją się państwo kawy lub herbaty?

Oboje odmówiliśmy; i tak miałam już za dużo kwasu w żołądku: to spotkanie nie należało do przyjemnych.

- Dobrze, przejdźmy więc do interesów - zasugerowała.

Używając długopisu jako wskaźnika, skomentowała każdy dział formularza - potwierdzenie dystrybucji środków, wysokość pożyczki, roczny procent, kwoty karne. Z uwagą wsłuchiwałam się w jej słowa. Kiedy doszła do działu dotyczącego ubezpieczenia na życie, spojrzała na Johna. Wtedy się odezwał.

- Kirsten powiedziała, że możemy wykupić ubezpieczenie pożyczki na wypadek twojej śmierci.

- Słucham? - Kompletnie mnie zaskoczył. Nigdy dotąd nie rozmawialiśmy o ubezpieczeniu na życie. - To bez sensu - obruszyłam się. - Przecież jesteś starszy, lepiej ubezpieczmy ciebie.

- Nie możemy - odparł. - Stary piernik ze mnie, za drogo by wyszło. Za ciebie będziemy płacić tylko pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

- W naszym napiętym budżecie nie znajdziemy nawet tyle - przypomniałam mu.

Dyskutowaliśmy tak przez kilka minut. Nie rozumiałam, czemu nalega. Bombardował mnie kolejnymi argumentami.

Opierałam się *zawzięcie*, ponieważ nie miałam zamiaru przystać na ten absurdalny pomysł. Nie zwracałam najmniejszej uwagi na to, że urządzamy przedstawienie przed obcą osobą.

- Nie stać nas na to i już - uparłam się. - Proszę, mów dalej, Kirsten.

- To jest pożyczka pod zastaw domu. Najej poczet możecie wypłacać pieniądze. Czy wypłata ma być możliwa na jeden podpis czy na dwa? - spytała, podsuwając nam dokument.

-Jeden - odezwał się natychmiast John.

- Dwa - zaproponowałam. - Tak będzie bezpieczniej.

- Niezupełnie - odparł. - A jeśli nie będziesz osiągalna, gdy pojawi się jakaś pilna potrzeba?

- Nie ma tak pilnych spraw.

Przegrał w kwestii ubezpieczenia, więc w tej nie zamierzał ustąpić. Jego upór mnie frustrował. Strasznie rozbolała mnie głowa i zrobiło mi się słabo. Zaczynałam tracić zaufanie do męża i bałam się kolejnych finansowych problemów.

- Jeżeli teraz zgodzimy się na jeden podpis, to czy możemy potem zmienić zdanie? - spytałam.

- Opcja może zostać zmieniona na konieczność złożenia dwóch podpisów - potwierdziła Kirsten.

- W takim razie niech będzie jeden... Na razie.

Gdy podpisałimy papiery, spojrzałam surowo na Johna.

- Pamiętaj, robimy to po raz ostatni.

\* \* \*

Następnego ranka siedziałam w pracy, wycieńczona psychicznie i fizycznie. Poprzedniej nocy źle spałam, bo znowu

targały mną lęki. Wyglądało na to, że mąż nigdy nie ograniczy wydatków, a na przestrzeni dziewięciu lat ani razu nie okazał skruchy za swoją ekstrawagancję. Nieustanne kłótnie spowodowane jego wyskokami nadszarpnęły nie tylko moje zdrowie psychiczne, ale także zaufanie.

Mimo że zgodziłam się, by do wypłacenia pieniędzy wystarczył jeden podpis, nie czułam się z tym komfortowo. Uparty wewnętrzny głos ostrzegał, że coś tu nie gra. Tym razem go posłuchałam. Chciałam zmienić to ustalenie, sięgnęłam więc po telefon, ale zawahałam się, bo zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia, że robię coś za plecami Johna. Na dokumencie figurowaliśmy oboje, a zatem jeden jego podpis mógł doprowadzić do katastrofy. Nie, musiałam temu zapobiec. Zadzwoiłam do Kirsten.

- Przemyślałam sprawę - oznajmiłam. - Zdecyduję się jednak na dwa podpisy. Będę się z tym lepiej czuła.

- Nie ma problemu - odparła. - Wyślę pani nowy formularz. Proszę, by się państwo na nim podpisali i przynieśli, gdy pożyczka zostanie zatwierdzona.

Poczułam wielką ulgę, ponieważ odważyłam się wcielić w życie swój zamiar. Teraz musiałam tylko zdobyć podpis Johna, a to mogło okazać się trudne.

\* \* \*

Pogoda tego mokrego listopadowego dnia odzwierciedlała mój ponury nastrój. Nadszedł czas opłacania rachunków. Ogarnął mnie strach, gdy usiadłam przy biurku, by przejrzeć plik papierów i zdecydować, które zostaną zapła-

cone, a które nie. Nie potrafiłam się skupić. Traciłam kontrolę nad swoim życiem. Ojciec zmarł tydzień po tym, jak podpisaliśmy dokumenty z HFC, ale nie miałam zbyt wiele czasu, by go oplakiwać. Przeszkodziła mi praca: czekały mnie dwa wyjazdy służbowe. John nadal wydawał więcej, niż mieliśmy. Wydawało mi się, że tracę rozum, i nie wiedziałam, gdzie szukać pomocy.

Powinłam chociaż cieszyć się z faktu, że mąż najwyraźniej znalazł pracę. Kilka dni przed śmiercią ojca odwiedziłam go w domu. Nagle John wparował do kuchni z ogromnym uśmiechem na twarzy. Powiedział, że wrócił właśnie z zajęć przygotowawczych w Davis i wskazał na przyczepiony do jego sportowej marynarki identyfikator uczelni z odręcznym napisem: „Professor John Perry”. Pokazał nam również pieczętkę uniwersytetu na wewnętrznych okładkach książek, które rozłożył na stole. Tata, osłabiony chorobą, nie zwrócił uwagi na te przedmioty, ale na mnie wywarły niemałe wrażenie, ponieważ widziałam w nich szansę na wydostanie się z finansowego bagna.

Dzisiaj ogarnęło mnie przygnębienie. Spojrzałam na wiszącą nad biurkiem fotografię, która przedstawiała troje szczęśliwych ludzi: rodziców i mnie, żywą pięciolatkę o czarnych kręconych włosach, z misiem w dłoni. Żałowałam, że nie pamiętam, kiedy zostało zrobione to zdjęcie.

„Otrząśnij się, Barbaro” - powiedziałam sobie. „Weź się do roboty”. Sięgnęłam po wyciąg z banku i sprawdziłam czeki, które przyszły. Następnie przeanalizowałam wpłaty i ku mojemu zdziwieniu odkryłam, że tygodniowa pensja Johna, dziewięćset dwadzieścia dolarów, wpłynęła nie jako przelew



bezpośredni, ale przez wpłatomat w Berkeley. Zamierzałam go o to zapytać, gdy wróci z Davis.

Następnie zajęłam się rachunkami i zauważyłam, że brakuje wyciągów z MasterCard. Sprawdziłam na biurku męża, ale tam ich nie było. Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. „Boże, pomóż mi. Co tu się dzieje?”

Przecucie kazało mi zejść do garażu. Nigdy w życiu nie sądziłam, że będę przeszukiwać własne śmieci. Miałam wrażenie, jakby ktoś mną kierował. Wyciągałam odpadki, jeden po drugim, i rzucałam je na podłogę. Z minuty na minutę robiłam się coraz bardziej brudna i wściekła. Gdy doszłam do połowy pojemnika, moja wytrwałość została nagrodzona. Znalazłam brakujące wyciągi, przedarte na pół, wciśnięte tam, gdzie - jak sądził John - nikt ich nie znajdzie.

Gdy wróciłam do środka, oczyściłam je i posklejałam. Na pierwszym wyciągu zobaczyłam, że podczas mojej pierwszej podróży służbowej po śmierci taty John wydał półtora tysiąca dolarów w sklepie w San Jose, tego samego dnia, gdy rzekomo prowadził seminarium w Davis. Tymczasem oba miasta dzieli sto trzysta kilometrów. Następnie przekonałam się, że podczas mojej drugiej podróży służbowej wydał tysiąc dolarów na tupecik i sześćset na chatki Davida Wintera, choć wcześniej zabroniłam mu je kupować. Jego gabinet zdobyły bibeloty warte cztery tysiące. Nie stać nas już było na takie fanaberie, jeśli w ogóle kiedykolwiek było nas na nie stać.

Wstałam i zaczęłam chodzić w kółko, próbując zachować spokój i zdobyć się na trzeźwą ocenę sytuacji. Pojawiły się dwa kolejne rogi układanki, a ja zaczęłam podświadomie je dopa-

sowywać. Skoro kupił te rzeczy, a nie stały one na widoku w jego gabinecie, to gdzie się podziały? Przeszukałam wszystkie szafy i schowki, wspięłam się nawet na strych nad salonem, ale nic nie znalazłam. Zajrzałam do piwniczki, szafek w garażu, domku przy basenie i nic. Zostało tylko jedno miejsce: poddasze. Weszłam na rozkładaną drabinę i latarką oświetliłam mrok. W odległym rogu snop światła wydobył z ciemności worek na śmieci. Rozwiązałam go i znalazłam to, czego szukałam.

Złapałam torbę i postawiłam ją w korytarzu, razem z posklejanymi wyciągami z kart kredytowych i potwierdzeniami wpłat. Mniej więcej godzinę później John przekroczył próg domu, ubrany bardzo profesjonalnie: krawat akademii marynarki i brązowa tweedowa marynarka ze skórzanymi łatami na łokciach. W dłoni trzymał luksusową teczkę. Kiedy zobaczył dowody zbrodni, zamarł. Tym razem, inaczej niż podczas wcześniejszych kłótni, zachowałam stoicki spokój: siedziałam w salonie z otwartą książką na kolanach. „Niech wytłumaczy się z tego”- pomyślałam.

I to właśnie zrobił. Na każde stwierdzenie, na każde pytanie znajdował wiarygodnie wyjaśnienie. Miał miód w ustach i zawsze potrafił sprawić, by wścieklej żonie przeszła złość. Twierdził, że za każdym razem, gdy wyjeżdżałam w podróż służbową, popadał w depresję i ogarniała go obsesja kupowania. Wiedział, że źle robi, ale nie potrafił się powstrzymać. To była choroba. A do San Jose pojechał, gdy odwołano zajęcia. Po raz kolejny ustąpiłam. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, że stawiam czoła doświadczonemu psychopacie, który doskonale wie, jak kierować rozmową. Nie miałam najmniejszych

szans na wygraną, ale podjęłam największy wysiłek, na jaki było mnie wówczas stać.

- Słuchaj, możemy sobie z tym poradzić - błagałam go, przyjmując tradycyjny model zachowania - ale musisz mi pomóc. Sama nie dam rady. Powiedziałeś, że masz umowę, ale nigdy jej nie widziałam. To chyba naturalne, że mam wątpliwości?

Wierzyłam, że jeśli zobaczę namacalny dowód, wszystko się ułoży. Nie zamierzałam ustąpić.

John zaprowadził mnie do gabinetu i wyciągnął kilka kartek z metalowej szafki na dokumenty.

- Oto kopia mojej umowy - powiedział.

Trzymałam w ręku list od zastępcy prorektora, z nagłówkiem „Wydział Psychologii”, na firmowym papierze Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley. Znajdował się tam rozkład zajęć, okres obowiązywania umowy oraz stawka. Nie było natomiast nazwiska adresata, jego podpisu ani daty powstania tego listu. Mojej uwadze umknęło jednak, że słowo „psychologii” napisano inną czcionką. Przeoczyłam kolejny róg układanki.

- Oryginał znajduje się w archiwach uniwersytetu - powiedział, gdy spytałam o brakujące dane.

Chciałam mu wierzyć, ale potrzebowałam czegoś więcej. List nie do końca mnie przekonał, więc opracowałam plan.

- Pojadę z tobą na następne seminarium - powiedziałam.

- Wreszcie zobaczę mojego profesora w akcji.

- Dopiero za tydzień. Będziesz wtedy w pracy.

- Nie ma problemu, wykorzystam urlop. Będzie fajnie.

- Dobrze. Mam tylko nadzieję, że się nie rozczarujesz

- odparł. - A teraz napijmy się wina.

\* \* \*

Tydzień później - tego dnia, w którym miało się odbyć seminarium - tuż po przebudzeniu John zaczął uskarżać się na złe samopoczucie. Gdy ja brałam prysznic, a potem się ubierałam, on wciąż leżał.

- No dalej, musisz tylko wstać i się rozruszać - zachęcałam go. Jęknął i usiadł na brzegu łóżka. Dla żartu złapałam go za ramię i udawałam, że ciągnę.

- Poczujesz się lepiej, gdy weźmiesz prysznic.

- Miałem fatalną noc. Głowa mi pęka.

- Weź ibuprofen. Poza tym odpoczniesz w drodze do Davis, dziś masz szofera.

Wstał, zachwiał się i niemal upadł.

- Skoro jesteś już gotowa - powiedział słabym głosem - może chcesz przeczytać raport dla lekarza twojego brata. Napisałem tam o twojej rodzinie. Leży na moim biurku. Przepiszesz go, żebym mógł wysłać?

Poczłapał do łazienki, aja tymczasem udałam się do jego gabinetu i przejrzałam notatki, które leżały na wierzchu. Znajdował się tam, między innymi, wywiad z moją siostrą z Waszyngtonu. Całość wydawała się ciekawa, ale psychologiczny żargon niebawale utrudniał zrozumienie tekstu.

Dwadzieścia minut później mąż wszedł do gabinetu, wziął swoją teczkę i ogłosił, że jest gotowy.

- Wciąż nie czuję się najlepiej - zastrzegł.

Szłam więc tuż za nim. Nagle zatrzymał się u szczytu schodów.

- Pomóż mi. Chyba nie dam rady zejść - jęknął, przytrzymując się ściany, po czym wyciągnął do mnie rękę i wydusił:  
- Przytrzymaj mnie, proszę.

Normalnie pospieszyłabym mu z pomocą, ale dzisiaj wewnętrzny głos zbuntował się, przejmując kontrolę nad moimi słowami.

- Nie, złap się poręcz, tak będzie bezpieczniej. Jeśli się poślisz, i tak nic nie pomogę.

Ponownie wyciągnął ku mnie rękę, patrząc błagalnym wzrokiem.

- Nie - powiedziałam. - Jeśli nie możesz zejść, usiądź na tyłku i zsuń się stopień po stopniu. Chyba chcesz dotrzeć na seminarium w jednym kawalku, prawda?

Uparł się jednak i znów poprosił mnie o pomoc. Pozwoliłam zatem - wbrew sobie - żeby objął mnie prawym ramieniem.

- Lewą ręką oprzyj się o poręcz, tak będzie łatwiej - poradziłam, a sama zapałam się o ścianę.

Gdy zrobiliśmy jeden krok, John krzyknął z bólu - to noga odmówiła mu posłuszeństwa. Ja zaś straciłam równowagę, a ponieważ nie miałam się czego chwycić, spadłam dwanaście stopni w dół. On upadł tuż za mną. Leżeliśmy bez ruchu, aż odzyskaliśmy oddech. Z wysiłkiem wstałam, po czym kuştując, zesłam do foyer.

- Ostrzegalam cię, że to się źle skończy - oznajmiłam z wyrzutem. - Kiedy zaczniesz mnie słuchać? Cud, że jeszcze żyjemy.

Spełznął w dół i usiadł.

- Nic ci nie jest? - wyjęczał skruszony.

- Złamań nie ma, ale siniaków nie zabraknie.

- Nie mogę dziś uczyć - wydyszał. - Muszę zadzwonić do szkoły i odwołać zajęcia..

Cóż mogłam powiedzieć? Oboje byliśmy obolali, a John rzeczywiście nie wyglądał najlepiej. Z wysiłkiem podniósł się na nogi i utykając, poszedł do kuchni, by zadzwonić. Uczępiłam się myśli, że muszę zobaczyć go w sali lekcyjnej. Po prostu czas realizacji mojego planu uległ przesunięciu.

- Dobrze! - krzyknęłam. - Pojadę na następne. Mam sporo zaległego urlopu.

Konsekwentnie zaprzeczałam faktom, usiłując wyprzeć je ze świadomości. Widzę to wyraźnie dopiero teraz - gdy spoglądam wstecz na najbardziej stresujący okres mojego życia, kiedy to rzeczywistość mieszała się z fantazją. W dzieciństwie byłam bardzo przywiązana do postaci Świętego Mikołaja i zajęczka wielkanocnego i choć z czasem dojrzałam, nigdy nie przestałam pielęgnować w sobie dziecka. Część mnie nie potrafiła wyzwolić się z fascynacji bajkami. Najbardziej lubiłam tę o księciu - wierzyłam, że pewnego dnia zjawi się i zabierze mnie, współczesnego Kopciuszka, ze sobą, żebyśmy mogli żyć długo i szczęśliwie.

John był moim księciem z bajki, więc gdy w zamku nie działa się dobrze, nie mogłam - albo nie chciałam - dostrzec znaków świadczących o tym, że moje życie to maskarada. Ten wilk w owczej skórze od razu rozpoznał moje potrzeby, po czym zniewolił mnie, stosując metodę godną prawdziwego psychopaty: poświęcał mi całą swoją uwagę i mamił błyskotliwą rozmową, fascynującymi opowieściami oraz niezwykłymi odznaczeniami. Kiedy już zdobył nade mną kontrolę, kłamał i oszukiwał w tak

sprytny sposób, że gdy opadały mnie jakiegokolwiek wątpliwości, czułam się jak wariatka. Nie potrafiłam znaleźć wyjścia z tej wilczej nory.

W desperacji wciąż poszukiwałam magicznego środka, który sprawi, że nasze małżeństwo się uda. Sądziłam, że tylko ten mężczyzna może mnie uszczęśliwić. Za nic nie chciałam się obudzić z tego chorego snu.

Od dnia, w którym FBI stanęło w moich drzwiach, zaczęłam podejrzewać, że dzieje się coś złego. Między moją świadomością a podświadomością rozgorzała zacięta walka. Część mnie przeczuwała, że coś nie gra, ale gdy rodziły się podejrzenia, druga część - ta, która za wszelką cenę chciała, by małżeństwo przetrwało - usiłowała pozbyć się tych myśli. Na szczęście moja podświadomość nie poddała się, lecz zbierała siły w oczekiwaniu na odpowiednią chwilę. Czekala mnie bowiem największa bitwa tej wojny.

## *Podjejrzenia*

Pewnego słonecznego grudniowego popołudnia zaparkowałam samochód przy cmentarzu Królowej Niebios. Minął rok od wizyty FBI i dwa miesiące od pogrzebu taty. Od tej pory czciłam każdy wyjątkowy dzień... Pierwsza rocznica ślubu, której nie obchodził, pierwsze Święto Dziękczynienia bez niego. Tego dnia wypadały jego urodziny. Postanowiłam przywieźć mu kwiaty i porozmawiać z nim o dziwnych wydarzeniach, które miały miejsce w moim życiu. Cóż za paradoks: mogłam swobodnie rozmawiać ze zmarłymi, lecz nie miałam odwagi podzielić się swymi obawami z żyjącymi, którzy przecież mogliby mi pomóc.

Pusty cmentarz doskonale pasował do mojego nastroju. Położyłam na grobie kwiaty i postanowiłam zacząć od drobnych spraw.

- Przykro mi, że John nie mógł załatwić wojskowego trębacza na twoją ceremonię, tato. Są rzeczy, których nawet emerytowany generał nie może załatwić. - To kolejna drobna obiet-



nica, której nie dotrzymał. - Wszystko się sypie i tylko z twoja pomocą zdołam to uporządkować. Teraz jadę do biblioteki. Proszę, pomóż mi odnaleźć to, czego szukam. Zawsze wiedziałeś, jak dojść do prawdy.

Mój wewnętrzny głos brzmiał teraz głośno i odważnie. Kiedy zaczęłam go słuchać, postanowiłam prześledzić kilka opowieści Johna. Działalam za jego plecami, ponieważ chciałam ocalić małżeństwo. Zbyt wiele wydarzyło się na przestrzeni tych lat, a na domiar złego przez ostatnie sześć miesięcy konflikty tylko się zaostrzyły. To wszystko poderwało moje zaufanie do męża. Nie podejrzewałam go o romans, ale wyczuwałam, że coś jest nie tak. Chciałam poznać prawdę. Czyż nie powiedziałam mu, gdy tylko się poznaliśmy, że najwyżej cenię uczciwość? Czyż nie zapewnił mnie, że on również? Nie miałam pieniędzy na prywatnego detektywa, a Internet dopiero raczkował, więc postanowiłam przeprowadzić swoje badania w głównej filii biblioteki naszego hrabstwa. Aby wykonać tę tajną misję, wzięłam pół dnia wolnego. Spokój cmentarza uciszył moje wątpliwości co do tego, czy postępuję uczciwie.

Aby dotrzeć do biblioteki, musiałam zjechać ze wzgórza, na którym leżał cmentarz. Z teczką w ręku weszłam do środka i natychmiast poczułam się przytłoczona. Zatrzymałam się przy wypożyczalni, ale tam nie potrafiono mi pomóc. Minęłam puste biurko, skręciłam w prawo i weszłam do pomieszczenia, pośrodku którego znajdowały się stoliki i półki, podzielone przez metalowy regał pełen grubych tomów. Gdy stałam w drzwiach, na mojej twarzy musiało malować się zagubienie, ponieważ po chwili podeszła do mnie

kobieta, która pchała wózek pełen książek, i zapytała, czy może w czymś pomóc.

- Szukam informacji dotyczących kontradmirała Johna Perrygo, który podczas drugiej wojny światowej założył Seabees.

- Hm, być może znajdzie pani coś w *Leksykonie słynnych Amerykanów*. Jest tam.

Poprowadziła mnie do półek stojących pośrodku sali i wskazała najniższą. Wyciągnęłam gruby tom oprawny w czerwoną skórę i usiadłam w najbliższej kabinie. Przez niewielkie okna wpadały do środka wątle promienie słońca. Potrzebowałam więcej światła, które rozproszyłoby chłód w moim sercu.

Przerzuciłam kartki, szukając nazwisk na literę „P”, a potem zaczęłam wodzić palcem po kolumnach, aż znalazłam „Perry”. Były tam trzy osoby: John R, fabrykant, John J., kongresmen oraz - wzięłam głęboki oddech - John R., oficer marynarki. Zapisałam potrzebne dane, po czym wyciągnęłam tom 43 i natychmiast otworzyłam go na stronie 461. Nie wierzyłam własnym oczom. Mężczyzna na zdjęciu do złudzenia przypominał mojego Johna!

Zaczęłam czytać. W artykule znajdowały się fakty, które John powtarzał przez te wszystkie lata: Seabees... Great Lakes... To musiała być prawda. Wyglądało na to, że jego ojciec służył w tej akademii w latach 1930-1933, czyli wtedy, kiedy zmarła matka Johna, którą tam właśnie pochowano.

Dokładnie przestudiowałam każdy szczegół zawarty w opisie kariery tego wybitnego człowieka. Westchnęłam ciężko, gdy przewróciłam stronę i natknęłam się na informację o ślubie w 1934 roku, kiedy ojciec Johna poślubił jego macochę,

Janette. Znalazła się tam również wzmianka o jego przyrodniej siostrze, Lydii, jak również o tym, że ojciec zmarł w 1955 roku na atak serca. Fakty, które John wielokrotnie mi powtarzał, okazały się prawdziwe.

Zacząłam się czuć jak zdrajca, ale po chwili przyszło mi do głowy, że nigdzie nie wspomniano o pierwszym małżeństwie ani też o innych dzieciach. Ponownie przeczytałam artykuł - od początku do końca. Wydawało się, że John w ogóle nie istniał. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Tak wiele z tego, co mi mówił, znajdowało się w tej biografii; czemu więc nie znalazłam nic o nim ani o jego matce czy rodzeństwie? Złapałam książkę i ruszyłam do kserokopiarki.

Co powinnam zrobić teraz, gdy odkryłam już dokładną datę śmierci ojca Johna? „Spytaj eksperta” - wyszeptał mi do ucha tata. Podeszłam do kobiety obsługującej dział periodyków.

- Mam datę śmierci, 25 września 1955 roku, niejaki John Richard Perry. Czy mogłaby pani pomóc mi odnaleźć nekrolog?

Wskazała znajdujący się na tyłach pomieszczenia katalog. Niebawem wróciłam z triumfalnym uśmiechem i poprosiłam o dostęp do czytnika mikrofilmów. Szybko znalazłam interesujący mnie nekrolog: „Zmarł John Perry, założyciel Seabees”. Twarz ze zdjęcia, choć rozmyta i niewyraźna, również bardzo przypominała oblicze mojego męża. W zamieszczonym obok krótkim artykule wymieniono tylko wdowę Janette. Żadnej córki, zmarłej pierwszej żony ani synów, żyjących czy nie. Tę stronę również skserowałam.

Wróciłam do głównej części biblioteki. Co jeszcze mogłam sprawdzić? Jaką informację na temat Johna można łatwo zna-

*leźć!* Ach tak, Medal Honoru. Musiała istnieć książka o odważnych ludziach, którzy ryzykowali życie i ginęli w służbie dla ojczyzny. W głównym katalogu znalazłam książkę o odznaczonych Medalem Honoru za walkę w Wietnamie.

Nazwisk śmiazków, przy których zamieszczono szczegółowe opisy heroicznych czynów, nie uporządkowano alfabetycznie. Na nic by mi się to nie przydało. Nie miałam czasu na czytanie całej książki. Z tyłu znajdował się załącznik z alfabetycznym spisem bohaterów wojny w Wietnamie, odznaczonych Medalem Honoru. Przewróciłam kilka kartek, aż natrafiłam na fragment od nazwiska „Monroe” do „Roark”. Powiodłam palcem w dół listy... Penry... Perkins... Peters. Zatrzymałam się. Żadnego Perryego. Przejrzałam od początku litery „P” do końca - ani śladu. Złapałam torebkę i wrzuciłam do kserokopiarki jeszcze kilka monet. Po namyśle skserowałam również dane publikacji, żeby zamówić własny egzemplarz.

Wkładając kopie do teczki, rzuciłam okiem na duży zegar, który wisiał za recepcją. Dochodziła szesnasta. Tego dnia nie mogłam już kontynuować badań. Musiałam czym prędzej wyjść z biblioteki, żeby dotrzeć do domu o zwykłej porze. Nie chciałam budzić podejrzeń Johna.

W samochodzie położyłam teczkę na przednim siedzeniu i poklepałam ją z dumą. Moja misja zakończyła się sukcesem, ponieważ wreszcie dysponowałam konkretnymi informacjami... elementami układanki, których potrzebowałam, żeby zacząć składać całość, choć wciąż brakowało mi obrazka, na którym mogłabym się wzorować.

Za cel obrałam sobie naprawienie stosunków z mężem. Dokumenty, które znalazłam, miały pomóc mi zrozumieć jego tajemniczą osobowość. Tylko wtedy mogłoby nam się udać. Wciąż byłam omotana wizją bajkowego życia, od której nie potrafiłam się uwolnić.

W drodze do domu postanowiłam, że nie powiem Johnowi o swoim znalezisku - jeszcze nie teraz. Zamierzałam trzymać asy w rękawie, póki nie upewnię się, że mogę zgarnąć całą pulę. Podzwoniłam po różnych ludziach, aby sprawdzić, co kryje się za autobiograficznymi opowieściami męża.

\* \* \*

Trzy tygodnie później siedzieliśmy w izbie przyjęć przy wydziale weterynarii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davis. Oboje zamartwialiśmy się stanem zdrowia naszej kotki, Peaches. Tydzień wcześniej nagle spuchły jej uszy, tak bardzo, że koniuszki zrobiły się całkiem płaskie. Nieustannie się w nie drapała. Nasza weterynarka nie potrafiła jej pomóc, więc zasugerowała, żebyśmy zawieźli ją do lecznicy uniwersyteckiej. Teraz, po dwóch dniach testów i badań, czekaliśmy na kierownika kliniki. Gdy otworzyły się drzwi, wszedł lekarz, niosąc na rękach naszego biednego kotka.

- Nie możemy ustalić, co jest powodem zapalenia - powiedział. - To może być jakiś rodzaj reakcji alergicznej. Przepiszemy jej prednizon na zmniejszenie opuchlizny. Proszę podać jej lek, jeśli znów pojawią się problemy z uszami.

John wziął od niego Peaches i ostrożnie ją przytulił, uważając, by nie urazić ją w uszy.

- Wciąż czekamy na wyniki kilku testów - ciągnął lekarz.  
- Gdy już je dostaniemy, przepiszę jej coś innego.

- A czy może pan przekazać to naszej weterynarz?  
- spytał mąż. - Oszczędzi nam to ponad sześćdziesięciokilometrowej podróży po receptę.

- Nie ma sprawy. Proszę zostawić w recepcji jej nazwisko i telefon. Tam też mogą państwo zapłacić.

Spojrzałam na rachunek, który mi podał: opiewał na trzysta trzydzieści dolarów.

- To jakaś pomyłka, panie doktorze - powiedziałam.  
- Mąż wyklada tu na wydziale psychologii. Powiedziano mu, że w ramach świadczeń dla wykładowców może za darmo korzystać z usług kliniki.

Lekarz spojrzał na mnie zaskoczony i oznajmił, że nigdy nie słyszał o takim programie. Ja również nie potrafiłam ukryć zdziwienia. „No cóż, może to nowe zasady i jeszcze się z nimi nie zaznajomił”.

Włożyliśmy Peaches do nosidelka, podziękowaliśmy i wyszliśmy. Mąż spisał dane naszego weterynarza, ja tymczasem rozmawiałam z recepcjonistką o rachunku. Ona również nie słyszała nic o świadczeniach. Z ociąganiem wyjęłam książeczkę czekową. Kiedy wyszliśmy na dwór, John wpadł we wściekłość.

- Jak śmieją nie wywiązywać się ze swoich obietnic?! Porozmawiam o tym z dziekanem. Zrobię awanturę, jakiej świat nie widział. Odzyskam te trzysta trzydzieści dolarów.

Po tym dziwnym wydarzeniu, jednym z wielu, które miały miejsce na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy, znów ogarnął

mnie niepokój. Swoje dochodzenie zawiesiłam na czas świąt Bożego Narodzenia, ale niespodziewany rachunek z powrotem naprowadził moje myśli na ten tor. Musiałam zbadać nauczycielską działalność Johna.

Postawiliśmy nosidelko z Peaches na tylnym siedzeniu, a ja usiadłam za kierownicą.

- John, skoro już tu jesteśmy, zajrzyjmy do twojego gabinetu i sali wykładowej. Chciałabym zobaczyć, gdzie pracujesz, bo po tym upadku ze schodów jeszcze cię nie odwiedziłam.

Choć nalegałam, jak zwykle znajdował kolejne wymówki, żeby tylko wrócić do domu: mamy w samochodzie Peaches, gabinet jest zamknięty, a w sali trwają inne zajęcia.

- Dobrze, chodźmy więc na lunch do stołówki profesorskiej.

Nie odpowiedział. Uruchomiłam silnik i skręciłam w lewo, wyjeżdżając z parkingu.

- Tędy? - spytałam.

- Nie jedziemy do stołówki - odparł chłodno. - Trzeba mieć rezerwację. - Spięłam się, słysząc ton jego głosu; bałam się, że moja misja znów zakończy się niepowodzeniem. - Ale skoro nalegasz, możemy pojechać do księgarni. Muszę kupić trochę materiałów. Skręć w lewo na następnym skrzyżowaniu.

Zrobiłam, jak kazał. Chciałam wprawdzie usłyszeć co innego, ale dobre i to. W księgarni wskazał mi studentką kawiarnię.

- Czasami, gdy moi studenci potrzebują pomocy, spotykam się z nimi tutaj.

Przez całą drogę powrotną milczałam. Jego wymówki doprowadzały mnie do szału, a jednocześnie sprawiały, że mu ulega-

łam. Nieważne, jak bardzo się starałam, zawsze zdołał wykręcić się od przedstawienia dowodów na to, że pracował jako wykładowca. Z napięcia aż burczało mi w brzuchu. Czy ta huśtawka miała się nigdy nie skończyć? Uniki Johna uniemożliwiały przyłapanie go na kłamstwie. Musiałam ustalić, co naprawdę się dzieje, i postanowiłam, że wyłożę swoje karty - te, które już miałam.

\* \* \*

Następnego wieczora przy kolacji wybuchła kolejna kłótnia o finanse. Wciąż dręczyła mnie myśl o rachunku od weterynarza. Gdzie podziały się pieniądze od Jasona, co ze spadkiem? Pensja uniwersytecka Johna nie wystarczała na pokrycie jego wydatków. Napięcie rosło. Byłam gotowa wyłożyć pierwszego asa.

- Kim ty jesteś, John? - Czulałam, że się powtarzam, ale coś mi mówiło, że muszę wciąż ponawiać to pytanie.

- Dobrze wiesz, kim jestem. Mówiłem ci wiele razy.

- Och tak, twój ojciec założył Seabees.

Miałam nadzieję, że wychwycił sarkazm w moim głosie.

- Tak, wiesz, że tak. Dlaczego znowu o tym mówisz?

- Cóż, wydaje mi się to dziwne... Jeśli jesteś jego synem, czemu nie wspomniano o tobie w nekrologu?

Znieruchomiał i zamilkł. Patrzył na mnie z wściekłością, ale postanowiłam nie oddawać mu pola.

- Co masz na myśli? - spytał, a ja wyjaśniłam, co znalazłam w bibliotece. — Chcę zobaczyć te artykuły — zażądał.

Przyniósłszy je z gabinetu, rzuciłam na stół. Zaczął przeglądać je w pośpiechu.



- Celowo mnie pominęli. Mówiłem ci, dla rodziny jestem czarną owcą. Pewnie macocha umyślnie nie uwzględniła nikogo z pierwszej rodziny ojca.

- Zawsze jest jakaś wymówka, prawda?

- Nic nie poradzę na to, że w artykule są błędy. Pomylili się nawet co do niektórych faktów z jego kariery wojskowej.

Wyłożyłam drugiego asa.

- Dobrze, a co z Medalem Honoru? Kupiłam książkę, w której są wypisane nazwiska wszystkich żołnierzy odznaczonych za walkę w Wietnamie. I wiesz co? Ciebie tam nie ma!

- Pokaż mi ją.

Przyniosłam książkę i otworzyłam aneks na literze „P”. Zaczął przeglądać listę.

- Nie ma tu Jacka Petersona. - Przerzucił kilka kartek.  
- Ani Georgea Ramseya i Johna Reesa. W tej książce nie ma przynajmniej czterech z nas.

- Wydaje mi się to podejrzane - oznajmiłam.

Wtedy wybuchł.

- Jak śmiesz podawać w wątpliwość moje dokonania? Nie widziałaś na mojej piersi Medalu Honoru? Czy nie siedzieliśmy na trybunach dla odznaczonych?

- Owszem. A skoro mowa o twoich medalach, to gdzie one są? - Rozpędziłam się i nie zamierzałam się poddać.

- Nie ma ich od ponad roku.

Zmrużył oczy i uderzył pięścią w stół.

- Mówiłem ci, ramiarz je zgubił.

- Jasne, a ty, wybitny wojskowy, wcale się tym nie przejęłaś.

- Przyszedł czas na trzeciego asa. — Pojechałam za tobą dziś rano.

- Że co? Jak śmiałaś!

- Chciałam zobaczyć, gdzie jedziesz w tym eleganckim ubraniu i z teczką w dłoni. Opowieści o nauczaniu nie do końca się zgadzają.

- I czego się dowiedziałaś?

- Zgubiłam cię na Ygnacio Valley Road, więc pojechałam na parking, gdzie ponoć parkujesz, aby przesiąść się do autobusu uniwersyteckiego. Nie widziałam tam twojego samochodu.

- A to dlatego, panno wścibska, że miałem spotkanie z profesorem w Berkeley, więc pojechałem tam autem. Nie podobają mi się twoje insynuacje.

Po policzkach spłynęły mi łzy.

- A mnie nie podobają się kłamstwa - pociągnęłam nosem i pokazałam czwartego asa. - Zadzwoiłam dziś rano do Davis i nie znaleźli tam twojego nazwiska w spisie wykładowców. Dziś po południu próbowałam nawet sprawdzić twoją rodzinę. Dzwoniłam do NASA, ale nie znają astronauty Sonnyego Perrygo. W Juilliard nigdy nie studiowała żadna Desiree Perry, na MIT nie uczył się Sandy Perry, a Lydia Perry nie mieszka w hotelu Stanhope. Żadna z twoich historii nie jest prawdziwa.

John poczerwieniał na twarzy i zacisnął zęby. Oparłszy dłonie na stole, wstał i nachylił się w moim kierunku.

- Ty mały szpiclu - wysyczał złowrogo, po czym odwrócił się i wyszedł.

Mój strach wziął górę nad zdrowym rozsądkiem, dlatego nie byłam już w stanie racjonalnie myśleć. Pewność siebie, na którą cudem się zdobyłam, nie wystarczyła, by stawić czoła admirałowi, ale stawałam się coraz silniejsza.

- Musisz pomóc mi w ciebie wierzyć - wyszeptalam, ocierając z oczu łzy.

Aż trudno uwierzyć, że tyle lat trwałam w tym małżeństwie, szczególnie biorąc pod uwagę ten powtarzalny wzorzec zachowań, który teraz z łatwością rozpoznaję. Wtedy jednak zupełnie go nie dostrzegałam. Może to zrozumieć tylko człowiek, który sam znalazł się kiedyś w takiej sytuacji. John był psychopata - mistrzem manipulacji, który sprawiał, że najbardziej niesamowite historie wydawały się rozsądne i wiarygodne. Przemoc słowną stosował wobec mnie tylko wtedy, gdy w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mnie wesprzeć. Nie mogłam nikomu o tym powiedzieć, bo i tak nikt by mi nie uwierzył. Admiral był zbyt czarujący; uchodził za człowieka, który bez wahania poświęcał się dla innych.

W tamtych czasach nie postrzegano agresji werbalnej jako przejawu przemocy domowej. Ponieważ mąż mnie nie bił, nie uważałam się za ofiarę. Co ważniejsze, krzywdził mnie nie cały czas, lecz podczas napadów złości. Na co dzień wiedliśmy szczęśliwe życie, pozornie zupełnie normalne, utrzymując zażyłe stosunki z rodziną, przyjaciółmi i współpracownikami. Nie wstydzę się swojej ówczesnej naiwności. Teraz wiem, że nie miałam z Johnem żadnych szans. Psychopaci są tak przebiegli, że potrafią wytrącić broń z ręki nawet psychologom i psychiatrom, którzy przecież latami uczą się, jak radzić sobie z takimi osobami.

Tak więc choć dziś brzmi to dziwnie, wtedy - przynajmniej na poziomie świadomości — wciąż pragnęłam, by nasze małżeństwo wyszło na prostą. To moja podświadomość walczyła o to, żebym się ocknęła, i nakazywała mi odnaleźć dowody na prawdziwość

słów męża. Niestety, nie byłam dobrym pokerzystą - zbyt *wczesnie* odkryłam swoje karty. Mimo czterech asów nie wygrałam rozdania, wręcz przeciwnie, znalazłam się w położeniu, które miało doprowadzić do wyeliminowania mnie z zawodów.

\* \* \*

Następnego wieczora siedziałam przy naszym stoliku w La Cigale i sączyłam swój aperitif. Przypomniała mi się nasza pierwsza wizyta w tej restauracji, kiedy to John mówił po francusku. Zastanawiałam się, czy dziś też to zrobi. Tuż po lunchu zadzwonił do mnie do pracy, radosny i podniecony. Poprosił, żebym spotkała się z nim o osiemnastej, bo chciał coś uczcić. Wspomniał, że chodzi o kontrakt rządowy. Szczegóły miałam poznać później.

Spojrzałam na zegarek. Mąż się spóźniał, ale nie było to nic niezwykłego. Zamówiłam kolejnego drinka, lecz zanim go przynieśli, do restauracji wszedł John. Wyglądał na zmęczonego, ale się uśmiechał. Rzucił na ławkę swoją teczkę, kapelusz kowbojski i trenecz Burberry, po czym usiadł naprzeciwko mnie.

- Wybacz spóźnienie. Straszny ruch na ulicach, ale nie pożałujesz, że zaczekałaś. - Rozpaczliwie chciałam usłyszeć jakąś dobrą wiadomość, coś, co przyniosłoby mi ulgę. Marzyłam, żeby być radosną żoną admirała, a nie ponurą osobą, którą się stałam.

Kelner przyniósł dwa drinki i tacę ślimaków, które John zamówił przy wejściu.

- A więc co to za wieści?

- Najpierw wzniesmy toast - zaproponował - za naszą finansową przyszłość.

Gdy stuknęliśmy się kieliszkami, wyjaśnił, że rano zadzwoniono do niego z agencji rządowej z San Francisco.

- Kiedyś zarzekałeś się, że nie przyjmiesz od nich więcej zleceń.

- To co innego - powiedział. - Ryzyko jest niewielkie. Żadnej broni ani szpiegowania.

Dostał propozycję pracy w Kairze. Miał wejść w skład zespołu specjalistów, którzy przez pół roku przygotowałyby plan pokojowy dla Bliskiego Wschodu. Jeździłby też do Bejrutu i Aten.

- Zapomniałeś, że trwa wojna w Zatoce? - zapytałam wstrząśnięta. - Front przebiega niedaleko egipskiej granicy.

- Walki nie toczą się aż tak blisko, a poza tym będę pracował z wybitnymi specjalistami, między innymi z Uniwersytetu Stanforda.

- No nie wiem... Brzmi ryzykownie.

- Cóż, w sumie mogę odrzucić propozycję dziewięciu tysięcy dolarów miesięcznie, wolnych od podatku, i okazałego *per diem*.

Nie mogłam uwierzyć w ten uśmiech losu. To było jak wygrana na loterii... finansowy cud, o który się modliłam. Momentalnie zrezygnowałam z badania biografii męża. Jego urok znów działał. Chciałam wierzyć, że on i jego opowieści są prawdziwe, że nasze finansowe problemy zostaną rozwiązane i wszystko dobrze się skończy. Nie czułam się jednak pewna. Poglaskałam dłoń Johna i spojrzałam mu prosto w oczy.

- Ale z twoim zdrowiem, kochanie, jest coraz gorzej.

- Wezmę zapas leków i będę się oszczędzał. Praca polega głównie na spotkaniach, a nie zadaniach polowych.

- Nie wiem, martwię się o twoje nogi, a do tego bóle głowy i...

- W tym zespole jest także lekarz.

- A co z zajęciami na uniwersytecie?

- Mój profesor powiedział, że pokój na świecie jest ważniejszy. Pozwoli mi kontynuować program po powrocie.

- To bardzo poważna decyzja.

- Kierownik projektu Jack Berger powiedział, że mogę zabrać cię ze sobą na pierwsze dwa tygodnie, a oni pokryją wszystkie koszty. Zobaczysz, gdzie będę pracował, no i zwiedzisz Egipt.

Zawsze marzyłam o wycieczce do Egiptu. Fascynował mnie ten kraj, zwłaszcza tajemnice otaczające faraonów, piramidy i Nil. Podróż moich marzeń była na wyciągnięcie ręki, więc nie potrafiłam odmówić. Połknęłam haczyk, a John zaczął związać żyłkę.

- Kiedy masz się zgłosić? - spytałam.

Wytłumaczył, że wybór należy do nas, ale im prędzej, tym lepiej. Otworzyłam zatem kalendarz na lutym.

- Piątego i szóstego mam spotkanie służbowe w Indianapolis, a po drodze zamierzam odwiedzić dziadka w Hot Springs. Może następny weekend?

Postanowiliśmy wyruszyć dziesiątego lutego. Mimo podniecenia dopadły mnie wątpliwości.

- Chcę się spotkać z Jackiem Bergerem i zobaczyć twój kontrakt.

Zgodził się bez wahania.

Podczas posiłku rozmawialiśmy o finansach. Zamierzaliśmy skorzystać z usług banku międzynarodowego, ponieważ pensję

wypłacano by Johnowi w Kairze. Zaplanowałam też miesięczne spłaty kart kredytowych.

Gdy podano strudel z jabłkami i tartę cytrynową, rozpromieniłam się.

- Mam dobrą wiadomość. W chwili, gdy zakończysz tę pracę, pozbędziemy się wszystkich zaległości. Nie będziemy mieli długów!

\* \* \*

Kolejne trzy tygodnie upłynęły na przygotowaniach. Z każdym dniem ciśnienie rosło. Nie dość, że pracowałam, musiałam jeszcze znaleźć kogoś, kto przypilnuje domu, oraz przygotować Johnowi ubrania na sześć miesięcy. Odczuwałam dyskomfort również z innego powodu: mieliśmy wylecieć już za dwa tygodnie, a ja nie poznałam jeszcze Jacka Bergera, nie przeczytałam kontraktu ani nie dostałam biletów lotniczych.

John umówił nas na spotkanie w pewnej restauracji w Orindzie, ale Bergerowie nie przyszli. Wciąż nie dysponowaliśmy więc paszportami dyplomatycznymi, które miał nam ponoć wydać Berger. Zastanawiało mnie, jak można wyrobić paszport w dwa dni.

- Nigdy nie miałaś do czynienia z rządem - odzłuknęła John.

Na domiar złego dostałam wezwanie z sądu i musiałam zasiadać w ławie przysięgłych podczas dwudniowego procesu.

Następnego wieczora, gdy sprzątałyśmy po kolacji, John spytał:

- Gdzie jadłaś dzisiaj lunch? Byłaś z innym ławnikiem?

Zawahałam się. Czy to dobry moment? „Dobry jak każdy inny” - pomyślałam.

- Nie, poszłam do archiwum hrabstwa, niedaleko budynku sądu.

- Co? - wyprostował się i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Słyszalesz.

Wróciłam do jadalni, usiadłam przy stole i sięgnęłam po swój kieliszek wina. Mąż poszedł za mną. Wydawał się szczerze zaskoczony.

- Co w ciebie wstąpiło? - spytał.

- Doszłam do wniosku, że podczas twojej nieobecności zajmę się długiem Jasona, więc obejrzałam dokumenty twojego domu w Danville.

Pociągnęłam łyk wina, bo z nerwów zaschło mi w gardle.

- Dajmy temu spokój - powiedział. - To moja sprawa i ja się tym zajmę.

- Odkryłam coś bardzo ciekawego. Owszem, Jason kupił ten dom niemal dwanaście lat temu, ale wedle akt nie od ciebie.

- Cholerna rodzina! Co znowu wymyślili, żeby odebrać mi majątek? Po powrocie z Kairu będę musiał się tym zająć.

- Nie wiem, jak...

- Istnieje wiele sposobów na zmianę zapisu w dokumentach. Nawet nie masz pojęcia.

- Więc zadzwoń do Jasona i spytaj go o to.

- Daj już spokój, do diabła! Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Masz nie dzwonić do Jasona. Zorganizuję spotkanie z prawnikiem.

Nalał sobie wina do pustego kieliszka i momentalnie go opróżnił.



- *A propos* prawników, mamy jutro spotkanie z Tomem Lan-  
dersem, w sprawie naszych testamentów, więc musimy dziś spor-  
ządzić szkice.

Ze względu na zbliżającą się podróż doszłam do wniosku,  
że przydałoby się zaktualizować nasze testamenty. Mąż  
na to przystał, a prawnika polecił nam George.

- Może Tom zgodzi się spotkać się z Jasonem i ze mną  
- zastanowił się John.

- Dobry pomysł. A teraz weźmy się do pracy. Będziesz moim  
wykonawcą. Chcę, żeby dom w Antioch sprzedano natychmiast  
po mojej śmierci, a zyski podzielono według listy.

- To nierozsądne. Decyzja o tym, kiedy sprzedać dom,  
powinna należeć do wykonawcy. Rynek nieruchomości  
jest teraz bardzo niestabilny. Właściwie najlepiej będzie,  
jeśli zapiszesz ten dom mnie. To ułatwiłoby mi podjęcie dal-  
szych czynności.

Nastroszyłam się.

- Nie! To moja własność, dlatego to ja zadecyduję o jego losie.  
Nie będziesz się musiał o nic martwić. Dostaniesz moją część  
domu w Concord, jesteś też beneficjentem wszystkich moich  
polis ubezpieczeniowych, łącznie z wartą dwieście tysięcy dola-  
rów polisa na życie w Excelsior. Jeśli umrę w trakcie wykonywa-  
nia obowiązków służbowych, dostaniesz jeszcze równowartość  
mojej podwójnej pensji, a więc kolejne osiemdziesiąt tysięcy.

Ogarnęła mnie złość. Wcale nie zamierzałam ustąpić. „Skąd  
u niego taka chciwość?”

- Zastanawiałem się tylko, w jaki sposób pomnożyć zyski  
- wyjaśnił. - Podejmujesz głupią decyzję.

- Nic mnie to nie obchodzi. To moja decyzja i będę się jej trzymać. Idźmy dalej.

John wycofał się, a ja ochłonęłam. Teraz przyszła kolej na niego.

- Chcę zostawić część mojego majątku, wartego piętnaście milionów dolarów, twojemu siostrzeńcowi oraz ustanowić stypendium w Juilliard imienia twojego taty.

- To będzie miły gest, jeśli te pieniądze kiedykolwiek się pojawią.

John pisał dalej, uzupełniając szczegółową listę, która zajmowała ponad pięć stron.

- Dobra, zrobione - powiedział, zbierając swoje kartki i wkładając je do teczki. - Jesteśmy gotowi. Oby udało się umówić kolejne spotkanie na piątek, żeby podpisać testamenty.

- Nie śpieszmy się, i tak mam już sporo na głowie. Wyjeżdżam do Hot Springs z samego rana w sobotę, a wracam samolotem z Indianapolis w środę. Umówimy się na jeden z trzech dni przed wylotem do Egiptu.

- Powinniśmy jak najszybciej zamknąć sprawę testamentów - stwierdził. - W każdej chwili któremuś z nas może się coś przytrafić.

Nie zamierzał się poddać. Bombardował mnie kolejnymi argumentami, aż złamał opór. Przynajmniej postawiłam na swoim, jeśli chodzi o sprawę domu w Antioch.

- Dobrze, niech będzie. Nie mam dziś siły na kłótnie. Spotkajmy się z Tomem w piątek.

Mój mały głos znów dopominał się wysłuchania, ale tym razem nie zdołał się przebić. Choć przeciwstawiałam się Joh-

nowi w niektórych sprawach, jego żądania nie wzbudziły wówczas moim podejrzeń. Dlaczego chciał mieć całkowitą kontrolę nad moim testamentem, dlaczego upierał się, żeby podpisać go przed moją podróżą służbową? Nie zauważyłam również innych sygnałów, takich jak wywód na temat rynku nieruchomości, umowa powiernicza sporządzona na inne nazwisko czy jego reakcja na sprawę z Jasonem. Widziałam tylko światełko w tunelu: szansa na pozbycie się długów. Wciąż wierzyłam w bajkę pod tytułem „Żyli długo i szczęśliwie” mimo że na moim marzeniu co i raz pojawiały się jakieś rysy.

Gdybym wykazała się większą czujnością, zdołałabym ułożyć obrazek z elementów, którymi już dysponowałam. Może wtedy dostrzegłabym zwiastuny nadciągającej katastrofy. Wnio-  
ski jednak mogłyby okazać się tak niedorzeczne, że sama siebie uznałabym za paranoiczkę. Cóż, z perspektywy czasu wszystko widzimy wyraźniej.

# Mgła

Po Holiday Inn w Indianapolis dotarłam o zmierzchu.

Musiałam kilkakrotnie objechać parking w poszukiwaniu wolnego miejsca, co nie wpłynęło pozytywnie na mój nastrój. Z powodu pogody loty przesunięto o kilka godzin, dlatego po całym dniu ciągnięcia bagaży i przesiadywania na lotniskowych zydelkach padałam z nóg. Co gorsza, byłam wycieńczona również emocjonalnie. Odwiedziny u dziadka upływały w milej atmosferze, ale zadowolenie przyćmił żal i wyrzuty sumienia.

Tuż przed wyjazdem pokłóciłam się z Johnem o dług jego kuzyna oraz niejasności dotyczące wyjazdu do Kairu. Rzuciłam mu na odchodnym parę nieprzyjemnych słów. Następnego dnia zadzwonił do Hot Springs. Przeprosił mnie, przyznał, że miałam rację, i poinformował, że umówił się z prawnikiem.

- Tęsknię za tobą - powiedział czule. - Podobnie jak pie-ski, które leżą przy moich nogach... i kotki, które drzemią na łóżku... Wszyscy cię kochamy.

Jego słowa sprawiły, że moje serce zmiękło, a bojowy nastrój zniknął. Po tym telefonie cały czas biłam się z myślami. Czułam się podle - jak najgorszy oszust. Jak mogłam wątpić w Johna? Czemu tak go potraktowałam, dlaczego tyle od niego wymagałam? Przecież nieustannie starał się mnie zadowolić, nawet jeśli nie zawsze mu wychodziło.

Znalazłam miejsce na końcu parkingu. Gdy wysiadłam, skuliłam się z zimna. Ostatkiem sił dotarłam do recepcji.

- Mamy pokój, o który pani prosiła - powiedział pracownik. - Oddalony, z tyłu hotelu. Nie będzie pani przeszkadzał żaden hałas.

- Słucham? - zdziwiłam się. - Ja nie...

- Zapisalem to pod pani rezerwacją.

Nie miałam siły na dyskusję, ale wcale nie chciałam pokoju na tyłach hotelu.

- Poproszę o pokój we frontowej części - powiedziałam stanowczo.

Bez słowa spełnił moje życzenie. Odświeżywszy się nieco, zesłam na dół, mając nadzieję, że smaczne jedzenie poprawi mi humor.

Restauracja San Remo tchnęła elegancją - od bramy z kutego żelaza po marmurową posadzkę, od elegancko ubranej obsługi po nastrojowe oświetlenie, subtelną muzykę klasyczną i blask świec. *Maitre d'hôtel* powitał mnie ciepłym uśmiechem.

- Dla jednej osoby? - zapytał, prowadząc mnie do stolika w pobliżu wejścia.

- Niestety tak. Jeśli zobaczy pan jakiegoś przystojnego, samotnego mężczyznę, może pan go do mnie przysłać - zażar-

towałam. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby zdradzić męża. To nie leżało w mojej naturze.

Przejrzałam menu, popijając rum z colą. Romantyczna atmosfera i drink pomogły mi się zrelaksować. Żalowałam, że nie ma przy mnie Johna. Chciałam go dotknąć, szeptem wyznawać mu miłość, powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że ostatnimi czasy tak dziwnie się zachowywałam. Z rozmyślań wyrwało mnie zamieszanie przy wejściu. Podniosłam wzrok i zobaczyłam męża zmierzającego do mojego stolika. Jedną rękę wyciągał, by mnie objąć, a w drugiej trzymał saszetkę.

- Niespodzianka! - zawołał radośnie.

Zaniemówiłam z wrażenia. Powinien być teraz w Kalifornii i opiekować się naszymi zwierzętami. Moje wyrzuty sumienia natychmiast zniknęły, ustępując miejsca rozrzewnieniu i radości. Mój mężczyzna był ze mną, tak jak chciałam.

- Co ty tu robisz? - spytałam, gdy już doszłam do siebie.

Położył saszetkę na krześle, po czym nachylił się i obdarzył mnie czułym pocałunkiem. Zdjąwszy kapelusz i płaszcz, usiadł naprzeciwko i zamówił whisky.

- Jestem w drodze do Waszyngtonu. Mam tam podpisać kontrakt z admirałem, który zawiaduje projektem kairskim. Jest ze mną cała ekipa.

To była dobra wiadomość. Do naszego wylotu pozostał zaledwie tydzień, więc ucieszyłam się, że nareszcie omówili sprawę kontraktu. John wyjaśnił, że zespół przyleciał wojskowym samolotem z bazy lotniczej Trávisa. Kiedy wylądowali w Indianapolis, żeby zabrać na pokład zaopatrzenie dla żołnierzy walczących w Zatoce, John poprosił, by zostawili go na lotnisku. Samolot

poleciał następnie do bazy Wrighta-Pattersona, ale miał wrócić rano po mojego męża. Jego działania zawsze cechował wysoki stopień komplikacji.

Tak czy inaczej, wszystko układało się cudownie. Siedzieliśmy teraz przy stoliku, a podpisanie kontraktu zbliżało się wielkimi krokami. Miałam mnóstwo pytań, a John - tradycyjnie - mnóstwo odpowiedzi.

- Gdzie twój bagaż?

- Niczego nie potrzebuję. Polecimy na miejsce, podpiszemy, co trzeba, i wrócimy do domu.

- A co ze zwierzętami?

- Podrzuciłem je Marie i Markowi, a koty dadzą sobie radę przez jedną noc, dałem im więcej wody i jedzenia.

- Jak dostałeś się z lotniska do hotelu?

- Hotel ma swój autobus, więc z niego skorzystałem.

Przyszedł kelner i przyjął nasze zamówienie: dwa średnio wysmażone filety mignon i butelka dobrego wina.

- Muszę stawić się na lotnisku o piątej rano - ciągnął John.

- Ale bus nie kursuje tak wcześnie. Możesz mnie zawieźć?

Zawahałam się. To pokrzyżowałyby mi plany, ponieważ śniadanie miałam zjeść z partnerem biznesowym mojej firmy. John stwierdził jednak, że spokojnie zdążę wrócić. Kusił mnie możliwością poznania światowej sławy specjalistów, w tym Jacka Bergera. Jak mogłam odmówić? Mój mężczyzna mnie potrzebował, a musiałam poświęcić zaledwie kilka godzin snu. Zgodziłam się.

Po kolacji pojechaliśmy windą na drugie piętro. Zatrzymałam się przy pierwszych drzwiach po lewej i zaczęłam szukać w torebce klucza.

- Myślałem, że będziesz wolała miły, cichy pokój na tyłach hotelu, gdzie nikt by ci nie przeszkadzał - zdziwił się John.

- Nie, tutaj jest lepiej.

Kiedy weszliśmy do pokoju, udał się ze swoją saszetką do łazienki i zamknął za sobą drzwi, ja zaś, rzuciwszy torebkę na toaletkę, zadzwoniłam do recepcji.

- O której odjeżdża poranny bus na lotnisko?

Recepcjonista odparł, że hotel nie miał takiej usługi. Byłam zaskoczona, a ponieważ mąż wyszedł akurat z łazienki, podałam mu słuchawkę.

- Twierdzą, że nie ma żadnego busa.

Odwrócił się do mnie plecami, zasłaniając telefon. Oparł się ciężko o stół nocny i z trudem usiadł na brzegu łóżka. Zaczął rozmawiać podniesionym głosem. Upierał się, że bus na lotnisko istnieje, a kiedy odłożył słuchawkę, oznajmił, że recepcjonista najwyraźniej dopiero zaczął tu pracować. Bus owszem, jeździł, ale nie wcześniej niż o piątej rano. Musiałam zatem zawieźć Johna na lotnisko. Westchnęłam, nie potrafiąc ukryć rozczarowania. Miałam nadzieję, że nie będę musiała wstawać tak wcześnie.

- Wezmę prysznic - dodał. - Rano mogę nie zdążyć.

Ja tymczasem przygotowałam ubranie i dokumenty na następny dzień, po czym zaczęłam szykować się do łóżka. Gdy otworzyłam drzwi, z łazienki buchnęły kłęby pary.

- Mogę umyć zęby?

- Oczywiście, wskakuj ze mną pod prysznic, jeśli masz ochotę.

Roześmiałam się, położyłam kosmetyczkę obok umywalki i zauważyłam, że John nie tylko opróżnił swoją saszetkę,



ale i ułożył jej zawartość równiutko na ręczniku, *łącznie* z dwoma nietypowymi przedmiotami: lateksowymi rękawiczkami i brązową butelką bez etykiety. Sięgnęłam po nią, odkręciłam i ostrożnie powąchałam. „Eter!” Tego zapachu nie można z niczym pomylić. Szybko zakręciłam butelkę.

- Po co ci eter? - zapytałam, próbując przekrzyczeć szum wody.

John wyjrzał zza zasłony.

- Lekarz powiedział, że przyspieszy gojenie się rany na szyi.

- Koniecznie opisz butelkę. A te rękawiczki?

- Zakładam je, kiedy używam eteru. To niebezpieczny środek.

Wzruszyłam ramionami. Wydawało mi się to dziwne, ale mąż rzeczywiście miał niegojący się wrzód na karku. Szybko umyłam zęby i położyłam się do łóżka. Dochodziła jedenasta, a mnie ogarnęła senność.

John kazał mi nastawić budzik na wpół do czwartej. Chciał wstać pierwszy, żeby ogolić się i ubrać. Ja mogłam na szczęście pospać chwilę dłużej. Przyjęłam tę wiadomość z wdzięcznością, ciesząc się, że przez następne cztery i pół godziny będę mogła się wtulać w jego ciepłe ciało.

\* \* \*

Gdy jechaliśmy na lotnisko, nad ziemią wisiała gęsta mgła. „Jeśli nie opadnie - zamartwiałam się - zapewne spóźnię się na spotkanie”. Jechaliśmy czterdzieści minut, czyli dwa razy dłużej niż w normalnych warunkach. John zaczął się obawiać, że nie zdąży na swój samolot i że ekipa w Waszyngtonie na niego nie poczeka.

W środku terminal sprawiał wrażenie opuszczonego. Zauważyłam tylko dozorcę szorującego mopem lśniącą granitową posadzkę. Jedyną oznakę działalności handlowej stanowiła kawiarnia, na szczęście otwarta.

- Zostań tutaj - polecił mi. - Pójdę sprawdzić lot i stanowisko odpraw. Mam nadzieję, że przez tę mgłę nie będzie problemów.

Zniknął za rogiem i wrócił po paru minutach.

- Złe wieści - oznajmił. - Odwołali wszystkie loty. Może zamów sobie kawę, aja spróbuję się skontaktować z Bergerem.

Spojrzałam na zegarek.

- Chyba wrócę do hotelu, bo muszę zdążyć na to spotkanie.

- Zostań jeszcze chwilę, proszę. Berger chce cię poznać.

- No dobrze.

Wyglądało na to, że bardzo stara się mnie zadowolić. Patrzyłam za nim przez chwilę, gdy zniknął w pustym korytarzu, i jeszcze raz spojrzałam na zegarek: 5.30. Żeby zdążyć, musiałam wyjechać najpóźniej o szóstej.

Zamówiłam czarną kawę bezkofeinową. Minutowa wskazówka na zegarze ściennym zdawała się wlec. Dziesięć minut. Piętnaście. Gdzie też podziewał się John? Ogarnął mnie niepokój. Dopiłam kawę i zamówiłam następną. Dwadzieścia. Trzydzieści. Panika obróciła się w gniew. Żołądek podchodził mi do gardła. „Zeszła noc to była cisza przed burzą” - pomyślałam. Czterdzieści minut później John podszedł do mnie z pełną nonszalancją. Cóż, może on miał czas, aleja nie.

- Nareszcie! - wykrzyknęłam, po czym wstałam i złapałam swoją torebkę.

- Wybacz, że tak długo. Niełatwo skontaktować się z ekipą Wrighta-Pattersona. Berger mówi, że ich też uziemiono i odbiorą mnie dopiero przed ósmą.

- Przykro mi, nie mogę czekać.

- Dotrzymam ci towarzystwa. Nie chcę, żeby w tej mgle coś ci się stało.

Gdy podjechałam pod hotel, powiedział, że wejdzie do środka, wypije filiżankę kawy i przedstawi się mojemu partnerowi biznesowemu.

- Zdążę - uspokajał mnie. - Autobus, który odchodzi o siódmej, już tam stoi. Widzisz? Wsiądę do niego i wrócę na lotnisko.

Popadłam w otępienie. W ciągu niecałych dwunastu godzin targwały mną skrajne emocje. Nie wiedziałam, ile jeszcze znośę. W tym stanie ducha nie zauważyłam nawet, że oto pojawiły się kolejne elementy układanki.

\* \* \*

Trzy dni później, gdy znów byłam w domu, moje myśli *zaprzętały* zaległe sprawy, które należało jak najszybciej zamknąć. Działalam pod ogromną presją, starając się pozalać wszystko przed niedzielnym wylotem do Egiptu.

Kiedy weszłam do domu, opadłam na krzesło, które stało najbliżej drzwi.

- Hej, Barb! - zawołał John. - Wejdz na górę. Mam dla ciebie kilka papierów.

- Przynieś je na dół! - odkrzyknęłam. - Nie wiem, czy dam radę wejść po schodach. Jestem skonana.

Gdy dotarł do jadalni, podał mi pełnomocnictwo oraz formularz podatkowy. Wydawało się, że został wystawiony przez Uniwersytet Kalifornijski.

- Będą ci potrzebne, żeby wysłać zeznanie - wyjaśnił.

Położyłam dokumenty na stole. Co innego zaprzętało teraz moje myśli.

- John, byłam u weterynarza, żeby wziąć tabletki na nicie-nie dla psów, i recepcjonistka powiedziała coś bardzo dziwnego. Ponoć parę tygodni temu zjawileś się u nich po eter na uszy kota.

- To jakaś bzdura.

- Tak też jej powiedziałam, bo przecież weterynarz z uniwersytetu nie przepisał dla Peaches eteru.

- Pewnie mnie z kimś pomyliła.

Lekarz, do którego chodził John, przepisał mu eter, który widziałam w pokoju hotelowym w Indianie. Nie miałam powodu łączyć tego z opowieścią recepcjonistki. W tej chwili wyjaśnienia domagało się kilka innych, bardziej palących spraw.

- Przyszły wreszcie paszporty i bilety?

- Nie, Jack powiedział, że przywiezie je na lotnisko.

- Czy to aby nie zbyt ryzykowne?

- Jestem zdany na łaskę biurokratów, więc musimy uzbroić się w cierpliwość.

Dawno zapomniałam, co to takiego cierpliwość. Kiedy narzekałam, że nie pokazał mi jeszcze podpisanego kontraktu, przypomniał, że nikt z zespołu go jeszcze nie dostał. Mieli je otrzymać dopiero w Egipcie.

Wstałam i powlokłam się do kuchni, żeby zrobić dzbanek gorącej herbaty.

- Rozmawiałem dziś z Tomem - odezwał się mąż. - Opracowaliśmy warunki ugody. Będziesz musiała się z nim kontaktować podczas mojej nieobecności.

Próbowałam wyciągnąć z Johna więcej szczegółów, ale bezskutecznie. Powiedziałam sobie, że muszę zadowolić się obietnicą, iż Jason wywiąże się wreszcie ze swojego zobowiązania. Po sześciu miesiącach - z pieniędzmi od kuzyna i rządową pensją - mieliśmy szansę pozbyć się długów. Na myśl o tym ogarniała mnie euforia, która jednak nie łagodziła zmęczenia. Gdy herbata się zaparzyła, naląłam dwie filiżanki.

- Weź herbatę i chodź na górę - poprosił John. - Pokażesz mi, jak używać komputera.

- Co? Mamy go od ponad dwóch lat i nigdy cię to nie interesowało.

- Chodzi tylko o podstawy. To zajmie ci chwilę - prosił.

- Ale po co? Wyjeżdżasz na pół roku. Pokażę ci, jak wrócisz.

- Może przyda mi się to w Egipcie.

Nadal się opierałam. Byłam zbyt zmęczona, a poza tym mieliśmy wciąż mnóstwo roboty przed niedzielnym wyjazdem. John nie dawał za wygraną. Niechętnie, ale w końcu zgodziłam się go czegoś nauczyć. Mogłam mu jednak poświęcić najwyżej godzinę. Po dwudziestu minutach zorientowałam się, że nie był lotnym uczniem. Nawet z rozpisanymi na karteczkach skrótami, wciąż się mylił. Zdałam sobie sprawę, że nauczenie go podstaw potrwa znacznie dłużej niż jedno popołudnie. Fakt, że obudził się w ostatniej chwili, doprowadził mnie do irytacji. W końcu przeprosił i zarzucił temat lekcji.

- Chodź do sypialni dla gości - powiedział po chwili.

- Od jakiegoś czasu pracuję nad billingami dla Westinghouse. Odkryłem, że są nam winni około osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Będę musiał się z nimi sądzić.

Począpalam za nim korytarzem, a gdy weszłam do pokoju, stanęłam jak wryta. Patrzyłam w osłupieniu na łóżko pokryte stertami papierów. John wręczył mi jeden z nich, tłumacząc, że każdy stosik to odrębny billing, który stanie się podstawą osobnej sprawy w sądzie gospodarczym.

- Chcę, żebyś pociągnęła sprawę dalej, gdy mnie nie będzie - powiedział.

- Zwariowałeś? Nie znam się na tym. Schowaj je, zajmiesz się tym po powrocie.

Odwróciłam się i wyszłam z pokoju. Nie mogłam dłużej tego znieść. Traciłam zmysły. Nie potrafiłam poradzić sobie z takim nawalem zadań, a do tego nie rozumiałam, czemu John upiera się przy zupełnie bezsensownych pomysłach, jak nauka obsługi komputera czy sprawa w sądzie. Zeszłam na dół i zadzwoniłam do matki, żeby opowiedzieć jej o wizycie u dziadka Jonasa.

Potrzebowałam czegoś, co podniosłoby mnie na duchu, na przykład rozmowy o egipskich zabytkach, które już wkrótce miałam zobaczyć. Matka dziwiła się, że wyjazd nie został odwołany.

- Myślałam, że ze względu na stan zdrowia John nie może podróżować. Tak powiedział, kiedy odwiedził mnie kilka dni temu.

- Coś ci się pomyliło, mamó. Dziś zaczynamy się pakować. Poczekaj, poproszę go do telefonu.

Przysłuchiwałam się, jak tłumaczy jej, że najwidoczniej źle go rozumiała. Mimo jej protestów powtarzał, iż wycieczka była jak najbardziej aktualna. Wylot zaplanowano na niedzielę rano.

\* \* \*

W następnny wtorek zamiast podziwiać piramidy, siedzieliśmy na sześciu walizkach w hotelu Hilton przy lotnisku w San Francisco, w pokoju, na który nie było nas stać.

- To już trzeci dzień, John. Gdzie, u diabła, jest Berger?!

- wrzeszczałam. - Zaraz oszaleję! Czuję się jak w ukrytej kamerze! Nie wierzę, że to się dzieje!

- Zadzwoń do niego! - On również krzyczał, jego twarz była cała czerwona. - Jestem równie sfrustrowany jak ty.

Przygoda zaczęła się w sobotę wieczorem, kiedy zameldowaliśmy się w Hiltonie, żeby skorzystać z darmowego busa na terminal i zdążyć na wczesny lot. Zgodnie z sugestią Johna auto miało czekać na parkingu hotelowym aż do mojego powrotu.

Pierwsza część planu poszła gładko, druga już nie. W niedzielę czekaliśmy na Bergera przy terminalu. Miał przynieść bilety i paszporty. Nie pojawił się, a my przegapiliśmy lot. Czekaliśmy na tego człowieka sześć godzin - na darmo. Byłam zagubiona i wściekła.

W końcu John zostawił mnie z bagażami i poszedł zadzwonić do Bergera. Ten ponoć bardzo wylewnie przeproszał. Wydanie dokumentów zostało opóźnione, a więc plan uległ zmianie: mieliśmy wylecieć w poniedziałek. Mąż namówił mnie na spędzenie kolejnej nocy w Hiltonie.

Poniedziałkowy plan również nie wypalił. Berger wciąż się nie pojawiał, przegapiliśmy więc kolejny lot. Kipiałam ze złości. Tym razem John dowiedział się przez telefon, że chodzi o jakieś rozgrywki polityczne. Na wieść, że musimy pojechać do miasta, by to załatwić, niemal się rozplakałam. Zawlekliśmy walizki z powrotem do busa, a w hotelu poprosiliśmy o zapakowanie ich do naszego samochodu.

Gdy zajechaliśmy pod budynek rządowy w San Francisco, mąż kazał mi zostać w samochodzie ze względu na bagaż. Kiedy wrócił, powiedział, że wszystko jest załatwione, ale z powodu jakiejś niespodziewanej roboty papierkowej Berger dostarczy nam dokumenty dopiero nazajutrz, na lotnisku.

Aby się uspokoić, bawiliśmy się w turystów w japońskim ogrodzie herbacianym w parku Golden Gate. Spokój i cisza tego miejsca pomogły mi się zrelaksować. W pewnej chwili John zaskoczył mnie, prosząc, bym nauczyła go obsługi nowej kamery. Nie przepadał za nagrywaniem ani fotografowaniem. Później namówił mnie, żebyśmy znowu zatrzymali się w Hiltonie.

Kiedy wróciliśmy z lotniska, wylałam na niego wszystkie swoje żale. Kazał mi się zamknąć i sięgnął po telefon. Znow odwrócił się do mnie plecami. Słyszałam, jak wybiera numer, a potem prowadzi nerwową rozmowę. Następnie rzucił słuchawką i odwrócił się do mnie.

- Ten dupek Berger usiłuje wykluczyć mnie z zespołu, żeby załatwić posadę swojemu koleśowi. Będzie odwlekał sprawę.

Opadłam na łóżko, a do oczu napłynęły mi łzy. „Nie teraz, Barbaro” - pomyślałam. „Weź się w garść i zastanów się, co możesz zrobić”. Wtedy wpadłam na pomysł.



- Zadzwoń do admirała Lee z Waszyngtonu. On tym dowodzi. Powiedz mu, co się dzieje.

- Świetny pomysł - odparł John.

Niebawem pogrążył się w ożywionej rozmowie. Ze swojego łóżka widziałam tylko jego plecy. Podziękowawszy admirałowi, odłożył słuchawkę.

- Miałaś rację - oznajmił uradowany. - Lee chce, żebyśmy przylecieli do Waszyngtonu. Berger napytał sobie biedy. Admirał zajmie się wszystkim: załatwi nam bilety do Kairu i zdobędzie paszporty.

- Nie ma to jak znajomości - powiedziałam z dumą, ciesząc się, że mój plan się sprawdził.

- Ale jest jeden problem - zastrzegł.

Niemal słyszałam bicie swojego serca.

-Jaki?

- Nie martw się, to nic takiego. Musimy sami kupić bilety do Waszyngtonu, a Lee zwróci nam koszty.

- Nie możemy. Nasza karta jest prawie na wyczerpaniu.

- To nic. Zanim wyjechaliśmy, przysłali mi nową z limitem dziesięciu tysięcy dolarów.

Wyjął z teczki rozkład lotów i zaczął go przeglądać.

- Lecimy dzisiaj po południu, pięć po drugiej. Zadzwoń i zabukuję miejsca.

Poszłam do łazienki, a kiedy wyszłam, zauważyłam, że mąż posmutniał.

- Możemy wylecieć dopiero jutro, ale zabukowałem i zapłaciłem za bilet.

- Cóż, nie stać nas na kolejną noc w Hiltonie.

Znowu wpadliśmy w poważne finansowe tarapaty, a to dlatego, że chcieliśmy się z nich wydostać. „Cholernie udane wakacje!” Mieliśmy dwie opcje: wrócić do domu i przeszkodzić człowiekowi, który się nim opiekował, oraz kotom, albo pojechać do Marie i Marka Passinich i odwiedzić nasze psy. Wybraliśmy drugie rozwiązanie. Na szczęście Marie uprzejmie się zgodziła.

Nazajutrz, gdy już mieliśmy ruszać na lotnisko, okazało się, że nie mogę znaleźć kluczyków. Czwooro spanikowanych dorosłych przeszukało cały dom. Nie podejrzewałam, żebym włożyła je do teczki Johna, ale kiedy zobaczyłam ją na blacie, postanowiłam zajrzeć. Zamiast kluczy znalazłam brązową butelkę z eterem, tę z Indiany, wciąż nieoznaczoną. Wpadłam we wściekłość.

- John, mówiłam ci, żebyś nie zabierał tej niebezpiecznej substancji na pokład samolotu. To ci się nie przyda w Egipcie. Lepsza jest dobra maść z kortyzonem.

- Ale lekarz powiedział...

- Nie obchodzi mnie, co powiedział lekarz. Nie potrzebujesz tego.

- W Egipcie tego nie dostanę.

Posłałam mu wściekle spojrzenie.

- Nie jest ci potrzebny - wycodziłam przez zęby.

Postawiłam butelkę na blacie kuchennym.

- Marie, jeśli nie masz nic przeciwko, zostawię to tutaj i zabiorę, kiedy przyjadę po psy.

- Nie ma sprawy - odparła.

Poszukiwania kluczyków trwały. Postanowiłam raz jeszcze sprawdzić w torebce i ku mojemu zdziwieniu znalazłam je tam — na samym dnie.

W końcu ruszyliśmy. Marie i Mark stali na podjeździe, z naszymi psami u boku, i machali nam na pożegnanie. Kiedy weszli do domu, Marie postanowiła zanieść eter do łazienki, ale nie mogła go znaleźć - butelka zniknęła. W zamieszaniu spowodowanym nerwowymi poszukiwaniami kluczyków John potajemnie wsunął ją z powrotem do swojej teczki.

# *Atak*

Dwa dni później weszłam do kawiarni hotelu Key Bridge Marriott w Arlington w stanie Wirginia i dosiadłam się do stolika Johna. Złożył zamówienie przed moim przybyciem, więc gdy kelnerka podała mi menu, szybko wybrałam tosty i parówki. Kiedy zostaliśmy sami, posłałam mu wściekle spojrzenie.

- Jeśli dziś rano nie spotkamy się z admirałem - zagroziłam - wracam do domu pierwszym samolotem. Mam dosyć.

- Spotkamy się z nim, obiecuję. Prosił, żebyśmy stawili się w jego biurze punkt dziewiąta.

- Spotkamy się takjak wczoraj, w walentynki?

- Słuchaj, to nie moja...

- Daruj sobie, mam dość wymówek.

Przejechaliśmy z Fort Meade do Centrum Lotów Kosmicznych imienia Roberta H. Goddarda, a potem, w ulewnym deszczu, do klubu oficerskiego w Annapolis, ale nie udało nam się dogonić admirała Lee. Ta napięta marszruta zupełnie mnie

wykończyła. Za każdym razem, gdy odwoływano kolejne spotkanie, John gorąco przeproszał. Jednak w żaden sposób nie mógł mnie ugłaskać. Na koniec dnia wybuchnąłam płaczem w barze na ostatnim piętrze Marriotta.

- Jestem sfrustrowana - powiedziałam cicho. - Po wydarzeniach minionego tygodnia, a zwłaszcza ostatnich dwóch dni, opadam z sił.

Do stolika podeszła kelnerka, więc zamilkłam. Postawiła przed Johnem jajecznicę z szynką, po czym wróciła, żeby dolać nam kawy - jemu zwykłej, mnie bezkofeinowej. Tego ranka nie potrzebowałam dodatkowego pobudzenia.

- Widziałaś poranne wiadomości? - spytał, wkładając do ust kawałek nasączonej żółtkiem szynki. - Wygląda na to, że wojna w Zatoce się skończyła. To może mieć wpływ na moje zlecenie. Pewnie dlatego Lee mnie ignoruje... Projekt został odwołany.

- Mówiłeś, że ta misja nie ma nic wspólnego z wojną. Wycofujesz się z tego?

- Po prostu zastanawiam się, co mogło się stać. Zobaczymy się z admirałem za godzinę i już po południu będziemy w drodze do Egiptu.

Wypił duży łyk kawy i otarł usta serwetką.

- W tej chwili nic mnie to już nie obchodzi. Mam dosyć biegania w kółko z sześcioma walizkami. Zmarnowałam tydzień urlopu, uganiając się za cieniem! Co tu się, do cholery, dzieje?

Popijając kawę, przysłuchiwałam się uderzającym o szyby kroplom deszczu. Kiedy przyniesiono mi śniadanie, wyrwałam się z transu i zaczęłam kroić tost. Musiałam w jakiś sposób stłumić dręczący mnie niepokój. John spojrzął na zegarek.

- Cieszę się, że namówiłaś mnie, żebym założył starego timeksa - powiedział. - Głupio bym zrobił, biorąc roleksa.

- Nie uda ci się ugłaskać mnie komplementami. Tylko spotkanie z admirałem i wyjazd do Kairu poprawią mi humor.

Gdy skończył posiłek, wstał i udał się do recepcji, żeby podstemplować kwitek parkingowy. Mieliśmy się spotkać w pokoju.

- Pamiętaj: jeśli nie zobaczymy się z admirałem Lee, wracam do domu. Nie będę dłużej marnować wakacji.

Pięć minut później zapłaciłam rachunek, po czym zagłębiłam się w labirynt korytarzy poprzedzielanych dwuskrzydłowymi drzwiami. Nagle przypomniało mi się, co powiedział recepcjonista, kiedy się meldowaliśmy: że znalazł nam cichy pokój na parterze, na tyłach budynku, niedaleko garażu. Rzeczywiście był odosobniony. Kiedy zobaczyłam garaż, skręciłam w lewo, pchnęłam jedno skrzydło drzwi i weszłam do małego foyer, skąd prowadziły drzwi do czterech pokoi. Podeszłam do naszych i zauważyłam, że są otwarte.

Przekroczywszy próg, zmarszczyłam nos i kaszlnęłam, ponieważ w pomieszczeniu unosiły się gryzące opary eteru. Zapach najwyraźniej dolatywał z łazienki. Zobaczyłam w niej Johna - stał obok toalety i wyglądał na zamroczonego.

- Co ty, do cholery, robisz? - krzyknęłam.

- Nakładam eter na ranę, jak kazał lekarz.

- Wyjdź stamtąd, bo się pochorujesz.

Zupełnie zapomniałam, że zostawiliśmy tę butelkę w kuchni Marie, w Kalifornii. Choć ogarnęła mnie złość, moje myśli wciąż zaprzętało zbliżające się spotkanie z admira-

łem. Wzięłam więc z łóżka swój szary trencz. Gdy zapinałam ostatni guzik, John zatoczył się po pokoju.

- Co teraz? - spytałam ponurym głosem. - Oznajmisz, że źle się czujesz, i kolejne spotkanie nie wypali?

Zgiął się wóół i jęknął, po czym podszedł bliżej.

- Pomóż mi - błagał.

Wzruszyłam tylko ramionami.

- Mam ci pomóc? Nie ma mowy! - krzyknęłam z wściekłością. - Ostatnim razem, gdy to zrobiłam, spadłam ze schodów. Nie pozwolę, żebyś znowu mnie przewrócił. Udajesz, tak jak wtedy, gdy mieliśmy pojechać na uczelnię. W ten sposób chcesz się wymówić od spotkania z generałem?

- Pomóż mi.

- Te twoje nędzne wymówki, a do tego szeptu przez telefon... Mam dosyć. Jeśli nie spotkamy się z admirałem, lecę dziś do domu bez względu na wszystko.

Przekuśtykał obok parawanu i ruszył do łazienki.

- Jeśli natychmiast stąd nie wyjdiesz, zemdlejesz.

- Pomóż mi.

- Rób, co chcesz, skurwysynie. Proszę bardzo, przewróć się. Nie wezwę pomocy.

Odwróciłam się, żeby wyjść, a wtedy on złapał mnie za ramię i obrócił do siebie.

- Pomóż mi - wycharczał.

Chwyił mnie za ramiona i przycisnął do siebie. Zobaczyłam, jak do mojej twarzy zbliża się szmatka nasączona eterem. Ogarnęło mnie przerażenie. Nagle poczułam przyływ adrenaliny i włączył mi się instynkt przetrwania. Zaczęłam się

szamotać. Po głowie plątały mi się postrzępione myśli: „Bądź ruchomym celem. Eter może zabić. Myśl szybko. Nie otwieraj ust. Zrzuć ścierkę z twarzy. Wstrzymaj oddech, bo nie wyjdiesz stąd żywa”.

Rzucałam się jak zwierzę w klatce, próbując wyrwać się z jego uścisku, ale bezskutecznie. „Myśl, Barbaro, myśl. Poręcz dla niepełnosprawnych przy wannie. Złap ją!” Zaparłam się o nią i zdołałam częściowo się wyswobodzić. Z lewej nogi spadł mi but. Poczułam, jak na nadgarstku zaciskają się jego palce. Gdy szmatka ponownie zbliżyła się do mojej twarzy, zaczęłam jeszcze bardziej się miotać.

„Musisz się stąd wydostać. Do drzwi!” Chwyciłam za framugę i wpadłam do garderoby razem z Johnem. „Nie otwieraj ust. Ruszaj głową, w tył i w przód, w górę i w dół. Nie przestawaj. Boże, umrę w pokoju hotelowym w Wirginii”. Wolną dłonią próbowałam sięgnąć jego oczu, ale na próżno.

Nie robiliśmy żadnego hałasu. Nie śmiałam otworzyć ust w obawie, że opary eteru dostaną się do płuc. John też nic nie mówił. Po prostu się ze mną siłował, próbując zakryć mi usta i nos.

Nagle parsknął, a jego oczy się rozszerzyły. Szmata upadła na podłogę. Złapał za otwartą butelkę z eterem i chlusnął mi płynem w twarz. Zaczęłam walczyć jeszcze zacieklej. Musiałam przeżyć! „Ruszaj głową, szybciej, szybciej! Machaj nią! W górę! W dół! Pozbądź się płynu z twarzy”. Jeden kolczyk spadł na podłogę. Po chwili usłyszałam, jak pęka pod stopą Johna. Przez myśl przemknęło mi, że to się nie dzieje naprawdę, to tylko film.



Walka trwała. Centymetr po centymetrze zbliżałam się do uchylonych drzwi. Gdy oczyma wyobraźni zobaczyłam nagłówki gazet: „Morderstwo w Marriocie”, instynkt przetrwania jeszcze bardziej się wzmógł. Niewiele brakowało. „Jeszcze tylko trochę. Postaraj się”. Chwyciłam za klamkę. „Ciągnij! Ciągnij!” Wyrwałam się i wybiegłam do małego foyer, ale John zdążył złapać mnie za rękę.

- Pomocy! Pomocy! - zaczęłam krzyczeć, lecz korytarz był pusty. Admiral wciągnął mnie z powrotem do pokoju i zamknął kopniakiem drzwi.

- Suka! - wrzasnęła.

„Skurwysyn” - pomyślałam, próbując kopnąć go w krocze. On jednak popchnął mnie tak, że wylądowałam na podłodze garderoby. Robiłam się coraz słabsza. Nie miałam szans z mężczyzną mierzącym ponad metr osiemdziesiąt.

Usiadł mi na piersi, a lewą dłoń unieruchomił kolanem. Prawą ręką próbowałam złapać go za jądra, ale nie mogłam dosięgnąć, a gdy zamierzyłam się, żeby kopnąć go od tyłu, trafiłam tylko w pośladki. Wtedy złapał mnie za ramię i przyszpilił do ziemi.

Kiedy zauważył, że nie mam już siły walczyć, sięgnął po brązową butelkę i wylał mi na twarz resztę eteru. Mogłam tylko machać głową na wszystkie strony. Po dywanie potoczył się drugi koleczyk. John początkowo nie mógł trafić, ale po chwili ponownie poczułam na skórze chłodny płyn. Wstrzymałam oddech.

- Nie ruszaj się, suko! - wycedził... a potem zamarł.

Oddychał głęboko, nierówno. Spojrzałam w górę, prosto w dzióbek butelki, która zawisała do góry dnem nad moją twa-

rzą. John potrząsnął nią kilka razy, żeby wydobyć ostatnią kroplę. Potem odrzucił ją na bok, podciągnął się wyżej i usiadł mi na piersi, całym ciężarem opierając się na moich dłoniach. Oddychał z trudem, twarz mu pociemniała i przybrała nienaturalny kolor.

Patrzył na mnie dzikimi, diabelskimi oczyma, z których ziała pustka. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego: płonęły jak ślepia dzikiej bestii usiłującej zabić swoją ofiarę. Tą ofiarą byłam ja.

Spojrzałam na niego i sięgnęłam do najgłębszych zakamarków swej duszy, żeby odnaleźć wskazówkę, jak mam się zachować, by przeżyć. Podświadomie przyjęłam rolę opiekunki, którą ćwiczyłam przez niemal dziesięć lat: załagodzić to, spróbować zrozumieć, pomóc mu się zmienić. Uśmiechnęłam się niepewnie, zachowując kontakt wzrokowy, a potem wypowiedziałam słowa, które ocaliły mi życie:

- John, jeśli jest jakiś problem, możemy o tym porozmawiać.

Przechylił głowę. Poczulałam, jak jego mięśnie się rozluźniają, ale nie wykonał żadnego ruchu. Ciągnęłam więc miękkim, delikatnym głosem:

- Chyba oboje potrzebujemy odpoczynku, nie sądzisz? Pomożesz mi wstać?

Jestem głęboko przekonana, że jeśli zareagowałabym w inny sposób, straciłabym życie. Gdybym zamiast ulec, kontynuowała walkę, sprowokowałabym go do natychmiastowego pozbycia się kłopotu. Moje słowa pozbawiły jego morderczy atak impetu.

Przez chwilę w ogóle się nie ruszał. Potem poluzował uścisk, a z jego oczu zniknął diabelski płomień. Nic nie powiedział,

tylko westchnął i wstał z wysiłkiem, a następnie podał mi rękę. Oparłam się o parawan i zamarłam. Po tym, co się właśnie wydarzyło, w mojej głowie panował chaos. Nie mogłam wydusić słowa. John tymczasem zajął się porządkowaniem pokoju: znalazł moje kolczyki, ustawił buty, podniósł rękawiczki i kluczyki, które spadły na ziemię podczas szarpaniny. Potem stanął przy drzwiach, odcinając mi drogę ucieczki.

- Połóżmy się - powiedział.

Złapał mnie za rękę i poprowadził na niezasłane łóżko, w którym spędziliśmy poprzednią noc. Spojrzałam na poduszki. W mojej głowie rozległ się alarm: czy użyje ich, żeby pozbawić mnie życia? W pokoju zapanował upiorny spokój.

- Nie mogę się teraz położyć. Jest mi niedobrze.  
- To brzmiało całkiem sensownie, a poza tym wcale nie kłamałam. - Usiądę obok, a ty odpocznij.

Przyjął tę wymówkę, bo niby czemu miałby mi nie wierzyć? Przecież do tej pory tolerowałam wszystkie jego wybryki. Posłusznie usiadłam na brzegu łóżka, bosą i w podartym tren-czu. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby uciekać. Coś się zepsuło, a ja musiałam zrozumieć, co to było, żeby móc to naprawić. John położył się pośrodku łóżka, po czym złapał mnie za nadgarstek. Trzymał mocno i nie puszczał, jednocześnie gapiąc się w sufit.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytałam, starając się, by w moim głosie dały się wyczuć życzliwość i zaskoczenie.

- Przed wyjazdem lekarz powiedział mi, że mam nowotwór złośliwy.

- Ale dlaczego próbowałeś mnie zabić?  
- Nie chciałem cię *zabić*, tylko uspić, żeby móc skoczyć z Key Bridge i zabić się.

- Mamy dobre świadczenia medyczne - powiedziałam.  
- Możemy załatwić ci najlepszych lekarzy.

- Nie chcę żyć - wycharczał i odkaslnął. - Jestem szalony, jak twój brat. Powinni mnie zamknąć w zakładzie.

- Możemy załatwić ci też pomoc psychiatryczną.

Po policzku spłynęła mu łza.

- Powiedziałaś, że ta wycieczka jest jednym z największych rozczarowań twojego życia.

- Nie, John - odparłam po chwili milczenia - największym był dzisiejszy dzień.

Potem każde z nas pograżyło się we własnych myślach. Po szoku, który przed chwilą przeżyłam, sparaliżowało mnie poczucie zagubienia. Nie wiedziałam, czy John jest chory, czy raczej szalony. A jeśli ponownie będzie próbował mnie zamordować? Głowa pękała mi z bólu. Zaszło mi w ustach. Spytałam, czy mogę pójść po szklankę wody.

Puścił mój nadgarstek, po czym przetoczył się na bok, żeby wstać z łóżka. Poruszałam się powoli, spokojnie, a on kroczył tuż za mną. Minęłam drzwi niczym robot, nie próbując ich nawet otworzyć. Ta droga ucieczki nie wchodziła w grę.

W łazience wciąż unosił się zapach eteru. Przez chwilę myślałam, że wymiotuję, ale zdołałam się powstrzymać. Chciałam za wszelką cenę zapanować nad sytuacją. Sięgnęłam po czystą szklankę i wstrząsnął mną dreszcz. Pusta brązowa butelka

stała niewinnie na półce, tuż obok moich zniszczonych koleczków. Z pełną szklanką w ręku wróciłam do sypialni. Pociągnęłam łyk wody, potem następny.

Mąż siedł za mną, ale zatrzymał się przy łóżku. Oddychał już spokojnie, jego policzki odzyskały normalny kolor. Najwyraźniej on również wciąż czuł się panem sytuacji, ponieważ zdjąwszy spodnie, koszulę i krawat, z powrotem się położył.

- Usiądź przy mnie. Jestem taki zmęczony.

Przysiadłam na brzegu łóżka. Na szczęście tym razem nie złapał mnie za posiniaczony nadgarstek.

- Zamknij oczy - wyszeptalam. - Kiedy się obudzisz, pojedziemy do szpitala w Bethesda na badania.

- Zawsze tak dobrze się mną opiekujesz - odparł.

Zaczęłam łagodnie głaskać jego rękę. Zamknął oczy, oddychał głębiej - wszystko wskazywało na to, że zasnął. Teraz musiałam podjąć najważniejszą decyzję w swoim życiu.

Stałam przed poważnym dylematem. Osaczyły mnie nowe lęki. W myślach odtworzyłam wydarzenia dzisiejszego ranka i ubiegłych kilku dni. Czy ktoś z załogi chciał się pozbyć Johna? Czy w ogóle istniała jakaś załoga i jakiś admirał? Czy John ma raka? Czy wpadł w szal z powodu wiadomości o nowotworze? Czy potrzebował pomocy psychiatrycznej? Czy powinnam zabrać go do szpitala, czy też uciec i wezwać policję?

Nagle zrozumiałam, jak czują się maltretowane kobiety, choć wciąż nie zdawałam sobie sprawy, że jestem jedną z nich. Mój ukochany, mój przyjaciel właśnie próbował mnie zabić. Morderstwo? Czy naprawdę zamierzał to zrobić? Wydawał

się taki skruszony. Czy to moja wina? Czy to ja go do tego popchnęłam? Gdzie popełniłam błąd? W mojej głowie roilo się od pytań. Swędziała mnie skóra, paliło gardło... Ale nadal delikatnie głaskałam dłoń Johna.

Z łóżka dochodziło głębokie chrapanie. Zasnął na dobre, a przynajmniej tak mi się wydawało. „Jeśli mam coś zrobić, teraz jest szansa”. Zajrzałam w głąb siebie i odnalazłam siłę, której dotychczas sobie nie uświadamiałam. Wewnętrzny głos powiedział mi: „BIEGNIJ. Jeśli tego nie zrobisz, nie wyjdiesz stąd żywa. BIEGNIJ, żeby ocalić życie. Zrób to teraz. BIEGNIJ! BIEGNIJ! BIEGNIJ!” Tym razem go usлуchałam i postanowiłam uciec, zachowując jednak szczególną ostrożność.

Stopniowo przestawałam głaskać dłoń męża. Położyłam ją delikatnie na łóżku, wyzwoliłam swoją lewą rękę i zamarłam w bezruchu. Nie ważyłam się nawet głębiej odetchnąć. Wstałam, jakbym zamierzała się rozebrać. John się nie poruszył. Stałam w nogach łóżka, wciąż udając, że rozpinam płaszcz. Nadal miał zamknięte powieki, a jego pierś unosiła się miarowo.

Serce waliło mi jak oszalałe. Po kilku sekundach, które trwały wieczność, przeszłam na drugą stronę parawanu, złapałam za klamkę i obróciłam ją powoli. Rozległo się kliknięcie zamka. Zamarłam i nasłuchiwałam. John nadal chrapał. Pociągnęłam drzwi, otwierając je tylko na tyle, żeby móc się wysłiznać, po czym zamknęłam je najciszej, jak potrafiłam. „Teraz liczy się czas” - pomyślałam. „Idź! Nie zatrzymuj się!”

Wypadłam na korytarz, skręciłam w prawo i przebiegłam w podartym płaszczu przez dwoje podwójnych szklanych

drzwi, potem ruszyłam długim holem, mijając sale konferencyjne. Po głowie kołatały mi się szalone myśli. „Co mam powiedzieć? Morderstwo? Nie, John tylko wpadł w szal. Potrzebował pomocy, podobnie jak ja. Musimy się dostać do szpitala.” Całkowicie wyparłam ze świadomości to, co się stało.

Skręciłam w lewo i przebiegłam obok wind, potem minęłam budki telefoniczne. Ludzie zatrzymywali się i patrzyli z zaciekawieniem na cuchnącą eterem, bosą kobietę w podartym płaszczu. Nie obchodziło mnie to. Przy recepcji złapałam oddech i wyrzuciłam z siebie:

- Zadzwońcie na policję! Mój mąż właśnie próbował mnie zabić.

Niemal natychmiast pojawiła się kierowniczka, która od razu zaprowadziła mnie do swojego gabinetu.

- Policja jest już w drodze. Nasza ochrona w tej chwili idzie do pani pokoju. Potrzebuje pani czegoś?

- Poproszę o kawę.

Siedziałam sama w gabinecie tej nieznałomej, z dala od Johna, ale nie od własnych myśli. Ogarnęła mnie potrzeba zaprzeczenia wszystkiemu, co się właśnie wydarzyło, i nie potrafiłam jej stłumić. Byłam osłabiona, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Widziałam, co się dzieje, ale nie umiałam tego pojąć.

„Dlaczego poprosiłam o wezwanie policji? Przecież się ich boję. Co ja powiem rodzinie i przyjaciółom, gdy to wszystko wyjdzie na jaw? Nie, nie mogę rozmawiać z policją. Dlaczego powiedziałam »zabić«? Mój mąż potrzebuje pomocy, psychiatrycznej i medycznej. Kiedy ją otrzyma, wszystko będzie dobrze. Spotkamy się z admirałem Lee, a John dołączy

do ekipy." Wtedy opadły mnie lęki, które od dawna skrywałam w głębi duszy.

Po pewnym czasie podeszła do mnie ciemnoskóra policjantka.

- Muszę spisać pani zeznanie.

Odpowiedziałam na jej pytania najlepiej, jak potrafiłam. Kiedy spytała, gdzie jest butelka z eterem, powiedziałam, że ostatni raz widziałam ją w łazience. Cały czas błagałam, żeby zignorowała wezwanie. Wcale jej nie potrzebowałam. Musiałam tylko zawieźć Johna do Bethesdy. Pokiwała głową, jakby zrozumiała, po czym uśmiechnęła się i wyszła. Zostałam sama, a wtedy opadły mnie lęki.

Nie zdawałam sobie sprawy, że wyparcie to podręcznikowa reakcja na przemoc domową. Miałam mętlik w głowie. Nie potrafiłam stawić czoła prawdzie, która przecież mogła mnie wyzwolić, bagatelizowałam akty przemocy, znajdowałam wytłumaczenia dla najdziwniejszych zachowań Johna i znów wróciłam do roli opiekunki. Skupiłam się na tym, żeby udzielić mu wszelkiej potrzebnej pomocy, psychologicznej i medycznej. Jak na ironię, jeśli chodzi o to pierwsze, niewiele się pomyliłam.

Pięć minut później do pokoju weszła szczupła, rudowłosa funkcjonariuszka. Na identyfikatorze widniało nazwisko „Catherine Cobb”.

- Gdzie John? Nic mu nie jest?

- Kiedy ochrona hotelu go obudziła, ubrał się i wymeldował jak gdyby nigdy nic. Złapaliśmy go, gdy wsiadał do wynajętego samochodu. W ręku miał jakąś teczkę. Powiedział, że musi złapać samolot, ale w końcu spokojnie wrócił do pokoju.



Na razie współpracuje. Może mi pani powiedzieć, co się stało, pani Perry?

Ja opowiadałam, a Cobb robiła notatki. Błagałam, żeby pozwolono nam pojechać do Bethesdy i żeby nie spisywała raportu.

- Nie mogę tego zrobić, proszę pani. Holly i ja przesłuchałyśmy go osobno i obie sądzimy, że dzieje się tu coś dziwnego, choć nie jesteśmy jeszcze pewne co. Zabierzemy panią i męża do zakładu na George Mason Drive, żeby to wyjaśnić.

- Gdzie?

- Do szpitala psychiatrycznego. Więźniarka jest już w drodze. Oslupiałam. Najwyraźniej zamierzali mnie aresztować - jak zwykłego przestępcę.

- Proszę się nie martwić - uspokoiła mnie. - To dla pani męża. Pani pojedzie z nami radiowozem. Chce pani coś ze sobą zabrać?

- Tak, torebkę, buty i... aparat. Nie chcę, żeby ktoś go ukradł.

\* \* \*

Stałam przed wejściem do szpitala, w jednej dłoni ściskając torebkę, w drugiej aparat. Krople deszczu padały na moją nieosłoniętą twarz. „Co teraz?” - pomyślałam, gdy Cobb otworzyła drzwi.

- Wejdzmy do środka, pani Perry, bo zmokniemy.

Nie chciałam wchodzić, tylko zabrać Johna do Bethesdy. Funkcjonariuszka łagodnie chwyciła mnie za rękę i wprowadziła do foyer.

- Jest ze mną pani Perry - poinformowała recepcjonistkę, która siedziała za kuloodporną szybą.

- Schodami na pierwsze piętro, potem w prawo i do końca korytarza. Tam znajduje się gabinet Lovato. Przekażę jej, że idziecie.

- A gdzie John? - spytałam.

- W pokoju na górze - odparła.

- Kiedy mogę zabrać go do Bethesdy?

- Nie wiem. Proszę tędy, pani Lovato czeka.

Idąc korytarzem, zaglądałam do każdego pokoju w nadziei, że zobaczę męża. Skręciliśmy w prawo. Siedział w trzecim pokoju, tyłem do drzwi, z rękoma skutymi na plecach. Oddech przyśpieszył, a do oczu napłynęły mi łzy. Poczulałam napięcie w całym ciele. Stałam jak zamurowana. Policjantka pchnęła mnie lekko, ponieważ musiałyśmy iść dalej.

Na końcu korytarza zatrzymałyśmy się przed otwartymi drzwiami, gdzie na mosiężnej tabliczce widniał napis: „Lana Lucas Lovato”. Za zielonym metalowym biurkiem siedziała kobieta w średnim wieku, z krótkimi brązowymi włosami i małymi okrągłymi okularami. Przeglądała opasłą książkę. Cobb zapukała do drzwi i oznajmiła:

- Jest pani Perry.

- Proszę usiąść - zaprosiła mnie, wskazując krzesło stojące przed biurkiem.

Usiadłam, zgnębiona, stawiając torebkę i aparat przy nogach. Funkcjonariuszka poklepała mnie po ramieniu, uśmiechnęła się i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Wtedy Lana wyciągnęła do mnie rękę i przedstawiła się.

- Jestem psychiatrą, współpracuję z oddziałem prewencji i interwencji.

- Nie potrzebuję lekarza. Muszę zawieźć męża do Bethesdy — oznajmiłam bezbarwnym głosem.

Lana powiedziała, że rozumie moją troskę, ale najpierw specjaliści muszą ustalić, co się stało w pokoju hotelowym, a to może chwilę potrwać.

- Mój mąż stracił nad sobą panowanie. To wszystko. Ostatnio żyje w ciągłym stresie.

Doktor wstała i nalala nam kawy, a potem zaczęła zadawać mi pytania. Co się wydarzyło w tamtym pokoju? Jak wyglądał nasz związek? Czy mąż kiedykolwiek dopuścił się aktu przemocy? Z jakiej rodziny pochodzę? Obca osoba bombardowała mnie pytaniami, które naruszały moją prywatność. Dlatego kiedy rozległ się dzwonek telefonu, poczułam ulgę.

- Dzwonili z toksykologii - oznajmiła. - Powinna pani umyć twarz, żeby usunąć resztki eteru. W płucach prawdopodobnie nic już nie zostało, bo środek rozpuszcza się we krwi w ciągu pół godziny.

Zaprowadziła mnie do małej łazienki po drugiej stronie korytarza.

- Zaczekam na panią w gabinecie.

Podeszłam do umywalki i niemal jęknęłam, spoglądając w lustro. Zobaczyłam siebie po raz pierwszy od szarpaniny z Johnem. Z lustra patrzyły na mnie smutne brązowe oczy. Uniosłam dłoń i delikatnie dotknęłam poobijanej twarzy. Czy ta osoba z zadrapaniami, sińcami i pręgami to naprawdę ja? Po chwili z kranu popłynęła woda, a z moich oczu - łzy. Zwilżyłam twarz, żeby złagodzić pieczenie, ale nie byłam w stanie ugasić płomieni, które szalały w moim umyśle.

W gabinecie Lany musiałam się zmierzyć z kolejną serią osobistych pytań. „Ile razy mam opowiadać to samo?” - pomyślałam. Doktor uważnie notowała moje odpowiedzi. Po półgodzinie przerwała.

- Na razie to wszystko. Przeprowadzę również wywiad z pani mężem. Proszę się rozgościć, ale nie wychodzić z pokoju, chyba że do łazienki.

- Kiedy będę mogła zabrać męża do Bethesdy?

- Powiem pani, jak tylko się czegoś dowiem.

Zamknęła drzwi. Czulałam się opuszczona, wystraszona i bezradna. Przez następne kilka godzin tkwiłam sama w gabinecie Lany. Przychodziła od czasu do czasu, a kiedy powiedziałam, że jestem głodna, dała mi jabłko. Wolałabym kanapkę, ale nie było tam stołówki. Wypilałam za to cały dzbanek kawy. Za każdym razem, kiedy pytałam o Johna, jej odpowiedź brzmiała tak samo: wszystko w rękach policji.

Byłam wyczerpana zarówno walką o życie, jak i pytaniami policjantki. Krążyłam po pokoju niczym zwierzę w klatce. W oknach nie było krat, ale i tak czulałam się jak w więzieniu. Usiadłam na krześle, schowałam twarz w dłoniach i zamknęłam oczy. Czulałam, że się duszę. Kiedy usłyszałam, jak otwierają się drzwi i ktoś wchodzi do środka, nawet nie podniosłam głowy.

- Pani Perry, chciałabym, żeby pani kogoś poznała - powiedziała Lana. - To detektyw Greg Smith z wydziału zabójstw.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na parę brązowych pantofli. Podniosłam głowę: beżowe spodnie, tweedowa sportowa marynarka, przesywające niebieskie oczy i włosy w kolorze piasku. Moja pierwsza myśl, „jest zjawiskowy”, wydawała

się nie na miejscu. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, że Bóg zesłał mi anioła.

- Proszę mi mówić „Greg” - powiedział, wyciągając do mnie rękę.

Po chwili oprzytomniałam.

- Detektyw z wydziału zabójstw? - zdziwiłam się. - Dlaczego zabójstw? Mój mąż nie próbował mnie zabić.

Proces wypierania faktów postępował, podczas gdy moja podświadomość walczyła o przebudzenie.

- Został przesłuchany przez ekipę specjalistów - wyjaśniał detektyw. - Wszyscy zgodzili się, że to było coś poważniejszego niż kłótnia małżeńska, i dlatego wezwali mnie. Po rozmowie z zatrzymanym muszę podzielić ich opinię.

- John nie próbował mnie zamordować. Zażywa silne leki, muszę zawieźć go do szpitala.

- Zajmowałem się wieloma takimi sprawami, pani Perry.

- On nie próbował mnie zamordować! Kiedy to do was dotrze?

„Nie chcieli słuchać, a gdybym tylko zdołała zapewnić mężowi opiekę, wszystko by się ułożyło i moglibyśmy wreszcie wrócić do domu.”

- Zajmowałem się wieloma morderstwami - ciągnął Smith.

- Za każdym razem, kiedy widzę ofiarę, zadaję sobie pytanie: „Jak można było jej pomóc?”. Sądzę, że teraz wiem.

- Aleja nie jestem martwa!

- Niewiele brakowało. John brutalnie panią zaatakował.

- Nigdy przedtem mnie nie uderzył. Przedawkował leki. Musi pojechać do szpitala.

- To poważna sprawa. Jeśli panią z nim puścimy, jutro będzie pani martwa.

- Nie! On mnie kocha. Masuje mi stopy. Gotuje dla mnie. Obsypuje prezentami.

- Pani Perry, proszę posłuchać. Jeśli pozwolimy pani wrócić z mężem do Kalifornii po trzydniowej obserwacji psychiatrycznej, to ktoś znajdzie pani zwłoki.

„Boże - zaczęłam się modlić - proszę, pomóż mi. Dlaczego on mówi takie straszne rzeczy? Pomóż mi się stąd wydostać, żebym mogła zabrać Johna do szpitala.” Detektyw jednak nie ustępował i upierał się, że chce go aresztować za usiłowanie zabójstwa.

- Co takiego? - wyszeptalam z niedowierzaniem. - Czemu miałby mnie zabijać?

Smith wyjaśnił, że ludzie zabijają z różnych powodów. Aby znaleźć wiarygodny motyw, zadał mi jeszcze więcej pytań. Od razu wykluczaliśmy zazdrość. Kiedy spytał o problemy w związku, zajrzałam w głąb duszy i musiałam przyznać, że z uwagi na kłopoty z pieniędzmi, bardzo zależało nam na posiadzie w Egipcie.

- Czy John skorzystałby na pani śmierci? - zapytał.

Zawahałam się. Skupiłam się na ostatnim roku... Ubezpieczenie na życie z mojej pracy... A do tego testament, którego John był wykonawcą i głównym beneficjentem. Uaktualniliśmy testamenty na początku miesiąca, ale nie sądziłam, że będzie chciał mnie zabić dla tak marnych pieniędzy.

- Czy kiedykolwiek panią skrzywdził, powiedzmy na przestrzeni ostatniego roku?

- Co pan ma na myśli?

-Jakieś wypadki lub dziwne zbiegi okoliczności?

Po dzisiejszym poranku wszystkie wydarzenia ubiegłego roku wydawały mi się niezwykle odległe. W końcu odnalazłam elementy układanki, które mogły rzucić nieco światła na całą tę sytuację, gdybym tylko chciała zrozumieć ich znaczenie. Wyjaśniłam sprawę wypadku samochodowego w Hot Springs. Ale gdy teraz przypominałam sobie szczegóły, sama nie wiedziałam, co o tym myśleć. Czyżby już wtedy doszło do zamachu na moje życie? Nie, to był tylko nieszczęśliwy wypadek.

- Cóż, może ta sprawa z pistoletem...

Zaczęłam opowiadać o wycieczce na Florydę, ataku serca Johna i owiniętej w folię broni, którą znalazłam w jego teczce. Nie wyglądało to na próbę zabójstwa, choć już wówczas zdziwiło mnie, że bankowiec nie znał Johna, a prawnik przekazał mi złowrogie ostrzeżenie.

- Czy miał miejsce jeszcze jakiś incydent, podczas którego stała się pani krzywda? - spytał Smith.

Natychmiast przyszedł mi na myśl upadek ze schodów. Wyjaśniłam mu okoliczności i wspomniałam, iż dotąd nie udało mi się dowieść, że mąż uczy na Uniwersytecie Kalifornijskim. Niektóre z tych wydarzeń mogły sprawić, że wreszcie przejrzałabym na oczy, ale wciąż myślałam tylko o tym, żeby zawieźć Johna do Bethesdy.

- Przykro mi - powiedział detektyw. - W tej chwili to niemożliwe, ale może pani mu pomóc, bo istotnie, jest chory.

Smith zapewniał, że w więzieniu otrzyma pomoc psychiatry. Przed procesem policyjny psycholog dokonałby oceny jego

zdrowia psychicznego. Stanowiłaby ona podstawę do orzeczenia, czy powinien odsiadywać wyrok w stanowym więzieniu psychiatrycznym. Nadstawiłam uszu.

- Jak mogę pomóc?

- Proszę pozwolić mi aresztować Johna za usiłowanie morderstwa.

- A co będę musiała zrobić później?

- Pomóc nam w śledztwie. Podejrzewam, że więcej dowodów przeciwko niemu zdobędziemy w Kalifornii. Poza tym będzie pani musiała zeznawać na procesie.

Zastanowiłam się. Z jednej strony detektyw zaproponował kilka ciekawych teorii na temat minionego roku. Nurtowały mnie różne wątpliwości, na przykład co do nieistniejącej rodziny czy tajemniczych pożyczek. Z drugiej strony aresztowanie... i proces? Oto otwierał się nowy rozdział w moim życiu, ale ta wizja mnie przerażała. W końcu przestałam się chować za tarczą zaprzeczania i pozwoliłam detektywowi Smithowi aresztować mojego męża.

- To słuszna decyzja. Teraz musimy tylko zrobić pani zdjęcia. Z pewnością przydadzą się podczas procesu.

Podszedł do drzwi i poprosił Cobb, żeby przyniosła aparat. Gdy zostaliśmy sami, przeszłam do negocjacji.

- Pozwolę panu go aresztować pod jednym warunkiem - zastrzegłam. - Chcę się z nim zobaczyć, zanim go zabieriecie.

Detektyw skrzywił się i pokręcił głową.

- To kiepski pomysł. Jeśli zobaczy go pani teraz, tuż po przestępstwie, może pani zmienić zdanie. Wedle statystyk maltre-



wane kobiety często odwołują zeznania i nie wnoszą oskarżenia przeciwko swojemu oprawcy.

- Obiecuję, że nie zmienię zdania. Nie łamię danego słowa.

Gdy podążyłam tym nowym szklakiem, moja stanowczość zaczęła się umacniać.

Otworzyły się drzwi i weszła funkcjonariuszka Cobb.

- Brrr, ale zimno - powiedziała. - Chyba spadnie dziś śnieg.

Podala aparat detektywowi Smithowi, który próbował zrobić mi kilka zdjęć, ale niska temperatura sprawiła, że wszystkie wychodziły mlecznobiałe. Wtedy uratowałam sytuację: wyciągnęłam swój 35-milimetrowy aparat i pokazałam policjantowi, jak go używać. Gdy skończył, wręczyłam mu kliszę. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, że było to zrządzenie opatrności.

Zebrałam swoje rzeczy i poszłam za detektywem do pokoju, gdzie przetrzymywano Johna. Nadal miał ręce skute na plecach i siedział przygarbiony na krześle. Zmierzwiony tupecik sprawiał, że przypominał bezdomnego. „Jak do tego doszło?” - spytałam sama siebie. Wzięłam głęboki oddech i obesłam go tak, żeby mógł mnie widzieć.

- Powiedz im, że nigdy dotąd cię nie tknąłem - błagał.

- Powiedziałam, ale to nie ma znaczenia.

- Nie chciałem cię skrzywdzić. To się już nie powtórzy.

- Mówiłam ci kiedyś, że jeśli choć raz podniesiesz na mnie rękę, z nami koniec. Pamiętasz?

- Przysięgam, że nigdy więcej tego nie zrobię.

- Potrzebujesz pomocy, John, i właśnie dlatego pozwalam im cię aresztować.

Detektyw Smith podszedł i stanął między nami. Złapał coś, co *leżało* na biurku.

- Czas na nas. Będziemy w kontakcie - powiedział, wyprowadzając mnie na korytarz, po czym podał mi kopertę z biledami lotniczymi. - Znaleźliśmy to w kieszeni jego płaszcza. Pewnie będą pani potrzebne, żeby wrócić do domu.

Lana czekała, by zabrać mnie z powrotem do Marriotta. Zmartwiła się, że wieczorem będę sama, ale uspokoiliam ją, mówiąc, że przyjadą do mnie znajomi i zabiorą mnie na kolację.

- W pewnym momencie się pani załamie. To nieuniknione - ostrzegala mnie, gdy dotarliśmy do hotelu. - Chcę, by pani wiedziała, że jestem z pani dumna - dodała.

- Nie rozumiem.

- Dziś ocaliła pani swoje życie. Większość kobiet nie byłaby w stanie wydostać się z tej matni. Jest pani silną kobietą.

Nie czułam się szczególnie silna, gdy przekroczyłam próg hotelu, raczej zdezorientowana. Jak mogłam wejść do pokoju, w którym niemal zginęłam? Na szczęście nie musiałam.

- Pozwoliliśmy sobie przenieść pani walizki - powiedział kierownik. - Umieściliśmy panią w innym skrzydle, na piątym piętrze.

Gdy tam dotarłam, oparłam się ciężko o drzwi. W przytłaczającej ciszy, która panowała w pokoju, poczułam samotność. Wiedziałam jednak, że nie mogę się rozkleić, bo zaraz przyjdą Baxterowie. Powlokłam się do łazienki, ochlapałam wodą twarz i przeczesałam palcami włosy. „To będzie musiało wystarczyć” - pomyślałam. „Nic nie poradzę na to, że tak wyglądam”. Zadzwoił telefon. „Boże, proszę, pozwól mi przetrwać ten wieczór”.

Podczas kolacji przesuwalam po talerzu kawalki warzyw i miesa; zjadlam niewiele. Przyjaciele powiedzieli, ze rozumieja. Na szczescie nie wypytywali o to, co sie stalo, poniewaz caly czas ocieralam ukradkiem kaci ki oczu, zeby nie rozplakac sie na dobre.

Po powrocie do pokoju cos we mnie peklo. Torebka i plaszcz wyladowaly na podlodze, a ja opadlam bezwladnie na lozko, ale nie moglam sie zrelaksowac. Zamglonym wzrokiem powiodlam po sześciu walizkach stojacych pod sciana. Marzenia o szczescliwym malzenstwie i nadzieje na pozbycie sie dlugow legly w gruzach, poniewaz maz zdradzil mnie w najgorszy mozliwy sposob.

Pekala mi glowa, bolalo mnie zreszta cale ciało. Potrzebowalam goracej kapieli, zeby odswiezyc ciało i oczyścić dusze. Z kranu jednak wciáz leciala zimna woda. Osunęlam sie na posadzke i zaczęlam historycznie szlochać, krzyczac do czterech scian:

- Dlaczego ja?!

Odpowiedziala mi martwa cisza.

Potykaç sie, podeszlam do telefonu. Gdy czekalam, az obsluga hotelu odpowie na moje zgłoszenie, ponownie przywołalam w pamieci wstrzasajace wydarzenia ostatnich kilkunastu godzin oraz mój niedorzeczny plan, zeby zostac jeszcze trzy dni. Wiedziona instynktem przetrwania, po raz drugi tego dnia postanowilam, ze w trosce o swoje zdrowie psychiczne musze jak najszybciej wrócic do domu, do znajomego otoczenia, do rodziny i psów. Z zamyšlenia wyrwalo mnie pukanie.

Pokojowka grzecznie wyjasnila, jak korzystac z kurka, ale goraca kąpiel musiala poczekać. Mialam pilniejsza sprawe

do załatwienia. Wyjęłam z torebki bilety lotnicze i przeprowadziłam rozmowę z bardzo uprzejmym agentem, przez szloch i lzy załatwiając sobie miejsce w samolocie lecącym następnego dnia. Gorąca kąpiel nie ożywiła mnie, a sen nie zapewnił odpoczynku, którego tak potrzebowałam. Tamtej nocy przyśnił mi się pierwszy koszmar, w którym John próbował mnie zamordować.

\* \* \*

Następnego dnia wysiadłam z windy na piątym piętrze więzienia hrabstwa Arlington i skierowałam się do pokoju o rozmiarach mniej więcej dwa i pół na dwa i pół metra, którego ściany pomalowano na obrzydliwy zielony kolor. Dwie kobiety stały tyłem do mnie przy blacie, na którym leżały formularze i ołówki. Na wiszącej powyżej tablicy widniał napis: „Aby odwiedzić więźnia...”. Wstrząsnął mną dreszcz. Pierwszy raz w życiu przekroczyłam próg więzienia.

Kiedy podeszłam do blatu, zrobiło mi się niedobrze: zapach jednej z kobiet wskazywał na to, że nie myła się od tygodni; druga miała na sobie brudne, podarte ubranie, a dwoje małych dzieci wtulonych w jej nogi wycierało nosy rękami.

Chciałam stamtąd uciec, ale przed powrotem do domu musiałam porozmawiać z Johnem, upewnić się, że nic mu nie jest, oraz zanieść mu leki, bieliznę i jakieś pieniądze. Może i próbował mnie zamordować, ale wciąż był moim admi-  
ralem i nie mogłam go tak po prostu porzucić. Martwił mnie stan jego zdrowia i obawiałam się, że nie poradzi sobie w wię-

zieniu. Nie wiedziałam, czy mnie się to uda, a przecież przyszłam tylko z wizytą. Ogluszały mnie dochodzące zewsząd krzyki więźniów.

Wzięłam się w garść. Samolot odlatywał za dwie godziny i musiałam znaleźć się na jego pokładzie. Zdałam sobie z tego sprawę zeszłej nocy, kiedy zanosłam się od placzu z powodu zimnej wody w kranie. „Teraz albo nigdy” - powiedziałam sobie.

Wstrzymałam oddech, złapałam jeden z formularzy i ołówek, po czym wróciłam pod ścianę. Strażnik za kratą z małym okienkiem sprawdził moje podanie i wydał przepustkę.

- Szóste piętro - oznajmił szorstko. - Proszę pokazać strażnikowi.

Dwie kobiety wciąż wypełniały swoje papiery, ja zaś nacisnęłam przycisk. Drzwi windy otworzyły się na szóstym piętrze, a moim oczom ukazał się jeszcze mniejszy pokój w tym samym strasznym odcieniu zieleni. Pod jedną ze ścian stały cztery poobijane krzesła z plastiku. W przeciwległym rogu dwie kobiety siedziały skulone w oddzielonych boksach, przypominających budki telefoniczne. Pokazałam moją przepustkę strażnikowi. Niebawem nadeszła moja kolej.

Usiadłam na zdezelowanym krześle i rozejrzałam się wokół: po obu stronach grubej szyby ciągnęła się mała półeczka, a na ścianie wisiały szare słuchawki, zupełnie jak w filmach. Niestety, to nie był film.

Przyglądałam się, jak prowadzą Johna ubranego w granatowy kombinezon. Bez tupeciku wyglądał jak sterany życiem starzec. Usiadł po drugiej stronie grubego szkła, podniósł słuchawkę i zaczął mówić. Nie ruszyłam się, bo nie usłyszą-

łam ani jednego słowa. Pokazał mi, żebym podniosła swoją słuchawkę.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział.

- Wczoraj miałam załamanie nerwowe. Dziś nie mogę przestać płakać.

- Powiedz im, że nigdy cię nie biłem - błagał. - Wtedy będę mógł wrócić z tobą do domu.

- Nie mogę. Potrzebujesz pomocy.

- Sam się tym zajmę. Pójdę do lekarza, jak tylko wrócimy do Concord.

- Nie, potrzebujesz pomocy teraz.

- Tujej nie dostanę.

- Detektyw z wydziału zabójstw powiedział, że dostaniesz.

- Nie wierz we wszystko, co ci mówią - powiedział ostro.

Potem spuścił głowę, przybierając wygląd zawstydzonego pieska. Widziałam to wielokrotnie. Zazwyczaj działało, ale nie tym razem.

- Powzięłam kroki, by nie dopuścić do ustanowienia kaucji - oznajmiłam. John podniósł głowę i posłał mi wściekle spojrzenie, a ja kontynuowałam: - Zablokowałam karty kredytowe i przeniosłam środki na konta, do których nie masz dostępu.

- A co z prawnikiem? - jęknął żałośnie.

Co za tupet. Dopiero co próbował mnie zamordować, a teraz chciał, żebym załatwiła mu prawnika. Roześmiałam się gorzko.

- Nie stać nas. Jesteśmy tak zadłużeni, że wątpię, czy kiedykolwiek uda mi się z tego wygrzebać.

- To co mam zrobić? - zaskomlał.

- Weź obrońcę z urzędu.

Wstał, krzyknął do swojej słuchawki „suka!” i rzucił ją, po czym zasygnalizował strażnikowi, że chce wyjść.

Jeszcze niedawno błagałabym go, żeby został. Przekonywa-  
łabym, że możemy przecież wszystko omówić, wszystko napra-  
wić, ale byłam już inną osobą. Nawet nie próbowałam go zatrzy-  
mywać. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny dojrzałam.  
Nareszcie wyzwoliłam się spod wpływu Johna. Odwiesiłam słu-  
chawkę, wstałam i wyszłam.

\* \* \*

Tego popołudnia, siedząc w samolocie i czekając, aż ruszy,  
cały czas szlochałam. Rozpaczałam po utracie marzenia, ponie-  
waż wiedziałam, że moje życie już nigdy nie będzie takie samo.  
Zanim weszłam na pokład, zatroskana kobieta z odprawy spy-  
tała, czy na pewno mogę podróżować. Uspokoiliłam ją, mówiąc,  
że na lotnisku w San Francisco będą na mnie czekać przyjaciele.

Gdy samolot zaczął nabierać prędkości, a potem oderwał  
się od ziemi, spjrzałam w dół, wypatrując znajomych budowli.  
Zobaczyłam Instytut Smithsona, pomnik Waszyngtona,  
a potem Lincolna wraz z rozciągającym się przed nim stawem.  
Wspomnienie szczęśliwych chwil sprawiało, że na mojej twarzy  
pojawiał się przelotny uśmiech, gdy samolot przechylił się nad  
Potomakiem i poleciał na zachód. Kiedy dostrzegłam hotel Key  
Bridge Marriott, łzy ciurkiem popłynęły mi po twarzy. To było  
moje trzecie załamanie tego dnia.

Czułam się, jakby ktoś uwięził mnie w impresjonistycznym  
obrazie. Wokół widziałam tylko różnokolorowe plamy, ale nic  
nie miało sensu. Potrzebowałam pomocy profesjonalisty, aby

nabrać dystansu, który pozwoliłby mi zrozumieć to wszystko. Gdy pozostawiliśmy stolicę za sobą, przysięgam, że na proces wrócę zupełnie odmieniona. Od dziecka wmawiano mi, że psycholodzy i psychiatrzy nie zasługują na szacunek, ponieważ obcowanie z nimi oznacza ujawnianie tajemnic, które powinny zostać w rodzinie. Gdy samolot leciał nad polami Wirginii, podjęłam odważną decyzję: zwrócę się o pomoc psychologiczną. Życie nie przygotowało mnie na tak dramatyczne wydarzenia, nie potrafiłam więc sama się z nimi uporać. Ponadto musiałam utwierdzić się w przekonaniu, że droga, którą obrałam, była właściwa.



*Część 3*  
*Upór*

## *Śledczy*

Na lotnisku w San Francisco czekali na mnie Passini. Padliśmy sobie w objęcia, przeżyłam czwarty kryzys tego dnia. Patrzyli na mnie jak na kobietę o złamanym duchu i poranionym ciele. Moja twarz i ręce pokryte były siniami, zadrapaniami i śladami po poparzeniach.

- Niejestem tą samą osobą, która wyjechała cztery dni temu - wykrztusiłam.

Przede mną stały teraz nowe wyzwania. Po pierwsze, musiałam bezpiecznie dotrzeć do domu. Passini nalegali, żebym pierwszą noc spędziła u nich. Nazajutrz, w niedzielę, wróciłam do domu. Najpierw jednak zajechałam do kierownika mojego oddziału.

- Weź tyle wolnego, ile potrzebujesz - powiedział. - I zgłoś to jako zwolnienie z przyczyn osobistych, a nie urlop.

Byłam mu wdzięczna za troskę.

Potem zatrzymałam się u matki. Miała zamieszkać ze mną na kilka tygodni. Potrzebowałam kogoś, by czuć się bezpiecz-

nie. John przebywał w więzieniu, ale w sprawie wciąż pełno było niewiadomych. Czy miał współnika? Kobieta czy mężczyznę? Czy wciąż groziło mi niebezpieczeństwo? Kiedy weszliśmy do pokoju gościnnego, żeby mama mogła się urządzić, wpadłam we wściekłość: na łóżku i toaletce leżały billingi dla Westinghouse.

- Mówiłam Johnowi, że nie mogę się tym zająć.
- Mogę spać na dole - uspokajała mnie.
- Kartony na dokumenty są tutaj, posprzątanie tych papierów zajmie mi tylko chwilę.

Później dowiedziałam się, że w tych stertach znajdowały się niezwykle istotne informacje.

Następnego ranka przy śniadaniu zaczęłam spisywać listę zadań na dziś i jutro. Ślusarz wymienił zamki, więc przynajmniej jedno miałam z głowy. Dwukrotnie sprawdziłam stan swoich kont i utwierdziłam się w przekonaniu, że moja taktyka minimalizowania strat, którą zastosowałam w Wirginii, przyniosła rezultaty. John nie miał dostępu do pieniędzy, które mógłby przeznaczyć na kaucję. Przygotowałam się psychicznie do następnego zadania: przeszukania jego gabinetu.

Mama poszła za mną do wyłożonego panelami pokoju u szczytu schodów. Sterty papierów piętrzyły się na dużym drewnianym biurku, obu krzesłach, w szafkach na dokumenty, na półkach ciągnących się wzdłuż ściany i na brązowej wykładzinie.

- Jak on mógł pracować w takim bałaganie? - jęknęłam.

Stało to w całkowitej sprzeczności z moją naturą - cierpiałam chaosu. Ponadto stan gabinetu rozżłościł mnie, bo mąż miał przecież wyjechać na sześć miesięcy. Wiedzia-

lam, że muszę działać ostrożnie i precyzyjnie, by dostarczyć detektywowi z wydziału zabójstw dowodów potrzebnych do ustalenia motywu. Postanowiłam zmierzyć się z tym wyzwaniem, bo mogło to mieć kluczowe znaczenie dla mojego powrotu do zdrowia.

- Od czego zacząć? - spytała mama.

- Najpierw sprzątnę z krzesel, żebyśmy mogły usiąść.

Usiadłam na skórzanym obrotowym fotelu, a mama na kanciastym krześle obok biurka. Obróciłam się wkoło, obejmując spojrzeniem panujący w pokoju bałagan.

- Nawet nie wiem, czego szukać - jęknęłam. - Ale z pewnością musimy przyjrzeć się dokładnie każdemu skrawkowi papieru. Podzielimy te sterty na różne kategorie - ciągnęłam - a potem włożymy je do teczek, które umieścimy w pudłach.

Matka dosyć szybko znudziła się tą pracą.

- Chyba nie bardzo mogę ci pomóc - powiedziała.

Poklepała mnie po dłoni, życzyła powodzenia i poszła po kawę. Przejrzałam jeszcze kilka z pozoru nieistotnych notatek, a kiedy wróciła z kubkami ożywczego napoju, oznajmiłam:

- Zapelniałam już jedno pudło. Teraz czas na teczkę Johna.

- Otworzyłam ją i aż krzyknęłam ze zdziwienia: - Patrz! To kolczyki, które miałam podczas ataku, i lateksowe rękawiczki, dokładnie takie, jakie widziałam w Indianie. - Podałam jej przedmioty i wstrząsnął mną dreszcz. - Gdyby policja nie zatrzymała Johna przy wynajętym samochodzie, przepałyby wszystkie dowody.

Sięgnęłam głębiej do teczki i wyjęłam mapę stanu, notatki dotyczące hotelu Holiday Inn w Chicago oraz dwa dokumenty

potwierdzające wynajem samochodu, również z Chicago. „Kiedy John tam był?” Zrobiłam listę, wedle dat i dokumentów, po czym wszystko włożyłam z powrotem do środka. Zadrżały mi wargi, kiedy znalazłam moją podniszczoną fotografię, tę samą, z którą obiecał nigdy się nie rozstawać. Zamknęłam teczkę, postawiłam ją w korytarzu i wróciłam, żeby pokrzepić się łykiem kawy.

- Tacie zawsze wydawało się, że z Johnem jest coś nie tak  
- powiedziała nagle mama.

- Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedział?

- Chciał, żebyś była szczęśliwa. Sądziliśmy, że tak właśnie jest.

- Bo byłam, pomijając kwestie finansowe.

W brzuchu zaburczało mi z głodu. Kiedy spojrzałam na zegar wiszący nad biurkiem, zdziwiłam się, że przeglądanie papierów trwają już tak długo.

Po lunchu mama ucięła sobie drzemkę, ja natomiast zabrałam się za przeglądanie sterty dokumentów z biurka. Następnie przeszłam do szuflad, gdzie w niepodpisanej teczce odkryłam kolejny element układanki - umowę drugiej hipoteki na mój dom w Antioch, tej, którą John zaciągnął, gdy ojciec leżał na łożu śmierci. Ciarki przeszły mi po plecach. Mój podpis podrobiono, ale nazwisko nie zostało wpisane charakterystycznym pismem męża. Zrobił to ktoś inny. Kto? John musiał mieć współnika. Zanotowałam, żeby następnego dnia udać się do biura pożyczek. Postanowiłam również częściej spoglądać we wsteczne lusterko.

To odkrycie nappełniło mnie energią do dalszej pracy. Przejrzałam pozostałe szuflady, ale niczego nie znalazłam. Następ-

nie zabrałam się za sterty *leżące* na półkach. Pierwsza okazała się zupełnie bezużyteczna, jednak druga dostarczyła mi kolejny element układanki. Znalazłam tam bowiem formularz z podpisanymi, który John miał zanieść Kirsten; ten sam, wedle którego skorzystanie ze środków z drugiej hipoteki na dom w Concord wymagało dwóch podpisów. Nigdy go nie złożył.

Kontynuowałam przeglądanie dokumentów. Gdybym stała, pewnie ugięłyby się pode mną nogi, a to z powodu wyciągów z pożyczki HFC, których dotychczas nie widziałam. John podejmował pieniądze przez ostatnie pięć miesięcy. Chwycałam za kalkulator - w sumie ponad siedemnaście tysięcy dolarów. Większość tych kwot pokrywała się z wpłacanymi na nasze konto sumami, które pochodziły z jego rzekomej pensji nauczycielskiej. Wyjęłam książeczkę czekową, ale nie mogłam doliczyć się pięciu tysięcy. Nagle znalazłam się na finansowych ruchomych piaskach i nie było nikogo, kto mógłby mi rzucić linę. Zanotowałam sobie, żeby odwiedzić Kirsten i dowiedzieć się, co się stało.

- Barbaro, wstałam! - zawołała mama z dołu. Jej głos wyrwał mnie z tych przykrych rozważań. - Julie po mnie przyjedzie, mamy kilka spraw do załatwienia.

Moja najmłodsza siostra znów zamieszkała z mamą.

- Nie zapomnij nowego klucza, drzwi będą zamknięte.

Następnie wzięłam się za jedną z szuflad biurka, przeko-  
pując się przez kolejne warstwy notatników i dokumentów. Niemal na samym dnie znalazłam niepodpisaną umowę z wydziałem psychologii, którą mąż pokazał mi jako dowód swojego zatrudnienia. Potem wyciągnęłam plik kartek z nagłów-

kiem Uniwersytetu Kalifornijskiego. Na pierwszej nazwa wydziału została zamazana korektorem. Kolejne najwyraźniej pochodziły z wydziału historii. Nie dziw, że kiedy zadzwoniłam na uczelnię, by uzyskać potwierdzenie, że John istotnie jest tam zatrudniony, nikt nie był w stanie mi pomóc.

Jak mogłam być tak głupia, tak naiwna? Sięgnęłam głębiej i wyjęłam otwartą paczuszkę identyfikatorów z nazwą i pieczęcią UK Davis. Na dnie szuflady leżał ostatni dowód oszustwa: trzy egzemplarze wypełnionego formularza podatkowego. John dał mi falsyfikat. Zanotowałam, żeby zadzwonić do mojego księgowego - musiałam złożyć korektę zeznania.

Usłyszałam dźwięk klucza we frontowych drzwiach. Wstałam, wyłączyłam światło i zeszłam na dół do mamy.

- Jestem wykończona - powiedziałam. - Zróbmy kolację i napijmy się po koktajlu. Mam ci wiele do opowiedzenia. Nie uwierzysz, co dziś znalazłam.

\* \* \*

We wtorek rano zaczęłam wykręcać numery, które wypisałam sobie na kartce. Najpierw umówiłam się na środowe popołudnie na terapię z Carolyn Pedrotti w Concord. Następnie skontaktowałam się z Tomem Landersem, żeby zmienić swój testament. Miał dla mnie czas w środę rano. Zadzwoniłam też na numery, które miały należeć do admirała Lee i Jacka Bergera. Okazało się, że obaj mężczyźni to wytwory wyobraźni Johna.

- Mamo, wybierzmy się na przejażdżkę - zaproponowałam.  
- Musimy odwiedzić kilka instytucji finansowych.

W Walnut Creek weszliśmy do biura firmy która udzieliła drugiej hipoteki na dom w Antioch. Doradca hipoteczny nawet nie próbował ukryć zdziwienia.

- A więc to pani jest prawdziwą panią Perry. Sprawa z tą pożyczką od początku wydawała nam się dziwna.

Spięłam się, słysząc te słowa. Nie odwzajemniłam uścisku dłoni i nie potrafiłam powstrzymać sarkazmu.

- Cudownie. Ostatnimi czasy całe moje życie wydaje się bardzo dziwne.

Dowiedziałam się, że John umówił pożyczkę przez telefon, ale kierownik działu nalegał, żeby podpisać ją osobiście. Mąż zażądał, żeby doradca przyjechał do domu. Na miejscu spotkał Barbarę Perry. Z jego opisu wynikało, że do złudzenia przypominała mnie. Nie miałam pojęcia, kto to mógł być. Zapisałam w notatniku słowo „bezpieczeństwo” i kilkakrotnie podkreśliłam.

- Podczas rozmowy odzywał się tylko on - ciągnął doradca.  
- Kiedy poprosiłem, żeby pozwolił i pani mówić, powiedział, że będzie mówił za was oboje. Poprosiłem o pani prawo jazdy, a on wręczył mi dokument, którego data ważności już minęła. Przyjąłem go, choć nie bez oporów.

- Dlaczego więc zgodził się pan udzielić pożyczki? - spytałam, próbując zachować spokój, ale jego głupota i brak profesjonalizmu sprawiły, że miałam ochotę krzyknąć.

- Omówiłem to z przełożonym. Kazał uzyskać identyfikację przez osobę trzecią. Spotkałem się z panem Perrym i tą kobietą w banku Miwok Valley na Clayton Road, gdzie zidentyfikował panią kierownik działu pożyczek.



- Jak to możliwe, że dokumenty są uwierzytelnione?

- Ja to zrobiłem, choć muszę przyznać, że ta kobieta nie przypominała tej ze zdjęcia na prawie jazdy.

- Chcę dostać kopie wszystkich dokumentów - zażądałam.

- Łącznie z pańskimi komentarzami na teczce.

Zapisałam, że trzeba się udać również do banku, na policję i do sądu cywilnego.

Pojechałam na posterunek w Walnut Creek. Sierżant wezwał detektywa, który oznajmił, że strata w wysokości piętnastu tysięcy nie wystarczy, by rozpocząć śledztwo w sprawie oszustwa. Znowu zostałam na lodzie.

Wizyta u Kirsten w biurze HFC w Concord okazała się bardziej owocna.

- John przyszedł w styczniu, żeby po raz kolejny wypłacić pieniądze - mówiła. - Powiedziałam mu, że to ostatnia wypłata bez pani zgody. Pamiętałam, jak upierała się pani przy dwóch podpisach, ale nie przyniósł nowego formularza.

- Szkoda, że nie dotrzymała pani obietnicy. Zostałam z kolejnymi siedemnastoma tysiącami długu.

Następny element układanki sam wpadł mi w ręce. John został odcięty od środków mniej więcej wtedy, kiedy powiedziałam mu, że sprawdzam jego opowieść o pracy na uczelni.

W drodze do domu wstąpiłam do Miwok Valley. Kierownik niechętnie przyznał się do błędu. Najwyraźniej John i jego wywiódł w pole, ale moje współczucie zamieniło się w niesmak, ponieważ nie okazał najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu udziału w oszustwie.

Po powrocie do domu wyjęłam listy ze skrzynki, mama zaparzyła herbaty, a potem obie usiadłyśmy przy kuchennym stole. Przeglądając pocztę, natknęłam się na rachunek za telefon. W kolumnie rozmów międzymiastowych zobaczyłam połączenie z Hot Springs.

- John zadzwonił do mnie, gdy byłam u dziadka Jonasa  
- powiedziałam - ale wedle rachunku telefon wykonano z Chicago.

Nie omieszkałam zapisać tej informacji na liście zagadek, do której codziennie dodawałam kilka nowych pozycji.

Później poszłam do gabinetu męża i zajęłam się stertą papierów ze stolika komputerowego. Nie znalazłam tam nic nowego. Posortowałam je i odłożyłam na miejsce, po czym wzięłam kolejny stosik. Znajdował się tam odcinek biletu lotniczego Johna, wedle którego poleciał on do Chicago 2 lutego, jak również rachunek z wypożyczalni samochodów za wynajem cadillaca, z tą samą datą. Na kawałku papieru ktoś zapisał dwa numery telefonu: jeden do naszego sąsiada, farmaceuty, drugi do schroniska dla psów w Walnut Creek. Złapałam za słuchawkę. To, czego dowiedziałam się pośrednio z rozmów, przyprawiło mnie o mdłości.

- Boże jedyny! Planował mnie zabić w Indianapolis!  
- Nie wzywaj Pana Boga nadaremno - upomniała mnie surowo mama.

Stanęła w drzwiach gabinetu, udając się już do łóżka.

- Jak tylko pojechałam na lotnisko, żeby polecieć do Hot Springs - wyjaśniałam jej - zabrał psy do schroniska, poleciał do Chicago i spędził dwie noce w Holiday Inn. W poniedziałek ruszył do Indianapolis i tamtejszego Holiday

North Inn. Wszystko wskazuje na to, że przyglądał mi się, gdy się meldowałam.

Na samą myśl o tym zrobiło mi się niedobrze. To on poprosił o odosobniony pokój na tyłach budynku. Przed oczyma stała mi butelka z eterem i rękawiczki chirurgiczne, które odkryłam w łazience.

- Mamo, planował zaatakować mnie w pokoju, zanieść ciało do wynajętego przeze mnie samochodu i upozorować wypadek. Zanim policja dotarłaby na miejsce, eter już dawno wyparowałby z krwiobiegu. - Zamilkłam na chwilę. - Wtedy dostałby od ubezpieczyciela dodatkowe pieniądze, bo zginęłabym w podróży służbowej.

- Jak sądzisz, dlaczego się wycofał? - wyszeptała mama.

- Pewnie ze względu na położenie pokoju i przez gęstą mgłę.

- A skąd wziął eter?

W mojej głowie zapaliła się żarówka.

- Nie mógł go dostać od naszego sąsiada, więc naciągnął panią weterynarz.

Zanotowałam sobie, żeby zadzwonić do niej z samego rana.

Mama poszła do łóżka, a ja nadal zajmowałam się rozplątywaniem sieci kłamstw, którą omotał mnie mąż. Przeglądając kolejne sterty papierów, zdobyłam wiele cennych informacji. Nim minęła północ, wiedziałam już, że sfalszował swoje świadectwo urodzenia, odmładzając się o dwa lata. Aby je uwiarygodnić, użył pieczętki Two Star. Najbardziej jednak wstrząsnęły mną wskazówki związane z próbą zabójstwa w Wirginii, które uświadomiły mi, że działał z premedytacją, a na dodatek chciał jak najwięcej na tym zyskać. Wykupił największe możliwe ubez-

pieczenie na wynajęty samochód. Zadbaj o to, żebyśmy dostali pokój z dala od frontu, blisko garażu. Skurwysyn, zamierzał upozorować wypadek samochodowy i wszystko miało wskazywać na to, że w nim zginęłam.

Dotarłam do łóżka, raz po raz potykając się ze zmęczenia, ale nie mogłam zasnąć. Gdy próbowałam dopasować elementy układanki, kłębiły mi się w głowie rozmaite myśli. Teraz rozumiałam, dlaczego tuż przed wyjazdem John zachowywał się tak podejrzanie. Nie zdołał namówić mnie, żebym zapisała mu dom w Antioch, ale i tak sporo by zyskał na mojej śmierci. Chociaż uparcie odmawiałam wykupienia ubezpieczenia na życie, nie porzucił swoich planów, lecz ukradkiem podejmował coraz więcej pieniędzy. Na gwałt chciał się nauczyć obsługi komputera i kamery, bo mnie miało już nie być. Zostawił w domu swojego roleksa i rozrzucone papiery dotyczące Westinghouse, żeby móc udawać pogrążonego w rozpacz widowca.

Musiałam stawić czoła okrutnej prawdzie, zamiast zaprzeczać faktom: mąż naprawdę próbował mnie zamordować. Czulałam się jak naiwna pensjonarka. Konsekwentnie ignorowałam wszystko, co świadczyło o oszustwie. Brzydziłam się sobą, a jeszcze bardziej nim. Miał naprawdę diabelski umysł.

Zasnęłam, płacząc.

\* \* \*

W środę z samego rana zadzwoniłam do detektywa Smitha, żeby przedstawić mu wyniki własnego śledztwa.

- Szkoda, że nie możemy pani zatrudnić - powiedział i zaśmiał się głośno. - Nieżle pani poszło. - Po chwili jednak

spoważniał. - Ale mam złe wieści. Kaucja zostanie obniżona z dwudziestu pięciu do dziesięciu tysięcy, ponieważ stanie przed sądem rodzinnym. Na domiar złego wystarczy, że wpłaci zaledwie dziesięć procent.

- Słucham? Może wyjść na wolność, wpłacając tylko tysiąc dolarów?

- Ponieważ jest pani jego żoną, sprawę zakwalifikowano jako przemoc domową, a tym zajmują się sądy rodzinne.

- Chce mi pan powiedzieć, że gdybym była prostytutką, sprawa trafiłaby bezpośrednio do sądu karnego?

- Tak.

- To wiele mówi o prawie stanu Wirginia, nie sądzi pan? Zonę traktuje się jak własność męża. Jestem zatem podwójną ofiarą.

- Przykro mi. Być może to, co pani znalazła, wystarczy, żeby wyznaczyć wyższą kaucję. A swoją drogą, wciąż nie udało nam się ani potwierdzić, ani podważyć jego stopnia kontradmirała.

- A odciski palców?

- FBI jeszcze się do nas nie odezwało.

- Minęło już pięć dni. Myślałam, że policja działa szybciej.

- Rzeczywistość to nie serial telewizyjny - powiedział z troską.

Rozłączyłam się. Miałam już dość powodów do zmartwień, a teraz pojawiła się jeszcze możliwość, że John wyjdzie z więzienia. Zrobiłam, co mogłam, by do tego nie doszło, ale co z jego współniczką? Czyżby to ona miała zdobyć dla niego pieniądze? Zapisałam: „Potwierdzić, że John jest admirałem”.

Ta rozmowa telefoniczna zapoczątkowała ścisłą współpracę między detektywem i mną, czyli śledczym. Greg wiedział, że poruszam się po omacku. Pewnego razu, aby ukoić moje

zszargane nerwy, wysyłał mi rysunki z komiksów, w których wybrane słowa zmienił tak, żeby pasowały do mojego przypadku. Dzięki niemu w tej tragicznej sytuacji mogłam dostrzec również pewne elementy komiczne.

Zadzwoiłam do lecznicy i potwierdziłam, że John podstępem zdobył od nich eter, i to nie jeden raz, ale dwa, dzięki czemu dysponował śmiertelną dawką. Za pretekst posłużyły mu problemy zdrowotne naszego kota. Za pierwszym razem przekonał panią doktor, że weterynarz z UK Davis przepisał eter dla kota; za drugim - że zbil butelkę i potrzebuje kolejnej.

Teraz byłam jeszcze bardziej zdeterminowana. Nadszedł czas, by załatwić kilka spraw. Najpierw pojechałam do biura Toma Landersa, który wręczył mi rachunek opiewający na tysiąc dwieście dolarów. Przeprosił, wyjaśniając, że podwyższona kwota wynika ze złożoności sprawy majątku Johna.

-Jakiego majątku? Wcale niejestem przekonana, że istnieje. Czy w tę cenę wliczył pan także spotkanie z Jasonem?

- Z kim? Nie spotykałem się z nikim poza Johnem.

- Mogę skorzystać z telefonu?

Gdy zadzwoniłam do Jasona, ten poinformował mnie uprzejmie, że nie ma pojęcia, o czym mówię.

- Kupiłem ten dom ponad dwanaście lat temu - przekonywał - ale nie od Johna. Właściwie znam go tylko jakiegoś jedenaście lat.

- Słucham? Myślałam, że jest spokrewniony z pana ojcem.

- Nie, przedstawiłem go rodzicom po tym, jak się poznaliśmy. Polubili się i zostali przyjaciółmi.

- Mąż mnie okłamał - powiedziałam ponurym tonem, gdy odłożyłam słuchawkę. - Teraz wiem, dlaczego nie dostaliśmy od Jasona żadnych pieniędzy. Dom należy do niego.

W tym tygodniu świat walił mi się na głowę raz za razem. Z każdym nowym odkryciem lód pod moimi stopami robił się coraz bardziej kruchy, a teraz w końcu pękł. Podjęłam decyzję: aby nie popaść w obłąd, będę musiała się rozwieść - nieważne, co inni sobie o mnie pomyślą. Przez ostatnie dziewięć lat tego właśnie obawiałam się najbardziej.

- Chcę natychmiast rozpocząć postępowanie rozwodowe - oświadczyłam.

Tom nie zajmował się prawem rodzinnym, ale zadzwonił do znajomego prawnika.

- Właśnie ktoś odwołał spotkanie, może pani tam pójść już teraz.

Razem z mamą weszliśmy do gabinetu Rossa Grissoma. Zza biurka wstał niewysoki, dobrze ubrany mężczyzna, który przywitał nas ciepłym uśmiechem. Za jego plecami stał regał z tomami kodeksu prawa rodzinnego stanu Kalifornia.

- To najdziwniejsza sprawa, o jakiej w życiu słyszałem - powiedział, kręcąc z niedowierzaniem głową, gdy przedstawiłam mu swoją sytuację.

Poczułam, jak narasta we mnie napięcie. Dlaczego nie mógł to być zwykły, prosty rozwód, taki jak pierwszy?

- Mogę panią reprezentować - ciągnął - ale na początek potrzebuję dwóch i pół tysiąca dolarów zaliczki.

Moje dłonie kurczowo zacisnęły się na przesiąkniętej łzami chusteczce. Za każdym razem kończyło się na pieniądzach.

- Nie mam teraz tyle. Jest jakiś inny sposób?

Natrafiłam na ogromną przeszkodę i nie wiedziałam, jak ją ominąć.

- Pożyczę ci - powiedziała mama. - Możesz później podpisać weksel.

Wypisała czek, a Ross przekazał mi kolejną przykrą wiadomość.

- Musimy załatwić Johnowi prawnika rozwodowego w hrabstwie Contra Costa.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego - oznajmiłam. - Niech sam się tym zajmuje. Poza tym siedzi teraz w więzieniu w Wirginii i ma obrońcę z urzędu, Kenta Whistlera.

Ross wyjaśnił, że prawnik z Wirginii zajmuje się prawem karnym i prawdopodobnie nie może uprawiać zawodu w Kalifornii, ale można przez niego przekazywać informacje Johnowi. Z ociąganiem wyjęłam z torebki książeczkę z telefonami i dałam mu numer Whistlera. „Szkoda, że Greg Smith mi go dał” - pomyślałam. Ross zadzwonił i ustalił, że prześle faksem listę adwokatów, którzy zajmują się prawem rodzinnym w hrabstwie Contra Costa. Zastanawiałam się, czy będę musiała zapłacić także za ten telefon.

Później ta rozmowa okazała się pierwszym krokiem w wieloletniej bitwie, podczas której usiłowałam uwolnić się od Johna Perryego na drodze prawnej. Ross zalecił, żebym wstrzymała się z rozwodem, dopóki nie sprzedam domu w Concord.

- Wtedy łatwiej będzie podzielić pieniądze - wyjaśnił.

- Ale ja chcę złożyć pozew o rozwód teraz. Zażądam też zakazu zbliżania się, bo John może wyjść za kaucją.



Może Ross nie rozumiał powagi sytuacji. Moja panika tylko się pogłębiła, gdy powiedział, że muszę nadal opłacać ubezpieczenie motoryzacyjne i medyczne męża.

- Co!? On jest w więzieniu, i tak nie może z tego korzystać.

- Tak stanowi prawo. W naszym stanie obowiązuje wspólność przyrostu majątku. Co więcej, John otrzyma połowę pani funduszu emerytalnego, a wnioskując z tego, co mi pani powiedziała, ma również prawo do alimentów.

- Słucham? Próbował mnie zamordować, a ja mam jeszcze mu płacić?

- Jest w więzieniu i nie pracuje. Tak stanowi prawo.

Podarłam mokrą chusteczkę na drobne kawałki. Nie mogłam w to uwierzyć. Chciałam tylko złożyć pozew i jak najszybciej otrzymać rozwód, ale wyglądało na to, że nic, co ma związek z Johnem, nie może odbyć się bez problemów. Poczulałam, jak ścisła mnie w gardle, a do oczu znowu napływają łzy.

- To niesprawiedliwe - wyszeptalam. - Po raz kolejny padam ofiarą, tym razem prawa rozwodowego Kalifornii.

\* \* \*

Po południu siedziałam sama w poczekalni terapeutki rodzinnej i czułam się jak ryba wyrzucona na brzeg. Miałam wrażenie, że pomieszczenie robi się coraz mniejsze i nie mam czym oddychać. Wiedziałam, że potrzebuję pomocy. Wtedy z gabinetu wyszła wysoka, elegancka kobieta. Miała na sobie granatową sukienkę i kolorową apaszkę. Przedstawiła się i zaprosiła mnie do środka.

- Mam położyć się na kozetce?

- Tylko jeśli ma pani na to ochotę - wyjaśniła z uśmiechem.

- Większość osób woli usiąść w fotelu.

- Ja też - powiedziałam.

Obok stało pudełko chusteczek.

Carolyn zaczęła od łagodnych, ogólnych pytań o rodzinę i związek z Johnem. Dobrze się stało, że chusteczki były pod ręką, bo zużyłam prawie całe pudełko. Gdy zbliżał się koniec spotkania, spojrzała na mnie z powagą.

- Musi pani dokonać wyboru. Możemy zająć się rozpaczą po śmierci Johna jako osoby, którą rzekomo pani знаła, albo tym, dlaczego tkwiła pani w związku, przez który niemal straciła pani życie.

Wybrałam drugą opcję. Nigdy więcej nie chciałam popełnić tego błędu.

- To dobry wybór - oceniła Carolyn. - Wygląda na to, że John jest socjopatą. Nie ma sumienia. Sądzi, że należy mu się wszystko, czego chce. Wykorzystywał pani kobiece skłonności do okazywania troski i empatii. Od razu dostrzegł pani samotność, a jego oszustwa doprowadziły do tego, że przekroczyła pani własne granice. Zastawił na panią pułapkę, a pani w nią wpadła.

Wyjaśniła, że moje poczucie własnej wartości zostało strzaskane i że istniało wiele sposobów, żeby na nowo je poskładać. Spytała, czy słyszałam kiedyś o współzależnieniu. Pokręciłam głową. Napisała coś na odwrocie swojej wizytówki.

- Chcę, żeby przed naszym następnym spotkaniem przeczytała pani książkę Melody Beattie *Koniec współzależnie-*

*ttiah* Dostanie ją pani w każdej księgarni. Może pani być z siebie dumna: ocaliła pani życie i nie dała się sparaliżować strachowi. Stawiła pani opór i poradziła sobie w bardzo niebezpiecznej sytuacji.

Kiedy wyszłam, serce waliło mi jak oszalałe. Udało mi się przeżyć. Zmierzałam w kierunku odzyskania wolności i zdrowia, choć nie wiedziałam, czy droga będzie prosta, czy też pełna przeszkód.

W księgarni otworzyłam książkę na przypadkowej stronie i przeczytałam:

*Możemy nawet przekonać samych siebie, że nie możemy żyć bez danej osoby, że zwiędniemy i umrzemy, jeśli zabraknie jej w naszym życiu. Jeśli ta osoba... ma poważne problemy, będziemy nawet tolerować przemoc i szaleństwo, byle ją przy sobie zatrzymać, byle ochronić nasze źródło poczucia emocjonalnego bezpieczeństwa.*

To byłam ja! Autorka, Melody Beattie, opisała właśnie moje postępowanie, moje uczucia i emocje. Gdy kupowałam tę książkę, ogarnęły mnie jednocześnie strach i ekscytacja.

\* \* \*

W czwartkowy poranek obudziłam się i policzyłam, że to zaledwie sześć dni temu w moje życie wkroczył terror, który sprawił, że musiałam obrać nowy kierunek, tymczasem mnie wydawało się, że minęła wieczność.

Po śniadaniu poszłam do gabinetu Johna. Wciąż miałam do przeczytania mnóstwo dokumentów, które musiałam przyporządkować do właściwej kategorii i schować w odpowiednie miejsce. Przede wszystkim myślałam o tym, co detektyw powiedział na temat dowodów potwierdzających stopień wojskowy Johna.

Co można zrobić, by potwierdzić, że ktoś jest admirałem? Ależ oczywiście, czemu nie pomyślałam o tym wcześniej? Skontaktuję się z kontradmirałem, który był konsultantem w firmie Johna, tym, który dowodził niegdyś na Treasure Island. Zawsze dziwiło mnie, że on i jego żona przestali się z nami przyjaźnić. Kiedy wspomniałam o tym Johnowi, zbył mnie, mówiąc, że to nieistotne.

Odnalazłam numer kontradmirała i wykręciłam go.

- Dzień dobry, mówi Barbara Perry, żona Johna.

Zapadła niezręczna cisza. Rozmówca dopiero po chwili przyznał, że mnie zna. Wyjaśniłam, co się stało, i spytałam, czy może pomóc mi dowieść, że John jest emerytowanym kontradmirałem marynarki Stanów Zjednoczonych.

- Nie wie pani o FBI? - spytał.

- Nie, a o co chodzi?

- Prowadzą śledztwo w jego sprawie, ponieważ podszywał się pod admirała.

Słuchawka niemal wypadła mi z rąk. Widziałam przecież tyle dowodów: witano nas oficjalnie na pokładzie statków, nosił Medal Honoru, wpuszczano nas na teren każdej bazy wojskowej, którą odwiedziliśmy. Wraz z innymi admirałami gościliśmy na pokładzie statku admirała głównodowodzącego,

a od Blue Angels otrzymaliśmy zdjęcie dedykowane „konradmiralowi Perryemu”.

- Zadzwońm do FBI i złożyłem doniesienie jesienią osiemdziesiątego dziewiątego — powiedział oschle. - Szczegółowe informacje może pani uzyskać, dzwoniąc do biura FBI w Concord. I proszę więcej się ze mną nie kontaktować.

Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam przeszukiwać pamięć. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy w naszych drzwiach stanęło FBI, John przestał pracować. Czy te wydarzenia miały ze sobą coś wspólnego? Zadzwońm do biura FBI i odnalazłam agenta, z którym skontaktował się konradmiral. Wytłumaczyłam, kim jestem i czego chcę się dowiedzieć. Agent był bardzo uprzejmy i potwierdził to, czego najbardziej się obawiałam: wciąż prowadzono śledztwo dotyczące mojego męża.

- Mamy informacje, że wielokrotnie się tego dopuszczał. Czy wie pani, że spędził trzy lata w więzieniu federalnym za podszywanie się pod oficera lotnictwa?

- Nie - jęknęłam przerażona.

Agent przekazał mi tyle informacji, ile pozwalały mu ujawnić przepisy.

- Ponieważ Johnowi zostaną postawione znacznie poważniejsze zarzuty, prawdopodobnie zamkniemy nasze śledztwo - wyjaśniał. - Mam medale, na które natknęliśmy się w pani domu. Czy mogę je pani podrzucić?

- Oczywiście, proszę tylko powiedzieć, kiedy chce pan przyjechać. Powiem o waszym śledztwie detektywowi z wydziału zabójstw, Gregowi Smithowi. Pewnie on też do was zadzwoni.

- Ach, jeszcze jedno - dodał agent. - Nie znaleźliśmy Medalu Honoru. Wie pani może, gdzie jest?

Nie miałam pojęcia.

Wreszcie wyjaśniła się sprawa tajemniczego zniknięcia odznaczeń. Wpadłam w furję. Nagle przypomniałam sobie wszystkie rozmowy, podczas których John zbywał mnie kolejnymi kłamstwami.

- Nienawidzę cię! - krzyknęłam do pustego pokoju.

Natychmiast zadzwoniłam do Grega Smitha.

- Świetnie - odparł, gdy powiedziałam mu o najnowszym odkryciu. - Sądzę, że dzięki tym informacjom prokurator będzie mógł ponownie podnieść kaucję do dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Jest pani niesamowita. Bardzo nam pani pomogła. - Potem dodał, że rozmawiał już z agentem FBI. - Czy zna pani pseudonimy Johna?

- Pseudonimy?

- Według FBI posługiwał się nazwiskami: „Calliet Delvin”, „Guy D. Delvin”, „Daniel F. Malley”, „Robert Lee Stuart” i „Thomas John Mudge”. Czy któreś z nich brzmi znajomo?

- Nie, ale będę ich wypatrywać, przeglądając jego dokumenty.

Rozpierała mnie duma. Mimo rozpaczy byłam w stanie normalnie funkcjonować. Na dodatek znalazłam wystarczająco dużo dowodów, żeby sprawa trafiła przed sąd. Jednak moja praca w roli śledczego dopiero się zaczęła... Podobnie jak terapia.

## *Proces*

Pięć tygodni później siedziałam w gabinecie Alexandry Kouracos, prokurator przydzielonej do mojej sprawy, i nerwowo obracałam w dłoniach styropianowy kubek do kawy. Według Alexandry John był przestępcą od zawsze. Jeśli dzisiaj przekonałaby o tym sędziego sądu rodzinnego, sprawa trafiłaby do sądu karnego.

Weszła do gabinetu z plikiem teczek w rękach. Miała nietypowe, ostre rysy twarzy i ciemne włosy, co upodabniało ją do sędziego z portretu najednej ze ścian.

- To mój ojciec - wyjaśniła z uśmiechem. Biła od niej pewność siebie i duchowa siła. - Przed przyjściem Grega Smitha przeanalizujemy jeszcze raz pani zeznanie.

- Ciężko pracowałam, by przygotować się na ten dzień.

- Świetnie pani pójdzie, choć muszę przyznać, że to najdziwniejsza sprawa, jaką kiedykolwiek się zajmowałam.

- Dzięki. Najpierw powiedział mi to prawnik rozwodowy, teraz pani. Zaczynam się czuć jak dziwadło.

Kiedy przyszedł Greg, zebraliśmy nasze rzeczy i ruszyliśmy labiryntem korytarzy. Tuż przed wejściem na salę sądową Alexandra poprosiła, żebym usiadła na chwilę, bo musi uzgodnić jeszcze parę szczegółów. Smith również gdzieś zniknął.

Stałam się kłębkim nerwów. Dziś miałam przekonać się, czy istotnie odzyskałam wolność. Podczas procesu nie mogłam okazać słabości, nie mogłam pozwolić, żeby John mnie zastraszył. Nie miał już nade mną żadnej władzy i musiałam pokazać mu swoją determinację. Zastanawiałam się, jaki będzie finał tej sprawy. Drżałam za każdym razem, gdy otwierały się drzwi windy i na korytarzu pojawiał się ktoś w niebieskim kombinezonie.

Odzyskanie kontroli nad własnymi decyzjami wiele mnie kosztowało. Przełom nastąpił, gdy odkryłam, jak korzystać ze swej wewnętrznej siły. Zmiany, które we mnie zaszły, wprawiły mnie w zdumienie. Miałam szansę odrodzić się jak Feniks z popiołów. Podczas moich wizyt Carolyn często odnosiła się do tego, co pisałam lub rysowałam. Na piątym spotkaniu wyraziłam zaskoczenie swoim rozwojem emocjonalnym.

- Wydaje mi się, że zbyt szybko robię postępy - wyznałam.

- A wiesz, dlaczego tak jest? Musiałaś odzyskać siłę przed przesłuchaniem wstępnym. Wytrwałaś. Odkryłaś, że aby stanąć na nogi, potrzeba czegoś więcej niż siedzenie w moim gabinecie przez pięćdziesiąt minut na tydzień.

Gdy tkwiłam na twardej ławce na korytarzu sądu, czułam się, jakbym umierała. Alexandra i Greg długo nie wracali. Czas mijal, a mnie zżerały nerwy. Potrzebowałam otuchy, więc sięgnęłam do torebki i wyjęłam horoskop z porannego „Washing-



ton Post". Znalazłam pocieszenie w słowach: „Nie będziesz już bać się ciemności. Skup się na tym, co mówi ci twoje wnętrze... Zwróć uwagę na poufne informacje... Członek rodziny wyjaśnia dziwny plan. Zachowaj równowagę i dystans. Powiedz »nie!«".

„To właśnie dzisiaj zrobię" - pomyślałam. „Powie Johnowi »nie«. Nie załamie się". Nagle usłyszałam, jak otwierają się drzwi i podniosłam wzrok: na korytarz wyszedł mój mąż; miał skute ręce i nogi, a ubrany był w niebieski kombinezon. Uzbrojony strażnik eskortował go na salę sądową. Oddech zamarł mi w piersi i instynktownie odwróciłam głowę. Nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy, jeszcze nie.

Musiałam przywołać w pamięci wszystkie fakty, które niedawno odkryłam. John twierdził, że jest właścicielem obrazów, ale tak naprawdę nie należały do niego. „Pożyczył" je od innej kobiety i nigdy nie oddał. Potem namówił ją, by zaciągnęła pożyczkę w wysokości pięciu tysięcy dolarów - tyle właśnie rzekomo wypłaciła mu babka. „Pomyśl o tym, ile trosk ci przysporzył. Przez niego czułaś się jak przestępca, gdy sędzia rozwodowy wydał zakaz zbliżania się dla was obojga. Od chwili, w której się poznaliście, powtarzałaś mu, że uczciwość jest dla ciebie najważniejsza. Pomyśl o koszmarach, które nękają cię w nocy. On nie zasługuje na twoje współczucie, a tym bardziej na wsparcie".

Przyszła Alexandra i powiedziała:

- Zaczynamy.

Po chwili dołączył do nas Greg i we trójkę wkroczyliśmy na salę rozpraw. Z ławkami przedzielonymi wąskim koryta-

rzem i ścianą z oknami po jednej stronie trochę przypominała mi kościół. Ołtarz zastępowało podium ze stołem sędziego. Czy miałam zostać dziś kozłem ofiarnymi?

John i jego obrońca, Kent Whistler, usiedli przy stole po prawej, a za nimi zajął miejsce jakiś mężczyzna. Alexandra poprowadziła mnie w lewo, gdzie usiadłam wraz z Gregiem i pozostałymi świadkami oskarżenia. „Zupełnie jak na ślubie” - pomyślałam. „Rodzina pana młodego po jednej stronie, a panny młodej po drugiej”. Jak na ironię, zebrani nie mieli jednak świętować nowego początku, ale zaświadczyć o tragicznym końcu.

Sędzia ogłosił początek rozprawy. Po złożeniu przysięgi świadków poproszono o opuszczenie sali. W niczym nie przypominało to procesów z filmów czy seriali o Perrym Masonie. Greg wyjaśnił mi, że dzięki temu nikt nie zmieni zeznań, sugerując się słowami innego świadka. Jego głęboki, pełen troski głos pomógł mi się uspokoić. Czekając wraz z nim na swoją kolej, modliłam się w duchu: „Drogi Boże, błagam, daj mi siłę, żeby to przetrwać”.

Niebawem drzwi sali otworzyły się i usłyszałam swoje nazwisko - wywołał je urzędnik sądowy. Początkowo nie mogłam się ruszyć. Wzięłam głęboki oddech i przerażona skierowałam się do stanowiska dla świadków. Gdy usiadłam, John natychmiast utkwił we mnie przeszywające spojrzenie. Jeszcze niedawno nie wytrzymałabym tego i odwróciła wzrok. Ale dzisiaj spokojnie patrzyłam na żalospną postać starca w więziennym uniformie.

„Nie masz już nade mną żadnej władzy. Nie masz już nade mną żadnej władzy”. Czy widział, czy rozumiał, że się zmieni-

łam? Powtórzywszy swoją mantrę jeszcze kilka razy, spostrzegłam, że zaczął nerwowo wiercić się na krześle i w końcu odwrócił wzrok. A więc wygrałam! Nieważne, że nikt z obecnych na sali nie miał pojęcia, co się właśnie stało. Ja wiedziałam. Byłam gotowa zeznawać.

Alexandra zadała kilka pytań dotyczących naszego małżeństwa, finansów oraz tego, jak znaleźliśmy się w pokoju numer 173 w Marriotcie.

- Chciałabym, żeby spojrzała pani na te zdjęcia, pani Perry. Czy widzi pani na nich siebie po ataku?

Kent Whistler podniósł się ze swojego miejsca.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Jako dowody dopuszcza się tylko zdjęcia wykonane z kliszy w formacie trzydzieści pięć milimetrów.

Alexandra zadała mi kolejne pytania, a ja wyjaśniłam, że zdjęcia zostały zrobione moim aparatem 35 mm.

- Sprzeciw. Świadek zrobiła zdjęcie sama sobie. Mogła przecież ucharakteryzować twarz.

Sędzia spojrzał na Kenta, pokręcił głową, po czym zwrócił się do mnie i spytał, kto zrobił zdjęcie. Odpowiedziałam, że był to detektyw z wydziału zabójstw, Greg Smith.

- Odrzucam sprzeciw - oznajmił sędzia donośnym głosem. - Świadek złożyła zeznanie, z którego wynika, że wszystkie warunki zostały spełnione. Fotografie zostaną zatem dopuszczone jako dowody.

W myślach podziękowałam Bogu, że aparat funkcjonariusz Cobb nie zadziałał.

Później wziął się za mnie Kent. Przeinaczając fakty, próbował doprowadzić do tego, żebym sama zaprzeczyła swojej

wersji wydarzeń. Atakował mnie bezlitośnie, ale nie poddałam się, nawet gdy mąż ponownie obrzucił mnie lodowatym spojrzeniem.

Po wszystkim pozwolono mi zostać na sali. Wysłuchałam zeznań kilku funkcjonariuszy policji. Oskarżenie nie miało więcej pytań, a Kent Whistler wezwał tylko jednego świadka, eksperta, który zeznał, że John był uzależniony od eteru. Alexandra rozniosła jego zeznanie w pył. Obrona nie miała więcej pytań.

Następnie sędzia przyjrzał się dokumentom, które przed nim leżały. Wydawało się, że minęła wieczność, zanim się odezwał.

- Na podstawie przedstawionych dowodów odsyłam sprawę Johna Perryego do sądu karnego, gdzie odbędzie się proces w sprawie o usiłowanie zabójstwa z premedytacją. Podtrzymuję kaucję w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

Uderzeniem młotka zakończył rozprawę.

Przyglądałam się, jak John wychodzi z sali, powlócząc nogami. Moje zwycięstwo miało jednak gorzki smak. Wiedziałam, że mąż jest chory psychicznie, i modliłam się, by otrzymał pomoc, której potrzebował. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, że socjopsychopaty nie da się zmienić.

\* \* \*

Minęły trzy tygodnie. Siedząc przy biurku w pracy, czekałam na telefon od Grega. Często się kontaktowaliśmy, żeby przekazywać sobie informacje na temat dowodów, które udało nam się znaleźć. Ta współpraca bazowała na wzajemnym szacunku i zaufaniu. Poprzedniej nocy przesłałam mu faksem nowe dane. Gdy zadzwonił, niemal rzuciłam się na telefon.

- Odnalazłam kobietę - zaczęłam, nie potrafiąc ukryć podniecenia - która podszywała się pode mnie przy podpisywaniu umowy o pożyczkę.

Pewnego dnia wynosząc śmieci, spotkałam moją sąsiadkę. Po wymianie uprzejmości nagle spytała:

- A jak poszło z podaniem o pożyczkę?

Okazało się, że John poprosił ją, by złożyła podpis w moim zastępstwie; powiedział jej, że wyjechałam, a musi jak najszybciej złożyć dokumenty. Wahala się, ale uspokoił ją, zapewniając, że to on będzie mówił. Później doradca zażyczył sobie identyfikacji przez osobę trzecią. John kazał jej więc stać przy drzwiach banku, uśmiechać się i machać do doradcy i kierownika. Potem poszli do samochodu i podpisali dokumenty. Doradca powiedział, że uwierzytelnie po powrocie do biura.

- Dobra robota - ocenił Greg. - Będzie doskonałym świadkiem.

- No nie wiem. Strasznie się wstydzi tego, co zrobiła. Nie wzięła żadnych pieniędzy. Do tego sądziła, że wyświadcza nam przysługę, a teraz boi się, że zostanie o coś oskarżona.

- Porozmawiam z nią. Jeśli o to chodzi, nie ma się czego obawiać.

Następnie zaczęliśmy rozmawiać o dokumentach, które mu przesłałam. Znajdował się wśród nich list od weterynarza z UK Davis, w którym ten zaprzeczał, jakoby przepisał dla kota eter. W innym zaś agent biura podróży potwierdzał daty zakupu biletów przez Johna i jego podejrzane zachowanie. Był tam też list z Concord, w którym weterynarz tłumaczyła, jak John skłamał, by dostać od niej eter.

- Ona musi zeznawać - zawyrokował Greg. - Skoro masz już dwóch świadków, przyleć do Kalifornii i spiszę ich zeznania.

Odłożywszy słuchawkę, po raz kolejny zamyśliłam się nad procesem notarialnym. Zawsze wydawało mi się, że istnieje po to, by takie rzeczy się nie zdarzały. Tego dnia przestałam wierzyć w jego sens.

\* \* \*

Kolejny miesiąc minął mi na pracy, terapii, prowadzeniu śledztwa i utarczkach z Johnem w sprawie rozwodu. To ostatnie zajęcie pochłonęło najwięcej energii. Siedział w celi i tworzył listy rzeczy, które do niego należą: od mercedesa poczynając, na ścierkach i ręcznikach kończąc. Obok dopisywał szacowaną wartość przedmiotu.

Śledził też uważnie postępowanie rozwodowe. Zaskakiwało mnie, jak wiele może zdziałać z więzienia. Jego najnowsza strategia polegała na zwracaniu moich listów bez otwierania. Czulałam się równie bezbronna i wyczerpana emocjonalnie jak wtedy, gdy byliśmy razem. Wciąż rzucał mi klody pod nogi.

Byłam tak zdesperowana, że poprosiłam o interwencję naczelnika więzienia. Odniosła ona zamierzony skutek: mąż w końcu zgodził się ze mną porozmawiać. Podczas rozmowy telefonicznej, oczywiście na koszt odbiorcy, najpierw wymieniliśmy uprzejmości, a następnie przeszłam do rzeczy. Zaproponowałam, żebyśmy korzystali z usług tego samego prawnika, aby zaoszczędzić pieniądze, lecz nawet nie chciał o tym słyszeć. Potrzebowałam również jego zgody na obniżenie ceny domu w Concord i mercedesa.

Jak zwykle najpierw mnie zwodził, udając, że przystaje na moją propozycję, tylko po to, by potem się wycofać. Nie pomogły nawet moje argumenty, że z tych pieniędzy będzie mógł opłacić swojego adwokata.

- Nie obchodzą mnie prawnicy - oznajmił.

Cóż, istotnie tak było. Wielokrotnie widziałam, jak z nimi pogrywa, dlatego wcale nie zdziwiła mnie wiadomość, że w 1975 roku w San Diego nie zapłacił jednemu z nich należnego mu honorarium. Dowiedziałam się o tym, gdy odkryłam, że mniej więcej w tym samym czasie aresztowano go za kradzież samochodu i przekręty z kartami kredytowymi. Do tego pobił kobietę, niemal ze skutkiem śmiertelnym. Na wieść o tym ogarnęła mnie trwoga.

W końcu dotarło do mnie, że John nie jest miłym starszym panem. Zrozumiałam, że muszę postępować z nim niezwykle ostrożnie, ponieważ wciąż może wyrządzić mi krzywdę, finansową, ale również fizyczną.

Przeszłam do następnego punktu na mojej liście, czyli do miesięcznych czeków z renty, które nagle przestały przychodzić. Z tych pieniędzy opłacałam wspólne rachunki, więc ich brak poważnie nadwerżył moje finanse.

- Słyszałem, że kasy oszczędnościowo-pożyczkowe upadły - wyjaśniał John. - Myślę, że to może rzutować na wpłaty.

- Miejmy nadzieję, że się mylisz. Sprawdzę to.

- Nie ma sensu, zostaw to - powiedział, podnosząc głos.

- Nie zajmuj się tym!

Nie drążyłam tematu. Nie miałam do niego więcej spraw, a poza tym ignorował wszystkie moje prośby. Zrobiło mi się nie-

dobrze, głowa zaczęła mi pękać z bólu. Odłożyłam słuchawkę i zanosłam się szlochem. Nadzieje na to, że uda mi się dojść z mężem do jakiegoś porozumienia, całkowicie się rozwiały. Stało przede mną widmo przejścia majątku przez bank. Wiedziałam, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż stracę swój dom w Concord.

\* \* \*

Proces rozpoczął się w czerwcu 1991 roku. Miał być krótki i odbyć się bez udziału mediów. Upiekło mi się, ponieważ pierwsze zgłoszenie na policję zostało zakwalifikowane jako sprzeczka domowa, czyli coś nudnego i niewartego uwagi.

Przez ostatnie cztery miesiące żyłam w ciągłym strachu, ponieważ nie wiedziałam, czy John ma współnika ani też czy nie istnieje polisa na moje życie, której jest beneficjentem. Ponadto wciąż poszukiwałam nowych dowodów na uknuty przez niego spisek i zmagalam się z własnymi problemami psychicznymi. To był ciężki okres.

Siedząc razem z innymi świadkami w budynku sądu hrabstwa Arlington, w sali numer 601, sprawiałam zapewne wrażenie osoby, która całkowicie panuje nad sytuacją. W istocie jednak znajdowałam się na skraju załamania nerwowego. Byłam głównym uczestnikiem procesu o usiłowanie zabójstwa i nie wiedziałam, czy podczas przesłuchania uda mi się zachować spokój. Nie miałam pojęcia, jak długo to wszystko potrwa i czy John zostanie skazany. Jeśli nie, to co się stanie? Pograżyłam się w zadumie, z której wyrwał mnie dopiero głos urzędnika sądowego.



- Proszę wstać.

Wszyscy wstali, po czym usiedli zgodnie z nakazem sędziego Madisona. Wygłosił on mowę w języku prawniczym, z której nie wszystko zrozumiałam, a potem poprosił o powstanie oskarżonego i jego obrońcę.

- Czy oskarżony przyznaje się do winy?

- Nie, Wysoki Sądzie - odpowiedział John bezbarwnym głosem. Stał przygarbiony, z lekko pochyloną łysą głową. Miał na sobie szarą marynarkę i granatowe spodnie.

Dziesięć minut później zaprzysiężono dwadzieścioro troje ławników. Postawiono im kilka pytań. Wszystkie te czynności mogły wydawać się zwykłą sądową rutyną. Z pewnością jednak inaczej postrzegał je oskarżony, ponieważ dwanaścioro z tych ludzi (pozostałych odrzucono) miało zadecydować o jego losie.

Po zaprzysiężeniu mnie i pozostałych świadków poproszono do dwóch pokoi wyposażonych w szare, metalowe meble. To ponure pomieszczenie pasowało do mojego nastroju. Na przesłuchaniu wstępnym byłam sama, ale tym razem doszły jeszcze dwie osoby z Concord - mój sąsiad i weterynarz, która dała Johnowi eter. Choć ich zeznania mogły wiele wnieść do sprawy, nie stanowili dla mnie żadnego wsparcia. Wezwano dwóch pierwszych świadków. Potem usłyszałam:

- Barbara Perry.

Wstałam i ruszyłam w kierunku drzwi.

- Poradzisz sobie - powiedział Greg, obdarzając mnie przyjaznym uśmiechem. Z wysiłkiem odwzajemniłam mu się tym samym.

Alexandra przepytala mnie drobiazgowo, aby ustalic najwazniejsze fakty. Kent Whistler wielokrotnie zgloszal sprzeciw. Przy stanowisku dla swiadkow stal dzbanek z woda - kilkakrotnie nalewalam sobie szklanke, by ulzyc zaschnietemu gardlu. John patrzyl na mnie wilkiem, ale nie udalo mu sie odzyskac nade mna wladzy. Odpowiedzialam mu takim samym spojrzeniem. Gdy dwie godziny pozniej Alexandra skonczyla, a sędzia zarzadzil przerwe na lunch, opadalam z sil.

Po lunchu wzial sie za mnie Kent. Przez kolejna godzine tak manipulowal faktami, zeby przedstawic mnie jako pazerna kobiete, ktora planowala przejac majatek Johna. Sugerowal nawet, ze to przez moja rozrzutnosc popadlismy w finansowa ruine. Z mojej strony napotkal jednak zdecydowany opór. Potem Alexandra poprosila o ponowne przesluchanie swiadka, a Kent o kolejne pytania krzyzowe. Spierali sie o najdrobniejsze szczegoly. Kiedy skonczyli, urzednik odprowadzil mnie do pomieszczenia dla swiadkow.

Na koniec dnia w obskurnym pokoiku zostalismy tylko ja i detektyw Smith. W koncu otworzily sie drzwi i weszla Alexandra.

- Wszyscy swiadkowie zlozyli zeznania - oznajmila. - Sad odroczy rozprawe. Zbierze sie ponownie jutro rano, wtedy wyglosimy mowy koncowe. - Podeszla i ucisnela mnie serdecznie. - Swietnie ci poszlo.

Nastepnego dnia siedzialam na balkonie razem z Gregiem i Ashley Vandemeer, wesoła blondynka, ktora zeznawala podczas procesu jako ekspert od marynarki. Potwierdzila, ze John nie byl emerytowanym kontradmirałem. Rozmawia-

liśmy, póki sędzia nie poprosił o ciszę. Wtedy weszli przysięgli i po chwili Kent Whistler rozpoczął swoją mowę końcową. Przedstawił Johna jako niewinnego starszego pana, oszukanego i wykorzystanego przez młodszą żonę, który z rozpaczyny popadł w uzależnienie od eteru. Cóż za stek bzdur! Czy ten człowiek nie miał sumienia?

Potem przyszła kolej na Alexandre. Pewna siebie i energiczna, krążyła po sali, wskazując na tablicę z linią przebiegu wydarzeń. Z tego schematu jasno wynikało, że byłam ofiarą, a nie przestępcą. Mówiła jasno i wyraźnie, raz za razem upewniając się, że przysięgli nadążają za jej tokiem rozumowania. Gdy skończyła, sędzia pouczył ławników i dokładnie o godzinie 10.10 wyszli z sali sądowej. Wszystko działo się niezwykle szybko, choć w moim umyśle wydarzenia rozgrywały się w zwolnionym tempie.

Wraz z Ashley, która postanowiła dotrzymać nam towarzystwa, udaliśmy się do biura Grega. Czekaliśmy na informację z sądu kilka godzin. Rozmawialiśmy i piliśmy kawę, a czas dłużył się niemiłosiernie. Wezwano nas o szesnastej - przysięgli wydali werdykt.

Usiadłam między Ashley i Gregiem; każde z nich złapało mnie za jedną rękę. Wstrzymałam oddech.

- My, ława przysięgłych - zaczął przewodniczący - uznajemy oskarżonego winnym usiłowania zabójstwa z premedytacją i ustanawiamy karę pięciu lat pozbawienia wolności.

Potraktowali go łagodnie, maksymalna kara wynosiła bowiem dziesięć lat. Nie wiedziałam, czy mam się cieszyć, czy smucić. Ścisnęłam dłonie Grega i Ashley. W myślach wciąż sły-

szalam echo werdyktu orzekającego o jego winie: „Pięc lat... Winny...”. Do oczu napłynęły mi łzy. „Usiłowanie zabójstwa z premedytacją”... Choć to właśnie chciałam usłyszeć, słowa te budziły we mnie trwogę. Nie rozróżniałam prawdy od wytworu czyjejs wyobraźni. W tamtej chwili zupełnie nie wiedziałam, co mam czuć.

- Ashley, czy możesz zabrać gdzieś Barbarę i zostać z nią do 17.30? - spytał Greg. - Nie powinna być teraz sama.

Poszliśmy do pobliskiej kawiarni, gdzie czekałyśmy na niego, ponieważ obiecał zabrać mnie na kolację.

- Wie pani co - powiedziała Ashley - to najdziwniejsza sprawa, o jakiej kiedykolwiek słyszałam.

- Nie pani pierwsza tak mówi.

\* \* \*

Dwa tygodnie po powrocie do domu siedziałam przy biurku i czekałam na ważny telefon od osoby zarządzającej rentami. Ta rozmowa miała być zwieńczeniem dwóch miesięcy poszukiwań i ustaleń w sprawie czeków, które przestały przychodzić. Nie potrafiłam skupić się na pracy. W głowie kłębiły mi się wspomnienia ostatnich wydarzeń, łącznie ze śmiercią Peaches, która zdechła podczas procesu. Rozpaczalam nie tylko po utracie ukochanego zwierzątka, ale i tego, co uważalam za normalne życie.

Werdykt był tylko początkiem nowej rzeczywistości, w której musiałam się odnaleźć. Podczas rozmowy z kuratorem sądowym błagałam, żeby zapewnił Johnowi opiekę psychiatryczną, której tak bardzo potrzebował. Pracowałam również nad oświadczeniem ofiary, które mogło zadecydować o tym,

co sędzia zrobi z zaleconym przez ławników wymiarem kary. Marzyłam, żeby zwiększył go do dziesięciu lat.

Kiedy czeki z rentą przestały przychodzić, a John niespecjalnie się tym przejął, rozpoczęłam prywatne śledztwo. Podążyłam za tropem od firmy do firmy, aż w końcu odnalazłam osobę zarządzającą rentami na środkowym zachodzie. Teraz cała w nerwach czekałam na jej telefon. Kiedy rozległ się dzwonek, natychmiast złapałam słuchawkę.

- Znalazłam list od Johna - powiedziała. - Pisał o państwa przeprowadzce i o tym, że życzy sobie pani, by środki przekazywano do banku Miwok Valley w San Ramon. Przesłałam pani kopię faksem.

San Ramon leżało około trzydziestu kilometrów od Concord. John mieszkał tam przez krótki czas, zanim się poznailiśmy. Po ślubie jego konta w tamtejszym banku używaliśmy do spraw służbowych.

Odłożyłam słuchawkę, pobiegłam do drugiego pokoju i złapałam list, gdy tylko pojawił się w faksie. Słowa na papierze rozmyły się przed moimi oczyma. Czy te oszustwa nigdy się nie skończą?

- Podrobił mój podpis! - krzyknęłam do słuchawki. - Siedząc w więzieniu za to, że próbował mnie zamordować, podrobił mój podpis, żeby nielegalnie przejąć nasz wspólny majątek.

Przyjrzałam się bliżej dokumentowi. To samo konto zamknęłam tuż po próbie morderstwa, ustalwszy, że czeki będą przekazywane do mnie. Natychmiast zadzwoniłam do banku w San Ramon. Połączono mnie z urzędniczką, która sprawdziła konto.

- Wciąż jest otwarte, pani Perry. Mamy tu zanotowane, że dzwonił pan Perry i powiedział, że ma zostać aktywne, ponie-

waż są tam automatycznie deponowane pieniądze z ubezpieczenia społecznego.

- Nie może tego zrobić.

- Otworzył drugie konto. Kwoty wpłacane na wasze wspólne konto są automatycznie przelewane na to, które należy do pana Perry'ego.

- Uwierzyliście mu na słowo, nawet mnie nie informując? Jesteście takimi samymi oszustami jak on - zdenerwowałam się. - Już drugi raz pomogliście mojemu mężowi mnie oszukać.

Rzuciłam słuchawką i wpisałam do swojego kalendarza: „Falszerstwo Johna w sprawie rent - potwierdzone. Kiedy to wszystko się skończy?”.

\* \* \*

Miesiąc po skazaniu Johna postępowanie rozwodowe wciąż tkwiło w miejscu. Moja złość z powodu tej zwłoki nasiliła się po spotkaniu z adwokatem, który potwierdził, że pobyt męża w więzieniu komplikuje sprawę. Koniecznie chciałam, aby postępowanie rozwodowe nabrało tempa, lecz zamiast tego musiałam wysłuchiwać litanii prawniczych frazesów wygłaszanych przez Rossa Grissoma, a także pogodzić się ze stratą kolejnych dwustu dolarów. Próbowałam wytłumaczyć adwokatowi, że John stosuje po prostu swoją ulubioną taktykę opóźnienia. Wpadałam we wściekłość za każdym razem, gdy moje listy do niego wracały opatrzone adnotacją „Odrzucone”. Jak miałam ciągnąć sprawę rozwodu, skoro John się ze mną nie komunikował?

Aby zademonstrować swój bunt i zmazać piętno żony Johna, postanowiłam przyjąć nowe nazwisko, „Bentley”, które

miało odzwierciedlać moją przemianę. Mąż nieustannie obiecywał, że kupi mi bentleya, a teraz już go nie potrzebowałam. Jak na wieczną optymistkę przystało, uznałam, że nazwisko to będzie również dobrze wyglądało jako pierwszy człon, gdybym kiedykolwiek postanowiła ponownie wyjść za mąż.

- Proszę - zwróciłam się do Rossa - niech mi pan pomoże jak najszybciej się rozwieść. Jestem żoną szaleńca. Boję się, że ja też popadnę w obłąd.

\* \* \*

Kilka tygodni później udałam się w podróż służbową do Indianapolis. Siedziałam w pokoju hotelowym i rozmyślałam o wydarzeniach ubiegłych dziewięciu lat. „Czemu przytrafiło się to właśnie mnie? Cóż dobrego może wyniknąć z tak tragicznych wydarzeń?” Przejrzałam ponownie kartki, na których wykonywałam zadania będące częścią terapii. Nagle mnie olśniło. Musiałam napisać książkę. Tak, chciałam podzielić się z ludźmi swoimi traumatycznymi doświadczeniami, aby nie wpadli oni w tę samą pułapkę.

Nie zdawałam sobie sprawy, że ta historia jeszcze się nie skończyła.

## *Krucjata*

Minęły dwa miesiące od skazania Johna, a świat wciąż walił mi się na głowę. Doszło do tego, że mogłam stracić dom, ponieważ mąż nie chciał się zgodzić na obniżenie ceny, a do tego przelał na inne konto fundusze, których potrzebowałam, by spłacać wysokie raty naszych hipotek. Sytuacja wydawała się beznadziejna, a mnie kończył się czas. Dlaczego John wciąż mnie dręczył, nawet z więzienia:

Próbowałam negocjować z pożyczkodawcami. Przekonywałam, że zyskają, jeśli do momentu sprzedaży domu będę mogła spłacać tylko procenty. Firma od drugiej hipoteki zgodziła się natychmiast. Ludzie odpowiedzialni za pierwszą powiedzieli, że dadzą mi znać.

Telefon zadzwonił tuż po lunchu. Urzędnik najpierw przeprosił, a potem przekazał mi porażającą wiadomość: firma zamierzała ogłosić zajęcie majątku. W głowie kołatały mi się słowa, których bałam się od dawna. Było mi wstyd przed samą sobą. Jak mogłam dopuścić do tego, żeby nasz dług osiągnął



takie rozmiary? Trzęsłam się z wściekłości, ale przecie wszystkim czułam się pokonana.

Wargi zaczęły mi drżeć i w końcu się rozsłochałam. W moim udręczonym umyśle klębiły się pytania, które napawały mnie paraliżującym strachem i wstydem. „Co ludzie pomyślą?” Użałam się nad sobą i przeklinałam Johna. Gdyby nie on, nie znalazłabym się w tej koszarnej sytuacji.

„Odpuść i zdej się na Boga”. Przestałam płakać i posłuchałam mojego wewnętrznego głosu. Wzięłam głęboki oddech i skupiłam się na znaczeniu każdej sylaby. To zdanie stało się moją mantrą: „Pozwól, by Bóg się tym zajął”. Podniosłam głowę, otarłam łzy i złączyłam dłonie w modlitwie. Dzięki temu, że zaufałam Bogu, już po chwili ogarnął mnie spokój. Wiedziałam, że nie muszę sama radzić sobie z tą trudną sytuacją.

- Zajęcie majątku - powiedziałam głośno. - To tylko słowa. Nie mają już nade mną władzy. - Zmierzyłam się ze swoim lękiem i zwyciężyłam.

\* \* \*

Na początku września detektyw Smith zadzwonił do mnie z wiadomością, że odnalazł Janette Perry, wdowę po admirałe. Mieszkała w Georgetown. Greg powiedział, że nie chce dalej się w to mieszać, dlatego kolejne kroki musiałam podjąć sama. Podziękowałam mu, a kiedy się rozłączył, zadzwoniłam do biura numerów w Waszyngtonie.

Przez dłuższą chwilę patrzyłam na zapisane cyfry i usiłowałam zebrać myśli. Co miałam powiedzieć kobiecie, ponoć macoszce Johna, która przez dziesięć lat stanowiła dla mnie zupełną

tajemnicę? Janette przywitała mnie radosnym pozdrowieniem, ale gdy dowiedziała się, kim jestem i co zrobił mój mąż, zapadła przejmująca cisza. Po chwili pani Perry przeprosiła mnie, dodając, że właściwie wcale nie jest zaskoczona. Pasowało to doskonale do barwnego życiorysu Johna. Koniecznie chciałam się z nią zobaczyć, sądziłam bowiem, że znalazłam dowód na to, iż mój mąż przynajmniej raz powiedział prawdę.

Do spotkania doszło pod koniec września. Siedziałam z Janette w jej mieszkaniu, patrząc na ogromny obraz olejny, przedstawiający oficera marynarki. Nie mogłam oderwać od niego oczu. Podobieństwo między Johnem i jego ojcem było zdumiewające.

Janette potwierdziła, że mój mąż rzeczywiście jest synem admirała Perryego. Okazało się jednak, iż miał nie czterech braci, lecz jednego, który żył zaledwie kilka lat. Dowiedziałam się też, że ich matka zmarła, kiedy mieszkali w Great Lakes. John miał wtedy siedem lat. Janette wyszła za jego ojca trzy lata później. Nie zaskoczyło mnie to, że nie mogła potwierdzić pokrewieństwa jego matki i kontradmirała Pearyego, znanego z wyprawy na biegun północny.

Wypytywałam ją o dzieciństwo mojego męża. Powiedziała, że był zwyczajnym dzieckiem, tylko - jak każdy mały chłopiec - od czasu do czasu pakował się w kłopoty. Potem wspomniała o wypadku, po którym bardzo się zmienił.

John zaciągnął się do marynarki wbrew woli ojca. Dopiero osiągnął pełnoletność, ale koniecznie chciał wziąć udział w drugiej wojnie światowej. Na pierwszej przepustce po szkoleniu zasadniczym skoczył do basenu, uderzył głową w dno i stra-

cił przytomność. Następne trzy miesiące spędził w szpitalu. Powiedziałam Janette, że część jej opowieści pokrywała się z tym, co sam mówił.

- Być może starał się udowodnić coś ojcu, zawodowemu żołnierzowi. Zawsze powtarzałam mężowi, że za dużo wymagał.

Zachęciłam ją, by mówiła dalej.

- Cóż, John się zmienił. Zwolniono go ze służby w stopniu marynarza, z przyczyn zdrowotnych. Wtedy pojawiły się problemy... Kradł samochody i Bóg jeden wie, co jeszcze robił. Ojciec dwoił się i troił, by zapewnić synowi opiekę. Kiedy chłopak miał jakieś dziewiętnaście lat, zamknął go nawet w szpitalu psychiatrycznym w Nowym Orleanie. Nie przyniosło to jednak żadnej poprawy.

Zrobiło mi się smutno na myśl o tym, że bohater wojenny odznaczony wieloma medalami musiał zmagać się z społecznym zachowaniem syna.

- Jedna z jego historii dotyczyła okresu, kiedy mieszkał we francuskiej dzielnicy tego miasta - powiedziałam. - Ale nie wspominał o szpitalu.

- Uważam, że wyskoki Johna wpędziły ojca w chorobę i w końcu doprowadziły do jego śmierci. To dlatego zerwa-  
liśmy z nim kontakt. Nie powiedzieliśmy nawet naszej córce, że ma przyrodniego brata, zresztą dzieliła ich znaczna różnica wieku. Dowiedziała się o tym dopiero teraz, gdy pani do mnie zadzwoniła.

Powoli odkrywała się przede mną prawda. John zawsze powtarzał, że rodzina uznała go za czarną owcę i dlatego nie wspomniano o nim w biografii ojca.

Później *zadalam* Janette kolejne pytania o rodzinę Johna. Potwierdziła, że jego matka miała siostrę imieniem Dorothy, która wstąpiła do klasztoru w Miami. Odwiedzała ona Johna co kilka lat. Pewnego razu, na początku lat sześćdziesiątych, pojawił się w domu rodzinnym z kobietą i czworgiem dzieci, ale nikt nie wiedział, czy są jego, Dorothy zaś zmarła wiele lat temu.

Powtórzyłam jej to, co John opowiadał o swoich żonach. Udało mi się odnaleźć tylko jedną z nich. Jak na ironię, akurat o tej nigdy nie wspomniał. Na ślub, który odbył się na pokładzie Queen Mary, ubrał się w mundur kapitana marynarki. Rok później został aresztowany przez FBI, a ona złożyła wniosek o unieważnienie małżeństwa. Wydał tysiące dolarów, korzystając z jej kart kredytowych. Niełatwo jej było wyjść z tych długów. Choć minęło już szesnaście lat, nadal niechętnie o tym mówiła.

Pod koniec naszego spotkania Janette poszła do swojej sypialni i wróciła z małym pudełkiem od jubilera. W środku znajdował się pierścionek wykonany z trzech wąskich obrączek z kamieniami półszlachetnymi.

- Janette, nie musiałaś... - zaprotestowałam, kiedy mi go wręczyła. Do oczu napłynęły mi łzy. Wsunęłam pierścionek na palec - pasował idealnie.

-Jest przepiękny, dziękuję - wyszeptalam i przytuliłam ją.

- Przeszłaś przez piekło, przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Byłabyś wspaniałą teściową - roześmiałam się. - Szkoda, że już wkrótce nie będę twoją synową.

\* \* \*

Przez kolejne trzy miesiące współpracowałam z przedstawicielami więzienia, by zapewnić Johnowi opiekę psychiatryczną. Pod koniec roku został przeniesiony na oddział o zaostrzonym rygorze w Powhatan, w którym nie kontynuowano leczenia. Postępowanie rozwodowe znów utknęło w martwym punkcie, ponieważ John odrzucał lub sabotował każdą moją propozycję. Zajęcie majątku stawało się nieuniknione. Moje ostatnie Święta w Concord z pewnością nie należały do wesołych, a Nowy Rok nie zapowiadał się szczęśliwie.

\* \* \*

Po zajęciu domu w lutym 1992 roku wprowadziłam się do pokoju gościnnego mojej wieloletniej przyjaciółki. Miesiąc później jak grom z jasnego nieba spadła na mnie kolejna wiadomość. Debbie, która poznała mnie z Johnem, powiedziała, że będzie on miał możliwość skorzystania ze zwolnienia warunkowego. Aby jego wniosek rozpatrzono pozytywnie, musiał przedstawić realny plan. Chciał mieszkać z Debbie podczas okresu reintegracji ze społeczeństwem. „Zwolnienie warunkowe!” Gdy usłyszałam te słowa, wpadłam w panikę. Przebywał w więzieniu tylko trzynaście miesięcy! Nikt mnie nie powiadomił. Zawładnął mną strach, ponieważ ponownie miałam stać się ofiarą. Nasz rozwód nadal był tylko pieśnią przyszłości. „Czy gdybym została teraz zamordowana, cały nasz wspólny majątek trafiłby w jego ręce?” Na szczęście Debbie odmówiła. Przynajmniej na razie jego plany zostały pokrzyżowane i musiał znaleźć inny sposób.

Wiedziałam, że aby przeżyć, muszę sama działać, a nie tylko odpowiadać na działania Johna. Natychmiast podjęłam odpo-

więdnie kroki, by zadbać o swoje bezpieczeństwo. Skontakto-  
wałam się z prokuratorem, detektywem z wydziału zabójstw,  
komisją rozpatrującą wnioski o zwolnienie warunkowe, moim  
adwokatem i trzema okolicznymi posterunkami policji, które  
dysponowały informacją o zakazie zbliżania się. Otrzymałam  
potwierdzenie, że John faktycznie miał stanąć przed komisją i że  
jeszcze tego samego dnia powinnam złożyć oświadczenie ofiary.  
Koniec końców nie miało ono jednak znaczenia. Mąż otrzymał  
zgodę na zwolnienie warunkowe po zaledwie czternastu mie-  
siącach za kratkami. Na szczęście opracowanie nowego planu  
miało zająć mu kolejne osiem miesięcy, więc na razie wciąż był  
w więzieniu.

\* \* \*

Trzy tygodnie później weszłam energicznym krokiem  
do kuchni mojej matki.

- Chcę wam coś pokazać - oznajmiłam radośnie.

Julie podniosła wzrok znad garnka z sosem do spaghetti, a jej  
synek przestał bawić się resorakami. Mama podeszła za mną  
do stołu i usiadłyśmy. Wyjęłam z torebki małe pudełeczko.

- Pamiętacie naszyjnik i kolczyki z balu inauguracyjnego?  
Czekałam na chwilę, kiedy będzie mnie stać na ich renowację.

- Otworzyłam pudełeczko i wyjęłam mieniący się diamentami  
pierścionek. - To symbol mojego życia: ze starego zrobić nowe.

Podalam pudełeczko mamie, która powiodła palcami  
po kamieniach. Julie przestała mieszać sos i spojrzała jej przez  
ramię, gdy wsuwała pierścionek na palec wskazujący i podzi-  
wiała blask kamieni.

- Ja też wam coś pokażę - powiedziała Julie. Wzięła do ręki brązową, papierową torbę, która stała przy drzwiach.

- Rozdzieliłam te dwie plastikowe doniczki, które mi dałaś, i patrz, co znalazłam.

Wyjęła z worka dwa rozpadające się, brudne pudełka. Otworzyłam jedno z nich.

- Mój Boże - westchnęłam. - To Medal Honoru.

Ostrożnie dotknęłam zaginionego skarbu. Cuchnął zgnilizną, a wstążka zupełnie wyblakła. W drugim pudełku znajdowały się admiralskie epolety.

- Spryciarz - powiedziałam. - Zakopał je, żeby ukryć przed FBI! Agenci będą zachwyceni.

\* \* \*

Cztery miesiące później wprowadziłam się z powrotem do domu w Antioch. Minęło osiemnaście miesięcy od zamachu na moje życie. John wciąż siedział w więzieniu, ponieważ dwa plany, które złożył, zostały odrzucone jako niesprzyjające resocjalizacji, cokolwiek to miało znaczyć. Sprawa rozwodowa nie została jeszcze zamknięta, ugoda majątkowa była w powijakach, a mój adwokat nie podejmował żadnych działań.

- Ross - zaczęłam - chcę się natychmiast rozwieść.

Odchylił się w fotelu i powiedział:

- John powtarza swojemu adwokatowi, że wyjdzie lada chwila. Uwierz mi, łatwiej będzie poczekać, aż go wypuszczą.

Miałam już dość tej starej śpiewki.

- Przeciąganie postępowania obciąża mnie finansowo. Twój rachunek wynosi już ponad sześć tysięcy dolarów.

Nachylił się i spojrzal mi głęboko w oczy.

- A nie chciałabyś być adwokatem we własnej sprawie?  
- spytał. - Wtedy będziesz mogła rozmawiać bezpośrednio z Alanem Bradleyem, prawnikiem Johna.

Wyszedłem z gabinetu jako zwycięzca. Od tej chwili Bradley będzie miał do czynienia ze mną. Oszczędzi mi to czasu i pieniędzy, a poza tym być może zaprowadzi porządek w moim pogrążonym w chaosie świecie.

\* \* \*

John został zwolniony z więzienia cztery miesiące później, w grudniu 1992 roku. Za to, że próbował mnie zamordować, odsiedział tylko dwadzieścia dwa miesiące. Powiadomiono mnie o tym z zaledwie dwudniowym wyprzedzeniem. Zaskoczenie i niesmak prędko przerodziły się w panikę. Mój oprawca był teraz wolny i mógł znów spróbować mnie zabić... albo zlecić to komuś innemu.

Adwokat z Wirginii powiedział mi, że mąż został wypuszczony w ramach umowy dwustronnej ze stanem Waszyngton. Miał nad nim czuwać kurator z Seattle. Dopiero później dowiedziałam się, że Hal Ledman - niegdysiejszy partner biznesowy Two Star - poręczył za Johna, zapewnił mu dach nad głową i wsparł jego plan, by otworzyć firmę zajmującą się importem roślin. „John oczywiście wybrał okolicę, gdzie znajdują się bazy marynarki” - pomyślałam wtedy.

Skupiłam się na faktach. John opóźnił rozwód. Gdybym teraz zginęła, wciąż mógłby próbować przejąć cały majątek. Potrafił wykorzystywać luki w prawie. Potrzebowałam dodat-



kowej ochrony, chciałam, żeby ustanowiono kolejny zakaz zbliżania się, ale mój adwokat stwierdził, że histeryzuję.

- Ach, właśnie, dzwonił Bradley - powiedział. - John jest gotów sfinalizować rozwód i przelożyć na później ugodę majątkową, ale stawia jeden warunek.

Przygotowałam się na najgorsze.

-Jaki?

- Chce, żebyś zrzekła się nazwiska „Perry”.

- Chyba żartujesz - roześmiałam się. - Co za dupek! Próbuje odzyskać nade mną kontrolę poprzez swoje nazwisko.

Kiedys uznałabym tę prośbę za olbrzymi cios. Byłam wtedy słaba, ponieważ urzekła mnie historia związana z jego nazwiskiem. Stawiając ten warunek, John udowodnił, że wciąż nie dostrzega, jak bardzo się zmieniłam.

- Dawno temu postanowiłam, że nie chcę jego nazwiska. Powiedz temu skurwysynowi, że dzięki niemu wreszcie dostanę swojego bentleya.

Potem przeszliśmy do ważniejszych spraw. Zaproponowałam, by mąż korzystał z renty dożywotnio, pod warunkiem że wycofa wszelkie żądania dotyczące mojej emerytury i alimentów. Uważałam, że dopóki w jakikolwiek sposób mógłby skorzystać na mojej śmierci, grozi mi niebezpieczeństwo. Ross twierdził, że przesadzam, ale to nie on miał eter na twarzy, szkło we włosach i siniaki po upadku ze schodów.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, podjęłam kolejny krok w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa: kupiłam telefon komórkowy. Po medytacji zapisałam w swoim pamiętniku: „Targa mną niepokój. To był koszmarny tydzień”.

## *Przebudzenie*

John wyszedł na wolność... Ten kameleon, który potrafił przechytryć każdego kuratora, ten wąż, który z łatwością mógłby ukradkiem wyślizgnąć się z Seattle. Po podpisaniu papierów rozwodowych przez cały weekend rozpaczalam.

W poniedziałek rano, gdy brałam prysznic, wewnętrzny głos podszeptał mi: „Zadzwoń do Melvina Bellego”. Był to światowej sławy prawnik, dzięki pracy na rzecz praw jednostki znany jako „Król Deliktów”. Jego główne biuro mieściło się w San Francisco. Wyróżniał go głęboki baryton, a także udział w głośnych sprawach karnych i dotyczących szkód niematerialnych. W mieście uchodził za legendę.

„Zadzwoń do Melvina Bellego” - powtórzył głos. Odrzuciłam ten pomysł jako absurdalny i skończyłam przygotowywać się do pracy. Nie było mowy, żeby wysłuchał mnie znany na całym świecie prawnik.

Siedząc w pracy, ponownie usłyszałam ten sam głos. Poddałam się, znalazłam numer i wybrałam go. Gdy jednak usłysza-

łam sygnał, spanikowałam. Z kim chciałam rozmawiać? Telefon odebrał mężczyzna o głębokim głosie:

- Kancelaria prawnicza, słucham.

- Poproszę z sekretariatem pana Bellego - wydusiłam. Kiedy połączono mnie z jego sekretarką, błyskawicznie oceniła moją sytuację i powiedziała:

- Wszystko wskazuje na to, że pan Belli powinien się tym zająć. Czy możemy umówić się, że odezwie się do pani koło południa?

- Tak, będę pod tym numerem.

Telefon zadzwonił punkt dwunasta. Usłyszałam donośny baryton.

- Mówi Melvin Belli.

Dostałam gęsiej skórki i zaczęłam trząść się z nerwów. Niepotrzebnie. Umówił się ze mną na spotkanie za dwa dni, choć wiedział, że nie śmierdzę groszem, a w grę wchodzi niezbyt duży majątek. Rozłączyłam się, podniecona niczym nastolatka.

Euforia nie trwała długo. Dwa dni później, w dzień spotkania, odebrałam telefon od Marie z Cupertino. Powiedziała, że John stanął poprzedniego wieczora w ich drzwiach. Nie dość, że zaprosili go do środka, to jeszcze pozwolili mu zanoć. Nie mogłam w to uwierzyć. Wykorzystał zaufanie dawnych przyjaciół, by ich zmanipulować. Opowiadał im o swoich obecnych dokonaniach, twierdząc między innymi, że uczestniczy w rządowym programie ochrony świadków. Jakby tego było mało, zapowiadał ponoć, że przysporzy mi jeszcze wielu problemów. Po tej rozmowie spotkanie z Melvinem Bellim okazało się konieczne.

Po południu usiadłyśmy z matką w poczekalni Bellego, w której roilo się od antyków. Kiedy recepcjonista wypowiedział moje nazwisko, ruszyłam za nim do gabinetu, w którym najwyraźniej czas się zatrzymał.

Olbrzymi mężczyzna, dżentelmen starej daty, przywitał mnie szerokim uśmiechem i uściskiem dłoni. Miał wprawdzie już osiemdziesiąt sześć lat, ale wyglądał niezwykle dostojnie: z gęstą grzywą siwych włosów i poorly zmarszczkami twarzy. Gdy usiedliśmy, poprosił, żebym zaczęła mówić. Snując swoją opowieść, wykladałam z teczeki kolejne dowody. Biurko sławnego prawnika pokrywały teraz strzępki szczęśliwego niegdyś życia z admirałem.

- Znowu używa stopnia admirała - szlochalam. - Poszedł do przechowalni w Martinez i przedstawił się jako „admiral Perry”. Natychmiast zadzwoniłam do FBI.

- Chętnie dałbym mu wycisk i rzucił na pożarcie rekinom - powiedział Belli. - Ale niestety, prawo to prawo. Proszę porozmawiać z moją asystentką, zajmuje się prawem rodzinnym.

Od niej dowiedziałam się, że prawo mi nie sprzyja. Wciąż jednak żywiłam nadzieję, że w jakiś sposób zdołam uniknąć tej finansowej niesprawiedliwości. Niestety, usłyszałam jedynie, że prawo rozwodowe jest zawile. Rozczarowana wróciłam do poczekalni i usiadłam, zapadając się w miękkiej kanapie.

- Co się stało? Jakies dobre wieści? - spytała mama.

Pokój wypełniało tykanie antycznego zegara. Zebrałam myśli, próbując przeanalizować to, co usłyszałam.

- Myślałam, że Belli będzie miał dla mnie odpowiedź, ale wygląda na to, że ona nie istnieje, bo prawo jest prawem.

- I co teraz zrobisz?

Wzruszyłam ramionami, gdyż nie miałam żadnego planu. Gdy ruszyliśmy do wyjścia, nieświadoma wagi wypowiedzanych słów oznajmiłam:

- Cóż, chyba będę musiała zmienić prawo.

\* \* \*

Następne trzy miesiące okazały się koszmarem - prawnicy rozwodowi, sędzia i mąż zapędzili mnie w kozi róg. Czułam się jak mim, który porusza nogami, ale wciąż tkwi w miejscu - tyle że w moim przypadku nie było to ani trochę zabawne. Z całych sił starałam się, żeby postępowanie w sprawie ugody majątkowej szło do przodu, lecz John udaremniał wszystkie moje wysiłki na rzecz równego podziału. Podważał też wiarygodność szczegółowych rachunków, które przedstawiałam.

Spotkaliśmy się dwukrotnie, raz w sądzie rodzinnym, a raz w gabinecie Bradleya, ale nie doszliśmy do porozumienia. Widziałam tylko, jak moje ciężko zarobione pieniądze fruną prosto w jego chciwe ręce. Prawnicy mylili się, radząc, by zacząć, aż wyjdzie z więzienia. Negocjacje były teraz równie trudne jak wcześniej, więc postępowanie w sprawie ugody majątkowej utkwilo w martwym punkcie. Nie potrafiłam zaspokoić finansowych żądań Johna, poza tym nie zamierzałam ugiąć się pod szantażem.

Czyż więc można się dziwić, że wzdragałam się przed następnym spotkaniem w sprawie ugody, które miało się odbyć pod koniec marca? Czułam obrzydzenie na samą myśl o Johnie, prawnikach, sądzie rodzinnym i kalifornijskim prawie roz-

wodowym. Doprowadzało mnie to do frustracji. Chyba tylko cudem nie nabawiłam się wrzodów.

Kiedy poprosiłam Rossa, żeby odwołał spotkanie, zaproponował kompromis:

- Możesz przecież sama reprezentować się podczas przesłuchania.

- Nigdy o tym nie myślałam.

- Znasz tę sprawę od podszewki, a do tego jesteś inteligentna. Musisz jeszcze tylko zapoznać się z regułami postępowania. Poradzisz sobie.

W moim życiu otworzyły się właśnie kolejne drzwi - stałam na progu nowego doświadczenia. Postanowiłam podjąć wyzwanie i zrobiłam krok na drugą stronę.

Bradley zaprezentował sędziemu Lawrence'owi rozliczenia Johna, z których wynikało, że jestem mu winna czternaście tysięcy dolarów...„Co za absurd!" Irytacja szybko przerodziła się w gniew. Natychmiast wyjęłam swoje szczegółowe zestawienia, aby przeciwstawić się każdemu absurdalnemu żądaniu. Musiałam wykazać się stanowczością i sprytem.

- Wysoki Sądzie - zaczęłam - w tej sprawie to ja jestem ofiarą, nie John Perry.

- Znam szczegóły - powiedział sędzia zmęczonym głosem.  
- To bardzo smutny przypadek. Najdziwniejszy ze wszystkich, które kiedykolwiek trafiły na tę salę.

„Świetnie" - pomyślałam. „Kolejna osoba, która przyznaje, że to nietypowa sprawa". Ten fakt nie stanowił dla mnie ułatwienia, lecz poważne utrudnienie. Nie mogliśmy oprzeć się na żadnym precedensie, więc błędziliśmy po omacku.

- Wysoki Sądzie, od ponad dwóch lat negocjuję w dobrej wierze z Alanem Bradleyem i jego klientem. - Podałam Bradleyowi i sędziemu kopie swoich rozliczeń. - Chciałabym pokazać, jak próbowano doprowadzić mnie do finansowej ruiny.

Zaczęły się przepychanki słowne i prawne. Klóciliśmy się o rabat lotniczy, rentę, opiekę nad zwierzętami, wydatki na utrzymanie gospodarstwa domowego, a także o wspólne fundusze, które John przekierował na swoje osobiste konto. Pod koniec sędzia spojrzał groźnie na Bradleya i powiedział:

- Proszę przekazać swojemu klientowi, że musi przyjąć propozycję pani Perry. Jej oferta jest niezwykle hojna. Myślę, że na dziś to wystarczy. - Po czym wstał i wyszedł.

Szala zwycięstwa przechyliła się na moją stronę.

Gdy wychodząc z sali, zatrzymaliśmy się przy Bradleyu, zmarszczył brwi i powiedział, że się do mnie odezwie.

Następnego dnia zadzwonił Ross Grissom. Przez niemal dziesięć minut perorował, że powinnam po prostu odpuścić i zająć się swoim życiem. Przypuszczałam, że Bradley również narzekał na upór swojego klienta. Najwyraźniej obu adwokatów zmęczył już cały ten cyrk.

- Co się stało, Bradley stracił kontrolę nad swoim klientem? — spytałam.

- Ma z nim problem.

- Pamiętajcie, to ja tu jestem ofiarą. Dlaczego mam się godzić, by ponownie wyrządzono mi krzywdę? To ma być prawo? A ty po czyjej jesteś stronie?

Rzuciłam słuchawką. Miałam wrażenie, że tracę kontrolę. Czulałam się dezorientowana i wystraszona. Nie mogłam spać,

bo w nocy dręczyły mnie nieustające koszmary o Johnie, morderstwie i oszustwach finansowych. Zdałam sobie sprawę, że minął niemal rok od ostatniej sesji z terapeutką, kiedy to prosiłam ją o radę w sprawie romansu. To było latem, w delcie rzek Sacramento i San Joaquin. Dokładnie tego potrzebowała moja dusza. Opalałam się na pokładzie jego barki i chłodziłam się, jeżdżąc na jego skuterze wodnym. Pod koniec wakacji zdałam sobie jednak sprawę, że ten związek może mi zaszkodzić. Ów mężczyzna był bowiem niedostępny emocjonalnie. Rozstaliśmy się w przyjaźni. Gdy poszłam do Carolyn, potwierdziła, że podjęłam słuszną decyzję. Natychmiast zadzwoniłam i umówiłam się na wizytę.

\* \* \*

W połowie kwietnia 1993 roku siedziałam w gabinecie Carolyn i opowiadałam jej o tym, jak mąż doprowadził mnie niemal na skraj szaleństwa. Jej rady pozwoliły mi odzyskać równowagę psychiczną przed procesem i po letnim romansie. Teraz ponownie zwróciłam się do niej o pomoc. Po godzinie wyszłam utwierdzona w postanowieniu, że nie pozwolę, by John mnie pokonał.

Trzydzieści dni później Carolyn zaprosiła mnie na następną wizytę. Natychmiast wyczuła, że nie byłam już tą samą zastraszoną osobą, która dwa tygodnie wcześniej weszła do jej gabinetu. Przepelniała mnie energia, co można było dostrzec na pierwszy rzut oka.

- Widzę, że dzisiaj trzymasz się o niebo lepiej - zauważyła.

- Czuję się wyzwolona - odparłam, po czym opisałam wybuch tłumionej dotąd energii, który zaowocował stanowczymi działaniami. - Postanowiłam, że John nie zrukuje mi życia.



Pokazałam jej napisane odręcznie listy: jeden do osoby zajmującej się prawami ofiar, a drugi do Hannelore Hahn, założycielki International Women's Writing Guild<sup>1</sup>. Następnie wyjęłam listy napisane na komputerze: do członka zgromadzenia Roberta Campbella, do gubernatora Petea Wilsona i do senatora z mojego stanu, Daniela Boatwrighta. Przedstawiłam im swoją sprawę, dołączając opis próby zabójstwa i przestępczej działalności Johna. Wszystkie listy zakończyłam prośbą o wsparcie: błagałam, by nie dopuścili do wymuszenia w moim imieniu prawa, a także by pomogli mi zmienić to prawo.

- Wszystkie już wysłałam - oznajmiłam triumfalnie i przycisnęłam do piersi plik kartek. Dzięki cierpliwości, wytrwałości i wierze ta potyczka zakończyła się moim zwycięstwem. To była ostatnia wizyta w gabinecie Carolyn.

\* \* \*

Minęły trzy miesiące. Ugoda z mężem nadal pozostawała jedynie w sferze marzeń, ale niezależnie od tego postanowiłam zrobić coś ze swoim życiem. Kiedy nadarzyła się okazja, żeby zadać kłam historiom Johna, natychmiast z niej skorzystałam. W ten sposób znalazłam się w Sacramento, na uroczystości przyznania nagród imienia Doris Tate<sup>2</sup>. Zaprosiła mnie tam Harriet Salarno, założycielka organizacji Sprawiedliwość

<sup>1</sup> International Womens Writing Guild - międzynarodowa organizacja non-profit zajmująca się osobistym i zawodowym wsparciem kobiet poprzez pisanie.

<sup>2</sup> Doris Tate - amerykańska działaczka na rzecz praw ofiar brutalnych przestępstw; matka zamordowanej przez członków sekty Charlesa Mansona aktorki Sharon Tate.

dla Ofiar Morderstw w San Francisco, a także laureatka jednej z nagród. Dowiedziałam się, że będzie je wręczał gubernator Pete Wilson, więc postanowiłam wykorzystać tę szansę i porozmawiać z nim, żeby sprawdzić, czy to, co mówił o nim John, miało coś wspólnego z prawdą.

Po ceremonii większość osób udała się na bankiet, a gubernator zatrzymał się na chwilę przy podium. Wiedziałam, że nadeszła odpowiednia chwila. Wzięłam do ręki teczkę i ruszyłam w jego stronę. Na drodze stanął mi jeden z asystentów.

- Jak mogę pani pomóc?

Udając całkowity spokój, wyjaśniłam swoje zamiary. Asystent wysłuchał mnie uważnie, po czym zaprowadził do gubernatora. Uspokoiliam się, gdy przywitał mnie życzliwym uśmiechem. Po krótkim opisie admirała, próby morderstwa, procesu i problemów z rozwodem, sięgnęłam do teczek i wyjęłam kilka fotografii męża. Gubernator założył okulary do czytania i bacznie przyjrzał się zdjęciom.

- Często opowiadał, że znał pana, kiedy był pan burmistrzem San Diego - wyjaśniłam. - Ponoć pracował jako tajniak w operacji wymierzonej przeciwko złodziejom samochodów. Mówił, że kiedy go zamknęli, wpłacił pan za niego kaucję.

- Przykro mi, ale nic takiego sobie nie przypominam.

- Twierdził też, że odwiedził pana w Waszyngtonie, gdy piastował pan urząd senatora. Ponoć pomógł mu pan w uzyskaniu rządowego kontraktu.

- Bardzo chciałbym pomóc, ale nie rozpoznaję tego mężczyzny.

Wtedy dotarło do mnie, że John, owszem, przebywał w San Diego, ale było to wtedy, gdy aresztowano go za kradzież samo-

chodu, a później oszukał prawnika. Bynajmniej nie pracował jako tajniak na zlecenie burmistrza.

Podziękowałam gubernatorowi Wilsonowi za poświęcony mi czas i poszłam na bankiet. Tam los ponownie się do mnie uśmiechnął, gdy poznałam Delores Winje, jedną z sześciu nagrodzonych tego wieczora. Jej mąż postrzelił ją prosto w twarz. Dziś udzielała porad i wsparcia więźniom skazanym za maltretowanie współmałżonków, podobnie jak Doris Tate. Czułam się zaszczycona. Kiedy opowiedziałam jej o tym, że chcę zmienić niesprawiedliwe prawo rozwodowe, złapała mnie za rękę i powiedziała z determinacją w głosie:

- Pomogę ci, jak tylko będę potrafiła.

- Miejmy nadzieję, że nastąpi to niebawem - odparłam, tłumacząc, że moja misja znajduje się obecnie w impasie. Senator Boatwright stwierdził, że termin składania projektów w tym roku już minął i że powinnam skontaktować się z nim w grudniu. Zasugerował, bym zatrudniła adwokata, który pomógłby mi napisać taki projekt, ponieważ okazało się, że on sam nie może udzielać porad prawnych prywatnym osobom. Na domiar złego nie otrzymałam jeszcze odpowiedzi z biura Campbella, mimo iż minęły już ponad dwa miesiące.

- To mój adres i numer telefonu - powiedziała Delores.  
- Skontaktuj się ze mną, kiedy tylko będziesz chciała.

Miało to nastąpić dopiero za dwa lata.

\* \* \*

W sierpniu 1993 roku po raz pierwszy wzięłam udział w konferencji International Women's Writing Guild w Sara-

toga Springs w stanie Nowy Jork. Było to niezwykle doświadczenie. Miałam czterdzieści siedem lat i po raz pierwszy w życiu spałam w akademiku.

Założycielka stowarzyszenia poprosiła mnie o wygłoszenie mowy. Gdy przygotowywałam notatki i doszłam do fragmentu dotyczącego moich wysiłków na rzecz zmiany prawa, nie potrafiłam zapanować nad uczuciem niesmaku. Niecałe trzy tygodnie wcześniej senator Boatwright wycofał się, tłumacząc, że powinnam omówić to z członkiem zgromadzenia z mojego stanu - tym samym, który zignorował dwa kolejne listy ode mnie. Dodałam do notatek kilka zdań o cierpliwości i wytrwałości, które są niezbędne w dążeniu do tak odległego celu. Tamtego popołudnia, gdy obiecałam słuchaczom, że zmienię kalifornijskie prawo rozwodowe, czterysta kobiet zgotowało mi owację na stojąco.

\* \* \*

Na przestrzeni następnych siedmiu miesięcy John Perry nieustannie nachodził mnie w koszmarach sennych. Gdy budziłam się w środku nocy złana potem, bałam się ponownie zasnąć. Musiałam korzystać z umiejętności, które nabyłam podczas terapii, żeby nie popaść w obłąd i móc skupić się na celu.

Moje chroniczne koszmary nie brały się znikąd. John prześladował mnie nawet na odległość. Dotychczas nie zamknęliśmy sprawy ugody majątkowej. Rok wcześniej sędzia Lawrence powiedział Alanowi Bradleyowi, że jego klient powinien przyjąć moją propozycję, ale ten wciąż nie chciał na nią przystać. Nalegał, żeby usunąć moje nazwisko z renty, mimo że zgodziłam się,

by przejął ją dożywotnio. Koniecznie chciał dostać psy domagał się majątku, który należał do mnie, jeszcze zanim się poznał. Chciał też, żebym zrzekła się prawa do firmowych dokumentów, które trafiły do gabinetu Bradleya.

Pisałam listy, gdy tylko znalazłam kogoś, kto moim zdaniem mógł pomóc. Wyszczególniałam w tych pismach wszystkie pseudonimy, którymi posługiwał się John Francis Perry: „Cal-liet Delvin”, „Guy D. Delvin”, „Daniel F. Malley”, „Robert Lee Stuart” i „Thomas John Mudge”. Był niewątpliwie barwną postacią.

Wraz z Marie Passini pojechaliśmy do Miami, gdzie w archiwach próbowałyśmy znaleźć dowody na poprzednie małżeństwa Johna zawarte w hrabstwie Dade. Bezskutecznie. Skontaktowałam się z policją w Miami, Coral Gables i Hialeah, aby potwierdzić jedną z historii Johna, jakoby ojciec jego drugiej żony, Carl Shirow, był emerytowanym komendantem policji. Okazało się, że i tym razem mnie okłamał.

Do tej pory nie zrzekłam się praw do dokumentów Two Star, mimo że znajdowały się w biurze Bradleya. Domagałam się rozwiązania firmy i chciałam otrzymać od Johna list zaświadcza-jący, że nie mam z nią nic wspólnego. Ku mojemu zaskoczeniu wyraził zgodę. Udałam się więc do biura Bradleya, żeby po raz ostatni przejrzeć dokumenty. Był marzec 1994 roku.

- Pudła stoją w sali konferencyjnej - powiedziała mi asy-  
stentka, gdy weszłam do biura prawnika. Nie znosiła mnie. Mogłam sobie tylko wyobrażać, co John jej o mnie naopowiadał.

Otworzyłam pierwsze pudło i zaczęłam spisywać nazwi-  
ska i fakty. Kiedy doszłam do połowy piątego pudła, znalazłam  
teczkę z kopiami fragmentów ksiązek z zakresu prawa majątko-

wego, spadkowego i gospodarczego - dowód na to, że planował morderstwo. Skserowałam kartki, włożyłam je do teczki.

Wychodząc, natknęłam się na Bradleya.

- Wiesz, John czuje się naprawdę paskudnie z tym, co ci zrobił - powiedział.

- Naprawdę? Nigdy mnie nie przeprosił.

- Ale tak jest. Opowiadał mi o tych szczęśliwych chwilach, które wspólnie spędziliście, i o tym, jak bardzo się kochał.

- To dlaczego nie zgadza się na ugodę?

- Myślę, że powoli zmienia zdanie. Nie wpadają już we wściekłość, kiedy o tobie mówimy.

Przypomniała mi się czarująca osobowość tego człowieka, która pojawiała się na zawołanie. Potrafił tak manipulować ludźmi, że wierzyli w najbardziej nieprawdopodobnie opowieści, więc odparłam tylko:

- Bądź ostrożny. Nie wiem, w co on gra, ale na pewno nie chodzi mu o nic dobrego.

Po wyjściu z budynku odetchnęłam z ulgą, ponieważ właśnie zostawiłam za sobą część dawnego życia. Z mojego punktu widzenia pudła zniknęły. Marzyłam, by to samo stało się z Johnem.

\* \* \*

Trzy miesiące później, w czerwcu 1994 roku, poszłam do biurowej kuchni, by nalać sobie porannej kawy. Na dźwięk otwierających się drzwi lodówki aż podskoczyłam.

- Przepraszam - powiedziała Elizabeth. - Kiepska noc?

- Tak. A to tylko wierzchołek góry lodowej - odparłam.

- Mam poczucie, że wszystko wali mi się na głowę. Ostatnie dziesięć miesięcy było piekłem. Nie mogę namówić Johna, żeby zgodził się na ugodę. Ciągłe chce więcej. Teraz wnosi sprzeciw w sprawie wspólnej renty, a gdy tylko coś zaproponuję, gra na zwłokę. Raz pięć miesięcy czekałam na odpowiedź od jego adwokata, a zamiast zgody otrzymałam kolejne bezczelne żądanie. Mój adwokat się wycofał, więc sama muszę sobie z tym radzić.

- Naprawdę masz ręce pełne roboty.

- To jeszcze nic. Kilka tygodni temu zdałam sobie sprawę, że John prawdopodobnie próbuje doprowadzić do tego, by zwolnienie warunkowe zostało zastąpione całkowitym. Jestem przerażona.

- Co zrobiłaś?

Zamilkłam i splotłam palce wokół kubka z kawą.

- Następnego ranka moje obawy się potwierdziły. John miał zostać zwolniony spod opieki kuratora, a mnie jak zwykle o tym nie poinformowano. Wysłałam więc faksem listy do sędziego, do adwokata Johna i mojego. Wyjaśniłam im, dlaczego uważam, że mąż wciąż chce mnie zamordować. Ostatnim razem, gdy czułam się zagrożona, niemal straciłam życie. Wyciągnęłam z tego wnioski. Nigdy nie dopuszczę do tego, żeby John znów miał nade mną taką przewagę.

- To wspaniale - powiedziała Elizabeth. - Przyjęli to do wiadomości?

Nachyliłam się nad stołem.

- Myślałam, że tak, ale to tylko zachęciło go do podjęcia kolejnych działań. Pojawił się w mieście cztery dni temu, w ponie-

działek, przedstawił się jako „admiral Perry” i *zabrał* swoje rzeczy z magazynu. Minęło osiemnaście miesięcy, od kiedy został zwolniony z więzienia. Czemu akurat teraz odbiera swoje rzeczy?

- To najdziwniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałam  
- podsumowała Elizabeth.

Wzięłam łyk kawy i uśmiechnęłam się ponuro.

- Wczoraj doszłam do wniosku, że ma to pewnie jakiś związek z umówionym spotkaniem z jego adwokatem, podczas którego mieliśmy podpisać ugodę. I faktycznie, Bradley zadzwonił i odwołał je.

- Dlaczego?

- John stwierdził, że jest zbyt wściekły, by przyjąć jakąkolwiek ofertę. Kiedy przewiózł swoje rzeczy do Seattle, odkrył ponoć, że brakuje wszystkich wartościowych przedmiotów, na przykład jego roleksa. Ten skurwiol oskarżył mnie, że ukradłam je i podrzuciłam mu śmieci. Co za łgarz!

Wyjaśniłam przecież Bradleyowi, że każde pudło Johna zostało spakowane i opisane przez moich przyjaciół właśnie po to, by ustrzec się przed tego typu oskarżeniami. Miałam szczegółową listę przedmiotów z każdego pudła. Byłam gotowa się o to sądzić. Na świadków wezwałabym swoich przyjaciół. Poza tym nie podejrzewałam, żeby John zdążył przejrzeć dwieście pudeł w mniej niż dwa dni. Na samą myśl o jego kłamstwach robiło mi się niedobrze.

- Więc co się teraz dzieje? - spytała Elizabeth.

- Nie wiem. Chciałabym wiedzieć, co on knuje. Chciałabym... mój Boże! - Podskoczyłam i zaczęłam nerwowo cho-



dzić w kółko. - Teraz to zrozumiałam: on przygotowuje się do ponownego zamachu na moje życie! Gdy będę martwa, pójdzie do sądu i ogłosi, że należy mu się mój majątek, ponieważ nie oddałam mu wcześniej jego części. A co gorsza, nikt nie będzie się z nim spierał. Moja matka jest za stara, a reszta rodziny mieszka w innych stanach. Jego prawnik zezna, że kilka miesięcy temu wyraził żal z powodu tego, co się stało.

Elizabeth odebrało mowę.

- Muszę iść... napisać listy... powstrzymać Johna, raz na zawsze. Dzięki, że mogłam to z siebie wyrzucić. Bez tej rozmowy być może nie doszłabym prawdy. - Uścisnęłam ją i wyszeptalam do ucha: - Pomogłaś mi ocalić życie.

Gdy wróciłam do gabinetu, natychmiast zadzwoniłam do sędziego Lawrence'a, Rossa Grissoma, a następnie do Bradleya. Próbował mnie uspokoić, bagatelizując sprawę, ale nie słuchałam go. Za dobrze znałam Johna. Kiedy prawnik zaproponował, że domówimy szczegóły w sobotę w jego gabinecie, zgodziłam się natychmiast, choć nie czułam się pewnie. Czyżby zbliżał się koniec tego koszmaru?

\* \* \*

W sobotę rano obudziłam się z okropnym bólem głowy i skurczami żołądka. W nocy dręczył mnie koszmar, w którym John gonił mnie z nożem, grożąc mi śmiercią. Uznałam to za ostrzeżenie i gdy tylko wybiła ósma, zadzwoniłam do Bradleya.

— Nie możemy spotkać się w twoim biurze — powiedziałam drżącym głosem. - Boję się, że John będzie próbował dzisiaj mnie zamordować.

- Ale on jest w Seattle.

- Masz biuro na trzecim piętrze, prawda? Mój samochód będzie stał na parkingu przez parę godzin, bez nadzoru. Może więc zlecić komuś, żeby uszkodził hamulce. Wtedy ja zginę w wypadku, tak jak planował cztery lata temu. - Po twarzy popłynęły mi łzy, zaczęłam szlochać. - To nie żadna paranoja. Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny!

- Co proponujesz? - spytał.

- Spotkajmy się gdzieś, gdzie będzie dużo ludzi.

- Może w parku na Gregory Lane?

- Dobrze, tylko nie mów Johnowi.

Dwie godziny później siedziałam na ławce, a przy moich stopach leżały dwa golden retrievery. Był ciepły, wiosenny poranek. Na stole, obok teczki, położyłam telefon komórkowy. Umówiliśmy się tuż obok parkingu, żebym cały czas mogła widzieć swój samochód.

Jakieś pięć minut później na miejscu obok zaparkował sportowy wóz, z którego wysiadł mężczyzna w szortach i koszulce polo, z teczką w ręku. Ruszył w moją stronę.

- Nie poznałam cię - roześmiałam się. - Wyglądasz zupełnie inaczej, gdy nie masz na sobie garnituru, prawie jak człowiek. - On również się roześmiał. Dzięki temu spotkanie przebiegło w przyjaznej atmosferze. Oboje otworzyliśmy teczki i wyjęliśmy papiery.

- John zgadza się na wszystko z wyjątkiem trzech kwestii.

„Znowu się zaczyna” - pomyślałam.

- Po pierwsze, chce oddzielnie spisać zyski kapitałowe z domu w Concord.

- Naprawdę? — roześmiałam się. - Powtarzam to od dwóch lat. Co dalej?

- Uważa, że przez voucher straci swoją część punktów lotniczych.

- Bzdura, musi go tylko podpisać. Wiesz, co myśli o tym sędzieu Lawrence. A jakie jest trzecie życzenie?

Bradley wręczył mi listę. John chciał sześć z dwunastu kieliszków Waterford, welin Anthonyego Quinna, słoik na ciasta w błękitne gęsi, modernistyczną rzeźbę kupioną w Hiszpanii i wagę łazienkową. Czy jego chciwość nie miała granic? Spojrzałam na psy leżące u moich stóp i zamknęłam oczy, by poczuć słońce na twarzy. Ogarnął mnie spokój.

- Możemy dobić targu - stwierdziłam - pod warunkiem że dostanę trzy z ostatnich sześciu czeków z renty, które nie zostały jeszcze zrealizowane, oraz że John zapłaci firmie przeprowadzkowej, która zabierze z mojego domu jego rzeczy i mercedesa 450 SL.

Bradley odetchnął z ulgą.

- Nie sądziłem, że się zgodzisz.

Wzruszyłam ramionami.

- To tylko rzeczy. Ważniejszy jest dla mnie spokój ducha. Chcę, żeby John Perry raz na zawsze zniknął z mojego życia.

Gdy Bradley odjechał, zostałam przy stoliku. Przepelniała mnie duma. Nie byłam już potencjalną ofiarą Johna, ponieważ nie zarobiłby na mojej śmierci ani centa. Sięgnęłam po poranną gazetę i otworzyłam ją na horoskopie: „Dziś wiesz dokładnie, co należy powiedzieć i zrobić. Inni chętnie godzą się na twoje przywództwo. Od odniesionego niedawno sukcesu może przewrócić ci się w głowie, więc słuchaj głosu rozsądku”.

## *Stawka*

Dramatyczne okoliczności, które towarzyszyły spotkaniu z Alanem Bradleyem, utwierdziły mnie w postanowieniu, żeby zmienić kalifornijskie prawo dotyczące rozwodów bez orzekania winy. Choć byłam zadowolona z warunków ugody, to moja walka o poczucie bezpieczeństwa okazała się długa i niezwykle trudna. Należało to zmienić. Żadna ofiara próby zabójstwa nie powinna przechodzić przez dodatkowe męczarnie.

Po powrocie do domu ponownie przeczytałam odmowny list od Campbella. Zirytował mnie: dlaczego trzeba czekać rok, by polityk łaskawie ustosunkował się do prośby wyborcy? Campbell wspomniał, że zmiana prawa oznaczałaby poważne naruszenie tradycji w tej kwestii. Poza tym nie specjalizował się w tej dziedzinie. Bał się stawić czoła systemowi, ale dał mi listę legislatorów zajmujących się prawem rodzinnym.

Teraz ponownie przeczytałam ją z zaciekawieniem niczym poszukiwacz, próbujący wypatrzeć żyłę złota na podar-tej mapie. Nie znalazłam żadnej z osób związanych z prawem

rodzinnym, więc przesłam do bezpieczeństwa publicznego. Bates... Gotch... Isenberg... Lee... Rainey. 'Zatrzymałam się. Dick Rainey piastował kiedyś urząd szeryfa hrabstwa Contra Costa. Poznałam go, kiedy przyjechał do Excelsior, żeby wygłosić mowę wyborczą. Natychmiast napisałam do niego list. Trzy tygodnie później, w czerwcu 1994 roku, siedziałam w jego gabinecie w Walnut Creek i szlochając, wyjaśniałam mu, dlaczego chcę zmienić prawo.

- To dramatyczna historia. Zgadzam się, że prawo jest absurdałne, dlatego będę wspierała tę akcję.

- Dziękuję - wyszeptalam z wdzięcznością.

- Następny krok to napisanie projektu. Będzie pani musiała pomóc mojemu asystentowi.

Dopiero półtora roku po wizycie u Bellego znalazłam kogoś, kto zgodziłby się pomóc mi zmienić prawo. Kiedy jednak wychodziłam z gabinetu Dicka, nie zdawałam sobie sprawy, że jest to początek nowych zmagania.

\* \* \*

Moje życie przypominało teraz żonglowanie piłeczkami: praca, prawo, książka, prawa ofiar i walka z Johnem w sądzie rozwodowym. Wykorzystywałam każdą okazję, żeby popychać te sprawy. Podczas konferencji naszego stowarzyszenia, która odbywała się każdego lata, poznałam Nancy Weber, pielęgniarkę, która jako medium pomagała policji rozwiązywać sprawy kryminalne. Poprosiłam ją, żeby powiedziała coś na temat Johna. Potrzebowała przedmiotu, którego dotyczył, więc postanowiłam przesłać jej coś pocztą.

- Umówimy się na dwa półgodzinne seanse telefoniczne
- zaproponowała - jeden dotyczący jego przeszłości, drugi przyszłości.

Nie mogłam się doczekać.

\* \* \*

Miesiąc później po raz pierwszy pojechałyśmy z matką do Sacramento. Nie chodziło nawet o to, że potrzebowałam wsparcia emocjonalnego; po prostu lubiłam zabierać ją ze sobą, bo dzięki temu mogła zobaczyć coś poza swoimi czterema ścianami. Miałyśmy się tam spotkać z asystentem legislacyjnym Raineya, Erikiem Burlingtonem. Wiedziałam, że ta wyprawa zakończy się sukcesem. Tego ranka w kalendarzu przeczytałam: „Dzisiaj skup się na swoim celu i działaj. Nie ustawaj w wysiłkach, by osiągnąć to, do czego dążysz”.

- A więc jaka jest pani wizja? - spytał Erie.

- Chcę zapewnić ochronę finansową osobom, które omal nie zginęły z rąk współmałżonków. Przestępcy nie może przypadać połowa funduszu emerytalnego ofiary ani alimenty, ta zaś nie powinna opłacać jego ubezpieczeń.

- Czy udało się pani napisać wstępną wersję?

- Nie, mój adwokat rozwodowy nie chce mnie w tym wesprzeć.

- To nie problem, moi doradcy zaczną prace nad szkicem. Potem poproszę panią o komentarze i poprawki. Tymczasem trzeba znaleźć sponsora projektu.

Wyjaśnił, że sponsor to grupa, która zajmuje się pozyskiwaniem poparcia dla danego projektu i gromadzi świadków, któ-

rzy będą zeznawać przed komisjami. Notowałam wszystko najszybciej, jak potrafiłam, ponieważ nie chciałam uronić ani słowa.

Gdy zbierałyśmy się z matką do wyjścia, odwróciłam się, spojrzalam Ericowi prosto w oczy i powiedziałam z determinacją:

- Zmienię to prawo.

\* \* \*

Dwa tygodnie później, 6 października 1994 roku, stałam przy terminalu na lotnisku JFK w Nowym Jorku. Czekałam na samolot do Hartford w Connecticut, gdzie miałam wziąć udział w warsztatach pisarskich. Dla zabicia czasu przechadzałam się po holu. Gdy doszłam do bramki numer 49, akurat otworzyły się drzwi i wyszli pasażerowie maszyny, która właśnie wylądowała.

Nie miałam nic lepszego do roboty, więc przyglądałam się przechodzącym ludziom. Była wśród nich kobieta w średnim wieku, ubrana w czarny garnitur, łysy jegomość w pogniecionym płaszczu, a za nim dwóch mężczyzn po trzydziestce z teczkami. Następnie wyszedł starszy człowiek w trenczu Burberry i kapeluszu kowbojskim... „Mój Boże! Nie, to niemożliwe. Co on tu robi? Nie jest już na zwolnieniu warunkowym. Czyżby mnie śledził?” Serce podskoczyło mi do gardła. To on. Przeszedł na drugą stronę holu, sprawdził swój plan podróży, po czym spojrzal na wiszący nad nim znak i pokuśtykał do następnej bramki.

Ogarnął mnie paniczny strach. Przyłgnęłam do ściany i przesunęłam się przy niej aż do swojej bramki. Podeszłam jak najbliżej obsługi, cały czas zerkając na hol.

- Przy wyjściu numer 49 widziałam człowieka, który usiłował mnie zamordować - wykrztusiłam. - Może ponownie próbować mnie zabić.

Pracownik obsługi zaprowadził mnie na zaplecze i tam wysłuchał uważnie mojej historii.

- Proszę tutaj zostać, sprawdzę loty.

Po pięciu minutach, które ciągnęły się w nieskończoność, wrócił razem z pracownikiem ochrony.

- Potwierdziłem, że niejaki John Perry przyleciał z Genewy - stwierdził. - Ma zabukowane miejsce w samolocie do Seattle, który startuje za dwie godziny.

To był tylko zbieg okoliczności, który jednak zupełnie wytrącił mnie z równowagi. Zostałam na zapleczu, dopóki nie przyszedł czas, by wejść na pokład samolotu. Po tylu miesiącach widok Johna wciąż budził we mnie przerażenie, choć sądziłam, że już dawno sobie z tym poradziłam. Przez następne dziesięć dni przelewałam wszystkie emocje na papier. Kiedy opowiedziałam grupie pisarskiej o spotkaniu na lotnisku, usłyszałam, że jest to najdziwniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek przytrafiła się komuś w drodze na warsztaty.

- Świetnie - roześmiałam się. - Możecie dołączyć do mojego fanklubu pod nazwą „To najdziwniejsza sprawa, o jakiej słyszałam“!

\* \* \*

Pod koniec października, na miesiąc przed przejściem na emeryturę, moja przyjaciółka Pam zaprosiła mnie na lunch. Wspomniała również, że będę mogła odnowić znajomość



z naszym starym kolegą z pracy Reksem Johnstonem, z którym umówiła się w Potato Barge.

Podczas posiłku wszyscy troje śmialiśmy się, przypominając sobie wspólną pracę w laboratorium. Każdy opowiedział również, co porabiał przez ostatnie lata. Ja wspomniałam o mojej walce z psychopata. Przy tej historii śmiech zamarł. Zanim rozeszliśmy się do biur, kolega zaprosił nas do siebie na kolację w trzeci piątek listopada.

W następnym tygodniu Rex wyjechał na urlop do Meksyku, a ja musiałam uporać się ze śmiercią ukochanego psa, Gobiego. Miał już czternaście i pół roku, więc ciężko to przeżyłam. Nie mogłam przestać płakać. Wzięłam dwa dni wolnego, a potem znów skupiłam się na pracy, obronie przed Johnem i zmianie prawa. Kiedy Rex wrócił na początku listopada, zaprosiłam go na bankiet w San Francisco, który odbywał się na tydzień przed urządzaną przez niego kolacją. Na obu tych spotkaniach doskonale się razem bawiliśmy. Zaprosiłam go również, by spędził Święto Dziękczynienia ze mną i moją mamą. Przyjął zaproszenie i zaproponował, że przyniesie wędzonego indyka. Nalegałam, aby przyprowadził również swojego małego pieska o imieniu Taffy. Nasze zwierzaki natychmiast się zaprzyjaźniły. Okazało się, że eksżona Rekса wzięła psa ze schroniska na dzień przed planowanym uśpieniem. Nikt nie chciał rocznego kundla, który miał problemy ze zgryzem. Podniosłam Taffy i przytulilam ją.

Kolacja była wyśmienita, a gość zarażał nas swoim śmiechem. Kiedy wyszedł, mama zauważyła, że wygląda i zachowuje się trochę jak tata. Najpierw zdziwiła mnie

ta uwaga, ale miała rację. Rex pochodził z Illinois, a tata z Kansas; łączyło ich więc usposobienie charakterystyczne dla mieszkańców środkowego zachodu.

Rex i ja zaczęliśmy się spotykać. Na każdej randce coraz bardziej docierało do mnie, że dzięki wspólnym zainteresowaniom i priorytetom doskonale się rozumiemy. Zaufałam mojej Sile Wyższej.

\* \* \*

Wielu tajemniczych wydarzeń nie da się wytłumaczyć tak po prostu. Niekiedy przynoszą jednak niespodziewane efekty. Tak było w przypadku mojego pierwszego seansu z Nancy Weber. To, czego dowiedziałam się o przeszłości Johna, wstrząsnęło mną do głębi: na początku lat sześćdziesiątych w okolicy Miami zamordował trzy kobiety. Nancy „zobaczyła” również wydarzenia, o których opowiadała mi Janette Perry - o tym nie mogła wiedzieć. Ciarki przeszły mi po plecach. Teraz, pod koniec listopada, siedziałam w pracy i z niecierpliwością czekałam na drugi seans. Dochodziła dwunasta, Nancy miała zadzwonić lada chwila. Tym razem chodziło o przeszłość.

Na dźwięk dzwonka aż podskoczyłam. Ta niezwykła kobieta ponownie trzymała w dłoni zdjęcie Johna i jego portfel. W jej głowie zaczęły pojawiać się różne obrazy.

- Tym razem widzę, jak przekazywane są pieniądze za transport czegoś... Pudła, z których wystaje słoma... To coś pochodzi z przemytu.

Nigdy nie wspomniałam jej o tym, że John zajmuje się importem roślin. Ścięło mi krew w żyłach.

- Widzę, że ma jakieś kontakty w Zurychu... Chodzi o handel bronią i pranie brudnych pieniędzy.

- Och, Nancy, wpadłam na niego na lotnisku, kiedy wracał z Genewy.

- Wciąż powinnaś mieć się na baczności, Barbaro. Zwłaszcza jeśli wydaje ci się, że on cię śledzi.

Wzięłam sobie do serca to ostrzeżenie. Planowałam zachować daleko posuniętą ostrożność, większą niż dotychczas, ale czekały mnie gorsze wieści.

- John związał się z pewną kobietą - ciągnęła Nancy.  
- Jak zwykle robi się agresywny i zaborczy. Przyczyną jednak nie jest zazdrość, lecz chciwość. Coś zaczyna się dziać...

Przepowiednie przybrały jeszcze mroczniejszy ton.

- Grozkiej niebezpieczeństwo - oznajmiła. - Będzie próbowała ją zamordować. To socjopata z cechami seryjnego zabójcy. Trzeba ją ostrzec, ale musisz zrobić to anonimowo.

Kiedy seans się skończył, siedziałam bez ruchu niczym zombi i myślałam nad wszystkimi informacjami, które spisałam w notesie. Musiałam się tym z kimś podzielić. Poszłam do gabinetu Elizabeth i powtórzyłam jej wiadomość od Nancy.

- I co teraz zrobisz?

- Nie wiem, ale zaufam w mojej Sile Wyższej. Ona wskaże mi drogę.

\* \* \*

Przez trzy miesiące pracowałam nad projektem. Najważniejsze było znalezienie sponsora, więc pisałam listy, dzwoniłam i składałam wizyty, ale bezskutecznie. Nikt nie chciał

się tego podjąć, nawet mój adwokat. Wszyscy za to zgadzali się, iż prawo należy zmienić, i obiecywali wsparcie. Twierdzili, że brakuje im ludzi. Moim zdaniem brakowało im pasji.

Erie Burlington współpracował z doradcami legislacyjnymi - zarówno z partii demokratycznej, jak i republikańskiej - i miałam możliwość zapoznać się z rezultatami. Język prawniczy brzmiał dla mnie jak chińszczyzna i często się gubiłam, szczególnie w dziale dotyczącym obowiązku powierniczego. Nie rozumiałam, dlaczego projekt wprowadza poprawki zarówno do prawa rodzinnego, jak i kodeksu cywilnego, skoro miał dotyczyć tylko kwestii rozwodu.

Pewnego popołudnia odebrałam telefon od Erica.

- Dostaliśmy numer. Assembly Bill<sup>1</sup> 16.

- Słodka szesnastka czeka na pierwszy pocałunek - roześmiałam się, ale po chwili spoważniałam. - Czy jesteśmy gotowi na następny tydzień?

- Rainey wspiera w tym roku pięć projektów - ciągnął Erie - ale w dniu otwarcia zgromadzenia może przedstawić tylko jeden. Wybrał AB 16.

- Mój? Assembly Bill 16?

Chciałam być świadkiem tego wydarzenia, ale Erie radził mi oszczędzać dni wolne na przesłuchania w komisjach. Miał rację. Poza tym dzień otwarcia okazał się porażką. Demokraci i republikanie mieli taką samą liczbę przedstawicieli, więc spory polityczne od początku psuły atmosferę. Przewodniczący Willie Brown, który miał ustąpić, odmówił przekazania stanowi-

<sup>1</sup> Assembly Bill - projekt legislacyjny.

ska. Doszło do awantury. Ponieważ bez rozstrzygnięcia sporu 0 przewodniczącego nie można było podjąć regulaminowych działań, nie przedstawiono żadnych projektów. Pojawiła się nawet plotka, że jeśli zgromadzenie będzie głosować wedle podziałów partyjnych, w tegorocznej sesji przejdzie niewiele ustaw. Przyszłość mojego projektu zawisła na włosku.

\* \* \*

Nauczyłam się pokładać zaufanie w mojej Sile Wyższej i przekonałam się, że dostanę to, czego chcę, wtedy, kiedy będę tego potrzebowała. W połowie grudnia zadzwonił do mnie Hal Ledman, człowiek, który pomógł Johnowi, gdy ten wyszedł na zwolnienie warunkowe. Był przerażony.

- On popelnia kolejne przestępstwa - wydusił. - Nie jest tym, za kogo się podaje. Teraz pani wierzę. Przepraszam, że nie porozumiałem się z panią, zanim pozwoliłem mu u siebie zamieszkać.

Przekazał mi, że John wprowadził się teraz do Trudy, sześćdziesięcioletniej kobiety, która była właścicielką dwudziestoakrowego gospodarstwa w Redmond, pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Seattle. Hal od wielu lat przyjaźnił się z Trudy i jej bratem.

Wydało mi się dziwne, że dzwoni do mnie, żeby się wyplakać. Potem przypomniałam sobie jednak rozmowę z Nancy i zrozumiałam, że oto pojawiła się szansa, by ostrzec tę nieszczęsną kobietę. Rozmawiałam przecież z jej przyjacielem.

- Musi pan uprzedzić Trudy, że John będzie próbował ją zamordować, ale nie może pan wspomnieć o mnie. - Zgo-

dził się porozmawiać z jej bratem, żeby omówić problem.  
- Od tego zależy jej życie - ostrzegłam.

\* \* \*

W grudniu Rex i ja spotykaliśmy się często z przyjaciółmi. Wybraliśmy się na imprezę z okazji sześćdziesiątych urodzin Georgea. Wyjechaliśmy na pierwszy wspólny wypad do chatki na wybrzeżu w hrabstwie Mendocino. Wzięliśmy ze sobą Taffy i Gaby. Pierwsza uciekała przed falami, a druga radośnie skakała prosto w bałwany. Boże Narodzenie spędziliśmy z moją mamą u Pam i Georgea.

Odnowiliśmy też przyjaźń z Cathy i Carlem Crenshaw, których znaleźliśmy jeszcze z czasów pracy w Excelsior Chemical. Poszliśmy z nimi na kolację i imprezę sylwestrową w restauracji Snooker Pete's. Gdy zaczęło się tradycyjne odliczanie, Rex ścisnął moją dłoń. O północy stuknęliśmy się kieliszkami, pociągnęliśmy łyk szampana i złączyliśmy usta w delikatnym pocałunku. Dawno nie czułam się tak bezpiecznie w czyichś ramionach. Po wypiciu toastu z Cathy i Carlem pogrążyłam się w rozmyślaniach na temat tego, co czeka mnie w nadchodzącym roku: rozwijający się związek, zmiana prawa, pisanie książki i dalsza walka z Johnem. Mogłam podjąć te wyzwania tylko dzięki zaufaniu, jakie pokładałam w bliskiej osobie, przyjaciółach i Sile Wyższej. Kiedy rozległy się dźwięki *Auld Lang Syne*, otarłam z policzków łzy radości i przyłączyłam się do radosnego śpiewu.

<sup>1</sup> *Auld Lang Syne* - tradycyjna piosenka, którą w Stanach Zjednoczonych śpiewa się zazwyczaj tuż przed wybicciem północy 31 grudnia.

## *Sponsor*

ym 1995 roku siedziałam przy swoim biurku i jadłam kanapkę z tuńczykiem, wprowadzając poprawki do najnowszej procedury zapewniania jakości. Nagle rozległ się podwójny dzwonek; nie spodziewałam się telefonu. Szybko przelknęłam kęs i podniosłam słuchawkę. Usłyszałam miękki kobiecy głos.

- Nazywam się Anna Dunsmuir, jestem asystentką legislacyjną w biurze pana Raineya. Prosił, żebym przejęła sprawę pani projektu od Erica Burlingtona.

Ta zmiana wzbudziła mój niepokój. Przyszło mi do głowy, że może według Raineya mój projekt nie ma szans. Martwiłam się też, że Anna nie okaże się równie kompetentna jak Eric.

- Czy to coś zmienia? - spytałam.

- Raczej nie. Przejrzałam dokumenty i mam nadzieję, że razem doprowadzimy do uchwalenia AB16.

Poprosiła o kilka informacji. Chciałam, żeby usłyszała w moim głosie pasję i zrozumiała, jak bardzo pragnę zmienić to prawo.

- Jedna rzecz spędza mi sen z powiek, Anna. Nie mogę znaleźć sponsora, a szukam od niemal pół roku. Czy możesz mi z tym pomóc?

- Ależ masz sponsora, Barbaro - powiedziała Anna.

- Słucham?

- Spójrz w lustro. Ty nim jesteś.

- Ale... ja nie mam organizacji.

- A czy nie piszesz listów? Czy nie prowadzisz kampanii na rzecz projektu? Czy nie jesteś jego siłą napędową?

- Tak, ale... - Aż przygarbiłam się pod ciężarem tej dodatkowej odpowiedzialności. - Sponsor własnego projektu, tak?

- Dokładnie. - Roześmiała się serdecznie. - Musisz tylko zdobyć społeczne poparcie i zastanowić się, kto będzie z tobą zeznawał. Teraz zaczyna się prawdziwa walka. Dziś rano projekt został przesłany do Komisji Sądowniczej.

- To naprawdę się dzieje.

Głos aż uwiązł mi w gardle. Minęły dwa miesiące, od kiedy Willie Brown zerwał nową sesję, odmawiając ustąpienia. Od tego czasu mój projekt, tak jak wszystkie inne, leżał nietknięty.

- Przesłuchanie odbędzie się 17 maja - powiedziała Anna.

- To raptem za trzy miesiące.

- Co muszę do tego czasu zrobić?

- Napisać listy do członków komisji z prośbą o wsparcie. Prześlę ci faksem ich nazwiska. Za parę tygodni będę w biurze Dicka w Walnut Creek. Mogłybyśmy się tam spotkać.

- Jesteśmy umówione - potwierdziłam. Gdy skończyliśmy rozmawiać, aż pisnęłam z radości. Musiałam dać jakoś upust swojemu podnieceniu. Dobrze, że w pobliżu nikogo nie było.



Pięć minut później otrzymałam faks z nazwiskami. W Komisji Sądowniczej zasiadało czternastu członków. Pierwsze listy napisałam jeszcze tego wieczora, podczas wizyty u Reksa. On wierzył we mnie i w sens tej misji. Uśmiechnęłam się, gdy usiadł obok, złapał za koperty i zaczął naklejać znaczki.

Dwa tygodnie później siedziałam razem z Anną w biurze Raineya w Walnut Creek. Z dużą pewnością siebie opowiadałam o ostatnich działaniach: od pisania listów po nagranie spotu promocyjnego. Wtedy Anna przekazała mi wstrząsającą wiadomość.

- Docierają do nas niepokojące sygnały. Kontrowersje budzą zarówno konkretne słowa użyte w projekcie, jak i zmiany, które ma on wprowadzić w kodeksie cywilnym i rodzinnym. Dlatego wyznaczono dwa przesłuchania. Pierwsze ma się odbyć 19 kwietnia i będzie dotyczyło odszkodowania retorsyjnego, a 3 albo 17 maja zajmą się częścią związaną z prawem rodzinnym.

Zaniepokoiło mnie to. Kolejne poprzeczki ustawiano coraz wyżej. Nie wiedziałam, czy zdołam się z nimi zmierzyć.

- Co mogę zrobić, żeby przedstawić ten projekt w pozytywnym świetle? - zapytałam.

- Musimy zadbać o neutralność sędziów. Jeśli wypowiedzą się przeciwko niemu, upadnie. Marty Montano, który pracuje dla kalifornijskiego stowarzyszenia sędziów, stwierdził, że nie są oni przekonani do AB16.

Spojrzałam jej prosto w oczy.

- Zrobię wszystko, by ich przekonać - odparłam bez wahania.

\* \* \*

Montano nie odpisywał mi przez trzy tygodnie, więc postanowiłam do niego zadzwonić. Sędziowie uznali ponoć, że poprawka do kodeksu cywilnego będzie kijem wetkniętym w mrowisko. Wyjaśniłam mu, na czym polega moja misja. Okazał wiele sympatii, ale nie zmienił zdania.

- Sędziowie są przeciwni zmianom zapisów funkcjonujących od trzydziestu lat. Ciężko pracowali, żeby stworzyć prawo, które ograniczy scysje na sali sądowej.

- Ale zmieniliśmy niektóre słowa.

Marty nie chciał ustąpić. Spytałam, co możemy zrobić, żeby ta grupa pozostała przynajmniej neutralna. Ja również potrafię być uparta, szczególnie gdy chodzi o ważną dla mnie sprawę. Żadne z nas nie chciało ustąpić, lecz nagle przyszło mi do głowy, że jest coś, co nas łączy.

- A tak na marginesie, czy ponad dwadzieścia lat temu twój tata nie pracował przypadkiem w Excelsior? - spytałam.

- Owszem.

- Ależ ten świat mały! Ja tkwię tam do dziś. Mój pierwszy mąż i ja zrobiliśmy wam nawet zdjęcie w naszym domu w Concord.

- Mój Boże! - wykrzyknął. - Ja też tam byłem.

Roześmiałam się.

- Pamiętam tylko gromadkę dzieci, które usiłowałam namówić, żeby uśmiechnęły się w tym samym momencie.

Odważnie i bez wahania wykorzystałam tę dawną znajomość i nie zawiodłam się: Marty zgodził się dokonać ponownej oceny AB16. Obiecał, że spróbuje opracować takie ujęcie, które zadowoli sędziów. Podziękowałam mu, rozłączyłam się

i natychmiast zadzwoniłam do Anny, żeby przekazać jej wieści z frontu.

Ona również miała dla mnie dobrą wiadomość: przedstawicielka kalifornijskiego związku republikanek pochwaliła mnie w rozmowie z Raineyem.

- Pamiętam ją - powiedziałam. - W miejscowym college'u uczy między innymi o rzecznictwie. Była bardzo pomocna, udzieliła mi wielu informacji i porad na temat lobbingu i zasugerowała, na których członkach komisji powinnam się skupić. Poprosiła nawet, żebym przesłała jej swój list uzasadniający.

Po raz kolejny w odpowiednim momencie spotkałam na swojej drodze ludzi, którzy pospieszyli mi z pomocą, na przykład ucząc mnie nowych umiejętności. Minął niespełna miesiąc, a już pojawiła się okazja, by wykorzystać tę wiedzę.

\* \* \*

Dwa tygodnie później w Sacramento, nieopodal wschodniego wejścia do budynku zgromadzenia stanowego, Rex i ja rozłożyliśmy stolik i krzesło, a potem wyjęliśmy tablice, długopisy i pudełko z petycjami. Dla sponsora AB 16 nadszedł czas na kolejną przygodę: wprosiłam się na imprezę poświęconą prawom ofiar.

Tłum zaczął gęstnieć. Zbliżała się pora lunchu, a mój stolik wzbudzał zainteresowanie uczestników przyjęcia, gapiów i dziennikarzy. W pewnym momencie podszedł do mnie mężczyzna, który przedstawił się jako reporter „Oakland Tribune”.

- Będę czekał na pani zeznanie - zapewnił.

Potem przyszła Anna, żeby sprawdzić, jak mi idzie, i poprosić o moje przemówienie.

- Możesz przesłać mi je do piątku?

- Oczywiście - odparłam bez wahania, ponieważ pisanie o tym, co mnie pasjonowało, przychodziło mi z łatwością.

- Wciąż pracuje z doradcami legislacyjnymi nad pewnymi poprawkami, żeby Isenberg nie zatopił projektu. Muszę mieć z tobą kontakt przez następne kilka dni.

Zmarszczyłam brwi.

- Mam szkolenie, nie będzie mnie przy biurku, ale odezwę się podczas przerwy.

- W porządku. A co z twoimi świadkami na następny tydzień?

- Wszyscy troje potwierdzili.

- Jesteś świetnym sponsorem, Barbaro - dodała.

Nadszedł czas, by złożyć stoliki i przejść do dużego białego namiotu. Po lunchu prokurator generalny stanu Kalifornia Dan Lundgren wygłosił wzruszającą mowę o prawach ofiar, kończąc tym samym część oficjalną. Zebrałam się na odwagę, podeszłam do podium i przedstawiłam się.

- Jestem sponsorem AB16. Chcę zmienić prawo dotyczące rozwodów, bez orzekania winy. To pomoże innym ofiarom.

- Życzę pani jak najlepiej - powiedział z szerokim uśmiechem, ściskając mocno moją dłoń. - Tylko tak dalej.

## *Lobbystka*

Pozostało sześć dni do mojego wystąpienia przed Komisją Sądowniczą. Siedziałam na szkoleniu i odliczałam minuty do porannej przerwy. Gdy tylko instruktor nas wypuścił, pobiegłam do telefonu. Koniecznie chciałam dotrzeć tam, nim przyjdą pozostali członkowie grupy. Musiałam dowiedzieć się, czy sponsorowany przeze mnie projekt przetrwał noc.

Na szczęście znalazłam jeden wolny telefon. Uznałam, że to dobry znak. Wybrałam numer biura Raineya, członka zgromadzenia, i z długopisem w dłoni czekałam, aż będę mogła robić notatki.

Telefon dzwonił i dzwonił, a ja przeglądałam zapiski z rozmów z Anną Dunsmuir. Byłam pewna, że cierpliwość się opłaci, ponieważ asystentka uspokoi mnie i powie, że projekt nie jest zagrożony.

Zdałam sobie jednak sprawę, że bynajmniej nie tego się spodziewam. Tak naprawdę wietrzyłam kłopoty. Mimo wszystko cieszyłam się, że do współpracy ze mną Rainey wyznaczył wła-

śnie Annę, błyskotliwą, pełną energii i niezwykle pomocną. Była moim przewodnikiem w skomplikowanym i tajemniczym świecie polityki. Miała zaledwie dwadzieścia osiem lat, ale dowiodła, że jest bardzo dojrzałą powierniczką. Nie miałam wątpliwości, że jeśli projekt wciąż jest zagrożony, ona zrobi wszystko, by to zmienić. Wiedziałam też, że powie mi prawdę, nawet jeśli nie będę chciała jej usłyszeć.

Poprzedniego dnia zdradziła mi, że przewodniczącemu Komisji Sądowniczej Philowi Isenbergowi nie spodobały się słowa użyte w AB16. Spotkała się więc z doradcami komisji i z asystentem legislacyjnym Isenberga, żeby wprowadzić kolejne poprawki. Kiedy przesłała mi dokument do akceptacji, wyraziła przekonanie, że te zmiany rozwieją wątpliwości Isenberga. Poprosiła jednak, żebym zadzwoniła do niej dziś rano. W jej głosie usłyszałam ostrzegawczy ton.

Gdy przeglądałam notatki, oczy zaszyły mi mgłą. AB16 i ja już od dwóch lat tworzyliśmy zespół. To zaangażowanie, cierpliwość i wytrwałość zaprowadziły nas tak daleko. Pomogły też moje umiejętności organizacyjne, drobiazgowość i dokumenty, które zdołałam zgromadzić. Odzyskałam optymizm i czekałam już na następną środę, kiedy mieliśmy wystąpić przed Komisją Sądowniczą. Wszyscy, moi świadkowie i ja, byliśmy gotowi do przesłuchania. Gdyby projekt nie przeszedł przez ten etap, oznaczałoby to jego koniec.

- Barbara? Przepraszam - mówiła Anna lekko zadyszana.

- Siedziałam w biurze Martyego.

- I co? Co powiedział Isenberg? - zapytałam.

Zapadła cisza. Poczulałam, jak poca mi się dłonie.

- Przykro mi, Barbaro.

„Nie” - pomyślałam. „Nie mów tego. Proszę, nie!” Wstrzymałam oddech.

- Isenberg nadal chce zablokować projekt.

Nie mogłam wydobyć z siebie słowa.

- Barbaro? Halo? Jesteś tam? Słyszałaś mnie?

Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. To był ten niezwykle ważny telefon; czekałam na niego z mieszanymi uczuciami, a Anna potwierdziła właśnie moje najgorsze obawy.

- Tak, jestem tu. Nie mogę w to uwierzyć. Pracowaliśmy tak ciężko przez te ostatnie kilka dni... Faksy... poprawki... telefony. Mój Boże, czego on jeszcze chce?

- Nie podoba mu się forma.

- Ale zmienialiśmy to z dziesięć razy.

- Znasz Isenberga, to prawnik, więc zastanawia się nad każdym słowem.

Anna zawsze tłumaczyła kwestie prawne w taki sposób, bym mogła je zrozumieć. Bardzo ją za to ceniłam.

- Cóż, nie jestem prawnikiem - odparłam. - Ale wiem, o co chodzi w tym projekcie. Szczerze mówiąc, zawsze uważałam, że tekst jest zbyt zagniatany. Dlaczego powiązali to wszystko z działem o obowiązku powierniczym?

- Nie wiem. W każdym razie komisja twierdzi, że tak powinno być.

Kiedy postanowiłam zmienić kalifornijskie prawo rozwo-  
dowe, poprosiłam swojego adwokata, żeby pomógł mi napi-  
sać projekt. Odmówił. Stwierdził, że jest zbyt zajęty. Być może  
po prostu nie chciał się w to mieszać. Zwróciłam się o pomoc

do innych grup, ale one nie chciały stawiać do z góry przegranej walki. Za każdym razem słyszałam to samo: nie ma najmniejszych szans na zmianę tego prawa. Cholerny święty rozwód bez orzekania winy! W końcu musiałam polegać na republikańskich doradcach, którzy wraz z komitetem legislacyjnym mieli stworzyć szkic projektu. Może nie powinnam była im ufać, skoro forma okazała się poważną przeszkodą.

- Będziemy potrzebowali cudu - oceniła Anna. - Jeśli przewodniczący nie poprze projektu, możemy się z nim pożegnać. Powiedział swojemu asystentowi legislacyjnemu, żeby wycofać go ze środowego programu obrad.

- Nie może tego zrobić. Wszyscy moi świadkowie są gotowi zeznawać.

- Może robić, co mu się żywnie podoba.

Te słowa bardzo mnie zabolaly. Nie po to zaszłam tak daleko, by teraz pozwolić jednemu człowiekowi zablokować to, co chciałam doprowadzić do końca. Kontrolę przejęły nade mną gniew i frustracja. Instykt przetrwania podyktował mi słowa, które zaskoczyły nawet mnie samą:

- Będę zatem musiała pojechać tam we wtorek i sama lobbować u członków komisji.

Lobbing? Nie miałam o nim zielonego pojęcia, ale wierzyłam, że jeśli tylko porozmawiam z członkami komisji, zdołam ich przekonać. Cóż za naiwność!

- Mówimy o czternastu gabinetach, Barbaro.

- Czternastu, tak? - Musiałam prędko zmienić strategię.

- Dobrze. Przyjadę w poniedziałek.

- To dobry pomysł - pochwaliła mnie.



Zrobiłabym wszystko, żeby AB16 nie zgnił w jakiejś starej, zatęchłej komisji.

\* \* \*

W następnny poniedziałek stawiałam się pod budynkiem zgromadzenia, gotowa do walki. Ubrałam się elegancko, w granatową sukienkę i żakiet, a w dłoni ścisnęłam czarną teczkę. Miałam nadzieję, że zrobię wrażenie na członkach komisji i zdobędę najpierw ich uwagę, a później poparcie.

Znalazłam biuro Raineya. W recepcji przywitała się ze mną sympatyczna czterdziestoletnia kobieta.

- Witam, jestem Daisy. Barbara, prawda? Anna uprzedzała, że pani przyjedzie.

Rozejrzałam się po pokoju. Nie było tam nikogo innego. Dostałam gęsiej skórki, mimo że przez ogromne okna wpadało słońce.

- Tak, umówiłam się z Anną na dziewiątą. Jest już?

- Niestety, nie przyjedzie. Kilka minut temu zadzwoniła z informacją, że jest chora.

Kolejna przeszkoda. Zacisnęłam dłoń na rączce teczki. „Oddychaj, Barbaro”. Musiałam skupić się na tym, by nadal się uśmiechać, choć o mało się nie rozplakałam.

- Proszę się nie martwić - ciągnęła Daisy. - Mówiła, że może pani skorzystać z jej gabinetu. Bardzo przepraszała, ale stwierdziła, że na pewno pani sobie poradzi.

Obeszła swoje biurko i wskazała mi niewielki pokój po drugiej stronie recepcji.

- Proszę się rozgościć. Kawa jest w kuchni, po drugiej stronie korytarza. Proszę dać znać, jeśli będzie pani czegoś potrzebować.

- Dziękuję - wyszeptalam, ale wiedziałam, że Daisy nie pomoże mi w tej kwestii.

Weszłam do zagraconego gabinetu, zrobiłam sobie miejsce na biurku i odłożyłam teczkę. Spojrzałam za siebie - przez okna słońce wlewało się do recepcji szerokimi smugami. Musiałam odnaleźć w sobie odwagę, więc przyjąłam to jako dobry omen. Czulałam jednak, że bez Anny mogę ponieść porażkę.

Otworzyłam teczkę i wyjęłam broń, której zamierzałam użyć podczas ataku: czternaście kopert, po jednej dla każdego członka zgromadzenia; oprócz listu włożyłam do nich zdjęcie mojej spuchniętej, posiniaczonej twarzy, wykonane tuż po próbie zabójstwa.

- Jeszcze jedno - dodała Daisy. - Anna mówiła, że trudno będzie zobaczyć się z nimi bez umówienia się na spotkanie, więc proszę najpierw się przedstawić, a potem poprosić o rozmowę z asystentem legislacyjnym, który zajmuje się AB 16.

- Dziękuję.

Złapałam pierwszą partię listów, notatnik i długopis, po czym skierowałam się do drzwi.

- Nadchodzi lobbystka - zachichotałam. - Bardzo zdenerwowana lobbystka, która wypływa na nieznanne wody.

- Będą spokojne - pocieszyła mnie się Daisy. - Poza tym wieją pomyślne wiatry.

Chyba jednak się myliłam. Ta kobieta mogła mi coś zaferować - życzliwość i wsparcie.

Ruszyłam więc do budynku zgromadzenia. Nie miało dla mnie znaczenia, że jestem najmniej doświadczonym lobbystą, który kroczył tymi korytarzami. Moją bronią były pasja, cierpli-

wość i wytrwałość - trio, które pomogło mi odrodzić się niczym Feniks z popiołów. To one uczyniły mnie silną i skuteczną. Weszłam do pierwszego gabinetu, zdeterminowana i pełna zapału, lecz natychmiast natrafiłam na opór.

- Kto jest sponsorem projektu? - spytała recepcjonistka w średnim wieku.

-Ja.

- Nie, pytam, która grupa sponsoruje projekt?

- Nie ma żadnej grupy. Jestem tylko ja, zwykła obywatelka. Kobieta zmarszczyła brwi, zacisnęła usta i potrząsnęła głową.

- Mamy bardzo napięty grafik. Proszę wrócić później, po południu.

Niezrażona zapisałam to w notatniku i przygotowałam się do następnego ataku. Zaczęłam się rozkręcać. Wiedziałam, że czeka mnie poranek pełen frustracji, którą będzie potęgował każdy negatywny odzew. Ale był to również poranek pełen euforii i entuzjazmu, ponieważ pozytywne komentarze przywracały mi wiarę w siebie. W każdym gabinecie spotykałam się z inną reakcją. Kiedy złapałam jednego z asystentów legislacyjnych, gdy wychodził do biura podróży, i lobbowałam nawet na korytarzu, poczułam się dumna z tego, że potrafię szybko myśleć i radzić sobie nawet z taką presją.

Tuż przed lunchem pobiegłam na szóste piętro, żeby dostarczyć najważniejszy list - adresowany do przewodniczącego Komisji Sądowniczej, Phila Isenberga. Znaczenie osoby urzędującej w biurze oddzielonym od pozostałych zdawały się podkreślać podwójne drzwi. Wzięłam głęboki oddech i weszłam do środka. Gabinet był elegancki, wyłożony drewnem i pięknie

urządzony. Podeszłam do uśmiechniętej recepcjonistki i powtórzyłam swoją kwestię.

- Proszę usiąść - powiedziała. - Zawiadomiłam już asystenta legislacyjnego. Przyjdzie za chwilę.

Bezustannie ktoś wchodził do pokoju i z niego wychodził. Serce kilkakrotnie mi zamierało, gdy zbliżał się do mnie jakiś mężczyzna, ale za każdym razem tylko się witał i wychodził przez podwójne drzwi. Miałam wrażenie, że minęło wiele godzin, choć wedle antycznego zegara wiszącego na ścianie za recepcjonistką było to tylko kilka minut. W końcu podszedł do mnie wysoki, szczupły mężczyzna o jasnobrązowych włosach, uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

- Chodźmy do biblioteki - zaproponował. - W ciszy łatwiej nam będzie rozmawiać.

Ominęłam regał z książkami prawniczymi i usiadłam przy okrągłym drewnianym stole, na którym leżały sterty woluminów i kilka otwartych tomów. „To tutaj wszystko się rozgrywa” - pomyślałam.

- Isenbergowi na pewno spodoba się projekt po rewizji sformułowań - zaczął mężczyzna, siadając naprzeciwko mnie.

- Należało doprecyzować przepis, że aby to prawo mogło być zastosowane, oskarżony musi zostać skazany za usiłowanie zabójstwa.

- Chwileczkę. Anna powiedziała mi, że Isenberg i tak chce ukreć leć projektowi, mimo nowych sformułowań.

Wciąż słyszałam w myślach jej słowa, wciąż czułam lęk.

- Najwyraźniej zaszła jakaś pomyłka. Isenberg nie widział nawet jeszcze nowej wersji. Nie sądzę, żeby wciąż miał

jakieś wątpliwości. Będę zalecał mu, by go poparł. To dobre, sensowne prawo.

Postanowiłam pójść za ciosem.

- A czy mogłabym spotkać się dziś z panem Isenbergiem, żeby osobiście to z nim omówić?

Zdałam sobie sprawę, że tylko w ten sposób mogę poznać jego stanowisko. Dość pogawędek z pośrednikami, czas na rozmowę z grubą rybą.

- Chciałbym pani pomóc, ale jego grafik jest bardzo napięty. To członek pięciu komisji, z których dwie zbierają się dzisiaj. Teraz jest na pierwszej, a po lunchu będzie uczestniczył w drugiej aż do końca dnia.

Nie to chciałam usłyszeć... „Zrób coś, Barbaro!” Zebrałam się na odwagę i zapytałam:

- O której pan Isenberg wychodzi na popołudniową sesję?

- Zaczyna się o wpół do drugiej, więc zazwyczaj wychodzi kwadrans po pierwszej.

- A czy mogłabym spotkać się z nim w gabinecie i go odprowadzić?

- Rzeczywiście jest pani zdeterminowana. Proszę pozwolić, że sprawdzę w jego grafiku.

Podszedł do biurka recepcjonistki, która po krótkiej dyskusji wykonała telefon, a potem coś zapisała. Ja tymczasem trzymałam kciuki za powodzenie mojego planu.

- Udało się pani - oznajmił asystent, gdy wrócił do biblioteki.

- Zapraszam kwadrans po pierwszej - dodała recepcjonistka.

Zebrałam swoje papiery i ruszając w stronę podwójnych drzwi, poczułam, jak u ramion wyrastają mi skrzydła. Właśnie

dokonałam niemożliwego: umówiłam się na spotkanie z przewodniczącym Komisji Sądowniczej tego samego dnia.

Podczas lunchu w pobliskiej kafeterii złapałam gazetę, którą ktoś zostawił przy stoliku, i otworzyłam ją na horoskopach. Od czasu, gdy John próbował mnie zamordować, uzależniłam się od nich. Za każdym razem zadziwiało mnie, jak często pasują do mojej sytuacji. Były niczym latarnie, które wskazywały mi właściwą drogę albo oświetlały to, co zostało za moimi plecami. Panna. Powiodłam palcem w dół strony. Co Jeanne Dixon chciała mi dzisiaj przekazać? Serce stanęło mi w gardle, gdy przeczytałam: „Wpływowym ludziom podoba się twój tok myślenia i twoje metody pracy”. Czemu nie? Cokolwiek by mówić, Isenberg w końcu zgodził się ze mną spotkać. „Twoje umiejętności organizacyjne pozwolą ci dotrzymać ważnego terminu”. Moje zeznanie miało odbyć się za dwa dni. „Zyskasz sławę i majątek. Pamiętaj, żeby mimo wątpliwości natury emocjonalnej i finansowej zawsze trzymać się własnych przekonań”. Czy to znaczyło, że mój projekt przejdzie?

Serce waliło mijak młotem. Zadziwiające, jak bardzo te słowa pasowały do mojego planu dnia. Wyrwałam horoskop i schowałam do teczki, żeby dodać go do swojej kolekcji.

\* \* \*

Po lunchu przyszłam na miejsce pięć minut za wcześnie. Nie chciałam ryzykować, że spóźnię się i przepuszczę tę niepowtarzalną okazję. Minęło piętnaście minut, nim z gabinetu wyszedł mężczyzna w granatowej marynarce i beżowych spodniach, z teczką w ręku. Wstałam, czując, że oto nadeszła chwila próby.

- Rozumiem, że nie przyjmie pani odmowy? - zapytał Isenberg z uśmiechem. - Zawsze podziwiałem determinację.  
- Podał mi dłoń i przeprosił za spóźnienie.

Gdy wyszliśmy z biura, chwycił mnie pod ramię i wprowadził przez nieoznaczone drzwi do wąskiego, zatłoczonego korytarza.

- Witam w labiryncie zgromadzenia - powiedział.  
- To skrót prowadzący do skrzydła budynku. Ostrożnie. Robi się tu dość ciasno, bo wszyscy biegniemy na popołudniowe spotkania.

To było ekscytujące! Oto znalazłam się w korytarzu przeznaczonym wyłącznie dla legislatorów. Stukałam obcasami po lśniące posadzce, próbując dotrzymać kroku Isenbergowi.

- Rozumiem i doceniam to, co chce pani zrobić - zaczął.  
- Ale sformułowania i język AB16 mogą mieć rozmaite konsekwencje prawne. Na przykład, w projekcie nie uwzględniono różnicy między wyrokiem skazującym za przestępstwo a wyrokiem skazującym za występki. Sytuację komplikuje również dział o obowiązku powierniczym i rodzinny.

- Szczerze mówiąc, zawsze miałam pewne wątpliwości co do tych działów.

Wyjaśniłam, co mi się przytrafiło, jak niesprawiedliwe jest obecnie obowiązujące prawo rozwodowe oraz co chciałam osiągnąć poprzez AB16. Zalałam go potokiem słów.

- Chcę tylko zapewnić ochronę ludziom, których usiłowano zabić, aby ponownie nie stali się ofiarami, tym razem prawa rozwodowego - tłumaczyłam. - Należy chronić ich emerytury i zablokować możliwość żądania alimentów oraz opłat na ubezpieczenie i leczenie dla przestępcy.

- Rozumiem, ale...

- W zeszły czwartek zmieniliśmy sformułowania w projekcie tak, żeby odnosiły się wyłącznie do wyroków karnych. Nie czytał pan tego jeszcze?

Nagle zatrzymał się, aja wpadłam na niego. „Czyżbym posunęła się za daleko? Czy powinnam przeprosić? O nie!” Chciałam wygrać, harowałam jak wół, żeby dobrać jak najlepsze słowa, więc nie zamierzałam się teraz wycofać.

Znaleźliśmy się w dużym, jasnym pomieszczeniu; wszędzie stały rośliny w doniczkach i kanapy. Nasza podróż zbliżała się ku końcowi, być może moja również.

- Sala mojej komisji jest tam - oznajmił Isenberg i wyciągnął dłoń na pożegnanie. Moja ręka drżała, gdy odwzajemniałam uścisk.

- Wie pan - zaczęłam - jeśli chodzi o dobór słów, musiałam zaufać ludziom, z którymi pracowałam. To oni są ekspertami, nieja. Ale ograniczyliśmy się do wyroku za przestępstwo.

Isenberg pokiwał głową.

- Dobrze, dziś wieczorem raz jeszcze przejrzę projekt. Jeśli jest tak, jak pani mówi, nie będę miał obiekcji.

Po chwili zniknął w sali komisji, a pode mną ugięły się nogi. Usiadłam na najbliższej kanapie, wyczerpana, ale zarazem zadowolona. Zapisałam w notatniku kilka słów o wsparciu Isenberga, zerknęłam na zegarek, a potem na listę. Odpoczynek nie wchodził w grę.

Późnym popołudniem weszłam do biura Anny i opadłam na jej fotel. Dla świeżo upieczonej lobbystki to był niezwykle wyczerpujący dzień. Wzięłam do ręki długopis i zapisałam „tak”



lub „nie” przy nazwiskach członków zgromadzenia, których opinie już znałam.

Odwiedziłam wszystkie czternaście gabinetów i tylko sześć osób przełożyło spotkanie na następny dzień. Osiągnęłam zatem pięćdziesiąt siedem procent sukcesu, jeśli chodzi o spotkania, ale wciąż martwiły mnie pozycje z dopiskiem „nie”. Aby projekt przeszedł przez komisję, w środę musiał zdobyć ponad pięćdziesiąt procent głosów, nawet przy poparciu przewodniczącego, którego teraz byłam pewna.

Do gabinetu zajrzała Daisy.

- Mam dobre wieści. Właśnie dzwoniła Anna, przyjdzie jutro.

To była wspaniała wiadomość. Potrzebowałam jak najwięcej wsparcia, zarówno duchowego, jak i taktycznego. Ponownie przeczytałam poranny horoskop i uśmiechnęłam się. „Tak, Jeanne Dixon, trafiłaś w dziesiątkę”.

\* \* \*

Anna od rana tryskała energią. Zaprowadziła mnie i matkę do siebie. Byłam podekscytowana i zdeterminowana, by doprowadzić do końca to, co zaczęłam poprzedniego dnia.

- Mam dobrą i złą wiadomość - oznajmiła. - Od której zacząć?

- Od dobrej.

- Isenberg nie chce już blokować projektu. Twoja mała mowa zrobiła na nim wrażenie.

- A zła? - zapytałam niepewnie.

- Chce przełożyć sprawę na następny rok. Pochwala ideę, ale wciąż niepokoi go fragment związany z kodeksem cywilnym.

Chodziło o sformułowania dotyczące powiernictwa. Mimo mojej ciężkiej pracy nadal stanowiły przeszkodę. Musiałam się jeszcze wiele nauczyć w kwestii pisania projektów i wiedziałam, że mam na to rok.

- Cóż, przynajmniej nie przepadł całkowicie. To dobrze, jak sądzę. - Nie potrafiłam jednak ukryć rozczarowania. - Czy to oznacza, że nasze jutrzejsze przesłuchanie jest odwołane?

- Niestety tak.

Westchnęłam i spuściłam głowę, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. Przetrwałam dwa długie lata pełne telefonów, listów i faksów, błagań, namawiania i próśb. Trudno mi więc było pogodzić się z tym, że choć zaszłam tak daleko, sprawa miała czekać aż rok. Spędziłam tyle czasu, umawiając świadków... Och, nie!

- Muszę zadzwonić do świadków i powiedzieć im, żeby nie przyjeżdżali. - Wyjęłam z teczki listę z numerami telefonów. W przeciągu pół godziny dodzwoniłam się do wszystkich. Przeprosiłam ich i podziękowałam za zaangażowanie. Na szczęście nikt nie wyjechał jeszcze do Sacramento. Gdy odłożyłam słuchawkę, Anna wbiegła do biura z uśmiechem na twarzy.

- Nie uwierzysz, co się stało! - wykrzyknęła. - Przed chwilą zadzwonił do mnie asystent Isenberga. Doradcy, adwokaci i asystenci chcą spróbować jeszcze raz... z tobą!

- Ze mną?

- Tak. Wierzą w tę sprawę, do tego stopnia, że chcą współpracować z tobą, by zobaczyć, czy przed jutrzejszym przesłuchaniem uda się na nowo opracować projekt.

Wyskoczyłam z fotela, by ją uściskać. To wszystko działo się zbyt szybko, byłam tak zaskoczona, że aż brakło mi tchu i nie mogłam utrzymać się na nogach.

- A najlepsze, że to właśnie Isenberg nalegał na spotkanie. Cóż za wspaniały początek dla debiutującej lobbystki: w pięć minut przekonałaś najważniejszą osobę w komisji!

\* \* \*

Godzinę później ponownie siedziałam przy okrągłym stole w bibliotece biura Isenberga, pośród stert książek prawniczych, kubków z kawą i zwałów notatników oraz dokumentów. Onieśmiałła mnie obecność wybitnych specjalistów w zakresie tworzenia prawa. Razem ze mną siedzieli Anna, doradcy legislacyjni ze strony demokratów i republikanów oraz dwie agresywne panie adwokat.

Zakasaliśmy rękawy i wzięliśmy się do pracy. A ściślej rzecz biorąc, zrobili to zgromadzeni eksperci. Powtarzali w kółko te same fragmenty, precyzując i uściślając każde słowo. Posługiwali się przy tym zupełnie dla mnie niezrozumiałym żargonem prawniczym. Potarłam skronie, wciąż pełna wątpliwości w sprawie części dotyczącej powiernictwa, którą omawiali. Nie mogłam tego wytrzymać. Musiałam rozładować narastające napięcie.

- Dlaczego nie możecie napisać tego projektu po ludzku? - wykrztusiłam. Wszyscy zamilkli i popatrzyli na mnie szeroko otwartymi oczyma. Potem spojrzeli po sobie. - I dlaczego musicie mieszać do tego kodeks cywilny, skoro to kwestia prawa rodzinnego? Dlaczego nie napisać po prostu, że w przypadku rozwodu skazany traci pewne przywileje finansowe.

Zaległa cisza.

„Co ze mnie za głuptas, skoro myślałam, że mogę na nowo napisać projekt”. Nagle wszyscy, jeden po drugim, zaczęli przyznawać mi rację. Korzystaliśmy z wielu specjalistycznych lektur, ale żadna z nich nie okazała się pomocna.

- Stwórzmy po prostu nowy dział - zaproponował jeden z republikańskich doradców. - Kto będzie pisał?

Anna zgłosiła się na ochotnika, lecz wszystkie oczy zwrócone były na mnie.

- Dobrze, Barbaro. Oto twoja szansa - powiedziała pani adwokat.

Modliłam się, żeby znaleźć odpowiednie słowa. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam mówić. W przeciągu godziny mieliśmy nowy tekst, napisany prostym, zrozumiałym językiem - mój projekt, sformułowany tak, jak chciałam.

- Powiadomię Isenberga, że wszystkie jego obiekcje zostały uwzględnione - powiedział republikanin. - Nie widzę przeszkód, żeby został jutro rozpatrzony. Wciąż jest w programie.

Gdy wróciliśmy do gabinetu Anny, otrzymałam kolejną lekcję na temat działania systemu legislacyjnego.

- Mamy zupełnie nowy projekt - zauważyła. - Zrobią wydruk i kopie, a ty będziesz musiała rozdać je członkom komisji przed końcem dnia. Zostało niewiele czasu. Asystenci legislacyjni będą musieli przejrzeć nową, gruntownie zmienioną wersję AB 16 i przygotować swoje stanowisko, aby członkowie komitetu mogli jutro głosować.

Nagle coś sobie przypomniałam.

- Przecież odwołałam świadków!

Pobiegłyśmy z powrotem do biura Anny. Ja dzwoniłam, a ona relacjonowała mojej mamie ostatnie wydarzenia. Przez otwarte drzwi zobaczyłam, jak mama pokazuje mi uniesiony kciuk.

Po lunchu wróciłyśmy do biura Raineya. Gdy Anna rozmawiała przez telefon, przyszła Daisy.

- Barbaro, mam wiadomości od świadków. - Drżącymi rękoma wzięłam kartki, które mi podała. - Nie denerwuj się - uspokoiła mnie. - Wszyscy przyjadą.

Zamknęłam oczy.,,Dziękuję ci, Boże". To niewątpliwie dobry omen, tak jak promienie słońca wczorajszego ranka.

Przez następne dwie godziny co kwadrans biegłam na trzecie piętro do drukarni. Za każdym razem wracałam z pustymi rękoma. Czas uciekał, a ja coraz bardziej się martwiłam. W końcu o 15.25 Anna powiedziała:

- Właśnie do mnie dzwonili. Możesz odebrać poprawione wersje, leżą na stole w korytarzu przed drukarnią.

Teraz rozpoczął się szalony wyścig. W niecałą godzinę musiałam odwiedzić czternaście gabinetów i zyskać poparcie tyluż asystentów legislacyjnych. Na szczęście miałam wygodne buty. Jakimś cudem zdołałam zobaczyć się ze wszystkimi, wygłosić dwuminutową minimowę, wręczyć każdemu nowy projekt i wymusić obietnicę, że przeczytają go, zanim wystawią opinię. Za każdym razem notowałam, czego mogę się spodziewać.

Wsiadłszy do windy, żeby dotrzeć na czwarte piętro, natknęłam się na asystentkę Murraya.

- Myślałam o pani projekcie - wyznała.

- Mam nadzieję, że same dobre rzeczy.

Pokręciła głową.

- Martwię się, że gdy przestępca osiągnie wiek emerytalny, zostanie mu tylko ubezpieczenie społeczne.

- Przepraszam, ale czy nie powinna pani myśleć o ofierze?  
Do diabła z przestępcą.

Poczułam, jak żółć się we mnie burzy.

- Zdecydowałam, że będę zalecać głosowanie przeciwko.

Spojrzałam na nią z wściekłością.

- Mam nadzieję, że nigdy nie stanie się pani ofiarą - wycedziłam przez zęby. Gdy tylko drzwi się otworzyły, wybiegłam z windy.

W gabinecie Anny przejrzałyśmy wspólnie moje notatki.

- Wygląda na to, że potwierdziło dziewięć osób. Potrzebuję tylko ośmiu, żeby przejść przez komisję, prawda?

- Tak, ale z legislatorami nigdy nic nie wiadomo - ostrzegła Anna. - Byłabym spokojniejsza, gdybym wiedziała na sto procent, że Isenbergowi podoba się nowa wersja.

Wtedy podeszła do mnie mama i położyła mi dłoń na ramieniu.

- Jestem pewna, że będzie dobrze.

\* \* \*

Wieczorem w Holiday Inn, niedaleko Old Sacramento, stałam przy oknie i spoglądałam na mamę - leżała na łóżku, odpoczywając po ciężkim dniu. Cieszyłam się, że postanowiłyśmy zostać w mieście i w ten sposób zaoszczędzić cztery godziny jazdy do domu i z powrotem. Przez ostatnie kilka lat miałam w mamie mocne oparcie. Kiedy posypało się małżeństwo z Johnem, nigdy nie powiedziała: „A nie mówiłam?”. Teraz zastana-

wiałam się, czy wystarczająco często mówię jej, jak wiele to dla mnie znaczy.

Odwróciłam się i wyjrzałam za okno. Rzeka Sacramento wiała się niczym leniwy wąż przez zachodnią część miasta. Patrzyłam, jak płynie po niej statek o nazwie „Duch Sacramento”. Zapatrzyłam się na zachód słońca odbijający się w mętnych wodach rzeki. Nadszedł czas, by świeżo upieczona lobbyistka odpoczęła, zbierając siły na wielki dzień.

## Zgromadzenie

Następnego ranka stałam przy oknie pokoju hotelowego. Miałam na sobie białą lnianą sukienkę i przyglądałam się promieniom słońca, które tańczyły na falach rzeki Sacramento. „To znak” - pomyślałam. „Dobry omen związany z moim dzisiejszym zeznaniem przed Komisją Sądowniczą”.

Rzuciłam się w ten prawny wir ponad dwa lata temu. Nigdy nie sądziłam, że poświęcę się czemuś takiemu. Nie interesowałam się polityką, nie planowałam piastować żadnego urzędu ani zmieniać przepisów. Dzisiaj jednak byłam tutaj, w stolicy stanu, i każdego dnia uczyłam się nowych reguł rządzących światem. Zmagając się ze swoją naiwnością, usiłowałam wypełnić misję, którą sama sobie powierzyłam.

Wzięłam do ręki swoje przemówienie i odczytałam je powoli na głos, akcentując odpowiednie słowa, by członkowie zgromadzenia zrozumieli wagę tego, co mówię.

- Poradzisz sobie - uspokajała mnie mama. - Zawsze osiągasz to, na czym ci zależy.



- Dzięki, mam. Wiem, że mi się uda. W Saratoga Springs odkryłam, że mam głos.

Popijając kawę, z uśmiechem wspominałam konferencję w Skidmore College. Piątego dnia podeszła do mnie Hannelore Hahn, założycielka stowarzyszenia, i poprosiła, żebym wygłosiła przemówienie na wieczornym zebraniu.

Dowiedziałam się wtedy, że każdy człowiek otrzymuje szansę, które można porównać do drzwi. Czasami w obawie przed nieznanym zapieramy się o framugę i nie chcemy przejść na drugą stronę. Ale jest powód, dla którego istnieją te drzwi - to nasz indywidualny rozwój. Jeśli nie przejdziemy na drugą stronę, taka okazja może się już nie powtórzyć. Tak więc z lekkim niepokojem przyjąłam jej propozycję i poszłam na następne warsztaty. Po lunchu napisałam swoją mowę.

Gdy Hannelore przedstawiała mnie słuchaczom, zdałam sobie sprawę, że wcale nie jestem zdenerwowana: głowa nie pękała mi z bólu, nie miałam ścisku w żołądku ani spoconych dłoni. Czulałam się tak, jakby przemawianie przed czterystoma kobietami należało do moich codziennych zajęć. Usłyszawszy swoje nazwisko, podeszłam do pulpitu z notatkami w dłoni. Kiedy dzieliłam się swoimi myślami, publiczność śmiała się, płakała i wiwatowała na moją cześć. Tamtego wieczora dowiedziałam się, że mam potężny głos, który mogę wykorzystać, by pomóc innym.

Dzisiaj zamierzałam użyć tego głosu w starciu z Komisją Sądowniczą. Zbliżał się punkt kulminacyjny mojej misji. „Czy mam być barankiem prowadzonym na rzeź?” Spojrzałam na zegarek.

- Musimy już iść - zarządziłam. - Umówiliśmy się z Delores w lobby, żeby zjeść razem śniadanie.

Delores Winje z San Luis Obispo była znaną działaczką zajmującą się problemem przemocy domowej. Kilka lat wcześniej mąż postrzelił ją w głowę, oszpecając ją na resztę życia. Odzyskawszy zdrowie, zaczęła działać na rzecz zmian. Odwiedzała więzienia i tłumaczyła sprawcom podobnych przestępstw, jaką krzywdę wyrządzili swoim ofiarom oraz ich rodzinom.

Spotkałyśmy się z Delores i jej przyjaciółką w kawiarni hotelowej, a dwadzieścia minut później cztery kobiety pragnące zmienić świat ruszyły do gabinetu Dicka Raineya. Gdy otworzyłam drzwi, wpadłam prosto na plecy jakiegoś mężczyzny.

- Ale ścisk. Poczekajcie tutaj, a ja dowiem się, o co chodzi. - Wepchnęłam się do środka. - Co się dzieje? - spytałam recepcjonistkę Daisy. - Skąd tu tylu ludzi?

- Zawsze jest taki cyrk, kiedy projekty legislacyjne są prezentowane przed komisją - wyjaśniła. - Zadzwońię po Annę. Poczekaj na zewnątrz, tam przynajmniej jest czym oddychać.

Wróciłam na korytarz do swojej grupy. Rozejrzałam się w nadziei, że dostrzegę pozostałych dwóch świadków, ale nie zobaczyłam ich. Zerknęłam na zegarek: dochodziła 8.30. Zaczęłam wystukiwać stopą nerwowy rytm, oblizalam wargi. „Rozluźnij się, zachowaj spokój” - upomniałam sama siebie. „Harriet i Kevin cię nie zawiodą”. Ale i tak ciągle gapiałam się na róg, z za którego mieli wyjść. Ostatnimi czasy zwątpienie potrafiło w ułamku sekundy zachwiać moją pewność siebie. Dziś nie mogłam na to pozwolić. Musiałam być silna. Pokrzepiła mnie myśl o tym, jak dobrymi są świadkami.

Nastoletnia córka Harriet, Catina Rose, została zamordowana w 1979 roku. Po tej strasznej tragedii Harriet i jej mąż Mike zostali brutalnie potraktowani przez wymiar sprawiedliwości. Wkrótce stali się rzecznikami praw ofiar i pomagali ich rodzinom uporać się z rozpaczą oraz z wadami amerykańskiego systemu karnego. To właśnie z ich grupą nawiązałam kontakt, gdy postanowiłam zmienić prawo.

Kevin Washburn był prezesem organizacji Obywatele na Rzecz Prawa i Porządku, założonej w roku 1970 w odpowiedzi na liberalną politykę przewodniczącej składu sędziowskiego Sądu Najwyższego stanu Kalifornia, Rose Bird. Organizacja ta początkowo zajmowała się lobbowaniem u sędziów, później zaczęła udzielać wsparcia grupom działającym na rzecz praw ofiar.

- Straszne korki - powiedziała Harriet, gdy tylko pojawiła się w korytarzu. - A miejsce do parkowania? Nawet nie pytaj.

- Gdzie jest Kevin? - spytałam, szukając go wzrokiem.

- Jestem, jestem - wydyszał. - Próbowałem cię dogonić, Harriet, ale nie miałem szans.

Chwilę później zza rogu wyłonił się Dick Rainey i ruszył przez tłum, witając się i rozdając uśmiechy. Po jakimś czasie zniknął w swoim gabinecie. Odetchnęłam z ulgą, bo nasi świadkowie i członek zgromadzenia byli na miejscu.

Potem usłyszałam głos Anny, wołającej mnie po imieniu.

- Tu jesteśmy! - krzyknęłam i podniosłam rękę.

Gdy precyzyjnie się przez tłum, przedstawiłam ją świadkom. Streściła nam, jak wygląda procedura. Po chwili weszła do gabinetu, żeby omówić coś z Raineyem, a kiedy wróciła, trzymała na rękach sterty papierów.

- Chodźmy do sali - zwróciła się do nas.

- A gdzie Rainey? - spytałam, gdy zamknęły się za nią drzwi.

- Dołączy do nas na sali komisji, jak tylko będzie mógł  
- odparła, niewzruszona tą nagłą zmianą planów. W przeciwieństwie do niej ja nie zachowywałam spokoju. Uczucie zagniewania, które mnie ogarnęło, najwyraźniej widać było na pierwszym rzucie oka.

- Nie martw się, zawsze tak jest. Ma dzisiaj jeszcze jeden projekt, w innej komisji. Tamten też musi zarejestrować. Kto pierwszy, ten lepszy, a on chciałby, żeby oba projekty zostały dziś przedstawione.

- Mam nadzieję, że go nie zatrzymają, bo moi świadkowie przyjechali z daleka.

- Dick na pewno cię nie zawiedzie - pocieszyła mnie Anna.

- A jeśli projekt nie zostanie dzisiaj przedstawiony?  
- spytała Delores.

Ja również się tego obawiałam, ale bałam się powiedzieć to na głos. Nie mogłam pokazać, że się boję. Przywódca musi być przecież silny, ale w tej chwili nie czułam w sobie siły.

- Będzie dobrze - przekonywałam. - Pamiętajcie: pasja, cierpliwość i wytrwałość. To nasza mantra.

Anna poprowadziła nas korytarzem do windy. Weszliśmy za nią niczym stadko owieczek. W myślach błagałam Boga o wsparcie.

Na parterze skierowaliśmy się do zachodniego skrzydła. Wspiąwszy się po marmurowych schodach, trafiliśmy do bogato zdobionej rotundy, na tyły rzeźby przedstawiającej trzy postaci.

- To Krzysztof Kolumb - oznajmiła Anna, gdy szybkim

krokiem minęliśmy pomnik. - Rzeźba przedstawia chwilę, gdy królowa *zgadza*, się finansować jego ekspedycję.

„Cóż za niezwykle zbieg okoliczności. Kolumb wypłynął na nieznane wody - podobnie jak ja. Jemu powiedziano, że nie zdoła okrążyć globu; mnie - że nie da się zmienić kalifornijskiego prawa rozwodowego. On odniósł sukces; moje losy wciąż się wazą.”

Anna szybkim krokiem skierowała się do kolejnych wind, nad którymi widniał napis: „Północne skrzydło”. Wysiedliśmy na czwartym piętrze i podeszliśmy do ciemnych mahoniovych drzwi na końcu korytarza. Po prawej stronie zobaczyłam schody, które prowadziły do zalanego słońcem miejsca, gdzie dwa dni wcześniej zakończyła się moja rozmowa z przewodniczącym komisji Isenbergiem.

Serce zamarło mi na moment i poczułam, jak na policzki występują mi rumieńce, gdy przypominałam sobie tamto zwycięstwo. Dzisiaj jednak stało przede mną jeszcze większe wyzwanie. Wczoraj, w ostatniej chwili, napisaliśmy od nowa nasz projekt. Nie wiedziałam, czy Isenbergowi spodobają się zmiany, a od tego zależał sukces sprawy. Bez jego wsparcia AB16 nie miał szans przejść przez zgromadzenie.

Przecisnęliśmy się przez tłum przy drzwiach do sali komisji. Sięgnęłam, żeby nacisnąć klamkę, ale zanim udało mi się ją złapać, drzwi gwałtownie się otworzyły. Z sali wybiegł mężczyzna, niemal przewracając Annę. Wzruszyła tylko ramionami.

- Posiedzenia to istny kocioł - stwierdziła z uśmiechem.

Spojrzałam za siebie, szukając wzrokiem Raineya. Nie zobaczyłam go. Zaczęła ogarniać mnie panika, ale prędko zwalczy-

łam to uczucie. „Na pewno jest w środku” - powiedziałam sobie. Jednak tam też go nie było, a przynajmniej ja go nie zauważyłam, gdy weszliśmy do wysokiego pomieszczenia oświetlonego jarzeniówkami. Omiotłam wzrokiem miejsca dla publiczności: obite łśniącym, zielonym aksamitem fotele, które przypominały widownię w teatrze. Siedziało tam już wiele osób, ale nie wypatrzyłam Raineya. Spojrzałam za balustradę, która przedzielała salę niczym barierka, przy której klęka się do komunii. Za nią znajdowało się podwyższenie ze stołem w kształcie litery „U” dla członków komisji. Niektórzy siedzieli już w swoich obitych skórą fotelach. Jednak tam również nie zobaczyłam Raineya. Poczulałam ścisk w żołądku i zmarszczyłam brwi.

- Nie martw się - uspokajała mnie Anna - przyjdzie.

Podeszła do pierwszego rzędu foteli po prawej stronie sali i wskazała nam, gdzie mamy usiąść. Komisja miała rozpocząć obrady o dziewiątej. Spojrzałam na zegarek: była 8.53. Wciąż ani śladu Raineya. Wyciągnęłam przemówienie, żeby je sobie powtórzyć, Anna zaś zaczęła przeglądać swój plik papierów.

- Proszę, to dla ciebie - powiedziała, wręczając mi jakąś broszurę. - To jest program obrad, w którym znajdziesz wszystkie zebrania komisji planowane na dziś.

Serce zaczęło walić mi jak oszalałe, gdy przerzucałam kartki, by znaleźć to, czego szukałam, na stronie 73 pod nagłówkiem: „Środa, 3 maja 1995 roku, Komisja Sądownicza”. Na pozycji drugiej przeczytałam: „AB16 - Rainey - Odszkodowanie retorsyjne”. Dolna warga zaczęła mi drżeć i musiałam walczyć ze łzami, gdy podawałam broszurę mojej matce i świadkom.

„Czy ktoś może mnie uszczypnąć?” - pomyślałam. „To wszystko *dzieje się* naprawdę”.

Z podestu zeszła jakaś kobieta, minęła barierkę i uśmiechnęła się do mnie.

- Ładna sukienka - zauważyła, przechodząc obok. Dzięki temu komplementowi od razu poczułam się lepiej. Ubrałam się tak, by wyglądać na kobietę sukcesu, i ktoś to zauważył.

Salę wypełnił gwar rozmów. Ponownie spojrzałam na zegarek. W zatłoczonym pomieszczeniu nie było już miejsc siedzących, a Rainey wciąż się nie pojawiał. Skierowałam wzrok na podium. Przed każdym z foteli układano sterty dokumentów, a technicy testowali sprzęt do nagrań.

- Anno, gdzie są wszyscy członkowie komisji? Widzę mnóstwo pustych foteli.

- Niektórzy jeszcze stoją - odparła - a poza tym nie wszyscy przychodzą na zebrania swojej komisji. Dzisiejsze kworum wynosi dziesięciu członków. Nie martw się. Czasami urzędnik musi dzwonić do biur, żeby ich ściągnąć.

Zacęłam liczyć... jeden... dwóch... trzech... Przez drzwi za podwyższeniem na salę wyszedł Isenberg i usiadł w środkowym fotelu. Kilku innych członków zajęło swoje miejsca. Czterech... pięciu... sześciu. Niektórzy przeglądali dokumenty. Inni sprawdzali mikrofony. Siedmiu... ośmiu... Otworzyły się boczne drzwi i trzech kolejnych członków zajęło swoje miejsca. Jedenaście, a więc o jednego więcej - kolejna przeszkoda za nami.

Mimo to nie potrafiłam opanować rozczarowania. „A gdzie pozostała trójka?” Odwiedziłam biuro każdego z członków komisji, i to nie raz. Wszyscy wiedzieli, jak ta sprawa jest

ważna dla mnie i dla innych ofiar. „Co takiego mogło ich zatrzymać?” Doszłam do wniosku, że to ze mną jest coś nie tak - jak zawsze, gdy ludzie mnie zawadzili. „Być może mnie nie polubili. Być może...”

Nagle poczułam na ramieniu czyjąś dłoń i podniosłam wzrok. To był Rainey.

- Przepraszam za spóźnienie. Jesteśmy na drugim miejscu w porządku obrad.

„Zaczyna się” - pomyślałam, biorąc głęboki oddech.

- AB29 - powiedział głośno Isenberg i zgromadzona publiczność zamilkła. Zajrzałam do broszury. Chodziło o projekt związany z korporacjami i powództwami pochodnymi udziałowców. Dla mnie brzmiało to jak greka.

Cztery osoby usiadły przy stolikach za barierką.

- Ci, którzy siedzą do nas tyłem, to wnioskodawcy - wyszeptała Anna. - Tam będziecie siedzieć ty i Dick.

- A pozostali?

- To oponenci, czyli przeciwnicy projektu.

„Oponenci!” Poczulałam, jakbym dostała obuchem. W całym tym zamieszaniu zapomniałam o stowarzyszeniu sędziów, które uważało, że mój projekt okaże się puszką Pandory. Rozmawiałam z ich przedstawicielem, wyłożyłam swoje racje, ale nie wiedziałam, czy przyślą kogoś, by zeznawał.

Zaschło mi w ustach i czułam, że kręci mi się w głowie. Ta niewiadoma osłabiała moją pewność siebie. Spojrzałam na zgromadzonych za moimi plecami ludzi, zastanawiając się, czy są wśród nich moi wrogowie. Przycisnęłam kartki z przemówieniem do piersi i osunęłam się na krzesło.



Szum panujący na sali wskazywał na to, że nikt nie zwraca uwagi na pracę komisji. W pewnej chwili rozmowy zagłuszyły nawet to, co działo się na podium. Isenberg uderzył swoim młotkiem i krzyknął, prosząc o spokój. To wyrwało mnie z zamyślenia. Publiczność ucichła i można było kontynuować zeznania.

Debata nad pierwszą ustawą miała coraz bardziej burzliwy przebieg. Bałam się, że to samo przytrafi się mojemu projektowi. Mogło nie pójść tak szybko i gładko, jak sobie wyobrażałam. Nie byłam przygotowana na polityczne gierki.

Opozycja robiła się coraz bardziej hałaśliwa, publiczność również. Walka na słowa ciągnęła się przez ponad godzinę. „Czy w ogóle dojdzie do głosowania?” - zastawiałam się.

Otarłam łzy, które zebrały mi się w kącikach oczu. Mój los leżał w rękach jedenastu członków komisji. Znów czułam się jak w klatce. Tym razem padłam ofiarą upływającego czasu i nieznaney mi procedury. Miałam wrażenie, że nigdy nie uda mi się wyzwolić z tej roli. W głowie aż mi huczało; oparłam ją na rękach i zamknęłam oczy. Klótnie robiły się coraz ostrzejsze. Chciałam krzyknąć: „przestańcie!” ale nie mogłam wydobyć głosu.

Z zamyślenia wyrwał mnie stukot młotka przewodniczącego Isenberga. Równie głośno biło moje serce. Ze strony publiczności wciąż dochodziło szemranie. Młotek opadł raz jeszcze, zrobiło się ciszej, ale zgromadzeni nie zamilkli.

- Wystarczy. Koniec tych sprzeczek! - powiedział ostro Isenberg. - Opracujcie ten projekt jeszcze raz, żeby nie było żadnych niedomówień, zanim znów wejdziecie na tę salę. Dziś głosowanie się nie odbędzie.

Ponownie uderzył młotkiem, przerywając Cunneenowi, który chciał bronić swojego *dzieła*. Byłam oszołomiona i wystraszona. „O Boże - błagałam - nie pozwól, by to samo stało się z moim projektem, spraw, żeby nie pojawił się nikt z opozycji”. Świadkowie zebrali dokumenty i opuścili salę. Niektóre fotele na podium wciąż stały puste, więc nachyliłam się, żeby spytać o to Raineya.

- Nie martw się. Często, szczególnie na początku sesji, zbiera się tylko kworum.

Nie zdążyłam się wyprostować, gdy ktoś oznajmił gromkim głosem:

- AB16. Autor: Rainey. Proszę podejść.

Poczułam napięcie w całym ciele. Przelknęłam ślinę. Dick wstał i spojrzał na mnie.

- Już czas - oznajmił.

Gestem pokazał, żebym do niego dołączyła. Anna poprosiła pozostałych świadków, by poszli za nami. Dick zaprowadził Delores i mnie do stołu dla świadków. Harriet i Kevin stali nieco z boku, za nami. Nie rozumiałam, czemu nie możemy usiąść razem, skoro było tam jeszcze kilka wolnych miejsc. Potem przypomniałam sobie, że puste miejsca są zarezerwowane dla oponentów. Czekałam z przerażeniem, ale nikt do nich nie podszedł. „Czy to znaczy, że jestem bezpieczna?”

- Dzień dobry, panie Rainey - powiedział przewodniczący.

Niemal nie śmiałam oddychać, gdy Dick szybko streścił tekst AB16. Miałam poczucie, że jestem zawieszona pomiędzy rzeczywistością a fantazją, pomiędzy nadzieją a rozpaczą.

- Przeczytałem nową wersję - stwierdził Isenberg. - Nie ma potrzeby zwoływać drugiego posiedzenia komisji. Projekt zostanie omówiony dzisiaj.

Początkowo nie miałam pewności, ale w końcu doszłam do wniosku, że to dobra wiadomość. „Sprawa nie będzie się przeciągać, a ja nie będę musiała ponownie fatygować świadków”. Dick zanotował coś, podziękował przewodniczącemu i mówił dalej.

- Chciałbym przedstawić Barbarę Bentley, sponsora AB 16.

Musiałam powstrzymać łzy wzruszenia. Isenberg spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Przez ostatnie dwa dni miałem okazję kilkakrotnie widzieć Barbarę - powiedział. - To doskonały sponsor.

Jego słowa napęłniły mnie dumą. Oto dotarłam do celu, o który walczyłam przez ostatnie dwa i pół roku. Miałam poczucie, że panuję nad sytuacją. Lekcja ze Skidmore okazała się nad wyraz przydatna.

Gotowa stanąć do walki, wzięłam swoją mowę, poprawiłam okulary i nachyliłam się do ustawionego na stole mikrofonu.

- Panie przewodniczący, członkowie Komisji Sądowniczej! Nazywam się Barbara Bentley i jestem sponsorem Assem-bly Bill 16. Staję dziś przed wami, reprezentując wszystkie ofiary współmałżonków, które chcą się rozwieść ze skazanym partnerem.

Głos mi się załamał i zaczęłam się trząść. Gdy usłyszałam dźwięk własnych słów przeszywający salę zgromadzenia, nagle poczułam falę bólu tłumionego przez lata emocjonalnych i fizycznych tortur. „Nie rozplącz się, Barbaro, nie teraz”. Nie potrafiłam jednak powstrzymać łez.

- W lutym 1991 roku mój mąż próbował... próbował... mnie zamordować...

Zabrakło mi tchu, a zasiadająca w komisji kobieta podeszła do stolika, by podać mi szklankę wody i chusteczki. Publiczność siedziała w całkowitym milczeniu, podczas gdy ja próbowałam dojść do siebie.

„Pamiętaj o swoich trzech przykazaniach, Barbaro. Pasja, cierpliwość i wytrwałość pomogą ci przez to przejść, tak jak pomogły ci po próbie morderstwa, w trakcie śledztwa, podczas procesu i terapii. Pamiętaj, wiele przeszłaś od momentu, kiedy opuszczałaś biuro Bellego, mówiąc, że zmienisz prawo" Powtórzyłam w myślach swoją mantrę i raz jeszcze skupiłam się na zadaniu. Musiałam zwyciężyć. Wbiłam wzrok w kartkę z zeznaniem. Otarłam lzy, napiłam się chłodnej wody i ciągnęłam dalej.

- Kiedy postanowiłam rozstać się z mężem, padłam ofiarą prawa rozwodowego stanu Kalifornia, które stanowi o wspólności majątkowej. Nie liczyło się to, że mąż próbował zabić mnie dla pieniędzy, ani to, że straciłam dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, gdy bez mojej wiedzy zwiększał kwotę kredytu hipotecznego...

Rozpędziłam się. Z każdym słowem, z każdym zdaniem mój głos brzmiał coraz donośniej. Członkowie komisji przyglądali mi się, a ja patrzyłam prosto w oczy każdemu z nich, akcentując najważniejsze słowa.

- Mój mąż miał prawo do pięćdziesięciu procent wszystkiego, co nabyłam w trakcie trwania małżeństwa, również do połowy moich świadczeń emerytalnych, a ja miałam płacić mu alimenty. Ofiary przemocy ze strony współmałżonków często

milczą. Przewyciężenie lęku i zeznawanie na procesie karnym wymaga od nich ogromnej odwagi. Nie powinny doświadczać więc dodatkowych cierpień w sądzie rozwodowym. W imieniu ofiar współmałżonków proszę was o poparcie projektu.

Wróciłam na swoje miejsce. „Stało się. Mój głos zabrzmiał, by zwalczyć niesprawiedliwość, ale czy cokolwiek się zmienić” Dick podziękował mi i przedstawił naszego następnego świadka, Delores Winje. Nachyliła się nad swoim mikrofonem, odchrząknęła i zaczęła czytać. Już po kilku chwilach na jej twarzy malowało się ogromne cierpienie. Głos jej się załamał i zaczęła tracić wątek.

Isenberg kilkakrotnie spoglądał na zegarek. Kiedy Delores skończyła, Dick podziękował jej i głos zabrał przewodniczący.

- Ilu świadków jeszcze macie?

- Dwoje.

- Mamy opóźnienie. Komisja prosi, by pozostali złożyli swoje stanowisko na piśmie, wraz z nazwą organizacji, którą reprezentują.

Gdybym nie siedziała, ugięłyby się pode mną kolana. Harriet i Kevin przyjechali przecież aż z Bay Area - jak się okazało, na darmo. Wszystko przez pierwszy projekt, który zabrał komisji tyle czasu. Moi świadkowie podeszli do podwyższenia, zrobili to, co im kazano, po czym stanęli za mną.

- Czy są jacyś oponenty?

Spojrzałam za siebie. Od czasu mojego zeznania na widowni panował względny spokój. Przyglądałam się tłumowi, ale na szczęście nie wyglądało na to, by ktoś miał wystąpić. Anna uśmiechnęła się do mnie znacząco.

- Drugie i ostatnie wezwanie dla opozycji - ogłosił przewodniczący.

Ponownie obejrzałam się za siebie, wstrzymując oddech. „A co ze stowarzyszeniem sędziów? Czy ktoś zamierza wbiec w ostatniej chwili, by zablokować mój projekt? Dotychczas nie otrzymałam przecież ostatecznej odpowiedzi od Martyego.” Nikt się jednak nie poruszył.

- W takim razie głosujemy - zarządził Isenberg.

Przyglądałam się teraz bardzo uważnie każdemu gestowi członków komisji. Niektórzy zbierali już swoje dokumenty i pakowali je do teczek, inni w zamyśleniu pukali długopisami w stół. Jedni powiedzieli „tak”, drudzy wstrzymali się od głosu. Nikt nie był przeciw.

- AB16 przechodzi przez komisję - obwieścił Isenberg, a następnie uderzył młotkiem i ogłosił przerwę na lunch.

„Oto więc nadeszła chwila triumfu!” Udało mi się pokonać kolejną przeszkodę w tym ostatnim wyścigu dzięki wsparciu rodziny, przyjaciół, świadków i zupełnie obcych ludzi. Podziękowałam Bogu za ich troskę i wsparcie.

Zaczęliśmy schodzić z podestu wraz z Dickiem i pozostałymi świadkami. Gdy mijalam ostatniego członka komisji, nachylił się i wyszeptał:

- Gratuluję odwagi.

Anna podbiegła i uściskała mnie.

- Wiedziałam, że mamy to jak w banku, kiedy Isenberg zwrócił się do ciebie na samym początku. Robi to niezwykle rzadko, tylko wtedy, gdy popiera dany projekt.

- Szkoda, że tego nie wiedziałam - roześmiałam się.

Grupa Raineya przecisnęła się przez tłum z tyłu sali. Jeden z obserwatorów poklepał mnie po ramieniu.

- Przejmujące zeznanie.

Tuż za drzwiami podszedł do mnie inny mężczyzna.

- Świetna robota - rzucił.

Weszliśmy na górę i znaleźliśmy się w pomieszczeniu z kanałami. Wyjęłam aparat i zaczepiłam obcą kobietę, która akurat przechodziła obok.

- Nie zrobiłaby nam pani zdjęcia? Chciałabym uwiecznić nasz triumf - wyjaśniłam, po czym zwróciłam się do znajomych: - Na trzy powiedzcie „zwycięstwo”.

Nazajutrz w „Oakland Tribune” pojawił się artykuł zatytułowany *Brutalna opowieść o alimentach*, tuż obok sprawozdania z procesu OJ. Simpsona. Specjalnie nie zabiegałam o rozgłos, ponieważ bałam się, że John pozwie mnie do sądu. Poczułam jednak olbrzymią satysfakcję, gdy zobaczyłam dowód zwycięstwa.

\* \* \*

Dwa tygodnie później siedziałam w swoim gabinecie i próbowałam skupić się na pracy, ale bezskutecznie. AB16 miał być tego dnia punktem obrad zgromadzenia, a ja czekałam, aż zadzwoni telefon. Anna obiecała, że odezwie się zaraz po głosowaniu. Niepotrzebnie się tak martwiłam. Ostatnio wszystko szło jak po maśle. Nawet sędziowie złagodzili swoje stanowisko. Parę dni wcześniej Marty zadzwonił, żeby mi to przekazać. Z zamyślenia wyrwał mnie podwójny dzwonek zwiastujący połączenie spoza biura.

- Siedzisz? - spytała Anna. - Gratuluję, kochana, zgromadzenie przekazało AB16 do senatu - oznajmiła i roześmiała się.  
- Siedemdziesiąt głosów za, zero przeciw. AB 16 przeszedł jako projekt dwupartyjny!

- O mój Boże! - pisnęłam. - Siedemdziesiąt do zera! Nie wierzę. Ani jednego głosu przeciw, mimo tych wszystkich politycznych przepychanek.

Do oczu napłynęły mi łzy szczęścia. Wygrałam bardzo ważną bitwę w wojnie o zmianę prawa.

Odłożyłam słuchawkę i siedziałam w milczeniu, patrząc na ekran komputera niewidzącym wzrokiem. Po chwili w przypływie wdzięczności pochyliłam głowę i zaczęłam się modlić. Dłonią otarłam łzę, która spłynęła mi po policzku. Siedziałam w ciszy, niepewna tego, co czuję. Wydawało mi się, że powinienam biegać po korytarzu, krzyczeć z radości, ale tego nie zrobiłam. Nie mogłam ruszyć się z miejsca ani dobyć głosu. Może zmagania trwały zbyt długo, może były zbyt wyczerpujące lub też zdawałam sobie sprawę, że to tylko kolejny krok, ale do celu jeszcze daleko.

Moje myśli zwróciły się ku senatowi.



## *Senat*

Pozwycięstwie przed zgromadzeniem nie byłam przygotowana na przeszkody. Tymczasem prędko odkryłam, że droga do Komisji Sądowniczej Senatu i do biurka gubernatora nie jest taka prosta.

Anna zadzwoniła, by przekazać mi wieści.

- Przewodniczący Calderon postrzega AB16 jako typową kwestię domową, kolejną sprawę kobiet. - Na chwilę zamilkła.  
- Jest przeciwny projektowi.

Westchnęłam i zacisnęłam pięści. Po przejściach ze zgromadzeniem wiedziałam już, że to zły znak. Bez poparcia przewodniczącego bowiem projekt mógłby być opóźniany i nigdy nie wyszedłby poza komisję. Musieliśmy zatem udowodnić, że pomoże również mężczyznom. Ponieważ byłam sponsorem, to zadanie przypadło mnie. Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam modlić się do Boga, by wskazał mi drogę.

Moje modlitwy zostały wysłuchane dwa dni później. Znowu odebrałam telefon od Anny.

- Pojawiała się ofiara, to *mężczyzna*. - mówiła podekscytowana. - Steve Peterson. Przeczytał ostatni artykuł o AB 16 w „Oakland Tribune”.

Dwadzieścia lat wcześniej żona Stevea zleciła dwóm ludziom, by go zabili. Przeżył, a troje oprawców trafiło do więzienia, żona przesiedziała tam jednak zaledwie trzy lata. Kiedy Steve przeszedł na emeryturę, wynajęła adwokata, by zdobyć część jego świadczeń. Dostała dwadzieścia procent.

- Będzie doskonałym świadkiem! - wykrzyknęłam.

- Tak, ale możemy mieć problem - zastrzegła Anna.  
- Steve chciałby, żeby to prawo pomogło także jemu, a więc by działało wstecz, a tego nie możemy zrobić. Powiedziałam mu, że ty do niego zadzwonisz.

Musiałam wykorzystać swoje zdolności negocjacyjne, żeby namówić Stevea, aby stał się na chwilę lobbystą i zeznawał wraz ze mną. Rozmawiałam z nim przez telefon, a później spotkałam się z nim osobiście. Za każdym razem, gdy mówił o zamachu na swoje życie, wybuchał płaczem. Ból ofiar zawsze jest świeży, szczególnie gdy człowiek dowiaduje się, że będzie musiał płacić pięćset dolarów miesięcznie kobiecie, która próbowała go zamordować. Z oporami zgodził się w końcu spełnić moją prośbę. Zdobyłam męski głos.

\* \* \*

Cztery dni później, gdy siedziałam w pracy, zadzwonił telefon.

- Mamy problem - wyrzuciła z siebie Anna, mocno zaniepokojona. - Dostaliśmy sygnał przez Martyego Montano

od stowarzyszenia sędziów... Nie będę owijać w bawełnę.  
Wypowiedzieli się przeciwko projektowi.

- Co! Marty zapewniał mnie, że pozostaną neutralni.

- Ale jest za późno, by senat uwzględnił ich opinię.

- Dzięki Bogu i za to - westchnęłam.

Odłożyłam słuchawkę i przez chwilę siedziałam w ciszy, usiłując zebrać myśli. Dlaczego zawsze w ostatniej chwili działo się coś takiego? Wzięłam łyk kawy i wybrałam numer Martyego.

- Anna dostała od ciebie nieprzychylny list - zaczęłam bez ogródek.

- Przykro mi - wymamrotał. - Musiałem go wysłać. Sędziowie nie życzą sobie, żeby zmieniać ich prawo.

- Ich? Myślałam, że prawo należy do nas wszystkich i że ma pomagać ofierze, a nie przestępcy.

- Dołączyłem do tego listu pozytywną uwagę, aleją wycięli.

- Mam też dobrą wiadomość - uspokajał Marty. - Nie dodam tego do programu. Tak więc jeśli coś się pojawi, to nie ode mnie. - Stwierdził, że projekt powinien przejść. - Nie mam jeszcze sygnałów z biura Calderona, a gdyby mieli jakieś wątpliwości, już by się odezwali.

- Dzięki, Marty. Muszę zdobyć jak największe poparcie.

\* \* \*

Cztery dni później, w poniedziałek rano, Steve i ja ruszyliśmy do akcji. Najpierw zajrzeliśmy do Anny.

- Ostatnio czegoś się nauczyłam - powiedziałam ze skwaszoną miną, pokazując jej nasz plan. - Tym razem umówiłam się na spotkania.

Najpierw zaszliśmy do biura przewodniczącego Calderona, gdzie chciałam zobaczyć się z Morgana Swanson, jego asystentką legislacyjną. Była akurat zajęta, więc poszliśmy dalej.

- Czy to jeden z tych twoich dobrych omenów? - roześmiał się Steve.

- Oczywiście, najlepsze zostawiamy na koniec. Nie zapomnij, że pozytywne myślenie popłaca.

Każdy asystent legislacyjny, z którym się spotykaliśmy, uważnie wysłuchiwał naszych historii i zgadzał się, że prawo należy zmienić. Niewątpliwie pomogły nam też łzy Stevea. Notując reakcje słuchaczy, miałam poczucie, że jestem niezwykciona.

Następnie udaliśmy się do gabinetu senatora Bilia Lockyera, przewodniczącego *pro tempore* senatu stanowego. Jego biuro było imponujące - w niczym nie przypominało mniejszych gabinetów, które dotychczas odwiedziliśmy. Gdy poinformowaliśmy o umówionym spotkaniu, pojawiła się niska, krępa kobieta, idealnie ubrana i wyprostowana niczym wojskowy. Przedstawiła się i uścisnęła nam dłonie, ani razu się nie uśmiechając.

- Martwię się, że ten projekt może zaszkodzić maltretowanym kobietom - oznajmiła szorstko. - Jeśli taka osoba zostanie skazana za usiłowanie morderstwa, nie dostanie połowy emerytury męża.

Zagryzłam wargi i policzyłam do trzech. Wyjaśniłam, że usiłowanie zabójstwa jest przestępstwem i że sąd prawdopodobnie i tak nie postawi jej w stan oskarżenia, gdyż była maltretowana.

- Ale - ciągnęła - będzie to wyjątek od prawa rozwodowego bez orzekania winy. - Zapisała coś na moim liście i usiadła przy biurku. Spotkanie dobiegło końca.

Kiedy wyszliśmy na korytarz, Steve spytał:

- O co jej chodzi?

- Niektórzy mają problem z logicznym myśleniem i opacznie rozumieją fakty.

- Ja nie wiedziałbym, co powiedzieć.

- Dlatego tworzymy zespół. Wspieramy się nawzajem. Chodź, zobaczymy, co u Anny.

Wróciliśmy do gabinetu Raineya, nalaliśmy sobie kawy i czekaliśmy, aż Anna skończy rozmawiać przez telefon. Uśmiechnęła się i pomachała, zapraszając nas do środka. Kiedy odłożyła słuchawkę, nie potrafiła ukryć podniecenia.

- Jakies dziesięć minut temu dzwonił dziennikarz. Chyba pisze kolejną część swojego artykułu dla „Tribune” i chciałby przeprowadzić wywiad ze Steve'em.

- Nie mam nic przeciwko - odparł Steve. - Obym tylko czegoś nie palnął.

- Mów prosto z serca - poradziłam mu. - To zawsze działa.

Anna wybrała numer dziennikarza i wręczyła Steve'owi słuchawkę. Przez chwilę się wahał... a potem mówił powoli, jąkając się przy odpowiedziach na pytania dziennikarza. Nie potrafił ukryć zmieszania. Następnie przekazał mi słuchawkę. Gdy potwierdziłam kilka faktów, a dziennikarz poprosił, żeby połączyć go z Dickiem, podałam słuchawkę Annie.

- Przykro mi, ale właśnie wychodzi na popołudniową sesję zgromadzenia i już jest spóźniony. - Zapisała coś w notatniku, po czym rozłączyła się. - Proszę - powiedziała, składając kartkę z notatnika. - Dajcie tę wiadomość Dickowi na sali zgromadzenia. Jeśli nie porozmawia z dziennikarzem, nie będzie artykułu.

Steve i ja przekazaliśmy kartkę urzędnikowi obsługującemu salę i poszliśmy do biura Calderona. Tym razem udało nam się spotkać z Morgana w korytarzu.

- Calderon nie ma zastrzeżeń co do projektu - oznajmiła.
- Powinien więc przejść przez komisję bez problemu.

Serce waliło mi jak oszalałe i miałam ochotę ją uściskać, ale powstrzymałam się. Jak na skrzydłach wróciliśmy ze Steveem do gabinetu Anny.

- Udało się! - wykrzyknęłam, przybijając z nią piątkę.
- Morgana mówi, że nie ma problemu.

- A to ciekawe. Dostałam właśnie kopię jej analizy i nie jestem zachwycona.

- Wydawało się, że nie ma żadnych wątpliwości.
- Zaufam twojemu osądowi. Dotychczas się nie pomyliłaś.

\* \* \*

Nazajutrz do moich drzwi zadzwonili Steve i jego żona Poppy.

- Wejdźcie, wejdźcie. Nie uwierzycie, co się stało.

Zaprosiłam ich do środka i przedstawiłam matce.

- Długo będziesz nas trzymać w niepewności? - zażartowała Poppy.

- Dzisiaj rano będą o nas mówić w wiadomościach kanału siódmego ABC z San Francisco - wydusiłam. Byłam podniekcytowana, ale jednocześnie nieco się obawiałam. Wiedziałam, że projektowi przyda się rozgłos, lecz także bałam się go ze względu na mściwą naturę Johna Perryego. - Najwyraźniej przeczytali dzisiejszy artykuł w «Oakland Tribune».

- Pewnie widzieli to - powiedziała Poppy, podając mi wycinek z gazety.

- *Niesprawiedliwość powszechna w rozwodach* - przeczytałam na głos i uśmiechnęłam się. - To kolejne świadectwo naszych wysiłków na rzecz zmiany prawa, Steve.

Jakiś czas później u moich drzwi stanął reporter Erie Thomas i jego kamerzysta, Sean Overly. Aż podskoczyłam. „Tylko spokojnie” - powtarzałam sobie, zapraszając ich do środka. Kiedy zobaczyłam zaparkowaną przy krawężniku furgonetkę telewizyjną, złapałam aparat i zrobiłam zdjęcie do mojego albumu. Sądziłam, że po przeprowadzeniu wywiadów ekipa pożegna się i wyjdzie, ale tak się nie stało.

- Pojedziemy za wami i zrobimy reportaż do wieczornych wiadomości.

Tego się nie spodziewałam. Zebraliśmy nasze rzeczy, wsiedliśmy do samochodu Stevea i ruszyliśmy, a biała ciężarówka jechała tuż za nami.

\* \* \*

O trzynastej grupa AB16 spotkała się w biurze Raineya. Delores i Kevin przyjechali razem. Eric i Sean udali się już na salę komisji. Anna szła przodem. Maszerowaliśmy niczym małeńka armia gotowa do bitwy.

- Strasznie się denerwuję - wyznał Steve.

- Nie martw się - pocieszałam go. - Ja też, ale poradzimy sobie. Sprawiedliwość jest po naszej stronie.

- To tu - oznajmiła Anna, otwierając drzwi do sali senatu.

Weszliśmy do pomieszczenia. Po lewej stronie znajdowało

się podium w kształcie podkowy, na którym stały skórzane fotele członków komisji. Sean ustawił kamerę w odległym rogu i dostrzegał coś w ostatniej chwili. Erie siedział w pierwszym rzędzie, z doskonałym widokiem na głównych uczestników spotkania.

Na sali panował niesamowity zgiełk. Większość miejsc była zajęta, więc musieliśmy się rozdzielić. Gdy usiedliśmy, Anna wręczyła mi kartkę z porządkiem obrad. Przejrzałam ją i znalazłam nasz punkt na stronie 47.

O wpół do drugiej przewodniczący Calderon zaczął przesuwać stertę dokumentów, która leżała przed nim. Kilka minut później przyszła senator Wright. Założyła okulary i pochyliła blond głowę nad swoimi papierami. Najwyraźniej oboje przeglądali projekty, które miały być wkrótce omawiane.

- Gdzie są wszyscy? - spytałam, czując, że powracają moje stare lęki. „Czyżby nie przyszli, ponieważ mój projekt budził kontrowersje?”

- Zebranie tej komisji zawsze jest wyzwaniem - wyjaśnił Dick. Na jakiś czas uspokoił mnie, ale do czternastej pojawiło się zaledwie trzech senatorów. Calderon spojrział na zegarek i pokręcił głową z niesmakiem, po czym nacisnął guzik czegoś, co wyglądało na interkom.

- Wszyscy członkowie komisji mają stawić się w sali 2040, natychmiast - powiedział donośnym głosem. - Nie chcę, żeby dwie następne sesje musiały zajmować się sześćdziesięcioma projektami. - Zwolnił guzik i odwrócił się do dwojga pozostałych senatorów. - Dopóki nie zbierze się kworum, będziemy obradować jako podkomisja. Zaczniemy od rozpatrzenia SB266, o ubezpieczeniu od trzęsienia ziemi.



Przewertowawszy swoje dokumenty, rozpoczęli dyskusję. Trwała ponad godzinę, tymczasem ja chciałam jak najszybciej mieć to za sobą. Zaczęłam wiercić się na krześle i nerwowo mieć kartki z przemówieniem, które położyłam na kolanach. Od czasu do czasu spoglądałam na Stevea, który uśmiechał się i wzruszał ramionami.

Zanim debata dobiegła końca, na swoich miejscach siedziało już ośmiu senatorów. Asystent legislacyjny senatora, którego wciąż brakowało, przekazał wiadomość, że szef wyjechał z miasta. Calderon otworzył sesję.

- AB 16, Rainey.

Złapałam swoją mowę i kiwnęłam w stronę Stevea, Kevina i Delores. Podeszliśmy do przodu i zgodnie z instrukcjami usiedliśmy przy mahoniowym stole: ja w środku, po lewej Steve, a po prawej Kevin i Delores. Dick zajął miejsce na podwyższeniu tuż za mną. Żeby widzieć twarze senatorów, musieliśmy zadziierać głowy - wydawali się przez to kimś w rodzaju wyższych istot.

- Chcielibyśmy omówić kilka poprawek - powiedział Calderon.

Wymienił parę punktów, których nie rozumiałam. Potem odezwał się Rainey i przedstawił mnie jako sponsora.

Nachyliłam się do mikrofonu i wzięłam do ręki swoją mowę. Gdy odchrząknęłam, na sali zapanowała cisza. Miałam zamiar wygłosić ten sam tekst co przed Komisją Sądowniczą Zgromadzenia. Znałam go na wylot. Doszłam do wniosku, że nie ma sensu poprawiać czegoś, co zapewnia sukces. Ale tym razem było nieco inaczej. Od początku mówiłam silnym, zdecydowanym głosem.

- Nie liczyło się... - Byłam nieugięta, precyzyjna i nie rozpląkałam się. - Miał prawo... - Oddana swojej misji zapomniałam, że każdy gest, każdy oddech i akcent jest nagrywany. Raz jeszcze mój głos przemówił w imieniu ofiar.

Potem przyszła kolej na Stevea. Miał pokazać senatorom, że projekt nie dotyczy wyłącznie kobiet. Zaczął czytać swoje przemówienie drżącym, niepewnym głosem.

- W 1976 roku moja żona wynajęła dwóch ludzi, by mnie porwali, okradli i zabili... - Głos mu się załamał i zaczął szlochać, mimo że od tych wydarzeń minęło już dwadzieścia lat. Podczas wywiadu przeprowadzonego w moim ogrodzie Steve wykazał niezwykłą siłę. Teraz jednak nie był w stanie stłumić emocji.

Głos zabrał senator Lockyer.

- Poczekamy, aż pan Peterson będzie mógł kontynuować, a w tym czasie omówimy inne punkty. Chciałbym zacząć od tego, że moim zdaniem ten projekt zaszkodzi maltretowanym kobietom.

Miałam nadzieję, że ta kwestia się nie pojawi. Mogłam zgodnie z prawdą stwierdzić, że ja też byłam jedną z tych maltretowanych kobiet, które ponoć chciał chronić, ale nie przyszło mi do głowy, że należę do tej grupy. Na szczęście najwyraźniej nikt inny nie podzielał obaw Lockyera.

Następnie głos zabrał senator Mello.

- Będę głosował za tym projektem, ale niepokoi mnie, co się stanie, jeśli wyrok skazujący za usiłowanie zabójstwa zostanie później podważony.

- To przestępstwo jest tak potworne - powiedział Calderon — że to zapewne nie ma znaczenia.

- Czy komisja jest gotowa na głosowanie? - spytał Lockyer.

- Przepraszam, ale pan Peterson nie skończył zeznawać — przerwał mu Rainey.

- Proszę o wybaczenie, panie Peterson. Niech pan kontynuuje.

Steve ponownie wziął do ręki swoją mowę i starał się zachować spokój. Kibicowała mu w milczeniu. Dotarłszy z trudem do końca, podziękował senatorom i odetchnął z ulgą.

- Możemy przeprowadzić głosowanie? - spytał Calderon. Senatorowie przytaknęli.

- Przepraszam - ponownie wtrącił się Rainey. - Mamy jeszcze dwóch świadków. Przyjechali z daleka. Bardzo proszę, żeby pozwolono im zeznawać.

- Przepraszamy - wymamrotał Calderon.

Kevin przedstawił się jako przewodniczący Obywateli na rzecz Prawa i Porządku oraz członek rady Stowarzyszenia Ofiar Przestępstw.

- Moje organizacje w pełni popierają AB 16 - oznajmił.

Potem głos zabrała Delores Winje.

- Mój mąż usiłował mnie zabić, ale jeszcze bardziej pognębił mnie, wykorzystując prawo rozwodowe Kalifornii. Ten projekt musi wejść w życie. - Jej słowa brzmiały bardziej przekonująco niż pięciostronicowa mowa. Calderon chciał dowiedzieć się czegoś więcej na temat jej doświadczeń, a gdy skończyła, zapytał:

- Czy któryś z oponentów chciałby się wypowiedzieć?

Zacisnęłam pięści, modląc się, by nikt się nie pojawił. Bałam się nawet rozejrzeć w obawie, że nagle odezwie się jakiś paskudny sędzia, który zechce dać wyraz swojej staroświeckiej mentalności. Na sali zapadła cisza.

- Drugie i ostatnie wezwanie dla opozycji. - Nikt się nie odezwał, nikt nie podszedł. Odetchnęłam z ulgą. - Tak więc głosujmy - powiedział przewodniczący.

- Mello?

- Tak.

- Lockyer?

Ścisnęłam mocniej kciuki.

- Tak.

- Wright?

- Tak.

Cała ósemka zagłosowała na tak. To było niewiarygodne. Po raz kolejny odniosłam absolutne zwycięstwo.

Spojrzałam po senatorach i wyszeptalam „dziękuję” z oczami lśniącymi od łez. Zebraliśmy nasze rzeczy, przedarliśmy się przez tłum na korytarz i serdecznie się uściskaliśmy. Kilkakrotnie zapiszczałam ze szczęścia. Erie Thomas złożył mi szczere gratulacje.

- Nie zapomnijcie oglądać dziś wiadomości o szóstej - powiedział. - Będziemy nadawać na żywo do naszych prezen-  
terów, Richarda Browna i Terilyn Joe.

Później, gdy Petersonowie odwieźli mnie i mamę do Antioch, włączyłam wiadomości, które nagraliśmy na wideo.

- Mamo, nasz reportaż poszedł jako pierwszy - zauważyłam podekscytowana.

Siedziałyśmy przyklejone do telewizora, oglądając reportaż Erica, przerywany wywiadami i zeznaniami. Kiedy Richard Brown spytał, czy prawo pomoże Steve’owi i mnie, Erie odparł, że choć mnie nie ułatwi już ono życia, chcę być pewna, że

nikt nie będzie już cierpieć tak jak ja. Prezenterzy siedzący w studio kręcili głowami z podziwem.

Ponownie odtworzyłam nagranie i zmierzyłam czas: trzy minuty; zazwyczaj reportaż w wiadomościach trwa trzydzieści sekund. Pasja, cierpliwość i wytrwałość po raz kolejny zapewniły mi sukces.

\* \* \*

Dwa dni później poleciliśmy z Reksem do Springfield w Illinois, gdzie zatrzymaliśmy się przed moją podróżą służbową do Kanady. Zdobyłam darmowy bilet dla osoby towarzyszącej i zasugerowałam, żebyśmy wykorzystali tę okazję, by odwiedzić jego rodziców w drodze do Quebecu, a wracając, zobaczyli historyczną Greenfield Village. Zgadzając się bez wahania, sprawił mi ogromną przyjemność. Po latach starań, by poznać rodzinę Johna, spotkanie z rodzicami Rekxa było olbrzymim krokiem naprzód, choć nie dlatego, że marzyłam o obrączce. Podczas długiego procesu odzyskiwania równowagi psychicznej doszłam do wniosku, że poznawanie rodziny i przyjaciół to najlepszy sposób na umocnienie zaufania między dwojgiem ludzi.

Od razu polubiłam rodziców Rekxa, ludzi bezpośrednich, ciepłych i prostych. Byli zachwyceni, że postanowiliśmy złożyć im wizytę, ponieważ w ich ogrodzie odbywało się właśnie spotkanie rodzinne. Podczas imprezy ciotka Susie zaczęła mówić o mnie jako o „narzeczonej Rekxa”.

- Jestem tylko dobrą znajomą - wyjaśniałam grzecznie.

Wiele osób odpowiadało:

- Ale nigdy nie widzieliśmy żeby Rex tak się uśmiechał.

Istotnie, gdy tylko to słyszał, na jego twarzy pojawiał się promienny uśmiech. Potem obejmował mnie i - najwyraźniej chcąc zmienić temat - snuł opowieść o mojej krucjacie. W połowie spotkania zaczął padać deszcz, więc wszyscy schowaliśmy się na ganku, ale nawet ulewa nie zdołała zepsuć uroczystego, rodzinnego nastroju.

\* \* \*

Trzy tygodnie po powrocie z wycieczki, w czwartek 20 lipca 1995 roku, siedziałam przy swoim biurku w pracy, czekając na telefon. Po paru komplikacjach AB16 nareszcie trafił do senatu i Anna miała przekazać mi wynik głosowania. Przez ostatni miesiąc całkowicie poświęciłam się zadaniom sponsora projektu: pisałam listy, dzwoniłam, zabiegałam o poparcie przy każdej okazji.

Byłam wycieńczona - nie za sprawą politykowania czy lobbingu, lecz Johna Perryego. Wciąż zatruwał mi życie. Ugodę majątkową podpisaliśmy rok wcześniej, ale wycofał zgodę w sprawie pięciu punktów, a Bradley nie potrafił przemówić mu do rozsądku.

To właśnie problemy z Johnem sprawiały, że chciałam zmienić prawo. Targający mną niepokój zachęcił mnie do jeszcze cięższej pracy. Może więc pomoc innym ofiarom nie była jedyną motywacją; może w głębi duszy marzyłam o zemście. Teraz czekałam na telefon Anny. Pragnęłam kolejnego zwycięstwa.

Złapałam za słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

- Właśnie wróciłam - powiedziała i zawiesiła na chwilę głos.

- Przeszłaś przez senat! AB16 przeszedł z wynikiem trzydzieści osiem do zera.

Odwiesiłam słuchawkę i zdałam sobie sprawę, że jestem zadowolona z siebie, spokojna i nieszczerpnięta. Najwyraźniej po tak długiej, wyczerpującej walce wydawało mi się, że inny wynik nie wchodzi w grę. Poza tym nie chciałam narażać się na rozczarowanie, gdyby zgromadzenie zablokowało projekt podczas ponownego głosowania czy gdyby gubernator postanowił go zawetować. Zdjęłam kopię AB16 ze swojej tablicy korkowej i przycisnęłam do piersi. Byliśmy partnerami przez ponad dwa lata. Teraz projekt stał się już niemal prawem.

Następnego dnia Anna nagrała mi się na sekretarkę.

- Gratuluję! Zgromadzenie przegłosowało sześćdziesiąt osiem głosami do zera, żeby AB16 trafił na biurko gubernatora. Do zmiany prawa brakuje tylko jednego podpisu.

W głowie kołatały mi się różne liczby: jednaście do zera, siedemdziesiąt do zera, osiem do zera, trzydzieści osiem do zera, sześćdziesiąt osiem do zera. Jak udało mi się zająć tak daleko, i to bez jednego głosu sprzeciwu? „To dzięki mojej Sile Wyższej - przypominałam sobie - oraz trzem potężnym sojusznikom: pasji, cierpliwości i wytrwałości”.

## *Świętowanie*

Kiedy niezwykle rzeczy przytrafiają się zwykłym ludziom, wydają nam się dziwnym zrzędzeniem losu. Od zamachu na moje życie odkryłam, że to, co nazywamy szczęściem, jest rezultatem planowania i ciężkiej pracy, cuda zaś są efektem głębokiej wiary w Siłę Wyższą. Doświadczyłam również ekscytacji, która rosła z każdym kolejnym sukcesem... piski, ły szczęścia, radosne podskoki i uściski. Ale kiedy dochodziło do momentów kulminacyjnych, kiedy to dowiadywałam się przez telefon o owocach moich starań, ogarniał mnie spokój, nie czułam euforii. Tak właśnie było, gdy usłyszałam wieści o gubernatorze.

W sierpniu 1995 roku wybraliśmy się z Reksem na wakacje. Zatrzymaliśmy się w hoteliku w St. George w Utah. Kiedy wyjeżdżaliśmy, nie wiedziałam jeszcze, jak potoczą się losy AB16. Istniała oczywiście możliwość, że gubernator nie podpisze projektu. Anna powiedziała jednak, żebyśmy jechali i dobrze się bawili. Obiecała nagrać się na moją sekretarkę w pracy.



Wygramoliłam się z łóżka i podeszłam do telefonu. „Równie dobrze mogłam od razu mieć z głowy codzienny telefon” - pomyślałam. Usiadłam na krześle przy antycznym biurku i wybrałam numer. Zapisawszy kilka wiadomości, odłożyłam słuchawkę.

- No i? - spytał Rex.

- Zmieniłam prawo stanu Kalifornia - wykrztusiłam ze łzami w oczach. - Wczoraj wieczorem gubernator podpisał mój projekt.

\* \*\*

9 sierpnia 1995 roku w „Oakland Tribune” pojawił się ciąg dalszy mojej historii: *Krucjata jednej kobiety zmienia prawo stanowe*. Pod koniec grudnia odebrałam telefon od dziennikarki z lokalnej gazety z Antioch, która chciała napisać o mnie artykuł, bo z dniem 1 stycznia AB16 wchodził w życie. Od razu nawiązała się między nami nić porozumienia, ponieważ kobieta ta rozumiała moje obawy, że w druku może ukazać się coś, co skłoni Johna Perryego do złożenia pozwu.

Rankiem 30 grudnia wstałam wcześniej i pojechałam po gazety. Z woreczkiem ćwierćdolarówek w dłoni podeszłam do metalowych półek i zapłakałam ze wzruszenia. Na pierwszej stronie widniało moje zdjęcie - siedziałam przy swoim stoliku w Sacramento i zbierałam głosy poparcia dla AB16. Położyłam monety, złapałam swoje egzemplarze i pobiegłam do samochodu. Po przeczytaniu artykułu musiałam odczekać chwilę, żeby uspokoić się nieco i móc bezpiecznie wrócić do domu.

\* \* \*

31 grudnia urządziłam przyjęcie w Antioch. Nie była to impreza noworoczna, ale urodzinowa, z tortem i balonami. Tuż przed północą Rex nalał szampana, a ja zapaliłam świece na torcie. Goście założyli kapelusiki i trzymali w dłoniach gwizdki. Gdy na Times Square opadła ogromna lustrzana kula, tłum zgromadzony w mojej jadalni nie zaczął śpiewać *Auld Lang Syne*. Zamiast tego Rex wznosił toast.

- Za narodziny nowego prawa - powiedział uroczyście.
- Prawa Barbary. Prawa, które pomoże innym.

Stuknęliśmy się kieliszkami i wypiliśmy za to, po czym zaśpiewaliśmy *Happy Birthday*, a ja zdmuchnęłam świece na torcie.

\* \* \*

Mój sukces legislacyjny nie przełożył się jednak na zwycięstwo w szarpaninie z Johnem. Niemal cztery lata po ustaleniu warunków ugody majątkowej, wciąż czekała ona na sfinalizowanie. Na początku kwietnia Ross Grissom zaprosił mnie do swojego gabinetu, żeby omówić procedury sądowe. Walcząc z Johnem o punkty lotnicze, miałam występować jako własny adwokat. Na widok książek dotyczących prawa rodzinnego, które stały na półce za Rossem, dostałam gęsiej skórki.

- Moje prawo jest w tych książkach, prawda?
- Tak. Przez te wszystkie lata praktyki adwokackiej przez mój gabinet przewijało się wielu ludzi, którzy mówili, że trzeba zmienić prawo, ale tylko ty tego dokonałaś. Jestem dumny, że cię znam, Barbaro Bentley.

\* \* \*

11 kwietnia 1996 roku weszłam na salę sądową z wysoko podniesionym czołem. Byłam gotowa stanąć w szranki z eksmężem. Zmieniłam prawo, a teraz chciałam wygrać z nim w sądzie.

Psychopata pokroju Johna Perryego kieruje się zachłannością. Niczym dzikie zwierzę wgryzł się w moje ciało, usiłując rozszarpać je na strzępy. Robił wszystko, by wykończyć mnie emocjonalnie i finansowo. Nie dawałam jednak za wygraną, szczególnie gdy chodziło o punkty lotnicze, które wciąż był mi winien. Teraz mieliśmy zakończyć walkę w sądzie.

Bradley przywitał się ze mną, gdy weszłam na salę. Siedział przy stole pozwanego, po prawej. Ja usiadłam przy stole powoda.

- Proszę wstać - powiedział donośnie woźny. - Bentley kontra Perry. Sprawę prowadzi sędzia Lawrence.

Sędzia pozwolił usiąść, po czym rzucił okiem na leżącą przed nim kartkę i spojrzał groźnie na Bradleya.

- Zdawało mi się, że kazałem panu załatwić to jakiś czas temu, panie Bradley - rzucił zgryźliwie. - Co my tu robimy?

- Wysoki Sądzie, pan Perry i pani Bentley nie mogą dojść do porozumienia w sprawie punktów linii lotniczych.

Sędzia skrzywił się, spojrzał na mnie i stwierdził, że najpierw wysłucha powoda.

- Wysoki Sądzie, zdaję sobie sprawę, że zna sąd szczegóły tej sprawy. Nadmienię więc tylko, że pozwany próbował zamordować mnie w 1991 roku i został skazany za usiłowanie zabójstwa z premedytacją. W sierpniu 1994 podpisaliśmy ugodę majątkową. Próbowałam załatwić wszystkie sprawy zwią-

zane z rozwodem we właściwym czasie, ale wciąż napotykałam na przeszkody ze strony pana Perry ego. Ponieważ ignorował zapisy ugody, przyszedłam tu dzisiaj, żeby dochodzić swoich praw. Oto list zawierający szczegółową historię punktów linii lotniczych.

Woźny wziął ode mnie listy, po czym wręczył je Bradleyowi i sędziemu. Lawrence dokładnie przeczytał dokument i coś na nim zanotował.

- Dziękuję, pani Bentley. Bardzo dokładnie opisała pani sytuację. - Sędzia spojrzał na Bradleya. - No, i co pan na to?

- Mój klient utrzymuje, że...

- Utrzymuje? Prawo nakazuje mu oddać połowę punktów. - Sędzia ponownie spojrzał na moje obliczenia, znów coś zanotował i podniósł wzrok. - Pozwany ma dokonać transferu punktów na rzecz powódki albo wedle punktu pierwszego, albo punktu drugiego zawartego w liście z datą 3 kwietnia 1996 roku. - Po chwili dodał: - Jeśli nie zrobi tego przed 1 maja, będzie płacił dziesięć procent odsetek rocznie.

Odsetki? Nawet nie marzyłam o podwójnym zwyczajstwie.

Uderzenie sędziowskiego młotka zakończyło rozprawę. Gdy zbierałam swoje papiery, podszedł do mnie Bradley.

- Gratuluję. Spróbuję zmusić Johna do współpracy.

Przebaczenie przynosi ulgę. Kilka miesięcy po zamachu na moje życie wybaczyłam Johnowi jego zdradę i okrucieństwo, ale postanowiłam również walczyć o swoje prawa. Nie zamierzałam być bezwolną ofiarą.

Stojąc przed budynkiem sądu i spoglądając na majestatyczne kolumny, przypominałam sobie podróż, która trwała piętnaście

lat: uwielbienie, gnębienie, odkrycie prawdy, powrót do zdrowia i walka. Byłam sponsorem projektu w procesie legislacyjnym i prawnikiem w sądzie rodzinnym. Wybrałam życie bez poczucia winy i uzależnienia od drugiej osoby. Pokochałam to życie. Mój związek z Reksem opierał się na miłości, zaufaniu i wzajemnym szacunku. Odrodziłam się niczym Feniks z popiołów. Teraz wiem, że mogę stawić czoła przyszłości, niezależnie od tego, co mi przyniesie.

## *Epilog A* *Księżę i żebrak*

Choć John Perry został skazany na pięć lat pozbawienia wolności za usiłowanie zabójstwa, mógł się ubiegać o zwolnienie warunkowe już po roku. Później przez osiem miesięcy opracowywał plan zwolnienia i w listopadzie 1992 roku komisja stanu Wirginia wypuściła go w ramach waszyngtońskiego systemu zwolnień warunkowych. Nadzór nad nim miał sprawować kurator w Seattle. Jednak gdy tylko John znalazł się na wolności, od razu wrócił do swoich starych nawyków i rozpoczął nowe życie, moje zaś zamierzał zamienić w piekło. Byłam nie tylko jego ofiarą - byłam jego wrogiem.

Po zamachu w trosce o własne bezpieczeństwo uważnie śledziłam jego poczynania. Zatrudniłam nawet prywatnego detektywa. Utrzymywałam też kontakt z obecnymi i dawnymi przyjaciółmi oraz partnerami biznesowymi Johna, którzy zdawali mi relacje ze swoich rozmów i spotkań z nim, jak również dzielili się ze mną spostrzeżeniami na temat jego zachowania. Nie byłam

wprawdzie w stanie zweryfikować wszystkich informacji, które mi przekazali, ale dzięki doświadczeniu z *modus operandi* mojego eksmeża mogę domyślić się, co robił po wyjściu z więzienia.

Nie minęło wiele czasu, nim naruszył jeden z zapisów zwolnienia warunkowego - zakaz podszywania się pod inne osoby. Znowu podawał się za emerytowanego admirała, kapitana marynarki, doktora psychologii, wiceprzewodniczącego firmy inwestycyjnej, menedżera Westinghouse, byłego sekretarza ds. handlu, a także kierownika szpitala w Kanadzie i zakładu medycyny alternatywnej w Seattle. Zarzucał swoją sieć za pomocą tych samych historii, które niegdyś opowiadał mnie. Upiększał je tylko coraz dziwniejszymi dodatkami. W rozmowach napomykał o znanych osobistościach, które rzekomo spotkał, takich jak Linus Pauling, Bill i Hillary Clintonowie czy Al Gore.

Elegancki i wytworny w obejściu prędko schwytał pierwszą ofiarę, dziedziczkę z Florydy, która przebywała na wakacjach w Seattle. Zamierzał skłonić ją, żeby zainwestowała w jego firmę zajmującą się importem roślin. Całkowicie ją oczarował. Niebawem jednak ich romans natrafił na przeszkodę. Kobieta tęskniła za Florydą i poprosiła Johna, by się tam przeprowadził. Nie mógł tego zrobić, ponieważ zasady zwolnienia warunkowego nie pozwalały mu opuszczać Seattle. Starał się, jak mógł, ale nie zdołał przekonać jej, żeby na stałe przeniosła się do Waszyngtonu, więc w końcu związek się rozpadł.

John zwrócił wtedy uwagę na Trudy Biltmore, kobietę w średnim wieku, przyjaciółkę Hala Ledmana, człowieka, który pomógł mu uzyskać zwolnienie. Już po paru tygodniach para

mieszkała razem w starym domku na dwudziestoakrowym ran-  
czu w Redmond. Chcąc wzbudzić w Trudy współczucie, John  
wciąż się skarżył, że po naszym rozwodzie nie dostał tego,  
co mu się należało. Ta nieszczęsna kobieta zainwestowała w jego  
projekt sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Po dwóch latach Hal zerwał kontakt z Johnem, ponieważ  
ten użył jego karty kredytowej, wydając 2300 dolarów, i ukradł  
dwa pudełka z czekami. We wrześniu 1996 roku popsuly się  
również stosunki z Trudy. Firma importująca rośliny nie przy-  
nosiła szczególnych zysków, więc wkład Johna w prowadzenie  
wspólnego gospodarstwa był znikomy.

Kłótnie o finanse stały się dla nich chlebem powszednim.  
Ona chciała zwrotu swoich pieniędzy i pomocy w utrzymaniu  
domu; on ciągle znajdował sposoby, by ją zwodzić. Twierdził,  
że skoro się kochają, powinni wykupić ubezpieczenie na życie  
i sporządzić nowe testamenty - w obu przypadkach jedynym  
beneficjentem miał być partner. Trudy wyraziła zgodę.

Pewnego wieczora doszło do strasznej kłótni o pienią-  
dze. John uciekł się do przemocy. Kobieta wybiegła z domu  
i nie wróciła na noc. Gdy pojawiła się nad rankiem, dom  
stał pusty - John wyjechał w trzydniową podróż służbową,  
a ją ogarnęło poczucie winy: może była dla niego zbyt  
ostra; w końcu mimo choroby starał się coś zarobić. Kiedy  
wrócił, pogodzili się.

Sielanka nie trwała długo. Tydzień później wybuchła kolejna  
sprzeczka o pieniądzu. Tym razem John chwycił naładowaną  
strzelbę i pobiegł do sypialni, krzycząc, że popelni samobójstwo,  
ponieważ Trudy go nie docenia. Wewnętrzny głos kazał jej ucie-



kac. Posłuchała. Jestem przekonana, że gdyby otworzyła drzwi sypialni, zmiótlby ją wystrzał ze strzelby, a John utrzymywałby, że był to nieszczęśliwy wypadek.

Trudy zameldowała się w pobliskim motelu. Następnego ranka znalazła Johna skulonego na kuchennej podłodze, w szlafroku, z puszką napoju gazowanego w dłoni. Nie żył. Zmarł w piątek, trzynastego.

Ross Grissom przekazał mi tę wiadomość w poniedziałek rano. Gdy odłożyłam słuchawkę, rozszlochalam się. Wreszcie mogłam oplakiwać człowieka, który dla mnie umarł pięć lat wcześniej, piątkowego ranka w hotelu w Arlington. John, całe życie dręczony przez demony, odnalazł teraz spokój. Pomodliłam się za jego duszę, a potem przystąpiłam do działania - musiałam zadbać o swoje interesy.

Potrzebowałam świadectwa zgonu, żeby sfinalizować kilka spraw. Mój telefon spowodował dwumiesięczne opóźnienie w wydaniu ciała Johna z kostnicy hrabstwa. Nie było żadnego członka rodziny, który mógłby zidentyfikować zwłoki, a bez tego nie dało się wypełnić tymczasowego świadectwa zgonu. Wzięłam to na siebie.

W dziwacznych okolicznościach potwierdziłam, że ciało istotnie należy do Johna Perryego. Musiałam przyglądać się zdjęciom zwłok i opisać jego nietypową bliznę. Kiedy powiedziano mi, że Trudy planuje skremować zwłoki i pochować go z honorami na cmentarzu wojskowym nieopodal Medford w Oregonie, zadziałalam błyskawicznie i zapobiegłam realizacji tych planów. Ciało Johna skremowano, a prochy zostały wydane Trudy, która postawiła je nad swoim kominkiem.

Wysłałam jej kartkę z kondolencjami. Napisałam, że wiem, przez co musi teraz przechodzić, i zaproponowałam spotkanie. Jako dowód oszustw Johna i moich dobrych intencji przesłałam jej artykuł, który ukazał się na pierwszej stronie, gdy moje prawo weszło w życie. Pisząc o tym, że John kłamał na temat swojej tożsamości, dziennikarz użył stenogramów z procesu. Trudy nigdy się jednak nie odezwała. Najwyraźniej nie potrafiła uwolnić się z sieci kłamstw. To również rozumiałam.

Trzy miesiące później przedstawiono wyniki autopsji, z których wynikało, że John zmarł w wyniku przedawkowania leków. Przyjrzałam się szczegółowej liście znalezionych przy nim preparatów. Przypomniało mi się, jak latem 1990 roku w Miami doznał ponoć ataku serca. Dotarłam do pudeł z dokumentami i wyciągnęłam listę leków, które znalazłam wówczas w jego teczce. Większość nazw się powtórzyła. Ten człowiek nigdy się nie zmienił. Chciał wzbudzić w Trudy poczucie winy i odzyskać nad nią kontrolę. Planował więc zażyć swój chemiczny koktajl, by wywołać atak serca i odsunąć na bok sprawy finansowe.

Tym razem jednak stara sztuczka nie zadziałała - błąd w obliczeniach dotyczący czasu, wagi lub ilości leków. Książę, który przez całe życie czarował kobiety, skończył jako żebrak, posiadając tylko to, co udało mu się wyłudzić od Trudy i ode mnie. Koniec końców zmarł w samotności jako ofiara własnej intrygi.

Niestety, moje kłopoty nie skończyły się wraz z jego śmiercią. Pięć lat później Trudy, korzystając z usług prawnika rozwodowego mojego eksmęża, kontynuowała jego wendetę - chciała wyłudzić ode mnie akcje, których nie dostał w koń-

cowej ugodzie rozwodowej. Ponieważ odziedziczyła jego majątek, domagała się swojej działki od kobiety, którą dręczył i niemal zabił. Zgodnie z prawem otrzymała osiem tysięcy dolarów.

Nie wiem, co wtedy myślała - czy powodowała nią zachłanność, czy też chciała zemścić się za to, co wedle niej zrobiłam Johnowi. Tak czy inaczej, było mi smutno: z powodu tej zagubionej kobiety, która nie potrafiła stawić czoła prawdzie, a także w związku z niesprawiedliwym prawem rozwodowym stanu Kalifornia.

## *Epilog B*

### *Ofiara i zwycięzca*

Odkrycie prawdy przywróciło mnie do życia. Stoczyłam ciężką walkę, by pozbiierać się po latach małżeństwa z socjopsychopatą. Uwolniwszy się od swojego oprawcy, powoli, krok po kroku odbudowałam swój świat. Nie zgadzałam się na to, by dłużej być ofiarą. Pokochałam swoją nową drogę, a rezultaty tego wyboru zaskakują mnie do dziś. Pobraliśmy się z Rksem w 1997 roku. Podróżujemy w egzotyczne miejsca i oddajemy się naszemu wspólnemu hobby - domowej produkcji wina, które zdobyło już wiele nagród.

Niezwykle ważne jest dla mnie, aby pomagając innym, walczyć z własnymi ograniczeniami. Chętnie dzielę się swoją historią, występując w telewizji, wygłaszając przemówienia dla studentów, organizacji kobiecych, grup wsparcia czy w ramach programów socjalnych. Prowadzę również wykłady motywacyjne pod tytułem *Jedna osoba może dokonać zmian* oraz *Od ofiary do zwycięzcy* dla Soroptimist International, między-

narodowego stowarzyszenia piszących kobiet i amerykańskiego stowarzyszenia kobiet akademików. Zwycięstwo ma słodki smak i przynosi olbrzymią satysfakcję.

Ofiarą przemocy domowej pada nie tylko jednostka, lecz całe społeczeństwo. Dzięki poszerzającej się wiedzy na temat tego zjawiska pojawia się coraz więcej źródeł pomocy - gnębieni mężczyźni, kobiety i dzieci nie są już pozostawieni sami sobie.

W przypadku osoby maltretowanej cierpi nie tylko ciało, ale również dusza. Ogromnym wyzwaniem jest psychiczne uwolnienie się od dręczyciela. Odzyskanie fizycznej wolności może wiązać się z niebezpieczeństwem, dlatego należy zachować szczególną ostrożność.

Jeśli problem przemocy domowej nie jest wam obojętny, możecie walczyć o wyeliminowanie go z życia społeczeństwa. Po pierwsze, z poszkodowanymi w ten sposób osobami trzeba postępować niezwykle delikatnie. Po drugie, nie bójmy się dzwonić na policję, jeśli jesteśmy świadkami przestępstwa.

Na własnej skórze przekonałam się, że ofiara może stać się zwycięzcą. Dzięki pasji, cierpliwości i wytrwałości - oraz planowaniu i ciężkiej pracy - ty także możesz spełnić swoje marzenia.

## *Epilog C* *Wskazówki*

Psychopaci są wśród nas. Chwytają w sidła niewinne ofiary, jak miało to miejsce w przypadku pewnej kobiety z Nowego Jorku. Była to osoba w średnim wieku, matka dwojga dzieci, świeżo rozwiedziona. Aby ukoić złamane serce, zaczęła korzystać z serwisu randkowego dla chrześcijan. Szybko nawiązał z nią kontakt mężczyzna z Florydy, który podawał się za pastora prowadzącego działalność duszpasterską za pomocą muzyki. Pisał do niej e-maile pełne poezji i wykorzystywał jej miłość do sztuki. W niespełna rok później wprowadził się do jej domu. Po sześciu miesiącach pobrali się, a już po kilku tygodniach kobieta odkryła, że mąż jest uzależniony od seksu i ma obsesję na punkcie pornografii. Kiedy doprowadziła do konfrontacji, pastor zabił jej kota i groził, że otruje jej pozostałe zwierzęta. Zachowywał się nieodpowiednio w stosunku do jej córki, gdy ta przyjeżdżała z wizytą. Oszukał żonę i jej przyjaciół, by wyłudzić od nich pieniądze - kobieta straciła dwadzieścia tysięcy dolarów.

Latem 2007 roku przyłapała męża na zdradzie i wyrzuciła go z domu. Ponieważ jednak maltretowała ją psychicznie, seksualnie i fizycznie, do dziś nie jest w stanie pracować i wymaga stałej opieki psychiatrycznej. Pastor zaś wrócił na Florydę i kontynuuje swoje internetowe polowanie.

W starciu z psychopatami nie jesteśmy jednak bezbronni. Oto kilka przydatnych wskazówek.

## 1. ZROZUMIEĆ SIEBIE

Spółeczeństwo stawia nam kolejne poprzeczki, ale nie upewnia się, czy jesteśmy wystarczająco dojrzałi, by je przeskoczyć. Większość z nas dorasta, nie rozumiejąc w pełni samych siebie. Ignorujemy wydarzenia z przeszłości, nie zdajemy sobie bowiem sprawy z tego, jaki wpływ mają na naszą terażniejszość i przyszłość. Szczególnie wystawieni na ataki jesteśmy w okresach emocjonalnego osłabienia - w trakcie rozwodu, rozstania, przeprowadzki czy po śmierci bliskiej osoby. Psychopata wykorzystuje naszą niemoc. Zrozumiawszy jednak siebie, możemy wytyczyć granice i ustanowić strefę obronną. Jeśli staniemy się ofiarą psychopaty, niezwykle ważne jest, by uzyskać profesjonalną pomoc i zrozumieć, że nie jest to nasza wina.

## 2. ZROZUMIEĆ PSYCHOPATĘ

Jedną ze strategii sukcesu jest poznanie przeciwnika, zrozumienie, jak działa i jakie ma cele. Większość z nas nie jest przygotowana na spotkanie z psychopatą. Media zaszczyliły w nas przekonanie, że termin „psychopata” oznacza seryjnego zabójcę, dlatego wydaje nam się, że nigdy na kogoś takiego

nie trafimy. Nic bardziej mylnego. Na pierwszy rzut oka większość z nich to zwykli ludzie. Wyróżnia ich jednak nie-pohamowana chciwość i brak skrupułów. Trzeba poznać stosowane przez nich metody i charakterystyczne zachowania. Psychopata bez trudu potrafi wzbudzać litość czy żonglować pięknymi słówkami. Jest nierzadko duszą towarzystwa, ma odpowiedź na każde pytanie, choć niekiedy mało wiarygodną. Musimy zrozumieć, jak manipuluje ludźmi, przyjmując pozycję władcy. Jeśli pozwolimy mu wślizgnąć się do naszego życia, spustoszy naszą psychikę... i portfel, po czym przejdzie do następnej ofiary.

### 3. OGRANICZONE ZAUFANIE

Kiedy wiążemy się z nową osobą, często ogarnia nas euforia. Zwierzamy się partnerowi i sami również wysłuchujemy jego zwierzeń. W tym czasie często przyjmujemy za dobrą monetę wszystko, co od niego usłyszymy, i automatycznie obdarzamy go zaufaniem, nawet jeśli na to nie zasługuje. Tymczasem sami musimy zadbać o własne bezpieczeństwo, na przykład sprawdzając wiarygodność historii, które ktoś nam opowie. W tym celu można wykorzystać Internet lub miejskie archiwa, w których znajdziemy wykazy małżeństw, rozwodów i transakcji majątkowych.

Pamiętajcie, jeśli historie brzmią zbyt pięknie, prawdopodobnie nie są prawdziwe.

### 4. WEWNĘTRZNY GŁOS

Jeśli jesteś niepewna swojego partnera, jeśli masz wrażenie, że coś jest nie tak, nie walcz z tym uczuciem. Posłuchaj wewnętrz-



nego głosu i poproś o radę przyjaciela, krewnego, duchownego lub terapeutę. Dziel się swoimi uczuciami z więcej niż jedną osobą i nie bój się korzystać z rad. Możesz usłyszeć coś, czego się nie spodziewasz, ale takie rozmowy ustrzegą cię przed tragedią.

## 5. SYGNAŁY OSTRZEGAWCZE

- Nigdy nie spotkałaś ani nie rozmawiałaś z jego rodziną.
- Unika odpowiedzi na pytanie, gdzie mieszka, lub nigdy cię do siebie nie zaprasza.
- Pożycza twoją kartę kredytową i nie spłaca długów.
- Sprawia, że nieustannie czujesz się winna.
- Namawia cię, żebyś zaciągnęła dla niego pożyczkę.
- Twierdzi, że pracuje jako szpieg.
- Opowiada o majątku, ale nie ma dowodów na jego istnienie.
- Wprowadzając się do ciebie, przynosi tylko kilka drobiazgów.
- Mówi, że jest rozwiedziony, owdowiały albo w separacji, lecz nie podaje szczegółów.
- Kontroluje cię, stosując groźby.
- Gdy dochodzi do konfrontacji, czujesz, że tracisz zmysły.

## 6. ZMIANA

Gdy zrozumiemy, kim jesteśmy, musimy wykorzystać swoje umiejętności, aby pomagać innym. W ten sposób bowiem pomagamy samym sobie - budujemy poczucie własnej wartości i pewność siebie. Zyskuje na tym również społeczeństwo.

Znajdź jakąś sprawę, w którą wierzysz; taką, która stanie się twoją pasją. Ta walka wymaga wytrwałości. Nie chodzi o zakres projektu, lecz o zaangażowanie. Stań się człowiekiem, który coś

zmieni. Jeśli ktoś, kogo znasz, jest w związku przypominającym historię opisaną w tej książce, koniecznie mu o tym opowiedz. Wspólnie możemy ochronić tych, którym grozi niebezpieczeństwo, i pomóc im odzyskać utraconą siłę.